

SARAH J  
NAUGHTON

THRILLER  
ROKU 2017  
W WIELKIEJ  
BRYTANII!

Nikt nie uwierzy kłamcy,  
nawet kiedy powie prawdę...

SPIRALA  
KŁAMSTW

Tytuł oryginału:

TATTLETALE

Copyright © Sarah J Naughton 2017

Pierwsze wydanie książki ukazało się w Wielkiej Brytanii w 2017 roku nakładem Orion Books, imprintu The Orion Publishing Group Ltd.

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz Zdjęcie autora: © Issy Croker

Redakcja: Magdalena Stec

Korekta: Iwona Wyrwisz, Aneta Iwan, Aleksandra Mól ISBN: 978-83-8110-441-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki* Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej: **virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

Przed

Po

Wtorek, 8 listopada

1. Jody

2. Mags

3. Jody

Środa, 9 listopada

4. Mags

5. Jody

Czwartek, 10 listopada

6. Mags

7. Mira

8. Jody

9. Mags

10. Jody

11. Mags

Piątek, 11 listopada

12. Mags

13. Jody

14. Mags

15. Mira

16. Mags

17. Jody

18. Mags

19. Jody

### Sobota, 12 listopada

20. Mags

21. Jody

22. Mags

23. Mira

24. Mags

25. Mira

26. Mags

27. Mira

28. Mags

### Niedziela, 13 listopada

29. Mags

30. Mags

31. Mira

32. Mags

33. Mira

34. Mags

### Poniedziałek, 14 listopada

35. Mags

### Czwartek, 17 listopada – sobota, 19 listopada

36. Jody

37. Mags

38. Mags

### Sylwester

39. Mags

### Marzec

40. Mags

41. Rob

42. Mags

Abe

Podziękowania

Przypisy

*Mojemu mężowi Vince'owi*

*Czy znasz miejsce pomiędzy snem i jawą?  
To, w którym pamiętasz sny? W nim zawsze będę cię kochać.*

JAMES MATTHEW BARRIE

# Przed

W pogodny ranek słońce zazwyczaj tak mocno prześwituje przez witraże, że można odnieść wrażenie, jakby betonową posadzkę pokrywała krew.

Teraz jednak minęła dwudziesta i jedynym źródłem światła są lampy na piętrach. Ich przyćmiony blask powoli odsłania powiększającą się sadzawkę lepiku lub smoły.

Bo w ciemności krew nie wygląda jak krew.

Kiedy opadła adrenalina, która dodała jej sił i pozwoliła zejść po schodach, ma wrażenie, że pozbawiono ją kości. Ledwie może ustać na nogach, więc chwyta się metalowego słupka balustrady, żeby nie upaść, a później długo patrzy.

Na podeście trzeciego piętra gaśnie światło.

Minie sporo czasu, zanim jej mózg zrozumie istotę tego wypadku – przyspieszy od zera do setki, przejdzie od normalności do tragedii – i odpowiednio zareaguje. Widząc, jak ciemne plamy na drzwiach i ścianach mieszkań parteru zamieniają się w czarną sadzawkę, czuje, jak ta świadomość powoli w niej narasta, skupiając się w rejonie brzucha.

W pierwszej chwili myśli, że nic mu nie będzie. Najwyżej kilka siniaków. Guz na głowie. Ale krwi jest stanowczo za dużo.

Gaśnie światło na podeście drugiego piętra.

W ciągu kilku zastygłych w czasie sekund słyszy kliknięcie zasuw i ciężkie kroki na schodach, skrzypnięcie i zatrzaśnięcie drzwi frontowych. Później wszystko pogrąża się w ciszy. Kościół wstrzymuje oddech, czekając na jej reakcję.

Robi niepewny krok w jego stronę.

Czuje zapach podobny do tego, jaki wydaje jej portmonetka wypełniona



miedziakami.

Czemu leży w niewygodnej pozycji? Dlaczego nie przesunie nogi, żeby biodro nie było wykręcone pod takim dziwnym kątem? Dlaczego nie odwróci głowy, czując na sobie jej cień? Dlaczego jej nie zawoła?

Kłęka i ujmuje jego dłoń bielejącą na tle czarnej cieczy, która wolno nasącza włosy i ubranie. Jej mózg gorączkowo pracuje. Powinna coś zrobić. Oczywiście, powinna zadzwonić pod 999.

Gaśnie światło na pierwszym piętrze.

Jego wargi się poruszają, ma otwarte oczy. Kiedy się nad nim pochyla, żeby zrozumieć, co mówi, jej włosy dotykają sadzawki. Cofa głowę, a koniuszki włosów przesuwają się po jej nadgarstku, kreśląc czerwone linie na białej skórze. Teraz widzi, skąd wypływa krew. Z jej warg wydobywa się cichy jęk. Przerazenie i szok pędzą jej na spotkanie niczym ogromna ciężarówka.

Musi mu jakoś pomóc. Tutaj i teraz, w tej chwili, bo on nie ma nikogo oprócz niej. Musi wyciągnąć komórkę z kieszeni, otworzyć klapy i wprowadzić cyfry. Ale nie może wypuścić jego dłoni. Nie może go porzucić, pozwolić, żeby odpłynął w ciemność.

Jej serce zaczyna walić jak oszalałe, niczym wirujące nogi bohatera kreskówki, który jeszcze nie wie, że mknie ku krawędzi. I że zaraz spadnie w przepaść.

Gaśnie światło na parterze.

Nagła ciemność sprawia, że zaczyna krzyczeć. Krzyczy i nie może przestać.

# Po

Linoleum jest śliskie od rozlanych drinków. Kiedy przecina parkiet, wpada na niego jakaś niezgrabna, gruba dziewczyna. Chwyta ją w obfitej talii, a ona wykręca się i piszczy. Ktoś klepie go po plecach. Uśmiecha się, choć nie słyszy słów. Podłoga wibruje od głośnej muzyki, w blasku dyskotekowych świateł starannie umalowane twarze nabierają krzykliwych barw. Wszystkie babki i co bardziej słabowici faceci odlecieli. Gary i Kieran obłapiają się, rycząc *Auld Lang Syne*<sup>1</sup>, chociaż do północy zostały jeszcze dwie godziny. W odróżnieniu od nich nie upije się kilkoma podwójnymi wódkami. Spogląda na swoje odbicie w ciemnym oknie wychodzącym na boisko.

Wygląda całkiem nieźle, mimo że w tym roku stuknie mu trzydziestka.

W okiennym odbiciu dostrzega nieznaną kobietę, która idzie za nim przez salę. Widząc, że na nią patrzy, przystaje i się uśmiecha.

Odpowiada znaczącym uśmiechem. Odbiera sygnał.

W kiblu śmierdzi jak zwykle.

Odlewa się za Anglię, otrząsa i zapina rozporek. Sprawdza swoje odbicie w wygiętym kwadratowym kawałku stali nierdzewnej, który pełni funkcję lusterka. Jego koszula jest o rozmiar za mała, napięta na klatce piersiowej. Myje ręce i przesuwa wilgotnymi palcami po włosach. W ciągu ostatnich miesięcy przeredziły się w okolicy skroni. Może powinien zacząć używać odżywkę w sprayu z apteki?

Do toalety wchodzi ich nowy skrzydłowy. Staje przy pisuarze. Jest znacznie niższy i szczuplejszy od Roba.

– Dobrze się bawisz, stary? – pyta Rob.

– Kapitalnie – odpowiada tamten.

– Poczekaj. Wkrótce damy tak się nawalą, że będziesz musiał opędzać się kijem. – Słowo „damy” Rob wymawia ironicznie.

Chłopak chichocze.

– Na razie. – Rob klepie go tak mocno, że tamten mało nie wpada na pisuar. Śmieje się na widok grupki niezadowolonych lasek czekających w kolejce do ubikacji.

– Wybaczcie, że kazałem wam tak długo czekać! – woła, szeroko rozpościerając ramiona.

– Możesz sobie pomarzyć! – odpowiada Elaine, brzydka żona Marcusa. – Kibel się zapchał. Clive próbuje go naprawić.

– Skorzystajcie z męskiej.

– Po tobie? Wielkie dzięki.

– Tylko nie bądźcie zdziwione, jeśli będę zajęty do końca wieczoru.

– Zaryzykujemy.

Kłania się i pcha drzwi prowadzące do baru.

Powietrze jest ciężkie od woni płynu po goleniu i papierosów. W lokalu obowiązuje zakaz palenia, ale faceci go lekceważą, chociaż Clive grozi, że przekaże policji film z monitoringu. Przez mgiełkę dostrzega Sophie szepczącą coś swojemu małemu sabatowi czarownic. Pewnie plotkują na jego temat. Gapi się na nią, aż ta podnosi wzrok i macha mu wesoło. Wygląda na winną. Zdzira, sama może sobie przynieść drinka.

Przy barze stoi dziewczyna, ale on nie ma zamiaru czekać, więc pokazuje dwudziestkę i Derek człapie do niego tym swoim kaczym chodem, z tchórzliwym uśmiechem na puciołowatej twarzy. Albo boi się Roba, albo ma do niego słabość. Rob udaje rozbawionego, kiedy kumple się z niego nabijają, ale gdyby Derek go dotknął – oczywiście pomijając wydawanie reszty – dałby mu wycisk.

– Co dla ciebie, stary?

– Wódka z limonką i wodą sodową. Tylko nie nakap mi potu do drinka, tłusty draniu.

Derek wybucha śmiechem.

Rob czuje na sobie spojrzenie dziewczyny z kolejki i odwraca głowę, gotów do awantury. Ironiczny uśmiech znika w jednej chwili. To dziewczyna, którą widział w odbiciu w szybie. Nieźle napalona.

– Zaliczyłeś trzy bramki w jednym meczu, prawda? – mówi głosem słodkim jak czekolada.

– Przyznaję się do winy – odpowiada, podnosząc rękę i pokornie skłaniając głowę. Przez moment zastanawia się, czy użył właściwego słowa. Mecz towarzyski rozegrany przed imprezą przypominał ciężką walkę z kacem stoczoną ostatniej nocy, a gość, którego zablokował w końcówce, nadal przebywał na szpitalnym oddziale ratunkowym. Jednak kiedy podnosi oczy, dziewczyna się uśmiecha. – Nie widziałem cię tu wcześniej – mówi. – Przyjechałaś z gośćmi?

Kiwa głową.

– Moja siostra chodzi z ich skrzydłowym. Z linii ataku.

Dobrze. Nie jest z nikim związana. Nie żeby ten fakt miał jakieś znaczenie – bo on jest w związku i nie robi mu to żadnej różnicy.

– Jestem taka urżnięta, że nie pamiętam, jak mu na imię! – chichocze.

– Wszyscy wyglądają tak samo. Pan Kartoflana Głowa!

Dziewczyna śmieje się na całe gardło.

Spogląda na Sophie, ale ta jest zbyt zajęta robieniem z siebie zdziiry na parkiecie, żeby zwrócić na nich uwagę.

Na szczęście w tym roku Clive i reszta starych matołów nie odpowiadają za muzykę, więc jest znacznie mniej utworów Abby i Bee Gees, a więcej hip-hopu. Nie żeby miał coś przeciwko odrobinie *Dancing Queen*. Chłopaki lubią się stroić do tego songu, żądając jakiegoś elementu garderoby od każdej z pań na sali. W tym roku namówi Sophie, żeby dała mu ten ohydny pas wyszczuplający. Postawi zdziirę w kłopotliwym położeniu. Przy odrobinie szczęścia babka spieprzy do domu.

Kiedy się odwraca, widzi, że dziewczyna zniknęła. Klnie pod nosem, wychyla drinka i idzie potańczyć.

Dochodzi północ. Derek jest tak zawalony robotą, że chłopaki stoją za barem, nalewając sobie kolejkę i pokazując środkowy palec do kamery monitoringu zamontowanej na kasie. Chłopcy do końca życia pozostaną chłopcami.

Rob tańczy w koszuli przesiąkniętej potem, rzędzące włosy oblepiają mu czoło. Co jakiś czas staje za którąś z dziewczyn i napiera na nią krocem. Niektóre odpowiadają, a wtedy dostaje słabej erekcji, jednak większość nie jest wystarczająco atrakcyjna, żeby można było pójść na całość. Sophie wygląda lepiej od wielu z nich, ale teraz beczy w kącie, otoczona trajkoczącymi kumpelami. „Ale z niego d-drań, buu-łuu”. Nie, nie zepsuje mu wieczoru. Przyciąga do siebie najbliższą dziewczynę i całuje z całej siły, wpychając jej język do ust. Ślina jest gorzka od alkoholu i papierosów. Dziewczyna odpycha go od siebie i daje żartobliwego klapsa, a on ociera usta rękawem, kołyszając się lekko w świetle reflektorów. Jego bębunki pulsują w rytm muzyki. Serce wali jak oszalałe. Mięśnie buzują z napięcia.

Czuje smukłe palce pieszczące jego bok, gdy ktoś przeciska się z tyłu. Odwraca się i widzi dziewczynę z baru.

Wygląda lepiej od Sophie. Jest taka... – szuka odpowiedniego słowa – „elegancka”. Żadna z dziewczyn na sali nie jest elegancka. Wszystkie mają długie, jasne włosy, spódniczki ledwie zakrywające tyłek, sztuczną opaleniznę i lśniący pot na piersi. Ale ta ma klasę. Nawet nie próbuje na nią napierać.

– Cześć – mówi. – Dobrze się bawisz?

– Znakomicie – odpowiada dziewczyna. – Jest wesoło.

– Wychodzisz?

– Sama nie wiem. Muszę wrócić tam, skąd przybyłam.

Marszczy brwi.

– Dlaczego?

Mówi cicho, więc z powodu głośnej muzyki musi czytać z ruchu jej warg. Szybko mruga oczami i otwiera usta. Może źle ją zrozumiał. Nachyla się bliżej.

– Co powiedziałaś?

Dziewczyna pochyla głowę, żeby szepnąć mu do ucha. Jej włosy, lśniące i chłodne jak satyna, ocierają się o jego policzek. Nie, nie zrozumiał jej źle.

Nie wie, co powiedzieć. Nie jest przyzwyczajony, żeby kobiety mówiły wprost, że na niego lecą, ba, nie jest nawet pewny, czy mu się to podoba.

Dziewczyna rusza, nie odrywając od niego wzroku. Czuje, że wiruje mu w żołądku.

– Ja? – mamrocze. – Zgoda. Mogę. – Gada jak ciul. Odwraca się i przesuwa językiem po zębach. – Nie pożalujesz. – Nadal gada jak ciul. Po co pił tę ostatnią kolejkę sambuki? – Za toaletami jest mały magazyn. – Cuchnie środkami czystości, ale Sophie to nie przeszkadzało.

– Może wyjdziemy na zewnątrz?

Może być i tak.

Energicznie kiwa głową i patrzy na Sophie. Przestała płakać i pije jednego drinka za drugim.

– Do zobaczenia na dworze.

Kiedy dziewczyna odchodzi, rozgląda się po sali, aby sprawdzić, czy ktoś go nie wrabia. Zastanawia się, czy Sophie nie zastawiła na niego jednej z tych swoich uwodzicielskich pułapek, żeby wypróbować jego wierność. Ale jakie to ma znaczenie? Jutro pewnie i tak ze sobą zerwą.

Mija parkiet i rusza do holu. Powietrze jest chłodne i czyste. Stoi w ciemności. Czeka, aż zamkną się drzwi wahadłowe, a muzyka i głośne śmiechy przycichną. Diabelskie czerwone oko starej kamery monitoringu obserwuje go z kąta.

Czy nie jest zbyt urżnięty, żeby mieć erekcję? Coś takiego jeszcze mu się nie zdarzyło, ale nigdy nie miał takiej babki.

Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Pcha drzwi i wychodzi w noc.

Dostrzega jej biały top lśniący w cieniu budek.

Boisko jest zryte i błotniste, więc obchodzi sektor dla widzów,

oddychając powoli i głęboko, żeby się uspokoić. Głupia sprawa, ale czuje się tak, jakby szedł na egzamin. Jest w niej coś wyjątkowego, a on nie zna nawet jej imienia. Dzięki temu ich spotkanie stanie się jeszcze bardziej wyjątkowe. Tak to ujmie, kiedy będzie opowiadać o tym kumplom. „Tajemnicza piękność”.

Efekt pryska, gdy po dotarciu na miejsce zauważa, że laska jest cała ubłocona. Błoto oblepia jej buty, kolana, nawet włosy.

– Kurczę – bełkocze. – Co się stało?

– Upadłam. – Dziewczyna chichocze.

Irytuje go. Psuje cały efekt.

– Trzeba było obejść boisko.

– Kogo to obchodzi? – mówi i zdejmuje top. Musi być urżnięta, bo rzuca go w kałużę, a później zrywa halkę tak gwałtownie, że pęka ramiączko.

Nie ma stanika. Jej piersi są gładkie i opalone, lśniące w blasku świateł klubu. Muzyka przypomina pulsujące walenie serca. Dziewczyna opiera się o ławkę, wyginając grzbiet.

Amatorka ostrego seksu. Gdy kładzie jej dłoń na ustach, żeby się zamknęła, gryzie go w palce. Zrywa mu kilka guzików od koszuli, próbując dostać się do jego klaty. Całuje tak mocno, że miażdży mu wargi o zęby. Wyrywa nawet kępkę włosów, co według niego jest absolutnie niedopuszczalne. Za karę wchodzi w nią tak mocno, że dziewczyna krzyczy z bólu. Normalnie jest bardziej ostrożny – niektóre laski pękają, kiedy to robi – ale ta mała sobie na to zasłużyła. Pewnie uważa się za wyjątkową. Podnieca go, że jutro będzie kuśtykać, posiniaczona i obolała, niezdolna do tego, żeby usiąść. Wie, że długo nie wytrzyma.

Gdy dochodzi, nad boiskiem słychać odliczanie do północy, a kiedy cichną sztuczne ognie i petardy, zapina spodnie i rusza do klubu.

Wszystko dzieje się tak szybko, że Sophie się nie połapie, że wyszedł. Nie zdoła jej wytłumaczyć oderwanych guzików i śladów zadrapań, ale przynajmniej będzie mieć powód do śmiechu z chłopakami, zanim wybuchnie trzecia wojna światowa.

Odwraca się w drzwiach klubu. Dziewczyna siedzi. Unosi rękę w geście pozdrowienia lub pożegnania. On nie odpowiada.

Otwiera drzwi i śmieje się do siebie. Śmieje się, bo głupi pomyślał, że babka jest oczko lepsza od innych. Elegancka. Ha, ha. Nie będzie taka elegancka, kiedy powlecze się do domu z ubłoconymi cyckami wystającymi z topu.

Chwilę później dziewczyna zaczyna krzyżeć.



*Dźwięk telewizora przypomina kołysankę, usypia ją mimo zimna. Jedna ze sprężyn wystaje z zateętego materaca, więc żeby jej nie podrapała, musi się zwinąć na krawędzi. Zawiesili koc w oknie, by poranne słońce nie obudziło jej zbyt wcześnie. Pomarańczowy pas światła ulicznej latarni wpada przez szparę i przecina jej ciało na pół.*

*Skurcz żołądka jest tak silny, że musi przyciągnąć kolana do piersi, aby złagodzić ból. Szkoda, że nie zjadła więcej w szkole. W świetlicy, po lekcjach, częstowali herbatnikami. Zdążyła złapać dwa, zanim inni sprzątnęli resztę, ale nadal jest głodna.*

*Gdyby zdołała usnąć, zapomniałaby o głodzie. Zapomniałaby o tym, co Stuart Talley powie o niej jutro na przerwie, przy wszystkich. Zapomniałaby o nauczycielach szepczących o niej na zebraniach i o tym, jak się dowiedzieli, że ukradła szkolny mundurek z pudła ze zgubionymi rzeczami. Czasami żałuje, że nie zasnęła na zawsze.*

*Słyszac powolne kroki na schodach, zamyka oczy i zamiera.*

*Po chwili kroki docierają do pokoju. Łóżko ugina się pod ciężarem, brzęczy drucziana siatka materaca.*

*– Wiem, że nie śpisz.*

*Otwiera oczy.*

*– Opowiedzieć ci historyjkę na dobranoc?*

*Przez chwilę na niego patrzy, a później szepcze: – Tak, poproszę.*

*Kiedyś wysłuchała historyjki na dobranoc, gdy jeden z chłopaków opiekunki przyszedł do jej pokoju i zaczął opowiadać o bracie i siostrze, których rodzice zostawili w lesie. Dzieci próbowały odnaleźć drogę do domu, ale natknęły się na domek z piernika i łakoci należący do miłej starszej pani. Dziewczynka chciała się dowiedzieć, jak smakuje każda z jego części – szczególnie okna – ale chłopak niani zasnął, więc musiała sobie dopowiedzieć resztę. Zdecydowała, że ludzie, którzy zostawili dzieci w lesie, nie byli ich prawdziwymi rodzicami. Starsza pani okazała się ich babcią, która zbudowała dom ze słodkości, żeby czekał na jej wnuki. A ich prawdziwa mamusia i prawdziwy tatuś zrozpaczeni przeszukiwali cały świat. Gdy wrócili*

*i znaleźli dzieci całe i zdrowe, serca omal im nie pękły.*

*– Pewnego razu była sobie mała króliczka – mówi mężczyzna, siadając na jej łóżku. – Króliczka mieszkała ze swoją rodziną w norze na wzgórzu.*

*Dziewczynka siada zainteresowana opowieścią. Na górnej części piżamy, którą dostała od babci, jest króliczek.*

*– Mama królik i tata królik całymi dniami ciężko pracowali, ale mała króliczka myślała tylko o sobie. Nie była zbyt bystra i nigdy nie słuchała rodziców.*

*Dziewczynka wytrzeszcza oczy. Czy małą króliczkę spotka coś złego?*

*– Gdy rodzice byli zajęci, króliczka wybiegała z norki, dokazując i wędrując po okolicy, rozmawiając ze wszystkimi, których napotkała, i opowiadając niestworzone historie o swoich rodzicach, zupełnie nieprawdziwe, po to, żeby zwrócić na siebie uwagę.*

*Dziewczynka marszczy brwi. Niedobra mała króliczka.*

*– Pewnego dnia spotkała mężczyznę, który urządził sobie piknik na polu, a ponieważ była łakoma i chciała dostać trochę jedzenia, skłamała, że chodzi głodna, bo rodzice nie dają jej dość pożywienia.*

*Dziewczynka podciąga koc pod brodę i przygryza wargę.*

*– Farmer dał jej mały kęs chleba, a kiedy go gryzła, spytał, gdzie mieszka, aby mógł jej przynieść duży kawałek czekoladowego ciasta do herbaty.*

*Twarz mężczyzny pozostaje w cieniu, ale słup pomarańczowego światła pada na jego dłoń. Skóra jest szorstka i czerwona, spod rękawa wystają wytatuowane szpony smoka.*

*– Okazała się bardzo głupiotka – ciągnie nieco ciszej – bo następnej nocy farmer zjawiał się ze strzelbą i psami, zastrzelił mamusię i tatusia małej króliczki, wszystkich jej braci i siostry, żeby przyrzadzić sobie pasztet na kolację.*

*Dziewczynka zaczyna płakać.*

*– Przed śmiercią mama królik powiedziała, że wolałaby, aby ta zła i kłamliwa mała króliczka nigdy się nie urodziła.*

*Pod oknami przejeżdża samochód, światła reflektorów przesuwać się po pokoju, rzucając długie, zakrzywione cienie na pasy tapety odchodzące od ściany. Po przeciwległej stronie pokoju stoi drugie łóżko, na którym leży nieruchomo jakaś postać skulona pod cienkim kocem. Kiedy światła reflektorów gasną, wewnątrz ponownie pogrąża się w ciemności.*

*– Wiesz, co się stało z małą królicą, która opowiedziała tę historię?*

*Dziewczynka kręci głową. Nie chce wiedzieć, ale gdyby zasłoniła uszy rękami, zostałaaby ukarana.*

*– Farmer obdarł ją żywcem ze skóry, wrzucił do rondla z wrzątkiem, a następnie posiekał na kawałki, żeby nakarmić psy.*

*Mała wzdycha, jakby ktoś wydarł kartkę z książki.*

*Mężczyzna pochyla się tak blisko, że dziewczynka czuje słodki zapach cydru w jego oddechu i woń papierosów we włosach.*

*– Jeśli jeszcze raz usłyszę, że mielesz pieprzonym ozorem, że paplesz w szkole o tym, co robimy we własnym domu, spotka cię podobny los, mała zdziro! Zrozumiałaś?!*

*Dziewczynka kiwa głową.*

*Mężczyzna wstaje, wychodzi z pokoju i wraca na dół. Gdy otwiera drzwi, dźwięk telewizora nasila się na chwilę. Później ponownie zapada cisza.*

*Mała leży nieruchomo, czując, jak na materacu powiększa się plama, ciepła niczym krew.*

**Wtorek, 8 listopada**

# 1. Jody

Pamiętasz naszą pierwszą noc? Nie, spytam o coś innego. To byłoby zbyt łatwe. Czy pamiętasz, co było później, gdy słońce pociemniało, przybierając brudnopomarańczową barwę, jak zawsze, gdy zachodzi nad miastem? Kiedy wróciliśmy do środka, chroniąc się w ciepłym mieszkaniu? Wokół panowała cisza, słychać było jedynie odległy dźwięk syreny i pospieszne kroki przechodniów na Gordon Terrace, pragnących bezpiecznie dotrzeć do domu i nie paść ofiarą napadu. Wiatr szeleścił w śmieciach rozwiewanych na placu zabaw.

Niewiele spałam. Jakżebym mogła? Patrzyłam, jak śpisz, obserwowałam twoje oczy drgające pod powiekami. Czy śniłeś o mnie? Nigdy o to nie spytałam. Nie chciałam, żebyś pomyślał, że się w tobie zadurzyłam.

Wpatrywałam się, jak twoje nozdrza falują delikatnie przy każdym wdechu, jak klatka piersiowa unosi się i opada, poruszając meszkiem włosów sięgających pępka.

Twoje ciało było takie chłopiące, mięśnie miękkie jak moje. Podobało mi się, jak nasze ciała uzupełniały się wzajemnie. Ty smagły i szczupły, o dużych brązowych oczach i długich czarnych rzęsach; ja blada i krucha, o jasnych oczach i rzęsach prawie niewidocznych. Wydawałeś mi się męski, a ja tobie kobieca. Czasami splataliśmy dłonie i dziwiliśmy się, jakie są podobne kształtem i wielkością.

Przynajmniej twoje dłonie się nie zmieniły, nieruchome na wykrochmalonym białym prześcieradle.

Nie czujesz bólu. Lekarze mnie o tym zapewnili. W śpiączce farmakologicznej człowiek nie ma nawet snów. Gałki oczne pod powiekami są kompletnie nieruchome. Rzęsy spoczywają na policzkach, podobne barwą do śniadej cery. Powiedzieli, że siniaki znikną, opuchlizna opadnie, a twoja twarz stanie się ponownie taka jak dawniej. Nie mogę się powstrzymać i nie potrafię porzucić nadziei, że pod siniakami i opuchlizną jest ktoś inny. Że

lekarze się pomylili. Że śpisz sobie spokojnie na oddziale jakiegoś innego szpitala, zastanawiając się, dlaczego nie czuвам przy twoim boku.

Nie. To jesteś ty. Widziałam, jak upadłeś.

Przekręcam na palcu obrączkę, którą dostałam od ciebie. Przykładam opuszkę do wyrytego napisu, tak by odcisnął się na moim ciele.

*Prawdziwa miłość.*

Wiem, że to frazes, jak słowa, które wypisują na kartkach z pozdrowieniami, ale nikomu nie przyszłoby do głowy, że w naszym przypadku jest odpowiedni.

Bo nigdy nie było prawdziwszej miłości. Niezależnie od tego, co się wydarzy, Abe – kimkolwiek będziesz, gdy się obudzisz – moja miłość do ciebie pozostanie niezmienna na wieki.

Ujmuję twoją dłoń i szepczę obietnicę koniuszkom twoich palców.

## 2. Mags

Wszyscy śpią. Owinieci białymi prześcieradłami niczym mumie, wciśnięci w fotele reklamowane jako „całkowicie płaskie łóżka”, przypominające małe otwarte trumienki.

Bóg jeden wie, która jest godzina.

Powinnam była przestawić zegarek przed wypiciem pierwszej lampki szampana, który jak mnie zapewniono, został osobiście wybrany przez jakiegoś słynnego brytyjskiego guru od win. Wręczyli mi ją, gdy wsiadłam na pokład samolotu, przypuszczalnie tytułem przeprosin za dziesięć godzin ciasnoty i otepiającej nudy, które mnie czekały. Wiem, że telefon powiadomi mnie, gdy będziemy na miejscu, ale do tego momentu trwam w zawieszaniu, poza czasem.

Kawałki ciasta z krabem i kremem z limonki leżą nietknięte na rozkładanym stoliku. Sądząc po liczbie stewardes przypadających na jednego rozpieszczonego ważniaka w pierwszej klasie, powinni wykombinować sobie, że nie zjem posiłku, i go zabrać. Nawet wino jest gówniane, pozostawia kwaśny posmak na języku. Pewnie brzydko pachnie mi z ust. Czuję się lepka i śmierdząca, chociaż wzięłam prysznic w klubowym salonie dla VIP-ów.

Kładę na stoliku firmową szaszetkę linii lotniczej i szukam w niej odświeżacza do ust. Jest pasta do zębów, szczoteczka, krem nawilżający, maska na oczy do spania, produkt o nazwie „relaksująca mgiełka do pościeli”, zatyczki do uszu i para tandetnych welurowych pantofli. Wszystko z wyjątkiem odświeżacza.

Zastanawiam się nad założeniem maski na oczy i rozpyleniem relaksującej mgiełki na poduszce, ale wątpię, czy to ma sens. Jestem zbyt podekscytowana, żeby spać. Za każdym razem, gdy zaciskam powieki, w głowie wyświetla mi się ten sam film. Spadam w ciemności, wiatr rozwiewa mi włosy, a krąg światła nade mną maleje z każdą chwilą.

Równie dobrze mogę dalej pić.

Kiedy przechodzi stewardesa, proszę o podwójną whisky.

Podejmuję kolejną próbę dokończenia powieści, którą kupiłam na lotnisku – szmatławego thrillera o babce, która myśli, że mąż zabił ich syna, ale okazuje się, że to jej sprawka, tylko o wszystkim zapomniała, bo on dodał jej czegoś do jedzenia, żeby ją chronić. Przeczytałam trzy czwarte, ale nadal mnie nie rusza. Pewnie z powodu stanu umysłu, w którym się znajduję.

Stewardesa wraca i stawia drinka na małej koronkowej serwetce z papieru.

– To wino – stwierdzam.

Uśmiecha się tak szeroko, że podkład trzeszczy w kącikach ust.

– Tak, proszę pani.

– Prosiłam o whisky.

– Whisky?

– Wiem, że to trudne. W końcu pierwsza litera jest taka sama.

Trzepocze powiekami, nie wiedząc, czy żartuję. Uśmiecham się, aby wiedziała, że to nie żarty. Jej spojrzenie staje się szkliste. Kolejna zdzira.

– Zaraz przyniosę whisky.

– Wie pani co? – Chociaż tego nie znoszę, nie mogę zapanować nad amerykańską intonacją wznoszącą na końcu zdania. – Pójdę do baru.

– Jak pani sobie życzy.

Cofa się, żebym mogła wyplątać się z pasa. Czuję obezwładniający zapach perfum, a pod nim jakąś medyczną woń. Może zapach mydła do rąk lub odświeżających cytrynowych chusteczek z pakietu dla pasażerów klasy ekonomicznej. Zapach sprawia, że babka wydaje się całkowicie sztuczna – ale czego mogłam się spodziewać na pokładzie samolotu z Vegas?

Czuję jej spojrzenie na plecach, gdy między fotelami wlokę się do baru. Kiedy przechodzę z pierwszej klasy do biznesowej, samolot dostaje małej czkawki. Potykam się i skręcam kostkę.



– Proszę uważać! – woła za mną. Mam ochotę pokazać jej środkowy palec, ale w dzisiejszych czasach potrafią zawrócić samolot z takiego powodu.

Za bilet zapłacił Jackson. Powiedziałam, że to miło z jego strony. On na to: „Bez przesady, potraktuj to jako kolejną łapówkę, żeby zatrzymać cię w firmie”. Oparłam się pokusie zapewnienia, że nigdzie się nie wybieram. Jeśli nie będziesz trzymać szefa na krótkiej smyczy, nie dostaniesz biletu lotniczego pierwszej klasy i sześciocyfrowej premii. Nie żeby przyniosło mi to wiele dobrego. Kiedy spłaciłam mieszkanie, zauważyłam, że wyrzucam pieniądze na drogie pierdoły w rodzaju butów od Louboutina, które teraz zsunęłam, aby rozmasować kostkę.

W barze samoobsługowym jest tylko jeden amator drinków, mężczyzna w moim wieku, o czerwonej, plamistej cerze, jakiej dostaniesz, jeśli podczas długiego lotu zapomnisz o odpowiednim nawodnieniu organizmu. Normalnie wypijam butelkę wody Evian, gdy koła odrywają się od pasa, ale dziś mam to w dupie. Przecież Abe nie zauważy różnicy. Nalewam sobie dużą whisky i dorzucam kilka kostek lodu z kubelka. Zastanawiam się nad powrotem na miejsce – bo jeśli zostanę, istnieje ryzyko, że facet do mnie zagada – ale miło jest rozprostować nogi, więc siadam na barowym stołku i zaczynam przeglądać czasopismo. Otwieram na artykule o jakiejś aktorce, z retuszowanymi zdjęciami, na których wygląda nienaturalnie. Jej górna warga jest tak powiększona przez kolagen, że przypomina wargę małpy.

– Wraca pani do domu?

Wzdycham w głębi serca.

– Mieszkam w Vegas. Lecę, żeby... zobaczyć się z bratem. – Ganię siebie za chwilę wahania. W sądzie coś takiego by się nie zdarzyło. Muszę wziąć się w garść, wymyślić jakieś zgrabne kłamstwo, które spowoduje, że ludzie nie będą podejmować próby nawiązania rozmowy lub, co gorsza, okazania współczucia. Jeszcze nie czas na to. Przecież dowiedziałam się dopiero dziś rano. Potrzebowałam całego dnia, aby sprawdzić loty i hotele i przekazać swoje sprawy Jacksonowi. Choć rozmawiałam osobiście ze wszystkimi i obiecałam, że wrócę za dwa tygodnie, moi klienci nie byli szczęśliwi. Nikt w firmie nie ma takich osiągnięć w pomaganiu winowajcom,

by przestępstwo uszło im płazem. Jackson wziął sprawę „Urząd podatkowy kontra Graziano”. Jeśli przybierze ona zły obrót, Antonio spędzi resztę życia w więzieniu federalnym, dając dupy w zamian za papierosy. Ale ze mnie pierdoła! Brytyjczycy mówią „dupa”. Niezła dupa. Brzmi osobliwie uprzejmie, jeśli wypowiedzieć to z angielskim akcentem.

– Do Londynu? – pyta mężczyzna z drugiej strony baru.

Przystojny, choć sponiewierany lotem. Kwadratowa szczeka, szerokie ramiona, jasne, krótko przycięte włosy. Męski typ. Pewnie bankier. Albo kolejny prawnik. Nie, bankier. Skoro podróżuje pierwszą klasą.

– Tak.

– Ja również. Cieszysz się na spotkanie?

Znów się waham. Whisky spowalnia moje reakcje. Kiwam głową, a później obracam się na stołku, żeby znaleźć się pod kątem czterdziestu pięciu stopni do niego.

– To nie jest angielski akcent, prawda?

Ponownie się odwracam, z uprzejmym uśmiechem, który zawiera proste, acz dobitne przesłanie (jeśli facet jest dostatecznie inteligentny): „Spadaj”.

– Szkocki.

Nie grzeszy bystrością.

– Nie jest wyraźny, więc zgaduję, że wyjechałaś w wieku... osiemnastu lat?

Unoszę brwi i odpowiadam wbrew sobie:

– Nieźle. Szesnastu.

– Do Vegas? Z pięknej Szkocji? Masz jaja.

– Trzeba czasu, żeby odpadły. Najpierw pojechałam do Londynu.

– College?

– Tak.

– Powinnaś wozić ze sobą grę salonową w dwadzieścia pytań. Ułatwiłaby

rozmowę i oszczędziła kłopotów.

– Tak – przyznaję, by po chwili zapytać: – A więc kim jestem?

Ponownie wymierzam sobie karę. Dałam się wciągnąć w rozmowę. Muszę być wstawiona.

– Hm... – Udaje, że się zastanawia. – Jesteś... jeżem?

Śmieję się tak głośno, że otyły facet w trumience obok baru burczy coś z dezaprobatą.

– Taak. Mam kolce i jestem zapchlona.

– Nie, nie jesteś jeżem. Przecież podróżujesz pierwszą klasą. Jesteś żoną jakiegoś oligarchy?

Czeka, abym chwyciła przynętę, lecz ja spokojnie kręcę głową.

– Zadałeś dziewięć pytań. Zostało jedenaście.

– Jezu, ty je liczysz?

– Nie wzywaj imienia Pana Boga twego nadaremno. – Dopijam whisky i nalewam sobie następną kolejkę.

Potrzebuje trochę czasu, ale w końcu zgaduje.

– Jakim sposobem zostałam amerykańską prawniczką podróżującą pierwszą klasą, skoro wyjechałam z domu w wieku szesnastu lat?

– Same piątki w szkole wieczorowej. Dyplom prawa King's College w Londynie, tytuł doktora prawa Uniwersytetu Columbia, a później prosto do Nevady, bo zapowiadał się niezły ubaw. Zdrowie!

Stukamy się szklankami. Pijemy.

– Powiedziałaś to tak, jakby chodziło o łatwiznę.

Nie, nie było łatwo. Podczas jednego z semestrów pracowałam w pięciu różnych miejscach.

– Jaka specjalność?

– Prawo spółek.

– Serio? Sądziłem, że zajmujesz się czymś nieco bardziej ekscytującym. –

Przygląda mi się uważnie, mierzy od stóp do głów, choć nie sędzę, aby chciał być niegrzeczny. Myślę, że po prostu jest pijany. Właściwie zaczynam go lubić. Postanawiam, że jeszcze nie oddalę się w pośpiechu.

- Pracuję dla gangsterów.
- Bronisz czy oskarżasz?
- Bronię. Wyciągnęłabym z pudła Ala Capone.

Ładnie się uśmiecha. Przechodzi mi senność. Dolewam coli do whisky. Przelotny flirt stanowi miłą odmianę od filmu grozy wyświetlanego w mojej głowie.

Rozmawiamy dalej. Cola zaczyna działać, budzę się. Pyta, jak wyciągnęłabym Ala Capone z więzienia, a ja zdradzam mu kilka sekretów prawniczego fachu: pomniejszyć wagę czynów oskarżonego, wykorzystać luki prawne, przeszkolić świadków. Film w dalszym ciągu się wyświetla, ale go nie oglądałam.

Dopóki nie poprosi:

- Opowiedz mi o swojej rodzinie.

Niemal natychmiast się zamykam, choć można było zmienić temat rozmowy.

- Co chcesz wiedzieć?
- No, wiesz... prawdę.
- Jestem prawnikiem. Nie zajmuję się prawdą.

– A ja bankierem, więc powinienem wiedzieć, że coś takiego jak prawda nie istnieje. Istnieje jedynie to, w co ludzie uwierzą pod wpływem perswazji. Jeśli zdołam cię przekonać, że udziały gorzelni produkującej whisky wzrosną o pięćset procent, pójdziesz i je kupisz, a wtedy ceny udziałów pójdą w górę. Prawdą jest to, w co wierzysz. – Demonicznie unosi brwi. – W porządku. Ja zacznę. Moje dzieci mieszkają w Islington.

- Nie musisz mi tego mówić.

– Ale chcę. Chcę, żebyś wiedziała. One mieszkają w Islington, a ja w Vegas.

– Jesteś złym ojcem, ale mam to gdzieś.

– A nie powinnaś, jeśli mamy się umówić na randkę. – Popija drinka, łobuzersko spoglądając na mnie znad brzegu szklanki.

Ponownie się śmieję.

– Nie umawiam się z facetami, którzy mają dzieci.

– Dlaczego?

– To zbyt skomplikowane.

Wypija łyk przed udzieleniem odpowiedzi. Kiedy opróżnia szklankę, nonszalancki ton znika.

– Życie to skomplikowana sprawa. Jeśli uważasz, że jest proste, nie żyjesz naprawdę.

– Dobranoc. – Wstaję.

– Zaczekaj. – Kładzie rękę na moim ramieniu, gdy przechodzę obok niego. – Przepraszam. Tracę głowę, kiedy mam ich zobaczyć. Ciągle myślę o tym, jakie przykre będzie pożegnanie.

Siadam na stołku obok niego. Musiał przytyć od czasu, gdy kupił tę koszulę, bo napięła się na brzuchu. Myślę o jego skórze pod bawełną, ciepłej i lepkiej, o meszku jasnych włosów biegnącym od pępka do krocza.

– Jak mają na imię?

– Josh i Alfie. Jestem Daniel.

– A ja Mags. – Ściskam jego dłoń. – Mój brat jest w śpiączce.

### 3. Jody

Skontaktowali się z twoim najbliższym krewnym. Z twoją siostrą, Mary. Zastanawiam się, dlaczego nie zadzwonili do rodziców. Nigdy o nich nie rozmawialiśmy. Podobnie jak o moich. Nie chciałam, żeby cokolwiek rzuciło cień na nasze szczęście. Próbuję sobie wyobrazić, jak ona wygląda. Pewnie jest smagła jak ty. Szczupła. Ma czarne rzęsy, jeszcze dłuższe od twoich. Będzie mówić cicho. Ujmie moją dłoń, spojrzy w oczy i po prostu będzie wiedzieć. Że jestem dla ciebie tą jedyną, jak ty dla mnie. Że niezależnie od tego, co się wydarzy, będę stać u twojego boku. Że zostanę z tobą, gdy będziesz się ponownie uczył chodzić i mówić. We łzach i w rozpaczach, a później w pierwszych przyływach nadziei. Nie obchodzi mnie, czy bardzo się zmienisz ani nawet czy będziesz mnie pamiętać. Nauczę się ciebie kochać od początku.

Serce mi się ściska, gdy wydajesz słaby, gulgoczący odgłos. Jakbyś czytał w moich myślach.

Pochyłam się, żeby ucałować płatek twojego ucha. Moje łzy skapują na kępkę włosów, której nie zgolili, przygotowując cię do operacji. Przysiadają na niej jak perły na sukience, którą miałam na sobie w dzień naszego poznania. Pamiętasz? Czy ta część twojego mózgu jest zdrowa? Może zapomniałeś, ale razem będziemy pamiętać.

Przeprowadziłam się pod koniec wakacji. Praca w kawiarni, którą mi zakleпали, okazała się do kitu. Szef znęcał się nad personelem. Wypłakiwałam się w toalecie podczas przerw na lunch, a później zwyczajnie przestałam chodzić do roboty. Godzinami leżałam w łóżku, nie mogąc jeść ani spać.

Wtedy Tabby opowiedziała mi o Świętym Hieronimie. Sprawdziła wszystko, a później przyjechała i zawiozła mnie tam w niedzielne popołudnie.

Powiedziała mi niewiele: że dom to dawny kościół zaadaptowany na cele świeckie, należący do chrześcijańskiej organizacji charytatywnej, która za

ułamek należności wynajmuje pokoje poturbowanym przez los ludziom – szukającym schronienia, cierpiącym na dolegliwości psychiczne, borykającym się z problemami rodzinnymi lub dzieciom z sierocińca, takim jak ja.

Ujrzałam cię, gdy jakiś samochód stanął na kawałku asfaltu obok trawnika. Szedłeś w kierunku głównej ulicy. Zatrzymałeś się, żeby spojrzeć na dzieci bawiące się na boisku. Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, ale coś bardzo podobnego.

Mieszkaliśmy na tym samym piętrze. Wtedy uznałam to za szczęśliwy zbieg okoliczności. Dzisiaj wiem, że to przeznaczenie. Uśmiechnąłeś się, gdy minęliśmy się na schodach.

Kiedy wchodzisz do kościoła, nie masz pojęcia, jaki jest wysoki. Słup zakurzonego powietrza unosi się w wielkiej, pustej przestrzeni nad ławkami. W środku wydzielono cztery kondygnacje. My mieszkaliśmy na najwyższym piętrze, skąd ponad dachami sklepów i barów z jedzeniem na wynos widać było zielone parki. Każde mieszkanie było inne: z chaotyczną płataniną kątów i pochyłych stropów, gargulcami na balkonie i kolumną przypominającą pień ogromnego drzewa pośrodku salonu. Niektóre piętra przecinały witraże na pół, więc mogłeś mieć twarz archanioła Gabriela, a ludzie mieszkający pod tobą – jego rozpostarte ramiona.

Zawsze miałam bujną wyobraźnię, zatem noc spędzona w dawnym kościele powinna napełnić mnie paralizującym strachem, szczególnie że panowała tam dojmująca cisza w porównaniu z kawalerką, gdzie zawsze słychać było krzyki lub trzaskanie drzwiami. Jednak gdy nadeszła północ, usłyszałam muzykę. Spokojny kobiecy głos śpiewający bluesa. Dźwięki dochodziły z twojego mieszkania. Ukołysały mnie do snu.

Tabby była dobra. Zaglądała do mnie codziennie, żeby sprawdzić, czy się zadomowiłam, czy biorę przepisane leki i wypełniłam wszystkie formularze świadczeń socjalnych, aby mieć co jeść.

W dzień krążyłam po mieszkaniu, układając swoje rzeczy i rysunki i wyglądając na główną ulicę, gdzie były trzy sklepy z używanymi rzeczami, oddające dochód na cele charytatywne. W jednym z nich sprzedawano książki. Kupiłam sobie stertę romansideł i codziennie czytałam jedną

powieść. A nocą kołysała mnie do snu twoja muzyka.

Później do mnie zagadnąłeś.

Pamiętam, było poniedziałkowe popołudnie. Padał ulewny deszcz i moja nowa książka (*Sekretny zawód miłosny strażaka*) nasiąkła w torbie, gdy szłam do domu. Miałam na sobie sukienkę ze sklepu z używaną odzieżą, tę z szarego jedwabiu, z małymi perłowymi koralikami wokół dekoltu. Jej skraj był mokry, bo wystawał za płaszcz przeciwdeszczowy. Brzeg sukienki uderzał o moje nogi, kiedy biegłam do Świętego Hieronima. Ruszyłeś przodem i przytrzymałeś mi drzwi.

– Typowe angielskie babie lato – powiedziałeś z uśmiechem, który sprawił, że w jednym z twoich policzków powstał dołeczek.

Jęknęłam, że zniszczyłam sobie książkę, a ty pokazałeś mi, jak niebieski barwnik torby na zakupy ufarbował ci kawałek chleba. Powiedziałeś mi, jak masz na imię, a ja zdradziłam ci swoje. Abe i Jody. Jody i Abe.

Idąc schodami na górę, zdradziłam ci, że właśnie wprowadziłam się pod dwunastkę, a ty odrzekłeś, że miło mieć nową sąsiadkę, bo mieszkanie stało puste od śmierci ostatniego lokatora. Przeraziłam się. Musiałeś to spostrzec, bo się roześmiałeś.

– Och, nie bój się – odrzekłeś. – Nie umarł w mieszkaniu! Szedł poboczem kompletnie pijany i potracił go samochód.

– Biedak.

– Miał siedemdziesiąt osiem lat. Nieźle jak na zdeklarowanego alkoholika. Chciałbym dożyć takiego wieku.

– Dożyjesz – odpowiedziałam, a później strasznie poczerwieniałam, bo miałam na myśli, że młodo wyglądasz, taki zwinny i pełen życia. Że masz jasnobrażowe oczy i ciągle się uśmiechasz.

– Ładna sukienka – zauważyłeś, kiedy rozpięłam płaszcz. – Wygląda jak deszcz.

Później się pożegnałeś i poszedłeś do swojego mieszkania, a ja stałam przed moim całe wieki, myśląc o tym, jakie to piękne słowa.



**Środa, 9 listopada**

## 4. Mags

Budzę się o czwartej i nie mogę zasnąć, więc wstaję i włączam laptopa, usadowiona w hotelowym fotelu z ekologicznej skóry stojącym przy oknie, z którego rozciąga się widok na Hyde Park. Mimo wczesnej pory na Park Lane jest duży ruch, ale podwójne szyby sprawiają, że w salonie panuje nienaturalna cisza. Nocne niebo odbija światła miasta, więc trudno powiedzieć, czy jest noc, czy dzień.

W Vegas słońce zaszło za pustynią. Żar i kurz rozpląnęłyby się na bezchmurnym niebie. Otworzyłabym pierwszą butelkę piwa, zlizując z palców lodowate strużki potu.

Znajduję kilka maili od rozgniewanych klientów. Odpowiadam typowymi uspokajającymi zapewnieniami, kończąc wiadomością o bracie, żeby poczuli się winni. Jakby byli zdolni do przeżywania innych uczuć prócz chciwości.

Później loguję się na Facebooka: widzę zaproszenie na nową wystawę, gniewne wpisy o ostatniej strzelaninie i oś czasu zapchaną powtarzającymi się bez końca życzeniami: *Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Stu!*, bo zbliża się trzydziestka mojego byłego chłopaka. Nie wiem, dlaczego nadal jesteśmy „przyjaciółmi”. Sypialiśmy ze sobą tylko trzy miesiące, a później z nim zerwałam. Płakał.

Wzdycham i wyłączam komputer.

Policja ma przyjechać o dziesiątej. Zostało sześć godzin. Rezygnuję z włączenia telewizji, bo mogłabym obudzić Daniela, który podobnie jak ja nie zmrużył oka podczas całego dziesięciogodzinnego lotu. Kiedy tak siedzę, gapiąc się na czerwone światła stopu samochodów, zaczynam odczuwać irracjonalne rozdrażnienie, że facet nadal tu jest: rozwalony na moim łóżku, na moich poskręcanych prześcieradłach.

W końcu idę do łazienki.

Widząc odbicie w zaparowanym lustrze, zadaję sobie pytanie, dlaczego w

ogóle jest mną zainteresowany. Moje włosy są proste i matowe, wargi spierzchnięte, opalona skóra ma ziemistą barwę. Utrata apetytu sprawiła, że wyszczuplałam w okolicy brzucha, więc kości biodrowe sterczą, co nadaje mi rachityczny i kruchy wygląd, jakbym miała nie trzydzieści, a dziewięćdziesiąt lat.

Szum wody musiał go obudzić, bo po chwili wchodzi bez pukania.

– Cześć. Jak tam twoja głowa?

– Mógłbyś wyjść? – pytam.

Mruga oczami.

– Przecież wszystko widziałem. Ostatniej nocy. Nie pamiętasz?

– Chcę się umyć – mówię chłodno.

– Przepraszam. – Cofa się do drzwi i zamyka je cicho za sobą.

Kiedy wychodzę z łazienki, jest ubrany. W milczeniu zbieramy swoje rzeczy.

– Dlaczego taka jesteś? – pyta w końcu.

– Jaka?

– Sądziłem, że dobrze się bawiliśmy ostatniej nocy.

– To prawda, ale ostatnia noc się skończyła, a ja muszę porozmawiać z policją o moim umierającym bracie.

– Faktycznie, przykro mi.

Stoję sztywno, gdy próbuje mnie objąć.

– Widzę, że jest ci trudno – mówi, odsuwając się. – Pewnie nie powinniśmy byli... ale cieszę się, że to zrobiliśmy.

– Ja również – odpowiadam nieco bardziej delikatnie. Jestem zdziwiona. Głównie z powodu tego, co mnie dzisiaj czeka, oraz pierwszych oznak kaca.

– Weź mój numer i daj znać, co z Abe'em.

– Oczywiście. – Wsuwam do kieszeni kartonik, który mi podał. Róg paczki prezerwatyw, które zamówił w recepcji razem z butelką jacka

daniels'a. – Powodzenia z Jakiem i...

– Joshem i Alfiem.

– Taak. Mam nadzieję, że twoja żona nie jest taką wredną krową jak ja.

Spogląda na mnie i pytająco unosi brwi, a ja śmieję się wbrew sobie.

– Poważnie. No cóż, mam dobry powód.

Podchodzi i mnie całuje.

– Byłaś wspaniała. Było wspaniale. Chciałbym kiedyś to powtórzyć. – Jego oddech jest kwaśny od gorzały, na skórze widać plamy po długim locie.

– Gdy załatwisz sprawę z bratem.

– Chciałeś powiedzieć: „gdy każę go odłączyć”?

Ma dość odwagi, żeby nie odwrócić oczu. Podnosi dłoń i przesuwa kciukiem po moim policzku, jakby chciał otrzeć łzę, której tam nie ma.

Jak na bankiera wydaje się całkiem przyzwoitym facetem. Z drugiej strony nie jest to takie trudne, bo sama jestem aniołem wśród prawników od spółek. Później zarzuca kurtkę na ramię i sięga po walizkę.

– Żegnaj, Mags. – Odwraca się do drzwi. – Czy to zdrobnienie od Margaret?

Kręcę głową i po chwili wahania odpowiadam:

– Od Mary Magdalene.

Spogląda na mnie pytająco, czekając na wyjaśnienie. Kiedy go nie udzielam, otwiera drzwi.

– Dlaczego żona cię zostawiła? – pytam nagle.

Odwraca się i uśmiecha.

– Trener szermierki Alfiego.

Siedzimy w hotelowej sali śniadaniowej, z której widać zaśmieconą boczną uliczkę. Radiowóz zaparkował dyskretnie za autem z napędem na cztery koła. Jest ich dwoje: rosła blondynka w średnim wieku i szczupły młodzieniec o zapadniętych policzkach, który mógłby być jej synem.

Wygląda, że to ona zadzwoniła, aby mi powiedzieć, co się stało. Pracowałam w domu, przed wyjazdem do biura, odpowiadając na zaległe maile. Pamiętam, że dziwnie się poczułam, siedząc na słonecznym balkonie – w swobodnym stroju i okularach przeciwsłonecznych na nosie, z ustami pełnymi placka jagodowego – i słuchając, jak babka opowiada o śpiączce farmakologicznej i krwotoku wewnątrzczaszkowym.

Teraz mówi mi więcej, z lekkim londyńskim akcentem, a chłopak robi notatki. Zaczyna od logistyki, chronologii, odległości i godzin, które mój brat spędził na stole operacyjnym, a później, powoli i na okrętkę, cofa się do tamtej nocy, jakbym tylko w ten sposób mogła to znieść.

– Jedynym świadkiem wypadku jest Jody Currie, narzeczona pani brata.

– Jesteście pewni, że to wypadek? – pytam mimochodem, ale ze zdumieniem stwierdzam, że młodszy funkcjonariusz podnosi głowę i spogląda na swoją przełożoną.

Ta zwleka z udzieleniem odpowiedzi.

– Nie mamy powodu podejrzewać, że jest inaczej...

Czekam.

Policjantka pije kawę, a ja czekam dalej. Impas.

– Ale? – pytam w końcu.

– Nie ma dowodów wskazujących na popełnienie przestępstwa: żadnych nagrań z kamer monitoringu, żadnych świadków.

– Skąd w takim razie znak zapytania?

Oczekuję, że zacznie wciskać mi kit – jaki znak zapytania? – ale babka, punkt dla niej, tego nie robi.

– Związki międzyludzkie to prywatna sprawa. Jody i pani brat stracili kontakt z rodzicami. Prowadzili samotne życie. Wierzimy Jody, że ich związek był szczęśliwy.

– W przeciwieństwie do morderczego? W rodzaju „zepchnę cię ze schodów”?

Policjantka wzrusza ramionami. Coś w tym stylu.

– Zatem nie będziecie kontynuować śledztwa?

– Jak powiedziałam, nie ma dowodów, że popełniono przestępstwo. Nie ma zatem powodu, aby nie wierzyć jej relacji.

– To znaczy?

– Tamtej nocy panna Currie zarezerwowała stół w restauracji. Mieli zjeść obiad na mieście. Czują, że pani brat jest przygnębiony, i chciała go rozweselić.

– To musi być na nagraniach monitoringu, prawda?

– Jeśli nie podejrzewamy popełnienia przestępstwa, nie marnujemy środków i nie przeglądamy nagrań z publicznych kamer monitoringu. Czy mogę mówić dalej?

Odpowiadam chłodnym skinieniem głowy.

– Około dwudziestej wrócili do Świętego Hieronima, zaadaptowanego na cele świeckie kościoła, w którym oboje mieszkali.

– Nie za wcześnie?

– Panna Currie miała wrażenie, że pani brat jest zmęczony. Cały wieczór był milczący i zaproponował, aby wcześniej wyszli. Oboje mieli mieszkania na trzecim piętrze. Jody zeznała, że gdy dotarli na górę, pani brat oznajmił, że chciałby zejść na parter, aby sprawdzić, czy dobrze zamknął drzwi. W okolicy działa gang młodocianych, więc obawiał się, że ktoś mógłby wtargnąć do środka. Panna Currie weszła do mieszkania pani brata. Kiedy usłyszała hałas, wyszła i ujrzała, że Abe leży na dole klatki schodowej. Sądzi, że mógł skoczyć z powodu depresji wywołanej stresem w pracy.

Kładzie ręce na kolanach i taktownie odwraca oczy, czekając, aż przetworzę obrazy przesuwane przed moimi oczami.

– Ona sądzi? Brat nie zostawił listu?

– Nie.

– Czy członkowie gangu, o którym pani wspomniała, mogli wejść do środka i go napaść?

– Gdyby tak było, panna Currie lub inni lokatorzy z górnego piętra coś by

usłyszeli. Poza tym oprócz obrażeń spowodowanych upadkiem nie znaleźliśmy żadnych śladów przemocy. No i pani brat nie miał przy sobie niczego cennego, bo panna Currie zabrała jego kurtkę do mieszkania.

– Dlaczego? – pytam.

– Dlaczego co?

– Dlaczego zabrała jego kurtkę?

Policjantka się uśmiecha.

– Pani jest prawnikiem, prawda?

– Tak.

– Musi pani być dobra. Weszli z chłodu do ciepłego pomieszczenia, więc mógł ją zdjąć i zostawić dla wygody, kiedy poszedł sprawdzić drzwi.

– Przecież nie zamierzał tego robić. Miał zamiar skoczyć. Czemu w ogóle zdjął kurtkę?

– Podczas policyjnego dochodzenia – odpowiada po chwili funkcjonariuszka – zadajemy pewne pytania, żeby stwierdzić, czy doszło do popełnienia przestępstwa. Inne pytania nie są tak istotne. Sugeruję, żeby pomówiła pani z panną Currie. Jestem pewna, że zdoła przekazać pani jaśniejszy obraz tego, co się wydarzyło tamtej nocy.

Wstają, zostawiając na szklanym stoliku dwa niedopite kubki mdłej hotelowej kawy.

– Jeśli będzie pani mieć jakieś pytania, proszę się z nami skontaktować. – Gdy podaje mi wizytówkę, koniuszki naszych palców się ocierają. Jej palce są nieprzyjemnie miękkie, z paznokciami obgryzionymi do połowy, niemal do skórek. Rzucam okiem na wizytówkę. Amanda Derbyshire. Posterunkowa. Najmniejsza z maluczkich.

– Dzięki – mówię chłodno, ściskając dłoń posterunkowej i oślizgłą łapę jej podwładnego.

– Wiem, że ma pani często do czynienia z przestępcami, panno Mackenzie – mówi Derbyshire, odwracając się do drzwi – ale nie każda tragedia jest przestępstwem. Czy planuje pani odwiedzić dzisiaj brata?

– Tak. Pojadę prosto do niego.

– Mam nadzieję, że lekarze będą mogli przekazać pani dobre wieści.

Posyłam jej kostyczny uśmiech – obie wiemy, że to puste słowa – a ona się odwraca.

Siedząc przy oknie i popijając kawę, obserwuję, jak wracają do radiowozu. Są zbyt głupi, aby zdać sobie sprawę, że kręty hotelowy hol wyprowadził ich pod okno, przez które przed chwilą wyglądali.

Kobieta coś mówi, a chłopak rozdziawia usta, ukazując rząd srebrnych wypełnień. W ręce trzyma ciastko z owocami z hotelowego bufetu. Kiedy wsiada, nie przestając jeść, Derbyshire ostrzega go, żeby nie nakruszył jej w samochodzie.

Aby oczyścić umysł przed spotkaniem, pływałam godzinę w hotelowym basenie i dzięki temu (oraz kacowi) w końcu poczułam głód. Nakładając na talerz starte ziemniaki usmażone z cebulką, czuję ulgę, że policjantka nie jest świadkiem tego niestosownego pokazu łakomstwa. Powinnam być pogrążona w bólu i nie myśleć o jedzeniu, ale zamiast tego biorę keczup i siadam przy stoliku najbliższym telewizora, aby odnaleźć kanał CNN.

Od dwudziestu dwóch lat nie byłam w brytyjskim szpitalu. W Vegas ktoś zaprowadziłby mnie labiryntem korytarzy na oddział intensywnej terapii, wyjaśniając po drodze, w jakim stanie znajduje się mój brat, i przygotowując na to, co zobaczę, ale tutaj sama musiałam odnaleźć drogę i poczekać, aż lekarz skończy obchód, aby usłyszeć opinię na temat stanu Abe'a.

Biedak spadł z wysokości dwunastu metrów. Nie może być dobrze.

Próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądał przed wypadkiem. Zawsze był szczupły. O cienkich kościach i wąskich ramionach. Miał ciało dziecka nawet po przejściu okresu dojrzewania. Zastanawiam się, z czego żyje. A właściwie: z czego żył. I jak mnie odnalazł. Zdjęcie zamieszczone na stronie firmy było kompletnie nierozpoznawalne dla kogoś, kto znał mnie jako dziecko.

Byłam zaszokowana, kiedy dostałam jego kartkę z bożonarodzeniowymi życzeniami. Wysłaną na adres biura – *Dla Mary* – więc musiały upłynąć całe wieki, zanim wylądowała na moim biurku. *Od Abe'a*. Linia komunikacji



równie pewna jak telegram. Nie wiem, czy myślałam, że zbliżymy się do siebie, gdy będziemy starsi, że wybaczymy sobie nawzajem zło, które nam wyrządzono. Pewnie tak, ale teraz jest już za późno. Nie ma za czym tęsknić.

Szpitalne ściany są obwieszane tandetną sztuką. Pozbawionymi smaku kolażami, mdłymi akwarelami i metalem powyginanym na kształt ryb i ptaków. Mijając drzwi z tabliczką „Pokój refleksji”, przez uchylone żaluzje dostrzegam puste plastikowe krzesła ustawione przy stole, na którym stoi drewniany krzyż.

Obok terkocze łóżko. Starsza pani, która na nim leży, jest zwinięta jak poczwarka. Pod przezroczystą, pergaminową skórą pulsują ciemne żyły, jakby coś nowego i pięknego czekało, aby się z niej wyłonić. Żółta cera wskazuje na niewydolność wątroby. Może tak wygląda dzisiaj nasza matka. A może już nie żyje.

Otwieram drzwi z tabliczką „Oddział intensywnej terapii”. Za drzwiami jest mała recepcja, a w niej pielęgniarka, która gapi się uporczywie w ekran komputera, marszcząc czoło. Czuję się winna, bo bez żadnego wysiłku mogłabym zapewnić bratu leczenie ze swojej polisy medycznej. Miałyby wtedy własny pokój.

– Nazywam się Mary Mackenzie. Jest tu mój brat, Abraham.

Otyła pielęgniarka nie odpowiada, jedynie podnosi rękę. Zaczekaj.

Obruszona, odchodzę od kontuaru i spoglądam tępo na ogromny przedstawiający piwonie obraz, który powieszono na ścianie. Krwiste czerwienie i cieliste róże wydają się tu nie na miejscu. Na oddziale cuchnie moczem i środkami dezynfekcyjnymi – wonią placówki brytyjskiej służby zdrowia, z nisko opłacanymi sprzątaczkami, udręczonymi pielęgniarkami i pacjentami gnijącymi we własnych odchodach. Później, w sposób nagły i absurdalny, do oczu napływają mi łzy. Piwonie ulegają zamazaniu, przeradzając się w otwartą ranę.

Mrugam, próbując pozbyć się łez tak dyskretnie, jak to tylko możliwe, i biorę głęboki oddech. Nie płaczę nad Abe’em. Płaczę nad sobą. Nad tym, że jestem w tym gównianym szpitalu, w tym gównianym kraju, z dala od przyjaciół, pracy i ciepłej jesieni w Vegas. Będę musiała tu tkwić, dopóki on nie umrze. Do licha, prawie mam ochotę zadzwonić do Daniela, ale dobre

rżnięcie nie upoważnia do wyplakiwania się na czyimś ramieniu.

– Panno Mackenzie?

Odwracam się, mrugając powiekami, żeby osuszyć oczy.

– Jest u niego narzeczona. Czy mam ją poprosić, żeby wyszła, aby mogła pani pobyć z nim sam na sam?

Z jakiegoś powodu nie chcę, aby ta pielęgniarka wiedziała, że jesteśmy rodziną dysfunkcyjną i nigdy nie poznałam narzeczonej brata.

– Nie – odpowiadam. – Proszę mnie tam po prostu zaprowadzić.

Wahadłowe drzwi się zamykają. Mimo pikania i przenikliwego szumu aparatów ogarnia mnie ciężka, duszna cisza. Przez chwilę nie jestem w stanie zrobić kroku. Napięte do granic wytrzymałości nerwy powstrzymują mnie przed ucieczką. Zamieram bez ruchu, kiedy pielęgniarka drepcze przez salę, by zniknąć za niebieską zasłoną z lewej strony.

W pokoju jest sześć łóżek z zasłonami, ale większość z nich rozsunięto. Pacjenci leżą na plecach, nieruchomi i bladzi, o woskowych twarzach. Rurki, maski i kolorowe markery zasłaniają lub deformują wszystko, co czyniło ich ludźmi. Większość jest stara. Rzadkie białe włosy opadają na czoła pomarszczone jak krepina, a sękaty palce spoczywają na prześcieradłach niczym zrzucona pajęczna skóra.

Fala mdłości przypomina mi, ile wypłam ostatniej nocy. Nie, tutaj nie mogę się źle czuć. Byłoby to najwyższą zniewagą.

Słyszę przyciszone głosy. Chwilę później pielęgniarka ukazuje się zza zasłony, uśmiecha cierpko i wychodzi z pokoju.

Narzeczona Abe'a na mnie czeka.

Moje obcasy stukają na linoleum, plastikowe pierścienie wydają głośny brzęk, gdy odsuwam materiał.

Kobieta – właściwie jeszcze dziewczyna – siedzi na krześle przysuniętym do łóżka. Podnosi głowę, próbując się uśmiechnąć. Jest starsza, niż początkowo sądziłam, dobiega trzydziestki, ale zachowuje się jak dziecko: zwieszona ramiona, rozbiegane, nerwowe oczy, które nie potrafią wytrzymać mojego spojrzenia. Pod względem wyglądu przypomina negatyw mojego

brata: ta sama drobna sylwetka, delikatna twarz o wysokim czole, duże oczy i małe usta przypominające pąk róży. Jednak tam, gdzie Abe jest ciemny, ona wydaje się szokująco biała, niemal jak albinoska, z oczami barwy pomyj.

Przez chwilę czuję się rozczarowana. Pewnie spodziewałam się kogoś takiego jak ja. Kogoś, z kim mogłabym pogadać. Z miejsca wiem, że rozmowa z tą dziewczyną będzie przerywana ciągłym pochlipywaniem. Będę musiała bez końca dodawać jej otuchy, zapewniać, że to nie jej wina, podsuwać filiżanki herbaty i chusteczki.

Podnosi się niepewnie.

– Jestem Jody – mówi, a później dodaje: – Tak mi przykro. – Jej twarz wykrzywia się boleśnie.

Tłumię westchnienie, czekając cierpliwie, aż weźmie się w garść, a później wyciągam rękę.

– Mags. – Zgodnie z moimi przewidywaniami jej uścisk okazuje się słaby. Robi nagły wdech, kiedy ściskam jej dłoń.

W końcu spoglądam w dół, na mojego brata.

Bo założyłam, że opuchnięta, poczerniała masa z ciała i kości, która spoczywa na poduszce, to mój brat.

Czubek jego głowy jest owinięty bandażem, z którego wystają różne przewody. Kolejny bandaż owija nos i policzki, a kołnierz ortopedyczny zasłania dolną część twarzy. Widać jedynie oczy i usta, sine, opuchnięte wargi. Jest nagi od pasa w górę. Jego ciało oplatają rurki i przewody prowadzące do torebek i butelek z jakimiś przezroczystymi płynami.

Oddycham wolno i miarowo, czując na sobie spojrzenie Jody.

W końcu odzyskuję mowę.

– Możesz mi powiedzieć, co się stało?

Zanim odpowie, wchodzi pielęgniarka i zaczyna sprawdzać odczyty na monitorach. Ujmuję Jody delikatnie, acz stanowczo, za łokieć.

– Pogadajmy przy herbacie.

Kupuję napoje z automatu i prowadzę Jody do małego ogrodu, z którego

widać główną ulicę. Brązowa tabliczka na murku pustej fontanny informuje, że jesteśmy w „Ogrodzie upamiętniającym Królową Matkę”.

Jody zdejmuje wieczko swojego kubka z herbatą, a para unosi się krętymi kosmykami w wilgotnym powietrzu. Ogród znajduje się w dole, więc powietrze przenika chłód. Słońce świeci zbyt słabo, by roztopić nocny szron. Żdźbła trawy są sztywne i białe jak sople lodu. Sączę parzącą czarną lurę, którą reklamują jako Americano. Breja jest tak obca Ameryce, że chce mi się płakać.

Spoglądam na nieczynną fontannę i zastanawiam się, jak daleko narzeczona mojego brata dotarła w swoim myśleniu. Czy zdaje sobie sprawę, że Abe umrze? Jeśli nie w najbliższych dniach, to w przyszłości, kiedy trzeba będzie go odłączyć. Z takiego upadku nikt się nie podźwignie.

– To moja wina – bełkocze.

Czekam, aż powie coś więcej. Jej tęczęwki są tak jasne, że wydają się wodą otaczającą źrenice, rozlewającą się w mrocznym ogrodzie.

– Powinnam była zauważyć oznaki. Ciężko pracował. Często nie wracał przed dziewiątą lub dziesiątą wieczór. Praca opiekuna jest bardzo stresująca.

Staram się nie okazać rozczarowania tym, że mój brat utrzymywał się ze sprzątanania gówna i sików, podgrzewania gotowych posiłków w mikrofali, zmieniania pieluchomajtek i dzieciennego przemawiania do stetryczałych, bezmózgich osobników. Sama nie wiem, czego oczekiwałam – że pracuje w reklamie? zajmuje się grafiką komputerową? – pewnie kogoś takiego jak ja. Boże, cóż za narcyzm.

– Nigdy nie miał czasu, żeby zrobić wszystko jak należy. Wiesz, jaki z niego perfekcjonista.

Kiwam głową ze zrozumieniem.

– I jaki jest dobry. Nie potrafił znieść myśli, że mógłby kogoś zostawić, jeśli wiedział, że oprócz niego nikt nie przychodzi w odwiedziny. Zostawał dłużej, aby mieć pewność, że wszystko jest w porządku, i spóźniał się na następną wizytę. Czasami musiał ją odwoływać. Nie zapłaciliby mu za czas przejazdów, a za rok planowaliśmy się pobrać, więc potrzebowaliśmy pieniędzy. Było mu ciężko. Wiedziałam o tym. Ledwie się widywaliśmy. –

Przekręca pierścionek zaręczynowy na palcu.

– To musiało być trudne.

– Tak. Okazywałam zrozumienie, ale nie mogłam się pogodzić z tym, że żyje w ciągłym stresie.

– Opowiedz mi, co się stało tamtej nocy, kiedy spadł – mówię tak delikatnie, jak to możliwe, kładąc dłoń na jej dłoni w geście, który mam nadzieję, dostarczy jej zachęty i otuchy. Jej skóra jest szorstka, spierzchnięta z zimna, paznokcie nierówne i obgryzione. Trzymam rękę, dopóki mogę, a później kładę ją na jej kolanie.

– Chciałam go rozweselić – odpowiada, odwracając wzrok i spoglądając przez ogród na rysujące się w oddali miasto. – Jedna z jego pacjentek została zabrana do domu opieki. Bardzo się tym przejęła. No więc zarezerwowałam stolik w Cosmo, naszej ulubionej restauracji. Podczas posiłku prawie się nie odzywał. Sądziłam, że jest po prostu zmęczony, więc zaproponowałam, żebyśmy zrezygnowali z deseru i wrócili wcześniej do domu. Powinnam była się domyślić. Odgadnąć, że dzieje się coś złego.

– To nie twoja wina.

– Nie powinniśmy byli pić drugiej lampki wina. Zawsze robił się smutny, gdy wypił jednego lub dwa drinki. W drodze powrotnej nie powiedział ani słowa, tylko trzymał moją dłoń. Naprawdę mocno. Weszliśmy do domu i zaczęliśmy wchodzić na górę, do jego mieszkania.

– Nie mieszkaliście razem?

– Zwróciliśmy się do spółdzielni z prośbą o większe lokum, ale pomyśleliśmy, że do czasu, gdy je otrzymamy, zachowamy nasze dotychczasowe mieszkania. Kiedy dotarliśmy na drugie piętro, Abe powiedział, że nie pamięta, czy dobrze zamknął drzwi wejściowe. Czasami się zacinają, a mieliśmy włamania. Kazał mi pójść na górę, więc poszłam. Chciałam włączyć ogrzewanie, zapalić kilka świeczek, żeby mógł się zrelaksować.

Widmowe szare tęczęwki pogrążają się we łzach.

– Gdybym wiedziała, że jest w takim kiepskim stanie... tak bardzo mi p-

przykro. – Jej głos drży. Jeśli zaczniesz szlochać, nie wyciągnę z niej niczego więcej.

– Co się stało później? – mówię stanowczo, jakbym przepytowała zdenerwowanego świadka.

– Otworzyłam drzwi i wyszłam na klatkę, kiedy to usłyszałam...

Tym razem milczę, nie naciskam.

– Usłyszałam potworny hałas... – Ponownie odbiera jej mowę, jakby za chwilę miała zacząć szlochać. – Bardzo głośny. Jakby nie było w nim niczego miękkiego. Jakby Abe był kawałkiem drewna lub czegoś takiego.

Zamykam oczy.

– Wybiegłam na korytarz i...

Ulicą przejeżdża ciężarówka z brezentową plandeką, która zapada się i wydyma na wietrze. Jody czeka, aż ryk silnika ucichnie. Mam wrażenie, jakby w ciągu tych kilkunastu sekund opuściło ją całe życie.

– Tak mi przykro – podejmuje, gdy zgiełk ulicy powraca do normalności.

– To nie twoja wina – odpowiadam.

W końcu lekarz zaszczyca nas swoją obecnością. Jest dwadzieścia po siedemnastej, znajduję się u kresu wytrzymałości, więc każdy ciężki i drżący oddech Jody powoduje, że mam ochotę złapać ją za włosy i roztrzaskać jej głowę o ścianę. W końcu płaczące małżonki, które pojawiają się w sądzie, by zapewnić, że nie wiedziały o występkach męża, tylko udają. Bo pod spodem są bezwzględnymi kobietami interesu robiącymi wszystko, aby urząd podatkowy nie dobrał się do małego majątku ukrytego w rajach podatkowych pod ich nazwiskiem. Ale z Jody jest inaczej. Cały czas trzyma za rękę mojego brata, wpatruje się w jego opuchniętą twarz i muska wargami rurkę wystającą z jego ust. Ten widok, w połączeniu z wonią alkoholu obecnego w środku dezynfekującym, sprawia, że ogarnia mnie kolejna fala mdłości.

Krążę między oknem i łóżkiem Abe'a, starając się nie patrzeć na inne zwłoki i myśląc o tym, jaki sens ma wydawanie pieniędzy na podtrzymywanie tej parodii życia. Przypuszczalnie mój brat, jeśli w ogóle się obudzi, będzie śliniącym się, dzieciinniałym wrakiem. Jody będzie go czule

karmić purée i owsianką, ocierając papkę z zaślinionej brody. Pacjenci cierpiący na alzheimera lub demencję mają przynajmniej tyle przyzwoitości, aby być starzy. W odróżnieniu od nich Abe mógłby wegetować w takim stanie całe dekady.

Doktor Bonville jest bardzo młody, niższy ode mnie, z włosami opadającymi na czoło i arogancją będącą znakiem firmowym brytyjskiego systemu edukacji publicznej. Prowadzi nas do nędznej klitki, w której znajduje się niebieska kanapa tak ciasna, że Jody i ja musimy usiąść bardzo blisko, żeby się na niej zmieścić.

– No cóż – zaczyna, wykrzywiając w uśmiechu zaciśnięte wargi jak ludzie, którzy starają się okazać empatię. – Opuchlizna zmaląła.

Jody spogląda na mnie. Czuję, że ma ochotę ucisnąć moją dłoń, ale nie odrywam wzroku od lekarza, bo wiem, co nadciąga.

– Zdołaliśmy określić stopień uszkodzenia mózgu Abe’a.

Przerywa, szeleszcząc kartkami na kolanach. Nie siada za stołem, ale przyciąga sobie krzesło, aby spocząć naprzeciw nas w bardziej nieformalnej, ludzkiej pozie, co może oznaczać tylko najgorsze.

– Kora mózgowa Abe’a uległa poważnemu uszkodzeniu. Kora mózgowa jest organem odpowiedzialnym za myślenie i działanie. Dlatego obawiam się, że po wybudzeniu ze śpiączki Abe będzie w stanie wegetatywnym.

Kiedy robi pauzę, abyśmy przyswoiły sobie tę nowinę, słyszę karetki przyjeżdżające pod szpital i spod niego odjeżdżające. Syreny stopniowo słabną i milkną w odgłosach ruchu ulicznego.

Luźno utkany materiał, którym obito kanapę, przypomina zwiotczalą skórę, poręcz jest poplamiona wodą. Ciekawe, ile łez tutaj wylano? Mam nadwrażliwe palce, więc wyczuwam mikroskopijne grudki soli pod opuszkami.

– Czy to zaleczy się samo? – pyta Jody. W ciszy jej głos wydaje się tak toporny, że się krzywię.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam.

– Nie – przytakuje doktor Bonville. – Obawiam się, że to niemożliwe.

Jeśli Abe kiedykolwiek odzyska świadomość, co wydaje się bardzo mało prawdopodobne, będzie zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego znałyście.

– On zamrugał – mówi Jody. – Poruszył powiekami. Sama widziałam.

– Niższy poziom mózgowy Abe'a pozostał nienaruszony, więc odruchowe czynności, jak oddychanie, przełykanie i reagowanie na ból, a nawet mruganie powiekami, mogą nadal występować. Abe może nawet...

– Proszę nie używać jego imienia.

Odwraca się i patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Nie chcę, żeby używał pan jego imienia, bo wydaje się panu, że w ten sposób wyda się bardziej współczujący.

Przygląda mi się uważnie.

– Musi pani być bardzo zdenerwowana – mówi cicho. – Dam paniom minutę.

Podnosi się, ale ja robię to szybciej.

– Proszę porozmawiać z nią – mówię, wskazując Jody. – Ja już dość się nasłuchałam. Proszę mnie tylko zawiadomić, kiedy trzeba będzie go odłączyć.

Wychodzę z pokoju i ruszam korytarzem do wyjścia, nie spojrzawszy na drzwi oddziału intensywnej terapii. Mam wrażenie, że upływają całe lata, zanim wychodzę na brudne londyńskie powietrze, które wdycham łapczywie, jakbym piła wodę z alpejskiego strumienia.

Uderza mnie ryk samochodów i ściana obojętnych twarzy pracowników biurowych spieszących do domu. W takich chwilach anonimowość miasta jest prawdziwym błogosławieństwem. Nikt nie wie, że przed chwilą rozstałam się z lekarzem, który próbował mi powiedzieć, czy mój brat będzie żył, czy umrze. Wszyscy mają to gdzieś. Spoglądam w kierunku szpitala, aby się upewnić, że Jody nie wyszła za mną, a później wtapiam się w ludzki strumień zmierzający do stacji metra.

Mam wrażenie, że minął rok, zanim wreszcie docieram do hotelu. Idę popływać, a następnie podejmuję kolejną – nieudaną – próbę dokończenia



książki i odbieram lichą namiastkę sandwicza zamówionego za pośrednictwem obsługi hotelowej. O osiemnastej zaglądam do barku.

W pokoju ciemniej.

Dzwonię do Jacksona pod pretekstem, że chcę pogadać o pracy. W tle słychać gwar panujący w restauracji. Mam ochotę spytać, gdzie jest, ale mogłoby to zabrzmieć jak oskarżenie. Wyobrażam sobie, że są u Ginellego przy Paradise Road, popijają zimne piwo na werandzie i wdychają woń pustyni niesioną przez wiatr. Kłuje mnie serce.

– Poszukam jakiegoś spokojniejszego miejsca – mówi.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiadam, rozpaczliwie tęskniąc za dźwiękami domu. – Prawdę mówiąc, zadzwoniłam, żeby się zameldować. Jak tam Antonio?

– Złożyliśmy propozycję ugody. Prokurator się zastanawia. Powiedziałem mu, że pewnie na to pójdzie.

– Świetnie. Ucałuj go ode mnie.

Jackson wybuchają śmiechem.

– Wykluczone, onanizowałyby się całą noc. – Nagle przestaje się śmiać i pyta: – Co z twoim bratem?

Biorę oddech.

– Nieciekawie. Przypuszczalnie śmierć mózgowa. Spartaczona próba samobójstwa.

Na ekranie ściszonego telewizora w nogach łóżka ukazują się obrazy ze strefy wojennej: płaczące staruszki i dzieci, szare ciała gnijące w przydrożnym rowie i porzucony pluszowy miś.

Jackson mówi, że jest mu przykro. Później, po stosownej pauzie, pyta: – Myślisz... że śmierć nastąpi w sposób... naturalny?

Wiem, o co mu chodzi. Kiedy wrócisz do pracy?

– To całkiem możliwe. Z drugiej strony możemy stanąć przed decyzją odłączenia go od aparatury, choć jeszcze nie czas, by o tym myśleć.

– Oczywiście, oczywiście.

– Chętnie pozwoliłabym zdecydować jego dziewczynie, ale jako najbliższa krewna mam ostatnie słowo.

Zapada cisza. Niemal słyszę, jak Jackson szuka odpowiednich słów.

– Jak długo... no wiesz... zamierzasz czekać?

Tłumię przelotną irytację i podejmuję lekkim tonem:

– To zależy od lekarzy.

– Zostań tyle, ile będzie trzeba, Mags.

– Dzięki. Słuchaj, wracaj do stołu i ciesz się obiadem. Co zamówiliście?

Odchrząkuje nerwowo.

– Faszerowanego homara.

Jęczę z zazdrości.

– Kiedy wrócisz, będzie na ciebie czekać.

– Prześlij mi zdjęcie. Sama drania wybiorę. Możesz wpłacić depozyt.

– Nie omieszkam. Uważaj na siebie, Mags. Całusy.

Kończę połączenie i otwieram barek. Trzy dziny z tonikiem później siedzę na łóżku, a ryczący telewizor wprawia mnie w stan otępienia. Posterunkowa Derbyshire miała rację – nie wszystkie tragedie są przestępstwem, ale jestem prawnikiem, więc mogę jedynie zadawać pytania.

Dlaczego nie sprawdzili nagrań monitoringu?

Dlaczego Abe zdjął kurtkę?

Czy ktoś wszedł do środka, zanim mój brat sprawdził drzwi?

Czemu, u licha, miałby się zabić, skoro miał taką oddaną i kochającą dziewczynę?

A jeśli faktycznie miał taki zamiar, czy dziewczyna nie zasługiwała na pożegnalny list?

Spogląda na sękatę twarz drzew. Drzewa są jak ludzie, wyciągają konary w kierunku samochodu, żeby porwać ją z tylnego siedzenia i rozpląnąć się w ciemności. Ale samochód jedzie zbyt szybko: gałęzie na próżno stukają o szyby, światła reflektorów przesuwają się niestrudzenie naprzód. Odwraca głowę, żeby zobaczyć, jak znikają w oddali. Przez chwilę pnie obmywa czerwona poświata, a później nikną w ciemności.

Kiedy już tam byli. Wie, że las graniczący z drogą kończy się raptownie, a teren staje się płaski i przechodzi w pola. Co jakiś czas na tle krajobrazu ukazuje się dom z oknami zabarwionymi maślaną poświatą. Domu, do którego jadą, nie można zobaczyć z drogi, a jego światła składają się z chłodnych fluorescencyjnych pasów. „Dobrze, że mam cię przy sobie, kochany”.

Czy w tym lesie są wilki? Nie przeraża jej to. Wilk ma proste pragnienia: jeść, spać i bronić swojego terytorium. Łączy się w pary wyłącznie w celu spłodzenia potomstwa i kocha swoje młode tak mocno, że przegryzłby ci gardło, gdybyś chciał je skrzywdzić.

Wilk pewnie by ją pożarł, choć była koścista. Śmierć nastąpiłaby szybko. Wyobraziła sobie, jak młode wilczki sprzecząją się nad jej ciałem, udając warczenie, jak małe pazurki targają jej włosy, a ostre niczym szpilki zęby miażdżą kości jej palców.

Przesuwa wzrok na dziecko siedzące obok niej. Chłopak patrzy przez okno pustym wzrokiem, jak ona, cienie drzew przesuwają się po jego twarzy. Powietrze w aucie jest gęste od dymu papierosów. Kobieta siedząca z przodu opuszcza szybę, żeby wyrzucić niedopałek. Zimny wiatr unosi krawędź jej sukienki i muska uda. Dziewczynka zaczyna dygotać. Chce zrobić siku, ale wie, że nie należy prosić, aby się zatrzymali.

Dorośli rozmawiają o tym, kogo dzisiaj zastaną. Słyszy znajome nazwisko i lekko popuszcza, mocząc majtki. Ponownie spogląda na chłopca. Jego dłonie leżą bezwładnie na kolanach, palcami do góry, jak martwe kraby.

Przed nimi ukazuje się czerwone światło – pionowy pas zachodzącego słońca. Zbliżają się do końca lasu. Są prawie na miejscu.

Szkoda, że nie może wypić drinka. Dzieci w ostatniej szkole mówiły, że

*picie wina jest nielegalne, kiedy człowiek ma tylko siedem lat. Powiedziały nauczycielce, więc musiała udawać, że żartowała. Kilka łyków cydru pozwoliłoby jej opanować narastającą falę paniki, która powoduje, że mimo chłodu pod pachami gromadzą się krople potu.*

*Kiedy docierają na kraniec lasu, jasny skrawek nieba się poszerza. Mężczyzna z przodu krzyczy. Na drodze leży konar. Samochód zwalnia.*

*Rozpina pas i otwiera drzwi.*

*Uderzenie asfaltu sprawia, że jej kości wydają głośnie chrupnięcie. Zaczyna się toczyć i zatrzymuje na skraju łuku, tam gdzie droga oddala się od lasu. Samochód staje z piskiem opon i cofa. Dziewczynka schodzi z nasypu na czworakach, rozcinając skórę o igliwie i szyszki, a później wstaje i zaczyna biec.*

*Wilki obserwują ją z cienia, gdy ucieka w mrok, ciągnąc za sobą rozwiane włosy.*

*Jest dobrą biegaczką. Ma szczupłe, długie nogi, jak antylopa, o której uczyli się na lekcjach przyrody. Robi uniki w lewo i prawo, podążając za naturalnym głosem instynktu tropionej zwierzyny. Światło przygasa, gęstniejący las otacza ją ze wszystkich stron. Miękkie podłoże tłumi odgłos kroków. Znajdzie jakiś krzak, pod który się wczołga, lub wejdzie na drzewo i ukryje się wśród liści.*

*Ogromny biały kształt sprawia, że zwalnia i zaczyna dygotać. W pierwszej chwili myśli, że to anioł, który rozpostarł skrzydła, żeby ją osłonić, ale to tylko sowa. Piękna sowa płomykówka o lśniących, czarnych oczach. Kiedy przelatuje obok niej, czuje powiew chłodnego powietrza na policzku. Biegnie dalej. Ciemności gęstnieją. Czuje klucie w boku. Rozwiązuje się sznurówka. Powinna ją zawiązać, żeby się nie potknąć, ale nie może się zatrzymać. Biegnie dalej.*

*Zewsząd dolatują ją szmery, jakby drzewa szeptały jedno do drugich. Nie boi się. Kolka słabnie, powietrze jest chłodne i czyste, obmywa ją od środka, usuwając wszelki brud. Dostrzega skrawek nieba. Krwawą czerwień zastępuje niebieski aksamit. Widzi gwiazdy. Blask księżycy srebrzy górne liście drzew.*

*Stopa zaplątuje się w rozwiązanej sznurówce. Dziewczynka pada na twarz z głośnym stęknieniem i ciężko ląduje na brzuchu.*

*Leży, próbując złapać oddech, a sosnowe igły kłują ją w uda. Gdyby leżała tak dostatecznie długo, przykryłby ją kobierzec liści. Jej palce zamieniłyby się w korzenie, zagłębiły w czarnej ziemi. Owady zbudowałyby sobie gniazdo w jej włosach i nikt by jej nie odnalazł.*

*Słyszy trzask pękającej gałązki.*

*Jej świadomość ulega wyostrzeniu, słuch staje się nadwrażliwy.*

*Nie słyszy szelestu w zaroślach, szumu skrzydeł. Leśne zwierzęta są wystraszone. Chmury zasłaniają księżyc, srebrna poświata znika.*

*Kolejny trzask. Głośniejszy.*

*Zmówiłaby modlitwę, gdyby mogła poruszyć wargami.*

*Wilk ląduje jej na plecach.*

*Porywa ją w górę i odwraca. Zarys postaci miga w świetle reflektorów. Pokonała niewielką odległość. Jaka była głupia, sądząc, że się uda.*

*Zarzuca ją na ramię jak martwego jelenia.*

*– Błagam – szepcze, ale jej głos tłumi szum i trzask zarośli, kiedy mężczyzna niesie ją przez las w kierunku drogi.*

## 5. Jody

Moja rodzina by cię pokochała. Tata był żołnierzem, lecz nie miał duszy tyrana. Cenił delikatność, bo wiedział, że siła nie kryje się w mięśniach ani w pięściach, ale pochodzi z wnętrza człowieka. Dostrzegłby siłę, która się w tobie kryje.

Mamusia tak go kochała, że nie mogła bez niego żyć. Nie gniewam się na nią z tego powodu. Potrafię ją zrozumieć. Mam podobny stosunek do ciebie – jeśli umrzesz, nie będę chciała dalej żyć.

Twoja siostra jest twarda. Sposób, w jaki mówiła... o tym, co powiedział lekarz. Przykro było tego słuchać. Jakby jej na tobie nie zależało, jakby chciała tylko, żeby to wszystko się skończyło, żeby jak najszybciej mieć cię z głowy. Nie martw się, nie pozwolę jej na to. Nie pozwolę, żeby cię skrzywdzili, Abe. W końcu aby zrobić coś takiego, będą musieli zdobyć specjalny nakaz sądowy. Kiedyś czytałam o takim przypadku w Ameryce. Kobieta przeżyła udar i znajdowała się w stanie śpiączki. Mąż chciał odłączyć urządzenia podtrzymujące życie, ale jej rodzina nie wyraziła zgody. Wreszcie doszli do porozumienia. Trochę mnie to przeraża, bo nie zdążyliśmy się pobrać, ale z drugiej strony mam nadzieję, że uwzględnią wolę ludzi, którzy są ci najbliżsi. Ona cię nie kocha. Nie wyobrażam sobie, aby kogokolwiek kochała. Nie jestem zaskoczona, że jest sama, choć wydaje się naprawdę atrakcyjna.

Jest bardzo podobna do ciebie. Ta sama pociągła twarz i duże ciemne oczy. Te same proste, ciemne włosy. Moglibyście być bliźniakami. Jak to możliwe, że macie takie różne serca?

Kiedy lekarz wychodzi, wracam do twojego mieszkania i patrzę na naszą fotografię, tę z baru na West Endzie. Teraz wstaję i otwieram szafę. Gdy przesuwam palcami po ubraniach, twój zapach wydostaje się na zewnątrz, a ja zamykam oczy i biorę głęboki oddech. Później wyjmuję jeden z twoich rozpinanych swetrów i ubieram go po wzięciu prysznic. Ten kaszmirowy,

miękki jak królicze futro.

Używam twojego szamponu, żeby moje włosy pachniały jak twoje, a potem myję zęby twoją szczoteczką i wycieram się twoim ręcznikiem. W jednej z fałd zwinął się włoszek łonowy. Twój. Moje są jasne.

Ubieram twój T-shirt i sweter, zamykam oczy, jakby twój duch otaczał mnie ze wszystkich stron. Jakby mnie obejmował. Zastanawiam się, czy twoja dusza może opuścić ciało z powodu stanu, w którym się znajdujesz. Czy człowiek musi umrzeć, aby mogło to nastąpić? Nawet jeśli umrzesz, Abe, i tak będziemy razem – obiecuję. Kiedy dwie dusze, takie jak nasze, się spotkają i połączą wielką miłością, nie mogą po prostu zgasnąć. Coś musi pozostać.

Twoje mieszkanie jest znacznie ładniejsze od mojego, nie tylko dlatego, że jest pełne ciebie. Widne i nowoczesne, utrzymane w szarościach i bielach, z drewnianymi meblami, które nazywają „jasnymi”. Z okien rozciąga się widok na trawnik przed domem, na kolorowy plac zabaw dla dzieci. Nawet kuchnia, która we wszystkich mieszkaniach jest taka sama, jakimś sposobem u ciebie wygląda ładniej. Myślę, że to z powodu tego, jak ją „wyposażyłeś”. Szklane słoje z makaronem, srebrny ekspres do kawy i korkociąg, który przypomina damę w sukni. Firmy Alessi. Wiem, że był drogi, bo w sklepie z używanymi rzeczami trzymają takie w zamkniętej gablocie.

To głupie, ale w porze obiadu układam dwa talerze i przygotowuję dwie porcje makaronu, a później rozmawiam z tobą, jakbyś tu był.

– Co słychać w pracy?

*Och, przecież wiesz. Męcząca jak zawsze.*

– Zbyt ciężko pracujesz.

*Oni mnie potrzebują. Pani Evans ulżyło na mój widok. Nie sądzę, aby z kimś rozmawiała od czasu mojej ostatniej wizyty. A jak tobie minął dzień?*

– Teraz jest lepiej.

Zamykam oczy i wyciągam rękę, wyobrażając sobie, że ujmuję twoją dłoń. Niemal czuję delikatny dotyk twoich ciepłych palców. Nagle stół zaczyna dygotać. Podskakuję tak gwałtownie, że widelec uderza o talerz, a

kropla keczupu ląduje na rękawie twojego swetra.

Okazuje się, że mój telefon zawibrował, zanim odezwał się dzwonek.

Przez chwilę myślę, że jesteś po drugiej stronie. Ale nie, to twoja siostra.

– Cześć – witam się ostrożnie, bo może znowu będzie nieprzyjemna.

– Słuchaj, przepraszam cię za wczoraj. Po prostu nienawidzę protekcjonalnego tonu tych ludzi.

– Rozumiem – mruczę, choć jestem odmiennego zdania. Lekarze zawsze sprawiali, że czułam się bezpieczna.

– Wszystko sobie przemyślałam. Wygląda, że zabawię tu dłużej, niż planowałam, a głupio jest mieszkać w pokoju hotelowym, szczególnie tak daleko od szpitala. Wolałabym mieć więcej miejsca, móc dla siebie gotować, więc pomyślałam, że przeniosę się do mieszkania Abe'a. Policja nie zwróciła jeszcze jego rzeczy, ale może masz klucz, którego mogłabym używać.

Wstrzymuję oddech. Czy ona chce się tu wprowadzić?

– Chyba nie wchodzę ci w paradę? Słuchaj, będziesz mogła w każdej chwili przyjść i zabrać swoje rzeczy.

– Nie... nie o to chodzi – mamroczę. – Widzisz... – W głowie mam pustkę, ale w końcu coś wymyślłam. – Nie jestem pewna, czy spółdzielnia wyrazi zgodę.

– W porządku. Rozumiem. Możesz mi podać ich numer telefonu? Porozmawiam z nimi.

– Hm... zaczekaj minutkę.

Kładę telefon na stole i przez chwilę na niego patrzę, czując, jak cierpnie mi skóra. Mogłabym powiedzieć, że zgubiłam numer, ale z łatwością by go znalazła. Albo mogłabym podać zły, a później przestać odpowiadać na jej telefony, lecz wtedy po prostu by przyjechała i odnalazła mnie w szpitalu.

W końcu wstaję i biegnę do mojego mieszkania, w samych skarpetach, żeby nie mogła usłyszeć moich kroków. Kiedy mijam lokal numer jedenaście, czuję, że judasz mnie obserwuje, czarny jak oko rekina. Czasami mam wrażenie, że ktoś ukrywa się za drzwiami. Odpędzam tę myśl, wchodzę



do mieszkania i odnajduję numer zapisany na starym liście, a potem pędzę z powrotem.

Ten Judasz podsuwa mi pewien pomysł, więc po odczytaniu numeru mówię:

– Nie wiem, czy wiesz, że właścicielem domu jest organizacja dobroczynna. Oprócz dzieci z domu dziecka, takich jak ja, mieszkają tu ludzie w znacznie gorszym stanie. Z problemami psychicznymi. Nauczyłam się być ostrożna, ale ty... – urywam znacząco.

Zastanawia się chwilę, więc może zmieniła zdanie.

Później oświadcza, że zadzwoni do spółdzielni i jeśli wyrażą zgodę, przyjdzie jutro z samego rana po klucze. Na koniec rzuca mimochodem, że na dniach pojawi się policja, aby zwrócić rzeczy Abe'a, więc jeśli przypomnę sobie coś, o czym im nie powiedziałam, będę mogła to zrobić.

Odkładam telefon i spoglądam na twój nietknięty talerz. Serce wali mi jak szalone.

O co jej chodzi?

**Czwartek, 10 listopada**

## 6. Mags

Kiedy dzwonię pod numer, który podała mi Jody, odbiera młody mężczyzna mówiący z ciężkim arabskim akcentem. Wyjaśniam mu sytuację, a on przełącza mnie do dyrektora, Petera Selby'ego. Po dłuższej chwili słuchawkę podnosi starszy jegomość o nieco teatralnej dykcji typowej dla przedstawicieli wyższych sfer.

Tłumaczę mu, co się stało, a on wzdycha i wyraża współczucie drżącym głosem. Po raz pierwszy frazes brzmi autentycznie.

– Czy znał pan Abe'a?

– Oczywiście – odpowiada. – Przeprowadzamy rozmowę ze wszystkimi potencjalnymi najemcami, aby sprawdzić, czy spełniają warunki niezbędne do tego, byśmy mogli im pomóc.

Jestem zaintrygowana.

– Abe je spełnił? Spełnił „niezbędne warunki”, jak pan powiedział?

Waha się.

– No cóż, najwyraźniej tak. – Słyszę zaskoczenie w jego głosie. Przecież jestem siostrą Abe'a. Jak mogę tego nie wiedzieć?

– Abe i ja nie rozmawialiśmy od lat. Mieliśmy trudne dzieciństwo. To wytworzyło... pewien dystans między nami. – Nienawidzę rozmów o swojej rodzinie.

– Fundacja Świętego Hieronima oferuje pomoc w formie dotowania czynszu osobom z zagrożonych grup lub mniejszości. Ludziom, których zawiodło społeczeństwo i którzy potrzebują pomocnej dłoni, aby ponownie stanąć na nogi. – Odnoszę wrażenie, że wielokrotnie wygłosił tę kwestię. Jeśli są instytucją dobroczynną, Abe musiał aplikować rok w rok.

Uznaję, że „zagrożoną grupą”, o której wspomniał, są ludzie z problemami psychicznymi.

Dopiero teraz mi świta, że po opuszczeniu domu Abe mógł przeżyć załamanie nerwowe. Ja zdołałam go uniknąć, stosując własną terapię alkoholowo-narkotykową, ale ledwie mi się udało.

Może właśnie wtedy zaczął mieć problemy z depresją.

– Musieliście mieć dostęp do jego dokumentacji medycznej, aby sprawdzić, czy się kwalifikuje, prawda? Czy cierpiał na kliniczną depresję?

Zapada dłuższa chwila ciszy, podczas której słyszę skrzypienie, jakby pan Selby siedział na skórzanym fotelu. Chyba że jest to skrzypienie jego kości. W końcu odpowiada:

– Abe wprowadził się do Świętego Hieronima dziesięć lat temu, kiedy był bardzo młody. Skontaktowaliśmy go z grupą wsparcia, załatwiliśmy szkolenie, które pozwoliło mu rozpocząć karierę zawodową... karierę, do której wydawał się stworzony. Był uroczym młodym człowiekiem. Będzie nam go brakować.

Nie jest to odpowiedź na moje pytanie, ale rozumiem, że nie dowiem się niczego więcej.

Przypominam sobie słowa Jody.

– Czy oni są niebezpieczni? – pytam.

– Kogo pani ma na myśli?

– Lokatorów Świętego Hieronima. O jakie problemy psychiczne chodzi?

Ponownie waha się przed udzieleniem odpowiedzi. Słyszę świszczący oddech starczych płuc.

– Panno Mackenzie, jak pani zapewne wie, nie mogę ujawnić poufnych informacji na temat naszych najemców. Proszę zadowolić się tym, że w ciągu dwudziestu siedmiu lat funkcjonowania fundacji nie zdarzyło się, aby jakikolwiek lokator zaatakował innego lub wyrządził mu krzywdę.

– Kiedyś zawsze musi być ten pierwszy raz.

Wzdycha z irytacją.

– Nie wiem, co pani wyczytała w brukowej prasie o ludziach cierpiących na problemy psychiczne, ale ci biedacy stanowią zagrożenie raczej dla siebie

niż dla innych. Jeśli pani zechce, nie mamy nic przeciwko, aby zatrzymała się pani w domu Świętego Hieronima, gdy brat będzie powracać do zdrowia.

Ignoruję sugestię, że jestem kompletną idiotką, która sądzi, iż wszyscy chorzy psychicznie to maniacy biegający z nożem, i oznajmiam, że chciałabym się wprowadzić od razu. Odpowiada, że administrator zadzwoni i poinformuje mnie o obowiązujących zasadach. Kończę połączenie pełna obaw, że nieźle się wpakowałam.

Godzinę później wymeldowuję się z hotelu. Ze stukiem zwlekam walizkę po schodach, a odźwierny wzywa mi taksówkę. Ubrałam się niezbyt elegancko – džinsy, tenisówki Converse i czarny płaszcz przeciwdeszczowy, który wygląda niepozornie, choć kosztował sześćset dolarów. Jednakże w miarę jak zbliżałam się do celu podróży, coraz bardziej docierało do mnie, że to był dobry wybór.

Edgware Road i Regent's Park są jasno oświetlone i kipią życiem, lecz gdy mijamy dzielnice Camden i Chalk Farm, budynki i ludzie przybierają nędzny wygląd. Kentish Town jest ostatnim przed wkroczeniem na ziemię niczyją bastionem cywilizacji, ze sklepami zabitymi deskami i zniszczonymi domami komunalnymi.

Nawet powietrze wydaje się tu brudniejsze. Wieżowce wznoszą się na tle brunatnego nieba, ich ściany pokrywa grzyb przypominający trąd, a na chodniku wirują plastikowe torby.

Dzwonek telefonu uwalnia mnie od słuchania monologu taksówkarza, który postanowił opowiedzieć mi o córce od niedawna mieszkającej w Nowej Zelandii.

Okazuje się, że to administrator Świętego Hieronima, José Ribeiro. Proponuje, że przygotuje mi zapasowe klucze, ale odpowiadam, że mogę używać kluczy Abe'a, więc przechodzi do zasad obowiązujących w budynku. Pierwsza część jest stosunkowo prosta – żadnych zwierząt, papierosów i podnajmowania lokalu – lecz uliczny hałas i jego ciężki południowoafrykański akcent sprawiają, że musi upłynąć kilka bolesnych minut, zanim zrozumiem, kiedy należy wynosić kubeł ze śmieciami, jak zaprogramować ciepłą wodę oraz na jaki rachunek wpłacać czynsz. Chce powiedzieć więcej, ale mam dość. Oznajmiam, że tracę sygnał, i kończę

połączenie.

Jesteśmy już blisko. Według mojej pineski budynek kościoła Świętego Hieronima znajduje się na rogu głównej ulicy, którą jedziemy. W pobliżu jest kilka sklepów i kawiarni, obowiązkowy sklep z używanymi rzeczami, kafejka internetowa i punkt, w którym obiecują zdjęcie blokady z każdej komórki. Odręczne informacje widniejące w brudnych oknach głoszą: „Najlepszy kebab w Londynie!” lub „Zakaz wstępu dla grup dzieci”. Wystawione na zewnątrz skrzynki z owocami i warzywami są brudne od spalin, ale grecka piekarnia wygląda całkiem obiecująco, jest też sklep sieci Food and Wine zaspokajający podstawowe potrzeby.

Włeczemy się za autobusem z reklamą lokalnego kościoła baptystów. Lśniące twarze kontrastują z brudem otoczenia, ich zdrowy, szczęśliwy wygląd jest tu nie na miejscu.

Przechodnie wydają się sterani wiekiem lub chorobą – powłóczą nogami, wloką wózki na kółkach, z których wysypują się niebieskie plastikowe torby, tak popularne w zabiedzonych okolicznych sklepach. Białych twarzy jest niewiele, za to burek więcej niż w wiadomościach.

Taksówkarz przestaje opowiadać o córce i niecierpliwie stuka w kierownicę, gdy czekamy, aż staruszka przejdzie na drugą stronę. Wydaje się spięty jak ja. Może powinnam była zostać w hotelu. Tutaj będę się rzucać w oczy. A może uznają to za element nowego trendu – jak wtedy, gdy znane postacie mediów zaczynają się przeprowadzać w jakąś okolicę, podnosząc jej status.

Skrećamy w Gordon Terrace, ulicę pełną niskich domów przypominających betonowe bunkry, z zachwaszczonymi ogródkami. Obok taksówki człapie nastolatek z umięśnionym psem, który wygląda jak zaciśnięta pięść.

Na końcu szeregowców rozciąga się skrawek nierównej jałowej ziemi. I wtedy dostrzegam kościół Świętego Hieronima. Choć drewniane wrota zostały zastąpione nieciekawymi metalowymi drzwiami, ogarnia mnie irracjonalna panika na myśl, że mam przez nie przejść. Nie byłam w kościele blisko dwadzieścia lat.

Taksówka zatrzymuje się przy krawężniku, pod mrugającą latarnią.

– Dwadzieścia trzy pięćdziesiąt, kochaniutka.

Wręczam mu nieznane banknoty i wysiadam, nie czekając na resztę. Przez nierówną trawę wiedzie betonowa ścieżka, która wydaje się pełnić funkcję psiej toalety. Z obu stron biegnie druciane ogrodzenie. Z jednej napierają budynki. Po lewej, w cieniu wzniesienia, jest plac zabaw dla dzieci. Jego jedyny użytkownik, ośmio-lub dziewięcioletni chłopiec, spogląda na mnie z huśtawki.

Jest znacznie chłodniej niż w centrum miasta, a niosący piasek wiatr szarpie moim płaszczem, kiedy toczę walizkę. Posuwanie się naprzód utrudniają poprzeczne fałdy przypominające progi zwalniające lub zagrzebane korzenie drzew. Na wierzchołku każdego wybrzuszenia asfalt pękł niczym góra ciasta, odsłaniając lśniące czarne kryształki. Rozdarta, sącząca się ziemia.

Chwilę później wkraczam w wyszczerbiony cień kościoła.

Budowlę wzniesiono z szarej cegły, w surowym stylu wiktoriańskim, który ma onieśmielać, powodować, że człowiek czuje się mały.

Prostuję się i spoglądam na dwa puste łuki u podstawy iglicy, ale te patrzą obojętnie na sklepy i bloki.

Środkową część budowli otaczają skrzydła z małymi arkadowymi oknami, które na niższych piętrach zabezpiecza krata. Z zewnątrz witraż nad drzwiami przypomina kawałek szarego szkła, ale kiedy się zbliżam – terkocząc walizką, która głośno obwieszcza moje przybycie – czuję na sobie oczy upiornych postaci.

Gdy poczucie, że jestem obserwowana, ulega nagłemu nasileniu, zatrzymuję się z bijącym sercem.

Raptownie odwracam głowę, ale robię to za późno, więc dostrzegam jedynie poruszenie firanki.

Ktoś obserwuje mnie z okna na parterze lewego skrzydła.

Stoję chwilę bez ruchu, aby sprawdzić, czy nieznajomy wróci, lecz firanka się nie porusza, a w ciemnym pokoju nie widać żywego ducha.

Podskakuję, czując wibrowanie komórki. Posterunkowa Derbyshire pyta,

czy mogę wpaść na komendę po rzeczy Abe'a. Sugeruję, że należałoby przekazać je Jody, ale najwyraźniej muszę pokwitować ich odbiór jako najbliższa krewna.

Kiedy kończę rozmowę, zaczyna padać lodowata brytyjska mżawka, wdzierając się pod kołnierz płaszcza, mroząc ręce i nasączając moje płócienne buty. Podnoszę walizkę i przebiegam resztę drogi do drzwi.

Ekran domofonu świeci na zielono. Obok przycisku z numerem dziesięć widnieje karteczka z imieniem Abe'a i moim nazwiskiem zapisanymi długopisem. Dzwonię pod dwunastkę, do mieszkania Currie, i po chwili drzwi się otwierają. Są ciężkie i wydają głośny skrzyp, który niesie się echem w otwartej przestrzeni, gdy mijam obskurny hol ze stołem, na którym leży sterta listów. Wydają się ulotkami i spisami potraw serwowanych w okolicznych barach.

Przechodzę przez wewnętrzne drzwi i pogrążam się w ciemności.

Świecący przycisk na wysokości oczu musi być włącznikiem światła. Kiedy go naciskam, zapala się ścienna lampa.

Stoję na dole klatki schodowej.

Chociaż światło jest zbyt słabe, by sięgnąć pierwszego podestu schodów, czuję ciężar powietrza nad głową. Zatykam uszy, tłumiąc wysoki, piskliwy szum.

Oddycham głęboko, niemal oczekując, że ujrzę rozchodzące się pęknięcie betonowej posadzki lub inny znak tragedii, która się tu wydarzyła. Jednak nie dostrzegam niczego. Ani jednej plamy krwi na poręczach. W powietrzu czuć kurz i słabą woń kadzidła.

Stawiam walizkę przy drzwiach i ruszam przed siebie, słysząc skrzypienie gumowych podeszew zwielokrotnione przez echo. Stoję na środku klatki schodowej, z pogrążonymi w półmroku schodami biegnącymi po obu stronach. W cieniu pod nimi dostrzegam drzwi: przypuszczalnie do mieszkań o numerach jeden, dwa i trzy. Jestem pewna, że obserwowano mnie z mieszkania numer jeden, więc kusi mnie, by do nich zapukać. Sama nie wiem dlaczego, bo jego lokator jest pewnie po prostu wścibski lub samotny albo czeka na gościa.



Moje nerwy są napięte jak postronki. Stoję w miejscu, gdzie upadł mój brat, co spowodowało jego śmierć. Potrafię stawić czoło temu faktowi, nawet jeśli Jody nie jest w stanie tego zrobić.

Pomieszczenie przybiera szkarłatną barwę.

Gdybym nie widziała przed sobą własnego cienia, pomyślałabym, że z moimi oczami dzieje się coś złego. Później przypominam sobie o witrażowym oknie.

Odwracam się.

Dawno niewidziany Jezus.

Słońce musiało wyjść zza chmur, bo Jego karmazynowa szata oblewa wszystko intensywną czerwonałą poświatą.

Później słońce znika i ponownie pogrążam się w mroku. Gaśnie i lampa. Musi mieć wyłącznik czasowy.

Wzdrygam się, gdy na górze otwierają się drzwi. Niemal oczekuję, że z mieszkania wypadnie ciało i runie w ciemną otchłań. Na jednym z wyższych pięter zapala się ścienna lampa, odsłaniając pełną wysokość budynku.

Biorę gwałtowny oddech. Wysoko. Bardzo wysoko, żeby spaść. Musiał lecieć długie sekundy.

Słyszę ciche kroki na schodach. W pierwszej chwili myślę, że Jody wyszła na moje spotkanie, ale schodząca kobieta nosi burkę. To młoda dziewczyna w luźnej czarnej abai<sup>3</sup>, mużłmanka, ale jej twarz jest blada, jakby pochodziła z Europy Wschodniej.

Zachowywałam się zbyt cicho. Przepraszam, gdy dziewczyna schodzi na parter i nieruchomieje. Uśmiecha się lekko, a później pochyla głowę i przechodzi obok mnie, kierując się do holu.

Jody czeka na trzecim piętrze. Nadal jest w koszuli nocnej, z głową zasłoniętą jasnorożowym kapturem. Kiedy wchodzę na podest zasapana wspinaczką, muszę chwycić się poręczy, czując zawroty głowy wywołane przepastną, ciemną czeluścią. Teraz, gdy światło pali się tylko na trzecim piętrze, klatka schodowa przypomina otchłań bez dna. Poręcz znajduje się na wysokości talii. Czy Abe mógł się oprzeć, żeby złapać oddech, i stracił

równowagę?

– Stąd spadł? – pytam.

– Tak. Stąd skoczył.

Podchodzę do balustrady i zaciskam palce na cienkiej metalowej poręczy. Gdy się na niej opieram, czuję, że moje nogi się uginają. Krucha bariera pomiędzy życiem i śmiercią. Pochyliłam się zbyt mocno – pięty unoszą się z podłogi – więc ciągnę w drugą stronę.

– Nikt go nie widział?

– Nie.

– Gdzie wtedy byłaś?

– W jego mieszkaniu. – Wskazuje drzwi za moimi plecami oznaczone metalową dziesiątką. Anonimowe jak wszystkie inne, które mijałam po drodze, pomalowane szaroniebieską farbą pewnie po to, żeby nie drażniły nerwowych lokatorów.

– Wyszłaś i... – przerywam, aby wziąć oddech, jakby na trzecim piętrze powietrze było rzadsze. – I go ujrzałaś? Leżącego w dole, na betonowej posadzce?

– Tak – przytakuje, a jej głos niesie się echem w słupie ciemności. – Zobaczyłam i zbiegłam do niego. Trzymałam go za rękę, dopóki nie przyjechała karetka. Nie był sam.

– Powiedziałaś, że krzyczałaś. Czy ktoś cię usłyszał i wyszedł?

– Nie wiem. Przepraszam. Patrzyłam na Abe'a.

Chcę, żeby powiedziała mi coś innego – że ktoś widział, jak mój brat przełazi przez poręcz lub traci równowagę – ale to niemożliwe. Może mi powiedzieć tylko to, co wie.

– Chcesz, żebym pokazała ci mieszkanie? – pyta.

– Jestem pewna, że sobie poradzę.

Cichy dźwięk przekręcanego klucza niesie się echem w klatce schodowej: przeróbka nie zniszczyła do końca akustyki dawnego kościoła. Jeśli nie

ponieśli dodatkowych nakładów, aby wyciszyć mieszkania, słycać w nich kaźdą piosenkę w telewizji, kaźde głośniejsze słowo lub intymne pomruki sąsiadów. Dobrze, że zabrałam z samolotu zatyczki do uszu.

Drzwi się otwierają i wchodzę do ciemnego holu. W mroku błyskają obrazki. Zaciskam palce na rączce walizki, bo na końcu korytarza ktoś stoi.

Kiedy włączam światło, okazuje się, że to granatowa parka wisząca na haku. Stawiam walizkę przy ścianie i podchodzę, by przesunąć dłonią po lśniącey tkaninie. Jej futrzany kaptur i jasnopomarańczowa podszewka przypominają kurtki, które nosili chłopcy w naszej szkole. Nam nie pozwalali takich ubierać – były zbyt pospolite. Jednak kurtka wygląda na ciepłą, a ja nie doceniłam tego, jak zimny potrafi być brytyjski listopad.

Słyszę hałas za plecami i się odwracam. W drzwiach ukazuje się postać Jody. Czuję ukłucie gniewu. Co znowu?

– Prze... przepraszam. Chcesz filiżankę herbaty?

– Jestem pewna, że Abe ma czajnik.

– Tak, ale pije tylko ziołową.

– Poradzę sobie – mówię, zmuszając się do uśmiechu. – Dzięki. Jeśli będę czegoś potrzebować, wiem, gdzie cię znaleźć.

– Rozumiem, w takim razie... do widzenia. Mam nadzieję, że zostawiłam wystarczający porządek. Spałam tu kilka razy na próbę... no wiesz... żeby się zbliżyć do...

– Jasne – odpowiadam. – Dziękuję.

Kiedy Jody zamyka drzwi, czuję się winna. To jej dom, znacznie bardziej, niż kiedykolwiek zdoła stać się moim. Ładnie się zachowała, oddając mi własne klucze. Mimo to wracam do drzwi i sprawdzam, czy są dobrze zamknięte. Nie chcę, żeby ponownie się zakradła, szczególnie że nie jestem pewna, jak będę się czuć w królestwie Abe'a.

Podchodzę do wewnętrznych drzwi.

Całe mieszkanie jest wielkości mojej głównej sypialni. Na końcu znajduje się ciasny aneks kuchenny z blatem oddzielającym go od salonu. Sfatygowana skórzana kanapa stoi przed małym telewizorem, z szarą narzutą

złożoną na oparciu. Obok telewizora jest elektryczny kominek: jeden z tych, w których przez szklane okienko widać poruszający się kawałek materiału imitujący płomień. Z boku widnieje nalepka z datą ostatniego przeglądu, więc musi stanowić element standardowego wyposażenia.

Sosnowy stół stoi przy oknie z fragmentem witraża – tego samego, który widziałam w holu na parterze. Przez okno widać wyboistą ścieżkę i ulicę, przy której wysiadłam z taksówki.

Chociaż wszystkie ściany są białe, kolorowe szkło nadaje wewnątrz przygnębiającą atmosferę. Przez górną część tułowia jakiegoś brodatego apostoła w niebieskiej szacie widzę plac zabaw dla dzieci. Staffordshire bull terrier załatwia się na gumowej macie otaczającej karuzelę, ale nie widzę jego właściciela. Stukam w szybę, lecz nikt nie zwraca na to uwagi.

Na oparciu jednego ze stołowych krzeseł wisi ciemnoszara dwurzędowa kurtka o marynarskim kroju. Sprawdzam kieszenie w poszukiwaniu zapasowych kluczy, abym mogła zwrócić klucze Jody, ale ich nie znajduję. Jest tylko portfel, telefon Abe'a – rozładowany – i parę drobnych. Oprócz tego zbieranina kart, dwa banknoty pięcioletowe i paragon za nową parę dżinsów marki Gap. Znajduję również kartę Oyster oraz identyfikator z fotografią z jego miejsca pracy.

Przez kilka minut przyglądam się zdjęciu, aby mózg przyzwyczał się do nowego wyglądu mojego młodszego brata, tu starszego o dziesięć lat. Jego oczy są nadal duże jak u dzieciaka, ciemnobrązowe jak moje. Spoglądają niemal uwodzicielsko spod grzywki opadającej na czoło. Pierwszy raz dostrzegam, że w jego smukłej postaci jest coś atrakcyjnego. Dotychczas uważałam, że wygląda jak mięczak, ale teraz odkrywam w nim coś z Bowiego – zgrabna szyja, ramiona ostro zarysowane pod skórzaną kurtką i wysokie kości policzkowe. Kształtne i pełne usta. Zastanawiam się, czy kilkudniowy zarost nie miał na celu podkreślenia jego męskości.

Wsuwam identyfikator do portfela z kartami. Taksówkarz powiedział, że w tej okolicy trudno złapać taksówkę, więc powinnam podróżować autobusem.

Kolejne drzwi wiodą do załatwiającej stęchlizną łazienki, z plamami pleśni na fugach i lustrem o krawędziach nadgryzionych przez wilgoć. Męskie

przybory i środki toaletowe stoją schludnie na szklanej półce obok mleczka nawilżającego. Ani śladu lekarstw na depresję.

Ostatnie drzwi wychodzą z aneksu kuchennego.

Staję na progu, przyglądając się maleńkiej sypialni: podwójnemu łóżku dosuniętemu do okna, aby można było otworzyć szafy z drugiej strony. Plama wilgoci na ścianie w kącie przypomina przekwitłą różę. Kilka odprysków tynku leży jak łupież na ciemnoniebieskim dywanie.

Ogarnia mnie poczucie winy. Mieszkanie Abe'a jest norą. Mogłam wpłacić mu depozyt na własne mieszkanie lub przekazać pieniądze, żeby mógł wynająć coś lepszego. Łóżko jest posłane, ale wiem, że będę musiała zmienić pościel – choćby po to, by zmyć z poduszki łzy Jody.

W kącie jest duże lustro i kolejne przybory toaletowe na półce. Uśmiecham się. Mój brat jest próżny.

Przechodzę obok łóżka i otwieram szafę. Wąskie, obcisłe spodnie i ciemne bawełniane koszule, wszystkie powieszono w tę samą stronę, wszystkie idealnie dobrane do jego długiej, szczupłej sylwetki. Wieszak pełen gustownych krawatów w odcieniach granatu i fioletu, kilka kaszmirowych rozpinanych swetrów, a na dolnej półce półbuty, botki z przyszwą oraz para brudnych białych converse'ów, takich jak te, które mam na nogach.

Z boku zmieścił się jedynie stolik nocny. Na stoliku stoi zdjęcie mojego brata i Jody oraz szklanka ze świeżymi kwiatami – a właściwie pojedynczą łądygą z gęstym białym kwieciem – więc zgaduję, że zostały raczej zerwane niż kupione w kwiaciarni. Pewnie Jody je przyniosła. Jak długą drogę musiała przebyć z tego ponurego miejsca, aby znaleźć dzikie kwiaty? Jej poświęcenie ponownie mnie wzrusza.

Dostrzegam ładowarkę do telefonu i szmatławy kryminał podobny do tego, który sama czytam. Róg kartki przy końcu jest zagięty do dołu. Robię tak samo.

Uderza mnie to, co nas łączy: upodobanie do książek, ubrań, barwy i tekstury naszych domów. Jediną zagadką jest Jody. Po prostu nie mogę zrozumieć, co on widział w tej płaksie. Czy zawsze taka była? Może złamało

ją cierpienie? Ustalenie tego jest jednym z moich zadań. Muszę ją lepiej poznać, jeśli mam zrozumieć Abe'a. Dowiedzieć się, czy pragnę... tak, czy pragnę się do niego zbliżyć. Zanim nadejdzie koniec.

Otwieram szufladę stolika nocnego i cofam się o krok. A później wybucham śmiechem.

Brawo, Jody! Kto by pomyślał?

Kajdanki. Dopiero teraz dostrzegam ślady otarć na szczeblach wezgłowia.

Faktycznie będę musiała wyprać pościel, ale najpierw herbatka ziołowa. Trzy woreczki zielonej herbaty dostarczą mi lekkiego zastrzyku kofeiny.

Na pierwszy rzut oka lśniąca biała kuchenka wygląda obiecująco, ale kiedy do niej podchodzę, okazuje się, że blaty są z laminatu, a drzwiczki z płyty pilśniowej, o krawędziach przeżartych wilgocią. Mimo tanich materiałów Abe się postarał, więc wszystko jest nieskazitelnie czyste. W szafkach znajduję kilka słoików oliwek i suszonych na słońcu pomidorów. Różne rodzaje oleju w wysokich, eleganckich butelkach. Pesto i karczochy, i bagietki, nadal przydatne do spożycia. Dociera do mnie, że kupiłabym podobne produkty.

Są też herbatki ziołowe, przed którymi ostrzegęła mnie Jody, a także cała półka mocnych alkoholi i – o radości! – ten sam powalający rodzaj kawy, który pijam w domu.

W rogu dostrzegam prosty model ekspresu do kawy, więc dziesięć minut później stoję oparta o blat i z zamkniętymi oczami wdycham domową woń. Oczy mnie pieką, jak nie piekły na widok Abe'a w szpitalu.

Sączę kawę i lustruję maleńkie mieszkanie.

Trzy pomieszczenia.

Czy był tu szczęśliwy? Ja bym nie umiała, ale mimo zewnętrznych podobieństw jesteśmy zupełnie innymi ludźmi. On był opiekunem. I kochał Jody. Przynajmniej znalazł miłość. Gdyby nie ona i szczęście, które dzielili, nie zdołałabym sobie wybaczyć, że porzuciłam mojego małego brata. Jody oszczędziła mi poczucia winy, więc z wdzięczności powinnam przed nią klęczeć. Dlaczego zatem nie klęczę? Pewnie dlatego, że jestem egoistyczną

zdzirają.

– Obiecuję, że się postaram, Abe – mruczę, biorąc do ust ostatni gorzki łyk.

W tej samej chwili rozlega się głośny dzwonek. Obok drzwi wejściowych znajduje się mały monitor, na którym widzę zniekształconą twarz posterunkowej Derbyshire. Mówię, żeby weszła na górę, a następnie wciskam guzik kluczyka. Chwilę później słyszę daleki skrzyp otwieranych drzwi, a po nim trzask ich zamykania i kroki na schodach. Skrzypienie butów na betonie, dzwonięcie metalu o poręcz – może małżeńskiej obrączki – i dźwięk otrzymanej wiadomości tekstowej.

Jak to możliwe, że nikt nie słyszał upadku Abe'a?

Siedzę przy stole obok posterunkowej Derbyshire i jej ziemistobladedego podopiecznego.

– Czy ona panią uspokoiła? – pyta policjantka, kładąc na stole różne formularze, które muszę podpisać przed wydaniem rzeczy Abe'a. – Panna Currie?

Powtarzam to, co powiedziała mi Jody, że wrócili do domu lekko wstawieni.

– To mogło wpłynąć na jego poczucie równowagi, bo poręcz jest umieszczona stosunkowo nisko. Możemy mieć do czynienia raczej z wypadkiem niż z samobójstwem.

– Nie stwierdzono obecności alkoholu w jego krwi – odpowiada Derbyshire, zbierając formularze. – Ale mógł wypić jedną lampkę, która uległa przemianie przed analizą.

Marszczę brwi. Czy jedna lampka wina wystarczyłaby, żeby stracił równowagę i upadł tak fatalnie? Jest szczupły, więc być może jego organizm źle zareagował na alkohol.

Posterunkowa wręcza formularze podwładnemu, który wsuwa je do torby.

– Czy panna Currie wspomniała, jak im się układało? Mieli jakieś problemy w relacji?

– Nie. Sprawiali wrażenie zakochanych. Dlaczego pani pyta?

– W noc wypadku panna Currie miała siniaka w okolicy ust. Powiedziała nam, że się poślizgnęła. Na krwi.

Patrzę na nią gniewnie.

– Jeśli sugeruje pani, że Abe ją uderzył, zapewniam, że nie był taki. – Mówiąc to, uświadamiam sobie, że go nie znam, ale jest już za późno, aby się wycofać, bo zaczęli się zbierać do wyjścia.

Zostawiają mi torbę z rzeczami osobistymi Abe'a. Układam je na dywanie, rozdzielając części garderoby, które zlepily się krwią, i otrzymuję coś na kształt postaci mężczyzny.

Zatem tak wygląda mój brat.

Męskie półbuty, wąskie czarne dżinsy, ciemnofioletowa koszula i rozpinany sweter – schludny i elegancki. Przez metaliczną woń krwi przebija zapach wody po goleniu. Niejasno rozpoznaję ciężkie nuty. Musiałam spać z kimś, kto używał podobnej, a więc pewnie są drogie. Podoba mi się, że Abe przeznaczał drobne sumy, które mu zostały, na luksusowe zbytki.

Później dostrzegam, że jeden z rękawów koszuli jest rozdarty na szwie, na ramieniu.

Czy koszula pękła wskutek upadku? A może w szpitalu, gdy go rozbierali?

Ponownie składam rzeczy i chowam je do szafy do czasu, aż wymyślę, co z nimi zrobić. Następnie myję ręce, żeby usunąć stęchły zapach krwi, i zabieram się do zdejmowania pościeli, pakując je w ręcznik z łazienki. Nagle zamieram zdezorientowana. W mieszkaniu nie ma pralki. José powiedziała by mi, gdzie jest najbliższa pralnia samoobsługowa, gdybym go spytała, ale nie mogę znieść myśli o kolejnej rozmowie przerywanej ciągłym powtarzaniem „przepraszam, czy mógłbyś powtórzyć”, więc wychodzę z mieszkania, mijam podest i pukam do drzwi Jody.

Luźno stukają. Coś się stało z zamkiem. Jakby z tyłu oderwało się drewno i wisiał na jednej śrubie.

Jody uchyla drzwi, nie zdejmując łańcucha, a ja zaglądam do mrocznego



korytarza, takiego jak w mieszkaniu Abe'a.

– Czy w okolicy jest pralnia samoobsługowa?

– Och, przepraszam. Powinnam była ci powiedzieć. Pralnia jest w piwnicy. Zaczekaj, dam ci trochę proszku.

Zamyka drzwi, ale choć jestem rada, że nie zaprosiła mnie do środka i nie muszę z nią gadać, uznaję to za wyjątkowo nieuprzejme.

Po chwili przechodzi mnie zimny dreszcz na myśl o czarnej otchłani, którą mam za plecami. Kiedyś stanęłam na skraju Wielkiego Kanionu i po minucie lub dwóch musiałam się cofnąć. Facet, z którym byłam, dokuczał mi z tego powodu, ale nie chodziło o lęk wysokości. Po prostu poczułam silny impuls, żeby skoczyć. Czy Abe czuł się podobnie, gdy wchodził tymi ponurymi schodami? A może była to tylko chwila egzystencjalnej jasności? Czy naprawdę o to chodziło?

Jody wraca. Zdjęła różowy kaptur, więc gdy podaje mi proszek do prania, dostrzegam pod jej obojczykami okrągłe siniaki wielkości jednofuntowej monety.

– Dzięki – mówię.

– Masz drobne do pralki?

– Chyba tak.

Uśmiecha się słabo i zamyka drzwi.

Wracam do siebie, podłączam komórkę Abe'a do prądu i sięgam po rzeczy do prania.

Pralnia jest niskim, wilgotnym pomieszczeniem o ścianach pokrytych tym samym czerwonym linoleum co podłoga, więc siedząc niespokojnie na ławce i próbując czytać powieść Abe'a, dopóki nie skończy się cykl prania, czuję się tak, jakbym występowała w filmie grozy.

Głośny sygnał sprawia, że podskakuję nerwowo: suszarka z rzeczami innego lokatora zakończyła pracę. Szkarłatna koszula przylega do szklanych drzwiczek. Myślę o koszuli Abe'a rozdartej na ramieniu.

Zamykam książkę i kładę ją na ławce obok siebie.

Myślę o rozciętej wardze Jody i siniakach pod obojczykami.

Policjantka zapytała mnie, czy ich relacja była burzliwa. A jeśli ona i mój brat pokłócili się tamtej nocy? W końcu byli lekko wstawieni. Myślę, że Jody jest przylepną i wymagającą partnerką. Może była zła, że Abe spędza więcej czasu z podopiecznymi niż z nią. A jeśli tamtej nocy powiedział jej, że chce być sam? Albo próbował zakończyć ich relację?

A jeśli go zepchnęła?

## 7. Mira

Stoję w cieniu pod schodami, słuchając, jak ta obłąkana dziewczyna opowiada jego siostrze, że nikt nie widział, jak spada. Że był sam. Że skoczył.

Kiedy znikają, biegnę na górę, wpadam do mieszkania i opieram się o drzwi, czekając, aż moje serce się uspokoi. Lekarz powiedział, że z powodu wysokiego ciśnienia nie powinnam biegać. Powinnam zachowywać spokój, często odpoczywać. Ale jak mogę być spokojna? Jak mogę odpoczywać, skoro wiem?

Dlaczego ona kłamie? Dlaczego cię osłania, Lorianie?

Idę do salonu, a później zrzucam buty i kładę się na kanapie, umieszczając nogi powyżej linii serca, jak kazał lekarz. Muszę się uspokoić i odpocząć. Bo dziecku może się przydarzyć coś złego, a nie wiem, co byś wtedy zrobił.

## 8. Jody

Kartka z życzeniami leży na podłodze – tam, gdzie ją upuściłam – niczym paszcza krokodyla czekająca, by zacisnąć się na moich kostkach. Chcę wyrzucić ją do śmieci, ale nie mogę się zmusić, by jej dotknąć.

Jest mała, wielkości połowy normalnej kartki, jakby nie chciała, żeby ją dostrzeżono, jakby pragnęła się ukryć za innymi. Oczywiście gdyby były inne.

Z przodu widnieje pastelowy obrazek przedstawiający różę – przypomina bardziej kartkę wyrażającą sympatię niż życzenia urodzinowe. Kolejny rok. Biedactwo.

*Najdroższej Jody.*

*Stale o Tobie myślę i życzę Ci wszystkiego najlepszego w dniu urodzin. Podrzucę prezent do mieszkania.*

*Helen xxx*

Teraz jest „Helen”, nie „mama”.

Nie umiem jej sobie wyobrazić. Po prostu nie mogę. Nie potrafię znieść wyrazu litości i odrazy malującego się w jej oczach. Poczucie winy sprowadza ją tu dwa razy w roku: w moje urodziny i Boże Narodzenie. Zwykle tylko podpisuje kartki z życzeniami.

*Wiem, do czego się zobowiązaliśmy wobec Ciebie, ale...*

*Gdybyśmy wiedzieli...*

*Nie jesteśmy w stanie zaspokoić Twoich potrzeb...*

Jeanie i Tom potrafili. Mieszkałam u nich dwa lata. Jeanie nauczyła mnie robić na drutach, a Tom zabierał ze sobą na ryby. Powiedzieli, że zaadoptowaliby mnie, gdyby byli młodszy. Ja na to, że wszystko mi jedno, jacy są starzy. Ale Tabby nie było wszystko jedno. Powiedziała, że może ich zabraknąć w najważniejszych momentach mojego życia, na przykład wyjścia z domu, otrzymania pierwszej pracy, nawiązania pierwszej znajomości.

Okazało się, że miała rację. Tom zmarł na atak serca kilka miesięcy po moim odejściu, a Jeanie zachorowała na alzheimera. Polubiłbyś ich, Abe. Do dziś pamiętam zapach palców Toma, kiedy otulał mnie kołdrą: pachniały ziemią i papierosami. Kiedy błagałam go, żeby przestał palić, odpowiadał, że jest za stary, by się zmienić.

Nikt nie jest za stary, żeby się zmienić. Nawet ja się zmieniłam. Stałam się lepsza z twojego powodu. Twoja obecność sprawiła, że mogłam odstawić tabletki. Byłam taka szczęśliwa, że je wyrzuciłam.

Ale teraz ich potrzebuję. No i... ta kartka... Nie potrafię jasno myśleć. Krew się we mnie burzy. Obraz przed oczami pokrywają plamy.

Jeśli będę myśleć o tobie, o nas, moje samopoczucie się poprawi.

Od wielu dni nosiłam deszczową sukienkę, na wypadek gdybym cię spotkała. W końcu zaczęła śmierdzieć pod pachami. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że moje ubrania są brzydkie i pozbawione smaku. To dobry znak. W kwestionariuszach dla osób cierpiących na depresję pytają, czy przestał cię obchodzić własny wygląd. Mnie przestał. Jednak z twojego powodu ponownie zapragnęłam ładnie wyglądać.

W tamten sobotni rano założyłam dzinsy i anorak i poszłam do sklepu z używanymi ciuchami. Przeszłam z nogi na nogę na zimnie, bo słońce stało ciągle nisko, za domami, musiałam poczekać, aż otworzą.

W końcu przyczłapała otyła pani, która prowadzi sklep, i weszliśmy razem. Pozwoliła mi się rozejrzeć, gdy szykowała lokal do otwarcia. Miała do mnie zaufanie, poszła nawet do pokoju na zapleczu, co było przyjemne. Kusila mnie sukienka koktajlowa z opalizującej granatowej tafty. Może gdybym ubrała ją z pulowerem i botkami, nie wyglądałabym na przesadnie wystrojoną.

Kiedy się zastanawiałam, przyszła starsza pani z parteru i zaczęła się nią zachwycać, więc odłożyłam ją na wieszak i udałam się do półki z bluzkami. Dopisało mi szczęście, bo mieli koronkowy biały top w moim rozmiarze, ze sklepu, na który normalnie nie mogłabym sobie pozwolić. Zabrałam go do maleńkiej przymierzalni. Zasłona nie była odpowiednio dopasowana, więc starsza pani zajrzała do środka i oznajmiła, że świetnie leży. Próbowałam się uśmiechnąć, ale mnie zdenerwowała. Miałam ochotę wybiec ze sklepu, lecz

nie chciałam wyjść bez bluzki, więc zmusiłam się do wykonania kilku głębszych oddechów i do wyciszenia.

Poczułam na sobie jej wzrok, gdy zdejmowałam bluzkę, więc zasunęłam zasłonkę i ją przytrzymałam, rozbierając się jedną ręką. Miałam ochotę jej wygarnąć, powiedzieć, że człowiek zasługuje na odrobinę prywatności. Tak się nakręciłam, że serce waliło mi jak oszałałe. Wyszłam z bluzką w zaciśniętej pięści, ale starsza pani była już w tylnej części sklepu, grzebiąc w koszu z tanimi koralikami. Zauważyłam, że pod grubą warstwą pudru kryje się naprawdę stara kobieta, a jej sękata dłoń ściska laskę, więc odpuściłam.

– Och, jaka śliczna – powiedziała pani przy kasie. – Żałuję, że nie mogę się wcisnąć w coś takiego. Ale ty jesteś taka zgrabna i szczupła!

Zmusiłam się do podziękowania, chociaż twarz mnie piekła, po czym wskazałam metkę.

– Lubię ten sklep, ale jest bardzo drogi – rzuciłam.

– Czasami dostajemy ich rzeczy... przynoszą je ludzie z dużych domów obok stacji – wyjaśniła. Miała plakietkę z imieniem Marion. – Jeśli zobaczę coś w twoim rozmiarze, mogę dla ciebie odłożyć. Nosisz ósemkę, prawda?

– Dziękuję – powiedziałam, przytakując. – Byłoby naprawdę miło.

Kiedy wyszłam ze sklepu, kołysząc torbą, czułam się dziwnie zelektryzowana. Unikanie kontaktu z ludźmi jest kolejną oznaką depresji, a oto przed chwilą odbyłam rozmowę z całkiem nieznaną osobą. Czy widzisz, jak wiele dla mnie zrobiłeś?

Świeciło słońce, więc w mieszkaniu było gorąco jak w piecu. Założyłam bluzkę, umalowałam usta i poprawiłam włosy, a następnie sięgnęłam po nową książkę, którą wysuszyłam na parapecie, i wyszłam na dwór. Usiadłam na ławce obok placu zabaw i czekałam.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze, gdzie pracujesz, ale zauważyłam, że masz wolne soboty. Widziałam, jak wracasz z gazetą i torbą z okolicznej piekarni. Kiedy indziej dostrzegłam, że jesz francuski rogalik, więc domyśliłam się, że nie byłeś z nikim na śniadaniu, co oznacza, że możesz być singlem.

Dzieci zaczęły się bawić w miniaturowy wojskowy tor przeszkód i

poprosiły mnie, żebym mierzyła im czas. Śmiały się wniebogłosy, bo jeden ze starszych chłopców utknął w huśtawce dla maluchów.

– Nie jest ci zimno?

Byłam rada, że mnie taką poznałeś: śmiejącą się z dziećmi, z policzkami zaróżowionymi od wiatru. Bo w cieniu było bardzo zimno i nie wiedziałam, ile jeszcze zdołam wysiedzieć.

Wyglądałeś okropnie: zmęczony, z zapadniętymi oczami i wysypką wokół ust. Chciałam cię objąć, zadbać o ciebie.

– Och, nie czuję chłodu! – powiedziałam, próbując ukryć drzenie.

– Szczęściara! Zamierzałem pójść po gazetę, ale nie dam rady.

– Przyniosę ci – zaofiarowałam. – Idę w tamtą stronę. Muszę kupić mleko. Czytasz „Guardiana”, prawda?

– Czy to aż tak oczywiste?

– Wsunę gazetę pod drzwi.

– Nie, nie, nie. – Dygotałeś pod cienką kurtką. – To zbyteczne. Pożyczę ci mleka.

Picie z tego samego kartonu co ty wydawało się niezwykle kuszące, ale chciałam coś dla ciebie zrobić.

Uśmiechnęłam się.

– Zrobię to z przyjemnością.

– Jesteś aniołem – powiedziałeś, zamykając oczy i pozwalając, żeby twoje długie, ciemne rzęsy opadły na policzki. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wrócę do łóżka.

Patrzyłam, jak biegniesz do drzwi, skulony z zimna, ale się nie odwróciłeś.

– Teraz ja! – zawołał jeden z małych chłopców, lecz byłam już w połowie drogi do Gordon Terrace.

Kiedy wsunęłam gazetę pod twoje drzwi, dodatek po dodatku, odczekałam chwilę przed moim mieszkaniem, z wyciągniętym kluczem, bo

gdybyś wyszedł, żeby podziękować, mogłabym udać, że wracam do siebie. Jednak nie wyszedłeś. Pomyślałam, że kulisz się w łóżku, rozgrzany i apatyczny. Wyobraziłam sobie, jak leżę zwinięta obok ciebie, obejmując cię ramieniem, z twarzą ukrytą w twoich włosach.

Później znalazłam złożoną kartkę pod drzwiami. Był na niej anioł, narysowany długopisem, z małym serduszkim nad głową.

Chodziłam uśmiechnięta do końca weekendu.

Od tego dnia nie wzięłam ani jednej tabletki. Nie potrzebowałam. Budziłam się z pieśnią w sercu, dosłownie. Przypomniałam sobie wszystkie piosenki, których nauczyłam się od czasu, gdy byłam mała. Piosenki o miłości i zaufaniu, wspaniałych dniach i niekończących się nocach. Choć były banalne i zwykłe, nagle każde słowo nabrało sensu.

Nadal tak się czuję, Abe. Nawet teraz. Nawet w szpitalu, kiedy patrzę, z jakim trudem oddychasz, i widzę maszynę pompującą powietrze do twoich płuc.

To był doskonały dzień, bo spędziłam go z tobą.



## 9. Mags

W mieszkaniu pod numerem jedenastym panuje cisza. Tak samo jak w dwunastce, chociaż wiem, że Jody tam jest. Co robi? Czy nasłuchuje jak ja?

Oddycham cicho, choć w płucach mnie piecze od długiej wspinaczki ze złożonym praniem, jeszcze ciepłym po wyjęciu z suszarki. Początkowo mam zamiar zanieść je do mieszkania, ale zmieniam zdanie. Gdybym rozmawiała z sąsiadami, trzymając pranie pod ręką, moje pytania wydałyby się bardziej swobodne. „Przechodziłam obok i pomyślałam, żeby się przedstawić...”

Nie włączam światła, wchodząc na górę, więc posadzka i ściany są zabarwione promieniami wpadającymi przez witraż. Mosiężne zamki w drzwiach lśnią czerwienią szaty Jezusa. Klatka schodowa za moimi plecami zionie niczym otchłań. Ponownie czuję jej przyciąganie: wydaje się ciemną sadzawką, w której mogę się pogрузić i zagubić na wieki.

Czy Abe miał to samo uczucie? Czy nie potrafił mu się oprzeć? A może wydarzyło się coś innego? Próbuję sobie wyobrazić jego smukłe palce wbijające się w obojczyk Jody. Wydaje się to zupełnie niezgodne z charakterem chłopaka, którego znam – niezwykle opanowanego i nieśmiałego. Nigdy nie widziałam, żeby okazał jakiegokolwiek uczucie, ba, nawet się uśmiechnął. Z drugiej strony był pewnie równie pokręcony jak ja. Tłumił wszystko w sobie, żeby nie odczuwać bólu. Kto wie, jaka osobowość kryła się pod powierzchnią. Czy nie stał się potworem, gdy pozwolono mu uchylić szczelne wieko?

Myślę o odręcznym napisie na bożonarodzeniowej karcie i na panelu domofonu na dole. Małe, schludne litery z ładnymi zakrętami. Z pewnością nie jest to charakter pisma tyrana, który zastrasza innych. Ale kto wie? Przecież zupełnie go nie znam. Wiem tylko, że mamy podobne upodobania, jeśli chodzi o buty i kawę.

Zapala się światło na parterze. Słyszę odgłos zamykanych drzwi. Później dolatuje mnie rytmiczne stukanie przypominające grzechotanie kości. Mój

mózg wyświetla obraz kościotrupa powłóczącego nogami po betonowej posadzce, więc nie mogę się powstrzymać i wyglądam przez poręcz. Kobieta wspierająca się na lasce mozolnie pokonuje drogę z holu do wyjścia.

Później, jakby poczuła, że na nią patrzę, staje i podnosi głowę.

Kiedy nasze oczy się spotykają, jej laska pada z brzękiem na podłogę.

Jej reakcja tak mnie denerwuje, że się wzdrygam i cofam od poręczy, ciężko dysząc.

Po kilku boleśnie długich minutach stukanie rozlega się ponownie. Później zamykają się drzwi frontowe i zapada cisza.

Światło gaśnie, a ja stoję w mrocznych kałużach barw. Serce wali mi jak szalone.

To miejsce płata figle mojemu umysłowi, uruchamiając mechanizm walki i ucieczki z czasów dzieciństwa.

Uspokajam się, stosując techniki, których używałam, gdy zostałam powołana do palestry. Jackson pękłby ze śmiechu, gdyby mnie teraz zobaczył, spoconą i trzęsącą się w ciemności jak dziecko, któremu przyśnił się koszmar. Moi klienci wpadliby w panikę, a sądowi oponenti zatarliby ręce z radości: żelazna zdzira w końcu została sprowadzona na ziemię.

Kiedy moje serce odzyskuje normalny rytm, pukam do mieszkania numer jedenaście.

Po kilku minutach słyszę cichy szelest za drzwiami. Ktoś tam jest. Gdy pukam ponownie, szelest nagle ustaje.

– Dzień dobry – mówię tak cicho, jak to możliwe. – Jestem nową sąsiadką. Przyszłam się przywitać.

Patrzę na drzwi z czarnym otworem judasza. Czy ten ktoś też za nimi stoi? Czy kościół, w którym mieszkamy, jest pełen szeptów i nasłuchiwania? Czy wszyscy obserwują się wzajemnie w poszukiwaniu oznak grzechu?

Drzwi się uchylają.

Widzę muzułmankę, którą wcześniej spotkałam.

– Cześć – mówię, wyciągając wolną rękę. – Jestem Mags, siostra Abe'a.

Spod dziesiątki.

Ściska sztywno moją dłoń. Jej oczy są czujne, rozgląda się nerwowo, jakby sprawdzała, czy nikt za mną nie stoi. Włosy na karku stają mi dęba.

– Przykro mi z powodu twojego brata – odpowiada. – Był porządnym człowiekiem.

Nie ganię jej za użycie czasu przeszłego.

– Mogłabym wejść? – Na jej twarzy rysuje się wyraz konsternacji.

– Przykro mi, ale...

– Tylko na chwilę – przerywam i przestępuję próg, zanim zdąży mnie powstrzymać.

Podnosi rękę.

– Ale...

Ruszam naprzód, a ona cofa się do ściany, jakby lękała się mojego dotyku.

Wewnętrzne drzwi są otwarte. Pokonuję korytarz szybkim krokiem i wchodzę do pokoju, gdzie Jody trudniej będzie nas usłyszeć.

Dywan przecina niebieska linia powstała w wyniku prześwitywania słabego popołudniowego słońca przez szatę kobiety na witrażu sięgającym podłogi. Jej głowę otacza żółta aureola. Potrzebuję chwili, aby zrozumieć, że mniejsza aureola na wysokości jej ramienia musi należeć do Dzieciątka Jezus, oddzielonego od matki przez sufit lokalu położonego piętro niżej.

Mieszkanie znajduje się w tylnej części kościoła, pod oknem widać mały, pusty parking dla samochodów. Wewnątrz czuć wilgotną, ciężką woń gotowanych warzyw.

Nieosłonięta żarówka zwisa na środku sufitu. Kobieta stoi w drzwiach z oczami wytrzeszczonymi z przerażenia. Nie powinnam jej tego robić. Musiała dopiero niedawno przyjechać do Anglii, bo choć wie, że postępuję niewłaściwie, nie ma pojęcia, jak skłonić mnie do wyjścia.

Uśmiecham się, częściowo po to, aby ją uspokoić, że nie zamierzam zrobić jej krzywdy, a częściowo, by pomyślała, iż takie zachowanie jest

najzupełniej normalne.

Mieszkanie jest nieskazitelnie czyste i schludne, co podkreśla jedynie jego ponurość. Lokatorzy nie dodali niczego do tanich sprzętów dostarczonych przez spółdzielnię mieszkaniową, jeśli nie liczyć narzuty na oparciu bordowej welurowej kanapy oraz kilku górskich pejzaży na ścianie.

Przy drzwiach stoją w równym rzędku puszyste pantofle oraz buty robocze oblepione zaschniętym cementem. Ciekawe, dlaczego kobieta nie włożyła pantofli, bo podłoga jest chłodna, a ona stąpa bosą.

– Przepraszam, jak ci na imię? – pytam.

– Mira.

– Cześć, Miro. – Próbuję wymyślić jakiś komplement, ale o mieszkaniu nie da się powiedzieć nic pozytywnego. Nawet widok z okna jest straszny. Niebo nad parkingiem zasnuwa listopadowa szaruga. Wiatr zawodzi w pękniętej szybie.

Mira obserwuje mnie nieufnie, jakby się obawiała, że wykonam jakiś nagły ruch. Rzeczywiście jestem tego bliska.

– Czy słyszałaś coś w nocy, gdy spadł mój brat? – zaczynam wolno. – Jakież podniesione głosy? Może mój brat krzyczał?

Jej twarz natychmiast się napina. Ganię samą siebie. Jeśli mogła coś ujawnić, teraz na pewno tego nie robi.

– Przepraszam, ale mój angielski nie być dobry. Nie rozumiem.

Akurat, do licha!

Patrzę na pastele, krzywię się i odwracam oczy.

– To dla nas szok. Po prostu chciałabym ustalić, co się stało. Dla rodziców.

W przypadku Europejczyków, którzy modlą się przed ołtarzem Świętej Rodziny, ten chwyt zwykle działa.

– Bardzo mi przykro, ale niczego nie słyszałam.

Widzę, że twój angielski nie jest wcale taki zły.

– Czy wyszłaś z mieszkania, żeby zobaczyć, co się dzieje?

Waha się.

– Ktoś cię zauważył – ryzykuję. – Z dołu. Powiedział, że mogłaś widzieć, co się stało.

Strzela oczami na wszystkie strony. Czyżby się bała? Może przyjechała z kraju, w którym człowiek jest bez przerwy obserwowany, a jeśli ktoś na ciebie doniesie, możesz zostać wywieziony w nieznane miejsce i nigdy nie wrócić?

– Ten ktoś mógł się pomylić – dodaję.

– Nie było nikogo innego. Tylko twój brat i ta dziewczyna.

– Jody.

Kiwa głową.

– Dlaczego wyszłaś? Słyszałaś coś?

– Ta dziewczyna krzyczała.

– Jody?

Kolejne skinienie.

– Czy nie słyszałaś wcześniej żadnych krzyków? Żadnych odgłosów kłótni?

Potrząsa głową i odwraca oczy. Nie potrafię znaleźć powodu, dla którego ta kobieta miałaby kłamać, żeby osłonić Jody. Najwyraźniej nie zna nawet jej imienia.

– A twój mąż? Może on coś widział.

– Poszedł na siłownię, a później do pubu. Nie było go całą noc. Niczego nie widział.

– Do jakiej siłowni?

– Do Klubu Bokserskiego Stone’a.

Sprawia wrażenie zmęczonej, a kiedy opiera się o ścianę, jej szata zaokrąglą się na brzuchu. Jest w ciąży. Nic dziwnego, że była przerażona,

gdy precisięłam się obok niej. Nie powinnam była jej nachodzić.

- Przepraszam, wybacz to wtargnięcie – mówię.
- Nic się nie stało. Jesteś wstrząśnięta śmiercią brata.
- Myślę, że cierpiał na depresję.
- Tak. Musiało tak być. Wydawał się taki smutny.
- Pójdę już, abyś mogła odpocząć.

Wracam ciemnym korytarzem i zatrzymuję się w drzwiach.

- Kogo się spodziewasz? – pytam, wskazując brzuch.
  - Chłopca, oczywiście – odpowiada. – Jak wszyscy.
  - Ja nie – mówię. – Chciałabym urodzić dziewczynkę. Jestem feministką.
- Uśmiecha się. Jej twarz ulega przemianie, jakby wyszło słońce.
- Niewiele mamy takich w Albanii.

Kiedy Mira zamyka drzwi, podchodzę do poręczy, próbując sobie wyobrazić, co by zobaczyła, gdyby wyszła ze swojego mieszkania tamtej nocy. Jody zbiegającą po schodach i wołającą o pomoc i mojego brata rozpostartego na betonowej posadzce w dole, otoczonego aureolą krwi.

Otyła kobieta wchodzi po schodach, ciężko dysząc. Niesie błyszczącą torbę z prezentem, która lśni w świetle lampy na pierwszym piętrze. Ruszam do mieszkania Abe'a i otwieram zasuwę, kiedy tamta wdrapuje się ciężko na nasz podest. Nadal jestem na zewnątrz, gdy drzwi mieszkania Jody się otwierają.

– Witaj, kochanie – mówi serdecznie tamta. – Przyniosłam ci prezent urodzinowy! – Kiedy podnosi torbę, światło gaśnie i wszystko pogrąża się w czerwonej witrażowej poświacie.

Zamieram w drzwiach, żeby zobaczyć, czy Jody nas sobie przedstawi, zanim zaprosi gościa do środka. Ale ona nie robi ani jednego, ani drugiego. Milczy, nie wyciąga nawet ręki, żeby odebrać torebkę.

– Tyra upiekła ciasto. Z czekoladą i pomarańczami. Uważa je za swoją specjalność! – Kobieta śmieje się hałaśliwie, niewzruszona małomównością

Jody. Wycofuję się do swojego mieszkania, ale nadal wyraźnie słyszę rozmowę.

– Co u ciebie słychać?

– Wszystko w porządku – odpowiada Jody.

Czekam, żeby podjęła wątek, poinformowała przyjaciółkę o stanie Abe’a, ale pewnie już to zrobiła lub nie ma ochoty.

– Dobrze się odżywasz?

– Tak. – W głosie Jody pobrzmiwa nieznana nutka rozdrażnienia.

– Czy w mieszkaniu wszystko działa?

Najwyraźniej Jody kiwa głową.

– Mogę wejść?

– Jest bałagan. Może innym razem.

Zapada cisza, a po chwili kobieta mówi:

– Schudłaś. Bierzesz leki?

– Już ich nie potrzebuję.

Kolejna pauza. Mam wrażenie, że kobieta smutno wzdycha. Wydaje się pełna matczyńskich uczuć, może to jakaś jej ciotka. Ciekawe, jakie lekarstwa brała Jody.

– Masz z kim spędzić wieczór, żeby nie być sama w urodziny?

– Nic mi nie jest – odpowiada Jody.

– Może wpadłabyś do nas na kolację? Kieran zaprosił przyjaciela, ale im więcej gości, tym weselej. Jakoś się pomieścimy.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Wcześniej się położę.

– Rozumiem. Wobec tego zadbaj dziś wieczór o siebie, kochanie. Zaslugujesz na to. I zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

– Okay.

– Obiecujesz?

– Tak. – Głos Jody wydaje się bardzo smutny. – Dziękuję za prezent.

– To dla nas przyjemność. – Dolatuje mnie cichy szelest, jakby kobieta pochylała się, żeby pocałować Jody, a później drzwi się zamykają i słyszę dźwięk kroków na schodach, szybszych niż wtedy, gdy poruszała się w górę.

Idę do kuchni i odłączam komórkę Abe’a.

Chociaż tego oczekiwałam, czuję rozczarowanie, kiedy okazuje się, że w telefonie ustawiono hasło. Wpisuję na próbę kilka cyfr – datę jego urodzin i urodzin Jody, numer jego mieszkania – ale w końcu aparat całkiem się blokuje. Ponieważ Abe używa iPhone’a, telefon jest pewnie zaszyfrowany. Nie będę nawet mogła go zanieść do tego podejrzanego sklepu przy głównej ulicy, aby na niego spojrzeli. Wiadomości tekstowe, które wymieniali mój brat i Jody, mogłyby ujawnić, czy w ich relacji były jakieś problemy.

Wrzucam komórkę do szuflady i parzę kawę, a później siadam przy oknie i obserwuję dzieci bawiące się na dworze. Kiedy słońce zaczyna zachodzić, czuję, jak zimno przedostaje się do środka przez szybę. Dzieci wracają do domu jedno po drugim, aż na karuzeli zostaje tylko mały chłopiec. Wygląda na Somalijczyka i ma nie więcej niż cztery lub pięć lat. Karuzela wolno się obraca, rzucając długi cień na karłowatą trawę. Potem jakieś małolaty przełazą przez niskie ogrodzenie chroniące plac przed psami i idą w stronę dzieciaka. Kaptury naciągnięte na głowy spowija dym jointa, który przechodzi z ręki do ręki. Jestem zbyt daleko, żeby dostrzec wyraz twarzy chłopca. Czy jest przerażony? Czy powinnam zejść na dół? Wezwać policję? Piję ostatni łyk kawy. Może gdybym wyszła z budynku, zostawiliby go w spokoju?

Za późno. Jeden z nastolatków wyciąga rękę. Chłopiec ją chwytą. Podchodzą do barierki i otaczają go ze wszystkich stron. Widzę, że zostawił kurtkę na karuzeli. Nagle się wyrywa i wraca tam pędem. Nastolatek, który trzymał chłopca za rękę, rusza za nim. Okazuje się, że to somalijska dziewczyna. Mały zabiera kurtkę, po czym wraca do pozostałych. Dziewczyna sadza go sobie na biodrze, pozwalając, żeby oparł głowę na jej ramieniu, a później znikają mi z oczu.

Po prostu przyszła po niego siostra. Popuściłam wodze wyobraźni. Wszystkiemu winien stres. Idę do kuchni i przeglądam alkohole Abe’a,



szukając czegoś, co mnie uspokoi. Oprócz czteropaku piwa i kilku mocniejszych trunków – nie jestem jeszcze w tym stadium – dostrzegam parę butelek czerwonego wina. Otwieram beaujolais i nalewam sobie lampkę.

Gdy piję, ostatnie promienie zachodzącego słońca oblewają trawnik i szeregowce pomarańczową poświatą.

Jody ma urodziny, a jej narzeczony leży w szpitalu bliski śmierci.

Jak mogłam pomyśleć, że go zepchnęła? Jest taka drobna, że nawet Abe dałby jej radę. Abe, który przez całe dzieciństwo nie tknął nikogo palcem, ba, nawet nie podniósł głosu. Mira nie słyszała odgłosów kłótni, a tylko krzyk kochanki mojego brata, kiedy ta zbiegała na parter, żeby poskładać na nowo kawałki jego głowy.

Cholera.

Przecież obiecałam, że będę się bardziej starać.

Podejrzewam, że Jody zasnęła, tyle czasu zajmuje jej dotarcie do drzwi, ale gdy zaczynam schodzić, w końcu otwiera.

– Cześć – mówię. – Idę na zakupy. Zastanawiam się, czy masz coś w planie na wieczór.

Jej twarz skrywa cień. Myślałam, że dam sobie radę bez włączania światła, ale teraz żałuję, iż tego nie zrobiłam.

– Chcąc nie chcąc usłyszałam, że masz dzisiaj urodziny.

Czekam na odpowiedź. W końcu wzdycha głęboko, jakby nie oddychała od wielu godzin.

– Tak – przytakuje. – Dwudzieste piąte. Stara jestem, co?

– Chciałabyś do mnie wpaść... do Abe'a... na obiad? Przydałoby mi się jakieś towarzystwo.

– Jesteś pewna? – Jest zbyt ciemno, żebym mogła dostrzec wyraz jej twarzy.

– Tak. Marna kucharka ze mnie, ale może zdołam przyrządzić makaron z pesto.

– Byłoby wspaniale.

– Świetnie. Jaki kolor pijesz?

– Przepraszam?

– Miałam na myśli wino. Czerwone czy białe? A może różowe?

– Och, niewiele piję.

A więc myślałam się co do pijackiej awantury.

– Wobec tego szampan. Dziś wieczór zapomnimy o naszych troskach i będziemy świętować, zgoda?

Śmieje się cicho.

– Zgoda, ale uprzedzam, że wejdzie mi od razu do głowy.

– Świetnie, uwielbiam tanie randki.

Umawiamy się, że przyjdzie około dwudziestej. Następnie idę na dół i wychodzę z budynku. Wiatr osłabł, ale mimo to drzwi się zatrząskują, gdy je puszczam. Tytułem eksperymentu otwieram je ponownie i chwytam w momencie, kiedy się zamykają, spowalniając ruch, dopóki zatrząsk nie dotknie krawędzi framugi. Gdy puszczam, natychmiast się zamykają. Jeśli ktoś ich nie naprawił po wypadku, sprawdzenie, czy się dobrze zamknęły, było całkowicie zbędne. Mimo to Abe przekonał Jody, że zamierza to zrobić.

Wzdycham i zapinam kurtkę. Nie każda tragedia jest przestępstwem. Czy każda nagła śmierć rodzi pytania bez odpowiedzi? Abe oznajmił, że idzie sprawdzić drzwi, aby pozbyć się Jody, a ona nie pomyślała, żeby go o to spytać. Nie jest prawnikiem, a poza tym, do licha, jakie to ma teraz znaczenie?

Wychodzę na dwór i natychmiast żałuję, że nie założyłam na siebie więcej ubrań. W Vegas bardzo rzadko jest mróz, ale tutaj temperatura spadła kilka stopni poniżej zera. Ruszam szybkim krokiem, żeby się rozgrzać, potykając się o wyboje na ścieżce. Wokół panuje mrok, oprócz pasa światła biegnącego od Świętego Hieronima do migających latarni Gordon Terrace.

Kiedy wiatr cichnie, dobiega mnie szelest.

Może to kot. Lis lub szczur.

Myślę o młodzieżowych gangach, o których wspomniała posterunkowa Derbyshire, i przyspieszam kroku. Docieram do względnie bezpiecznych szeregowców ciągnących się do głównej ulicy, gdy zaczyna dzwonić mój telefon. Angielski numer, więc to nie z biura. Może policja? Marszczę brwi i odczekuję chwilę, aby odebrać przed zgłoszeniem się poczty głosowej.

– Mags?

– Tak.

– Mówi Daniel.

Zatrzymuję się. Z sąsiedniego domu wychodzi jakiś mężczyzna, więc czuję się na tyle bezpiecznie, by przystanąć. Na głównej ulicy będzie zbyt głośno, żeby dobrze słyszeć.

– Skąd masz mój numer?

– Z hotelu. Nie gniewaj się na nich. Wycygałem podstępem. Słuchaj... chciałem się tylko przywitać i zapytać, jak się czuje twój brat. – Po krótkiej przerwie podejmuje: – Pomyślałem, że możesz nie mieć okazji, aby zadzwonić. Sądziłem, że dodzwonię się na pocztę głosową, i zamierzałem nagrać wiadomość. Przepraszam, jeśli odezwałem się nie w porę.

Wykazał się odwagą, zważywszy na to, jak potraktowałam go w hotelu, a odwaga zasługuje na odrobinę uprzejmości.

– Nic się nie stało. Miło cię słyszeć. Właśnie idę na zakupy. Przeprowadziłam się do mieszkania mojego brata.

– Jak on się czuje?

– Nieszczęśliwie... – przerywam, bo podrasowany turkusowy ford escort ze spoilerem przyspiesza na mojej wysokości. Siedzący za kółkiem facet o ziemistej cerze posyła mi chytry uśmiech, a później odjeżdża z absurdalną prędkością tylko po to, żeby stanąć z piskiem opon przed skrzyżowaniem. – Doszło do poważnego uszkodzenia pnia mózgu. Właściwie do śmierci mózgowej.

Daniel bierze głęboki oddech.

– Przykro mi, Mags.

– Jest w porządku. Naprawdę. No, może nie w przypadku jego dziewczyny, bo mała jest naprawdę zdruzgotana, ale ja ledwie go znałam... jako dorosłego... więc nie mogę udawać, że jestem, no wiesz...

– To może uderzyć cię później. Zacząłem opłakiwać tatę, gdy miałem dwadzieścia kilka lat, a umarł, kiedy byłem dwunastoletnim smarkaczem.

– Przykro mi z powodu twojego taty, ale to inna sytuacja. Z bratem nigdy nie byliśmy ze sobą blisko. Nie mogę udawać, że coś czuję, tylko dlatego że powinnam.

Zapanowuje niezręczna cisza. Planuję się pożegnać, kiedy on mówi: – Podam ci swój numer, gdybyś chciała pogadać o tym przy drinku.

Facet naprawdę ma jaja lub jest za głupi na to, żeby odpuścić.

– Może skorzystam – odpowiadam.

Śmieje się, chociaż doskonale wie, że wciskam mu kit. Ja też chichoczę.

– Mówię serio, naprawdę – rzucam. – Zanim wrócę do domu.

– Będę czekać na telefon.

– Dobrze, wkrótce się odezwę.

Żartuje z mojego zabawnego przeciągania samogłosek, typowego dla mieszkańców Vegas, a później kończy połączenie. Nadal się uśmiecham, gdy wchodzę do sklepu Food and Wine.

Kiedy ruszam w drogę powrotną, żałuję, że nie wzięłam karty zamiast całego portfela, który wybrzusza kieszeń moich džinsów. Kilka latarni na Gordon Terrace zgasło, a chwasty w ogródkach od ulicy są tak gęste, że bez trudu ukryłyby się w nich dorosły mężczyzna. Większość okien jest ciemna, a pozostałe świecą chłodnym blaskiem energooszczędnych żarówek wiszących u sufitu. Żadnych zbytków w rodzaju nastrojowych lamp. Niemal z ulgą docieram do końca uliczki, ale teraz mam przed sobą pusty teren i ścieżkę przypominającą świetlisty most przerzucony przez morze ciemności.

Wyciągam telefon i włączam aplikację latarki, kierując snop światła w mrok. Żałośnie słaby promień dociera jedynie do metalowej siatki, odsłaniając parę żółtych ślepi błyszczących w ciemności.

Cofam się, gotowa do ucieczki.

Na szczęście okazuje się, że to kot. Zwierzak wspina się z niewyobrażalną zręcznością, przełazi przez siatkę i znika.

Czy mógł tu siedzieć cały czas?

Przyspieszam kroku, nie zastanawiając się dłużej. Kieruję się w stronę Świętego Hieronima, który zamienia się w postrzępiony czarny kształt na tle skażonego słabym blaskiem nieba.

W paru oknach pali się światło, między innymi w mieszkaniu numer jeden. Gdy zbliżam się do drzwi, jestem całkiem pewna, że dostrzegam twarz ukrytą za tiulową zasłonką. Mimo przenikliwego lodowatego wiatru hulającego wokół budynku zatrzymuję się i patrzę.

Czyjaś ręka odsuwa zasłonę.

Kobieta ma z osiemdziesiąt parę lat. Jej twarz jest zniszczona, zapadnięta. Pomarszczoną skórę pokrywa gruba warstwa makijażu, jak twarz klauna z filmu grozy. Może to kawał? Może dzieciaki chcą przestraszyć nową lokatorkę? Nagle czerwona linia ust krzywi się w uśmiechu, palce przypominające szpony się zginają. Macha do mnie.

Chcąc nie chcąc, przebiegam ostatnie metry dzielące mnie od drzwi.

Jestem na skraju psychicznej wytrzymałości. Nie czekam, by drzwi się zamknęły, ale ciągnę je tak mocno, że zatrząskują się z głośnym hukiem, który rozchodzi się echem po budynku. Trawa na zewnątrz małego okratowanego okna jest tak ciemna, że nie zauważyłabym, że ktoś nadchodzi, dopóki jego twarz nie pojawiłaby się w szybie.

Odwracam się z trudem (uspokój się, Mags, do jasnej cholery!) i machinalnie przeglądam pocztę wyłożoną na stole. Banalność tej czynności oszukuje mózg. Wszystko jest w porządku, powtarzam sobie. Moje serce powraca do normalnego rytmu. Wtykam do torby kilka przesyłek zaadresowanych do Abe'a, a następnie mijam wewnętrzne drzwi i wchodzę na klatkę schodową.

## 10. Jody

Czy naprawdę się zgodziłam?

Kucam przy drzwiach, gdy ona rusza na dół. Próbuję zebrać się na odwagę i wybiec, zawołać za nią, że zmieniłam zdanie. Że jestem chora lub zmęczona, ale kiedy drzwi frontowe się zatrząskują, jest już za późno.

Może nie będzie tak źle. Kartka z życzeniami wyprowadziła mnie z równowagi, ale gdy pomyślałam o tobie, zrobiło mi się lepiej. Może będzie miło mieć jakieś towarzystwo w dzień urodzin. Zrobiło się tak samotnie bez ciebie, Abe.

Pamiętam moje ostatnie urodziny, w kawalerce. Dziewczyna z pokoju obok chciała, żebym wzięła narkotyki razem z nią. To był życzliwy gest z jej strony, nie żartuję, bo musiała robić różne straszne rzeczy, żeby zdobyć pieniądze na zaspokojenie nałogu. Dlatego nigdy nie brałam narkotyków, chociaż czasami bardzo pragnęłam zapomnienia, które dają. Wiem, ile to kosztuje.

I nie piję dużo. Zapach alkoholu przywołuje okropne wspomnienia. Na dodatek pod jego wpływem mówisz rzeczy, których normalnie byś nie powiedział. Rezygnujesz z tego, z czego nie powinieneś rezygnować.

Będzie przyjemnie znaleźć się ponownie w twoim mieszkaniu. Jakiś czas wytrzymam badawcze spojrzenie i ostry język twojej siostry, żeby być blisko twoich rzeczy. Może zdołam przynieść do domu kolejną pamiątkę.

No i może będzie dla mnie miłsza, skoro szok minął. Chcę, żeby mnie polubiła, Abe. Pewnie, że chcę. Ona jest częścią ciebie. Coś jej przyniosę. Prezent. Tak robią ludzie, gdy idą do kogoś na obiad, prawda? Przynoszą czekoladki lub wino. Ale nie chcę wychodzić, gdy robi się ciemno.

Kiedy drzwi frontowe wydają charakterystyczny skrzyp i się zamykają, wstaję i podchodzę do judasza.

Minutę później widzę, jak wspina się mozolnie po schodach, brzęcząc torbą z zakupami. Błada i wymizerowana. Na szczycie schodów zatrzymuje się i spogląda w dół klatki schodowej, obserwując światła gasnące na kolejnych piętrach. Później spogląda na mnie, przyszpila mnie swoimi ciemnymi oczami.

Wiem, że nie może mnie zobaczyć przez dziurkę judasza. Namówiłam Tabby, żeby to ze mną sprawdziła, kiedy przyszłyśmy tu pierwszy raz, ale mimo to nie mogę się poruszyć ani odetchnąć, dopóki na trzecim piętrze nie zgaśnie światło i podest nie pogrąży się w ciemności.

Słyszę, jak wchodzi do twojego mieszkania i zamyka drzwi, a później zapala światło w korytarzu.

Ciągle podnosi mnie to na duchu, gdy widzę żółty pasek światła pod twoimi drzwiami.

Idę do swojego pokoju, zakładam deszczową sukienkę i wiążę włosy tak, jak lubisz. Robię nawet makijaż, a kiedy patrzę w lustro, widzę inną twarz. Twarz, za którą mogę się ukryć.

## 11. Mags

Makaron jest mdły i twardy. Muszę dodać dużo soli kamiennej Abe'a, żeby uczynić go zjadliwym, po czym posypuję go połową paczki startego parmezanu i przykrywam talerzem, aby nie wystygł, kiedy podgrzewam pieczywo z czosnkiem. Nie jadłam tak od czasu studiów. W Vegas kupuję głównie dania na wynos lub stołuję się poza domem. Zwykle zamawiam sushi i potrawy kuchni tajskiej. Czuję kłucie w języku, gdy myślę o wasabi i pieprzu sycuańskim. Ciekawe, czy Jackson poszedł na obiad z klientem lub jednym ze współników. Jego ulubioną restauracją jest australijska knajpa przy Stripie, łącząca różne kuchnie świata. Ostatnim razem zamówiliśmy tatar z tuńczyka oraz bulion dashi z suszonymi owocami yuzu i butelką sake. Tak się śmialiśmy, że następnego dnia miałam wrażenie, jakbym wykonała pięćdziesiąt przysiadów. Zaskakuje mnie nagła tęsknota za Jacksonem. Czy to możliwe, abym była w nim zakochana? A może to zwykła tęsknota za domem? Powinnam być ostrożna. Jackson nie kryje, że czuje do mnie pociąg, ale jest żonaty, no i ma dwójkę dzieci z poprzedniego małżeństwa oraz siedmioletnich chłopców bliźniaków z obecnego. Poza tym nic do niego nie czuję. Jest krępy i umięśniony, bo codziennie ćwiczy z trenerem osobistym, dba o opaleniznę i, jestem tego prawie pewna, zrobił sobie lifting czoła. Wolę, gdy moi mężczyźni są bardziej naturalni, nieco mniej nadęci z powodu swoich ciuchów, wagi ciała czy „reżimu dermatologicznego”. Tacy jak Daniel. Biedny stary Daniel. Wpadł na mnie w złym momencie. Opróżniam pierwszą lampkę wina. Biedna stara ja.

Przy oknie w kuchni stoi głośnik marki Bose, więc udaję się na poszukiwanie odtwarzacza MP3 i w końcu znajduję go w szufladzie. Nie rozpoznaję niektórych zespołów – pewnie brytyjskich, które nie zrobiły kariery po drugiej stronie Atlantyku. Na szczęście znalazłam albumy piosenkarki, która jest popularna i w Vegas, i tutaj. Ma niski, ochrypły głos, a jeśli wsłuchasz się w słowa, zanim wypijesz zbyt dużo, będzie chciało ci się płakać. Abe ma wszystkie jej albumy. Programuję ustrojstwo tak, żeby



odtwarzało utwory w pętli, i podłączam odtwarzacz do głośnika. Kiedy ogarnia mnie znajome brzmienie, gorące i głębokie jak roztopiona czekolada, jestem wystarczająco wstawiona, żeby zakołysać biodrami.

Zegar mikrofali wskazuje punkt dwudziestą, gdy Jody dzwoni do drzwi. Echo rozchodzi się po całym mieszkaniu i jak sądzę, po mieszkaniach wszystkich sąsiadów.

Ma na sobie szarą sukienkę posypaną przezroczystymi plastikowymi paciorkami. Koronkowe rękawy zaczynają się strzępić tam, gdzie spruł się overlok. Jej włosy są upięte do góry, z kosmykami zwisającymi luźno po bokach. Perłoworóżowa pomadka pasuje do jej bladej cery. Pierwszy raz widzę, że Jody jest piękna, ale mój zgorzkniały umysł natychmiast dodaje: jeśli gustujesz w tym typie kobiecej urody.

– Ślicznie wyglądasz – mówię, doświadczając absurdalnego uczucia, jakbym była na randce.

– Coś ci przyniosłam. – Zatrzymuje się w korytarzu i podaje mi maleńki aksamitny woreczek, spoglądając na mnie z oczekiwaniem. Wytrząsam jego zawartość na dłoń. Okazuje się, że w środku jest maleńki srebrny duszek, taki, którego można doczepić do bransoletki.

– Dziękuję – mówię.

– To anioł stróż – wyjaśnia.

Wkładam wisiołek do kieszeni i natychmiast o nim zapominam.

Zaszalałam, kupując kilka butelek wina i szampan marki Veuve Clicquot – bardziej dla siebie niż dla Jody. Niski pomocnik subiekta w sklepie indyjskim musiał wejść na drabinę, żeby zdjąć butelkę z górnej półki lodówki, znad napojów bezalkoholowych, gdzie latami musiała zbierać kurz i tłuszcz. Jody robi unik, kiedy strzelam korkiem i zwałam ze stołu metalowy abażur.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! – Stukam w jej lampkę. – Za nieobecnych przyjaciół!

Co zaskakujące, szampan nadaje się do picia. Zamykam oczy i myślę o ciepłym ścisku, jaki panuje w galerii podczas otwarcia wystawy lub

uroczystości wręczenia nagród. Abe pasowałby idealnie do Vegas. Mógłby być osobistym asystentem producenta lub gdyby naprawdę zależało mu na jego powołaniu, opiekunem jakiegoś podstarzałego celebryty. Gość mógłby mu zapisać dom w Malibu. Moglibyśmy stać nad oceanem, popijając bąbelki i wznosząc toast za nasze zdumiewające przetrwanie, za sukces wbrew wszystkiemu.

Ale przeżyło tylko jedno z nas.

Stawiam na stole kwiaty ze stolika przy łóżku i za nie dziękuję.

– Gdzie, u licha, je znalazłaś?

– Ja... to Abe. Zerwał je w ogrodzie klientki.

– Rozumiem. Świetnie się trzymają, prawda? Od wypadku? Wyglądają tak świeżo. Dzięki, że dołałaś wody.

Znowu trzepocze powiekami i się uśmiecha.

– W porządku.

Nalewam resztę szampana do mojej lampki, po czym idę do kuchni po butelkę białego wina. Lubię mieć alkohol pod ręką jak przytulankę.

– Rozmawiałaś z Mirą – mówi, gdy wracam do stołu. Jej twarz jest szczerą, prostolinijną. Czy wie, że sprawdzam jej historię?

– Chciałam się przedstawić.

– Kiedy dziecko się urodzi, cały dom nie może zmrużyć oka – ciągnie, uśmiechając się smutno. Jej marzenia o dziecku zostały przekreślone wraz z marzeniami o małżeństwie.

– To Albańczycy, prawda? Skąd się tu wzięli?

– Myślę, że Romowie. Romowie są prześladowani w niektórych krajach, prawda?

– Sądziłam, że Romowie nie lubią przebywać długo w jednym miejscu. Czy nie wyznaczono im specjalnych rejonów?

Jody wzrusza ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Oni są bardzo cisi.

– Jaki on jest?

Jody krzywi usta z niesmakiem.

– Trzymam się od niego z daleka, a poza tym rzadko tu bywa. Myślę, że jest robotnikiem budowlanym. Nigdy się nie odzywa. Nie wiem nawet, czy któreś z nich mówi po angielsku.

– Ona mówi – odpowiadam. – I to całkiem nieźle. Znała takie słowa jak „depresja” i „feministka”. – Nie dodaję, że nadal nie mam pojęcia, dlaczego udawała, iż nie zna angielskiego.

Jody patrzy na kwiaty. Nie sprawia wrażenia zainteresowanej najbliższymi sąsiadami, ale może jest zazdrosna, że poznałam nowych ludzi.

Czuje na sobie moje spojrzenie i wzdryga się przestraszona.

– Przepraszam. To przez te kwiaty. Zabawna sprawa, myślałam, że są żółte.

Wzruszam ramionami.

– Może zmieniają barwę wraz z upływem czasu.

Nie mam pojęcia, o czym plotę. Jedyłą żywą rośliną, która zdobi mój taras w Vegas, jest mały, nudny kaktus, który już tam był, gdy się wprowadziłam, i nigdy nie został podlany.

Mając nadzieję, że zmiana tematu ożywi rozmowę, pytam, czy w okolicy jest park, w którym można biegać. Każdy kilogram, o który tu przytyję, zostanie potrojony, gdy wrócę do kraju, w którym siłownie odwiedzają króliczki noszące rozmiar zero, a ja będę musiała spalić kilka dodatkowych tysięcy kalorii dziennie zawartych w wypitym alkoholu. Nie mam jednak odwagi iść do łóżka trzeźwa, z obawy o to, co zgotuje mi mój mózg.

– Na końcu głównej ulicy jest skwer, ale po zapadnięciu zmroku robi się tam nieciekawie. Myślę, że ci mężczyźni... geje... używają go jako...

– Będę uważać, żeby się nie poślizgnąć. – Uśmiecham się.

W czasie gdy Jody kończy szampana, wychylam dwie kolejne lampki białego wina. Kiedy próbuję jej dolać, zasłania kieliszek dłonią, ale udaje mi się namówić ją na wino i sok pomarańczowy. Dobrze jej robi, jeśli się upije.

Już się rozluźniła. Zwiększyłam temperaturę do trzydziestu stopni, abym mogła chodzić boso po mieszkaniu, w samej koszulce, jak w domu.

– Opowiedz mi, jak się poznaliście – proszę. – Ty i Abe.

Przekręca pierścioneł na palcu i uśmiecha się z fałszywą skromnością.

– Byliśmy sąsiadami, wpadaliśmy na siebie.

– Daj spokój – protestuję. – Opowiedz mi o wszystkim. Kto zrobił pierwszy krok?

– Cóż, właściwie to Abe ocalił mi życie.

Okazuje się, że nie było tak dramatycznie, jak pomyślałam. Abe ugasił ogień, który zaproszyła, smażąc kiełbaski.

– Ach! – wzdycham, kiedy kończy. – Nigdy nie uważałam Abe'a za bohatera kina akcji.

Nie odpowiada, więc boję się, że ją obraziłam, wyrażając się lekceważąco o tej wielkiej scenie miłosnej.

– Wyprowadziłam się z domu w bardzo młodym wieku – dodaję pospiesznie. – Nie mieliśmy okazji się poznać jako dorośli ludzie. Musiał się zmienić.

– To bardzo smutne – mruży, a później dodaje: – Ja wychowałam się w domu dziecka.

Unoszę brwi.

– Tata był wojskowym. Zginął, gdy miałam siedem lat. Mama zabiła się rok później.

Ogarnia mnie wstyd, że użalałam się nad sobą.

– Jody... tak mi przykro.

– W porządku. Kochali mnie i kochali się wzajemnie.

– Mama powinna była dalej żyć, dla ciebie – mówię. – Po jego śmierci. Nie zachowała się właściwie.

Jody kręci głową.

– Była chora.

Zastanawiam się, w jakim stopniu Jody odziedziczyła jej chorobę. Pewnie trafiła tu, bo dorastała w domu dziecka, ale nie byłabym zaskoczona, gdyby w grę wchodziła także jakaś choroba psychiczna. Wydaje się niezwykle krucha, lecz biorąc pod uwagę to, co spotkało mężczyznę, którego kocha, musi się odznaczać ogromną siłą charakteru, żeby rano wstać z łóżka. W mojej głowie pojawił się nieproszony Daniel. Myślę o tym, jak wyglądał, kiedy zegnał się ze mną w hotelu. O wyrazie zdumienia i zranienia na jego twarzy. Robi mi się żal, że nie potraktowałam go bardziej uprzejmie. Odkrywam, że się cieszę, że mam jego numer telefonu.

– Jak to było? – pytam. – Mam na myśli dorastanie w domu dziecka. – Patrząc wstecz, pewnie nie byłoby gorzej, jeśli by Abe’a i mnie umieszczono w domu dziecka, ale nikt by nam nie uwierzył, gdybyśmy poprosili o pomoc. Byliśmy zdani na siebie i o tym wiedzieliśmy.

– Byłam tam całkiem szczęśliwa.

Delikatnie sączy wino niczym ptaszek maczający dzióbek w kwiatku. Ponownie rewiduję swoje przypuszczenia na jej temat. Aby przeżyć śmierć obojga rodziców i dom dziecka, musiała być odporna. Ciekawe, czy to depresja przyciągnęła ją do mojego brata, ptaka ze złamanym skrzydłem. Klasyczny syndrom wybawiciela. Pragnęła go ocalić, bo nie potrafiła ocalić własnej matki.

Odstawia kieliszek.

– Ciotka Helen miała być moją prawną opiekunką. Tak chcieli rodzice. Kiedy zmarli, przeprowadziłam się do niej i jej męża, ale po jakimś czasie zmienili zdanie. Ich syn był narkomanem, więc doszli do wniosku, że byłoby to zbyt trudne.

– Cholera. – Wino powoduje, że wolno myślę, więc nie umiem wykombinować niczego innego.

Uśmiecha się.

– Nie mówmy o smutnych sprawach. Pytałaś o mnie i Abe’a. Mam ci opowiedzieć o naszej pierwszej nocy? – Jej twarz płonie rumieńcem. Chryste, jest naprawdę wstawiona.

– Słuchaj, jeśli chcesz... hm...

– To było tutaj. Na dachu.

Odruchowo spoglądam w sufit.

– Można się tam dostać?

– Na końcu podestu są drzwi. Abe zabrał mnie tam, żeby oglądać zachód słońca. To było... to było piękne.

– Wystarczy – mówię, podnosząc rękę. – Boję się, że przekażesz mi zbyt wiele informacji.

Chichocze.

– Chciałam powiedzieć, że zachód słońca był piękny. Jeśli Abe... – Bierze oddech. – Jeśli on umrze, pójdę na dach i będę na niego czekać.

Za szybko przełykam wino i się krztuszę.

– Masz na myśli jego ducha?

Prostodusznie kiwa głową.

– Czy gdybyś miała wrócić, wróciłabyś tam, gdzie byłaś najbardziej szczęśliwa?

– Nie mam pojęcia. Nie wiem, jak to działa. Myślałam, że w powrotach chodzi o niedokończone sprawy lub... wszystko jedno.

Zapada nieręczna cisza. Jody patrzy na lampkę wina i lekko się uśmiecha, przypuszczalnie wspominając rzeczy, których nie chcę sobie wyobrażać.

– Przepraszam, muszę zrobić siusiu. – Niepewnie wstaję od stołu i odbijam się od kanapy w drodze do łazienki.

W łazience jest chłodniej. Opieram głowę o ścianę i zamykam oczy, żeby sprawdzić, czy pokój się obraca. Nie. Mogę wypić jeszcze jedną butelkę lub coś koło tego. Z tyłu głowy czuję nieprzyjemne pełznięcie, bo skroplone powietrze spływające po ścianie przedostało się do moich włosów. Wstaję i spuszczam wodę. Sąsiedzi zaczęli już pewnie poznawać moje toaletowe nawyki, choć zwracam uwagę, by nie spuszczać wody w środku nocy. Kilka razy zbudził mnie nocny pisk starych rur.

Myję ręce, a mój wzrok pada na półkę z przyborami toaletowymi – muszę spytać Jody o coś ważnego.

Kiedy wychodzę, Jody przypatruje się kwiatom, a piosenkarka wyje ochryplym głosem o utraconej miłości.

– Czy znasz nazwę leków na depresję, które brał Abe? Nie mogę żadnego znaleźć.

Gdyby się skończyły, byłby problem. Jody musiałaby wziąć na siebie część winy, bo powinna była zauważyć oznaki.

Kręci głową i mruga.

– Czy brał je od dawna? W początkowym okresie przyjmowania niektóre SSRI<sup>4</sup> wywołują u młodych mężczyzn myśli samobójcze.

Mruga raz i drugi.

– Czy rozmawiałaś z jego lekarzem po wypadku? Wiesz, facet powinien o tym wiedzieć. Samobójstwo jest główną przyczyną śmierci młodych mężczyzn. Moglibyśmy go pozwać z powodu zaniedbania i wyrwać odszkodowanie. Wiem, że to nie przywróci Abe’owi życia, ale nie wolno pozwolić, żeby ci dranie... Och!

Jody rozlewa wino na sukienkę.

Skaczę na równe nogi.

– Szybko, zdejmij ją. Wypłuczę.

Wstaje, ściskając na udach mokry rąbek w kulkę.

– To nic. Pójdę do siebie i sama wypiorę.

– Przebierz się i wróć.

Ale Jody jest już w połowie pokoju.

– Nie, nie. Robi się późno. Powinnam się położyć. – Potyka się, jakby szła po pokładzie przechylonego statku, i wpada na półkę z książkami obok wewnętrznych drzwi. Uśmiecham się – bo sama aż nadto dobrze znam to uczucie – lecz nagle mój uśmiech gaśnie. Kiedy wyciąga rękę, żeby się zasłonić, sukienka unosi się i widzę, przez krótką chwilę, białe blizny

powstałe wskutek samookaleczenia.

Odwracam się szybko, gdy się prostuje i rusza chwiejnie do drzwi.

– Dzięki za obiad – woła przez ramię. – Było cudownie!

– W porządku! Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Zamyka za sobą, a jej kroki cichną na podeście. Potem zamyka swoje drzwi i zapada cisza, w której unosi się jedynie śpiewny głos samotnej kochanki.

Może to nic wielkiego. Samookaleczenie jest całkiem powszechne wśród nastolatków, szczególnie tych, którzy stracili oboje rodziców i wychowywali się w domu dziecka. No cóż, jak sama powiedziała, ma to już za sobą. Abe ją ocalił.

Wzdycham i pocieram twarz. Teraz rozumiecie, dlaczego unikam poważniejszych związków? Nawet jeśli masz szczęście i poznasz kogoś, na kim ci naprawdę zależy, kto czuje to samo co ty i nie jest kompletnym dupkiem, gdy tylko się odsłonisz i zaczniesz na nim polegać, rozlegnie się głośne bum! Jak grom z jasnego nieba pojawi się jakiś gówniany nowotwór lub atak terrorystyczny, albo upadek na sam dół klatki schodowej. Po prostu nie warto. Nie można tęsknić za czymś, co nigdy nie istniało.

Później sobie przypominałam, że chciałam ją spytać o nazwisko tego lekarza. Mam przyjaciół w kręgach medyczno-prawnych. Jeśli facet spartolił robotę, zapłaci za to. Przekażę forszę na rzecz organizacji charytatywnej lub czegoś takiego.

Notuję to na kartce, żeby rano nie zapomnieć, i zaczynam pracować nad tym, by pogrążyć się w stanie alkoholowego upojenia. Wiem, że będę mieć paskudnego kaca, ale Abe tego nie zauważy, a poza tym specjalnie na tę okazję zaopatrzyłam się w środki przeciwbólowe w sklepie Food and Wine.

O północy daję za wygraną i idę do łazienki, żeby zmyć z zębów ciemne plamy, zanim udam się do łóżka. W lustrze widzę dwie twarze, drugą jakąś niewyraźną, wirującą wokół pierwszej. Próbuję wytrzymać spojrzenie upiornej pary brązowych oczu, które na mnie patrzą, ale one ciągle mi gdzieś uciekają.



– Wybacz – szepczę w ciasnym pokoju. – Wybacz, że cię tu zostawiłam. Przykro mi, że skończyłeś z inną złamaną osobą. Przykro mi, że umrzesz.

Wlokę się do łóżka z uczuciem ulgi, że przezornie zmieniłam pościel, zanim przyszła Jody. Osuwam się ciężko na materac. Moje ręce i nogi są jak z ołowiu, w głowie mi wiruje, a sen gna mi na spotkanie niczym rozpędzony pociąg.

**Piątek, 11 listopada**

## 12. Mags

Budzę się i natychmiast przytomnieję.

Czy to nie wspaniałe, że alkohol pozbawia cię świadomości o północy tylko po to, by zbudzić cię kilka godzin później? Rzucam okiem na zegarek i stwierdzam, że jest dopiero trzecia rano. Cholera. Przewracam się na plecy, szykując się na męczarnie do świtu. Myślę, że radio zdoła znieczulić mój mózg, ale gdy sięgam po telefon, żeby włączyć aplikację Radia 4, moja ręka zwisa w powietrzu.

Słyszę jakiś hałas w pobliżu.

Może sąsiad idzie do toalety? Dzieciaki rozrabiają na klatce schodowej?

Dolatuje mnie ponownie. Cichy szelest.

Ktoś jest w mieszkaniu.

Jody musi mieć drugi klucz. Jezu Chryste, nie potrafi się powstrzymać. Czy przyszła osuszyć łzy jego ręcznikiem? Zwinąć się na kanapie, na której się kochali, żeby być blisko niego? Poważnie, nie jestem w nastroju do takich rzeczy.

Gramolę się z łóżka i człapię do drzwi. Na szczęście nie skrzypią, kiedy je otwieram, żeby wygarnąć jej szczerze, co o tym myślę.

Na tle okna rysuje się wyraźnie szeroka postać. Postać mężczyzny.

Biorę głęboki wdech przypominający dźwięk papieru dartego w ciszy.

Ale on się nie odwraca.

Nagle zdaję sobie sprawę, jak krótka jest moja koszula, jak kuse majtki. Spoglądam na drzwi w korytarzu. Czy zdołam ich dopaść, zanim mężczyzna przetnie pokój? Ale później musiałabym się schronić w jednym z mieszkań lub zbiec na parter i wypaść na dwór w samej bieliźnie, co wydaje się równie niebezpieczne.

Kiedy się odwraca, serce podchodzi mi do gardła. Nie widzi mnie. Spogląda w dół na coś, co trzyma w rękach.

Dwurzędowa kurtka Abe'a.

Musi czegoś szukać w kieszeniach.

Słyszę jego chrapliwy oddech – pewnie od wspinaczki po schodach, co oznacza, że nie jest zbyt sprawny. Ale ja jestem, a przynajmniej byłam, zanim tu przyjechałam i sięgnęłam po butelkę. To moja szansa. Nie odrywając wzroku od intruza, macam drogę wzdłuż krawędzi kuchennego blatu, gorączkowo myśląc o tym, w której szufladzie są noże.

Nieznajomy wyciąga coś z kieszeni Abe'a. Portfel. Facet jest ogromny, więcej – umięśniony. Jego tułów przypomina ciemny trójkąt na tle fluorescencyjnego nieba: szerokie bary, wąska talia, gruby kark.

Nie warto ryzykować. Widziałam nastolatki szwendające się w okolicy. Nie mają nic do stracenia. Znalazł portfel, może to go zadowoli. Powinnam zakraść się do łóżka i wezwać policję, gdy odejdzie.

Kiedy się cofam, moja dłoń potraça butelkę po szampanie, którą zostawiłam na kuchennym blacie. Butelka się kołysze.

Brzęk, brzęk.

Schylam się w samą porę – mam taką nadzieję – i kucam. Otwarte drzwi na korytarz zasłaniają lewą stronę pokoju, kuchenny blat blokuje widok z prawej strony. Czy skrada się za kanapą i lada chwila skoczy na mnie zza kuchennego blatu? Słyszę ciche kroki wokół stołu. Jeśli pobiegnę na korytarz, z pewnością mnie zobaczy. Mogę się ukryć jedynie w sypialni.

Tupanie bosych stóp na kuchennym linoleum powoduje, że się krzywię i wycofuję tą samą drogą, którą przybyłam.

Marnuję kilka cennych sekund, próbując wcisnąć się pod łóżko. Ciche kroki są coraz bliżej. Nagle się zatrzymują. Czy wszedł do kuchni? Mam chwilę. Może powinnam się ukryć w szafie? Nie, szafa jest pełna. Nie pozostaje mi nic innego, jak wślizgnąć się pod kołdrę, leżeć bez ruchu i mieć nadzieję, że znajdzie to, po co przyszedł. Chyba że facet chce kogoś zgwałcić lub zabić...

Leżę w ciemności, ciężko dysząc.

Gdzie on jest?

Czy stoi w drzwiach i patrzy na moje skulone ciało?

Mam głowę w dole, więc jeśli lekko uniosę kołdrę, będę mogła zobaczyć drzwi.

Unoszę. Przez maleńką szparę widzę ciemny prostokąt wejścia.

Moje zmysły są nadzwyczajnie wyostrzone. Słyszę szum lodówki i gołębia gruchającego na dachu. Czuję stęchłą, wilgotną woń wykwitnięcia na ścianie nad moją głową.

Wyteżam wzrok, w oczach błyskają mi małe gwiazdki. Serce tak mi wali, że całe moje ciało dygocze.

Może pomyśli, że ten hałas to gołębie. Może już sobie poszedł.

Jest tak duszno, że nie mam czym oddychać. Czuję kłucie w lewej nodze, jakby ktoś wbijał mi szpilki i igły. Czy mogę już wyjść? Nieznacznie podnoszę kołdrę, żeby wpuścić trochę powietrza.

Po chwili ciemność krzepnie i widzę go w drzwiach.

Puszczam kołdrę i przywieram do materaca, staram się leżeć płasko. Na próżno: przecież wie, że tu jestem. Odgaduję, że jego dyszenie nie jest spowodowane wysiłkiem, jak w pierwszej chwili sądziłam, ale podnieceniem.

Zgwałci mnie.

Powinnam była poszukać noża. Powinnam była poszukać pieprzonego noża.

Czy później mnie zabije?

Gdy mój umysł kurczy się do rozmiarów punktu, ogarnięta przerażeniem konstatuje, że zrobię wszystko, aby przeżyć. Pozwolę mu zrobić wszystko, co zechce. Będę go błagać. Chcę żyć. Nie jestem jeszcze gotowa.

Wchodzi do pokoju.

Wstrzymuję oddech i wytrzeszczam oczy w ciemności, czekając, aż

zedrze ze mnie kołdrę.

Słyszę, jak podchodzi do łóżka i staje.

W moje serce wstępuje nadzieja. Może sprawdzi szuflady i szafę i sobie pójdzie. Unoszę skraj kołdry i widzę pasek bladej dłoni. Nie nosi rękawiczek. Zatem nie jest zawodowcem. To amator. W szkole prawniczej uczyli nas, że amatorzy są najbardziej niebezpieczni. Kiedy się wystraszą, lęk pcha ich w kierunku irracjonalnych zachowań, czyni skłonny do przemocy.

Czy powinnam krzyknąć?

Zanim zdążę wziąć oddech, siada na łóżku.

Zastygam w bezruchu. Moje serce wali jak szalone.

Położy się? A może jest na haju i po prostu szuka miejsca, w którym mógłby się przespać? Czy sądzi, że łóżko jest wolne?

Jego plecy dotykają mojej nogi.

Oboje wydajemy okrzyk. Zrywa się jak oparzony.

Odrzucam kołdrę i zwlekam się z drugiej strony łóżka, chwytając z półki butelkę płynu po goleniu. Zanim zdążę nią cisnąć, mężczyzna wykrzykuje jakieś niezrozumiałe słowo i wychodzi z sypialni. Chwilę później słyszę jego kroki oddalające się w holu, a po nich zdumiewająco cichy odgłos zamykania drzwi, jakby nawet po tym, co się stało, starał się być niesłyszalny.

Odszedł.

Kiedy tak stoję i ciężko dyszę, z butelką uniesioną nad głową, myślę o tym, co przed chwilą mogłam stracić: o szczęśliwym życiu w Vegas, udanej karierze zawodowej i materialnej satysfakcji, nie wspominając o inteligentnych przyjaciółach, drogich ciuchach i wykwintnych obiadach. Nagle to wszystko staje się niczym.

Czy to możliwe, aby Jody i Abe, gnieźdzący się w tej nędznej klitce na obrzeżach brudnego miasta, posiadali więcej ode mnie?

Gdy odzyskuję zdolność poruszania się, przełazę przez łóżko i kuśtykam do drzwi. W pokoju obok sypialni panuje cisza. Cienie zastygły nieruchomo. Docieram do kuchni, po drodze włączając światło i sprawdzając łazienkę –

pusta – a następnie korytarz. Marynarska kurtka Abe’a wisi na oparciu krzesła. Sprawdzam kieszenie i marszczę brwi. Portfel wrócił na miejsce. Sprawdzam drzwi frontowe: dobrze zamknięte. Żadnych śladów włamania. Czyżby ten mężczyzna miał klucz uniwersalny?

Nagle doznaję olśnienia.

Zarządca budynku. José Ribeira.

Zaproponował, że dorobi mi klucze, więc musiał mieć oryginały. Nie zrozumiałam, co krzyknął, gdy zeskoczył z łóżka. Może powiedział coś po portugalsku?

Dzwonię na policję, ale choć jestem sama w mieszkaniu, a intruz ma klucz, mówią, że przyjadą dopiero rano. Kiedy protestuję, wskazując, że może mi grozić bezpośrednio niebezpieczeństwo, odpowiadają, że jest mało prawdopodobne, aby napastnik wrócił, a jeśli się boję, mogę spędzić resztę nocy z przyjaciółką lub sąsiadką.

Mam pokusę, żeby powiedzieć, gdzie mogą sobie wsadzić takie rady, ale lepiej nie narobić sobie wrogów w brytyjskiej policji, więc grzecznie dziękuję i się rozłączam.

Nogi kanapy potwornie skrzypią – odgłos rozchodzi się echem po całym kościele – kiedy ciągnę ją po podłodze i tarasuję drzwi na korytarz, stękając z wysiłku. Mebel ma podobną szerokość co hol, więc gdy przysuwam go do ściany, drzwi otwierają się najwyżej na centymetr. Później siadam przy stole i kulę się pod kocem Abe’a, pijąc mocną kawę, dopóki światło poranka nie zacznie prześwitywać przez witraż.

Kiedy półprzezroczysty cień szklanki kładzie się na stole, dostrzegam coś dziwnego.

Białe kwiaty zniknęły.

## 13. Jody

Nie mogę zasnąć. Dlaczego ona mnie wypytuje? Czy chce mnie na czymś przyłapać? Czy policja bierze w tym udział? Czy powtórzy im każde słowo, które jej powiem? Zawsze chcieli mnie ukarać za to, co było przedtem.

Nie nie nie nie nie nie nie nie.

Przedtem nic się nie stało.

Nie myśl o tym.

Myśl o nas.

O naszym pierwszym pocałunku.

Czy go pamiętasz?

Nigdy nie byłam dobrą kucharką. W Abbot's Manor przygotowywali nam jedzenie, a w kawalerce nie miałam nawet mikrofal. Oprócz gotowych posiłków potrafię przyrządzić jedynie omlet po hiszpańsku, bo nauczyłam się tego od Jeanie, i ciasto z cytrynową posypką według przepisu Helen. Tamtego wieczoru miałam apetyt, więc postanowiłam przygotować sobie ucztę – kiełbaski i purée. Kupiłam purée błyskawiczne w plastikowym pojemniku, takie do podgrzania w mikrofal, ale kiełbaski postanowiłam upiec w piekarniku, na ruszcie. Na opakowaniu napisali, żeby je przekłuć, by tłuszcz mógł wypłynąć, ale nie chciałam, aby spłynął na tacę grilla. Później trudno ją wyczyścić, bo dno jest czarne i nierówne. Dlatego rozłożyłam aluminiową folię na metalowej kratce, a następnie zamknęłam drzwiczki piekarnika i czytałam książkę przez dziesięć minut, bo z instrukcji na opakowaniu wynikało, że po takim czasie trzeba je przewrócić na drugą stronę.

Skończyłam nową książkę i wróciłam do tej, którą przeczytałam dwa lub trzy razy. Do jednej z tych doskonałych powieści, których nie sposób odłożyć. Główna bohaterka jest pełna lęku i niepewności. Do tego nieliczne



sceny seksu i kręta ścieżka prowadząca do spełnienia. Kiedy w końcu on i ona się schodzą, masz wrażenie, jakby serce miało wyskoczyć ci z piersi i unieść się do nieba.

Byłam tak pochłonięta lekturą, że minęły wieki, zanim zdałam sobie sprawę, że dzieje się coś złego. Bateria mojego alarmu przeciwpożarowego się wyczerpała, więc kiedy na klatce schodowej odezwał się alarm, uznałam, że nie ma to żadnego związku ze mną. Dopiero wtedy ujrzałam kłęby czarnego dymu wydobywające się z wnętrza piekarnika.

Zrozumiałam, co się stało. Tłuszcz nie mógł spłynąć na jego dno i w końcu się zapalił.

Drzwiczki piekarnika były tak gorące, że oparzyłam sobie rękę, gdy próbowałam je otworzyć.

Musiałeś usłyszeć mój krzyk, bo minutę później zapukałeś do mnie, pytając, czy nic mi nie jest. Tak mnie bolało, że ledwie mogłam mówić. Kiedy nie odpowiedziałam, zacząłeś walić w drzwi, próbując je wyważyć. Dlatego zamek do dziś jest popsuty. Zawołałam, abys przestał, po czym przykuśtykałam, żeby cię wpuścić, ściskając obolałą dłoń, którą zaczęły pokrywać pęcherze.

Wpadłeś do środka z błędnym wzrokiem.

– Co się stało?!

Musiałeś zobaczyć płomienie liżące drzwiczki piekarnika, ale wydawałeś się bardziej zatroskany o moją rękę. Zaciągnąłeś mnie do zlewu, odkręciłeś zimną wodę i wetknąłeś moją dłoń pod strumień.

– Trzymaj tak – powiedziałeś surowo.

Podbiegłeś do piekarnika. Płomienie sięgały jego sufitu, jeszcze minuta, a płytki zaczęłyby się topić. Z pomocą rękawicy kuchennej zdołałeś wyciągnąć ruszt, ale ogień nie przygasł.

– Gdzie jest ścierka do naczyń?! – krzyknąłeś.

– Przyniosę!

– Nie! Trzymaj rękę pod wodą! – Zacząłeś zdejmować koszulę. – Namocz ją! – Poczułam świeży zapach męskiego potu i woń twojego

kwiatowego dezodorantu, który tak bardzo lubiłam.

Zrobiłam, co kazałeś.

Chwyciłeś mokrą koszulę i nakryłeś nią ruszt. Płomienie zgasły natychmiast. Podszedłeś do okna i je otworzyłeś. Powietrze zaczęło się oczyszczać. Po chwili zamilkł alarm przeciwpożarowy, ostatni dzwonek odbił się echem w klatce schodowej.

Spojrzeliliśmy na siebie i wybuchliśmy śmiechem.

– To było naprawdę ekscytujące – powiedziałaś.

– Przepraszam. Zniszczyłam ci koszulę.

– Koszula jest bezwartościowa, w przeciwieństwie do ręki. Pokaż. – Podszedłeś do zlewu, gdzie woda nadal spływała na moją dłoń. Zrobiliśmy to, co należało. Zacerwienienie zaczęło ustępować.

– Mam w mieszkaniu spray na oparzenia.

Nie poruszyłeś się jednak.

Starłam się nie patrzeć na twoją nagą pierś. Miałeś tam drobinę sadzy. Nie mogłam się powstrzymać, polizałam palec i ją starłam. Czułam na sobie twoje oczy. Oddychałeś wolno i głęboko. Moje serce trzepotało jak skrzydełka kolibra.

Żeby uspokoić głos, wspomniałam o czymś przyziemnym.

– Myślisz, że powinnam zawiadomić José?

– Nic się nie stało, ale jeśli chcesz...

– Nie chcę – powiedziałam.

A później cię pocałowałam.

## 14. Mags

Z samego rana telefonuję do biura Petera Selby'ego z prośbą o wymianę zamków.

Mija dziesiąta trzydzieści, kiedy zjawia się znudzona i bardzo młoda posterunkowa, żeby spisać moje zeznanie. Nie pobiera odcisków palców ani stóp, nie zadaje sobie nawet trudu zapisania, że kwiaty zniknęły.

– To wszystko? – pytam, gdy podnosi się, żeby odejść. – Pani nic nie zrobi, prawda?

– Skoro niczego nie zabrano...

– Oprócz kwiatów.

– Nie została pani napadnięta i poprosiła o wymianę zamków, więc możemy mieć nadzieję, że to odosobniony incydent. Proszę starannie zamknąć drzwi na noc i zadzwonić, jeśli ktoś będzie panią ponownie niepokoić. Zawiadomimy panią, jeśli znajdziemy jakieś ślady.

– Ma się rozumieć.

Jest zbyt tępa lub znudzona, aby zauważyć sarkazm w moim głosie.

Pół godziny później słyszę pukanie do drzwi. Brazylijczyk z tatuażem na szyi przedstawia się jako José Ribeira. Ma żylaste, umięśnione bary, ale uznaję go za niższego od intruza, no i cuchnie mocną wodą po goleniu, którą nie zalatywał mój nocny gość.

Opowiadam mu, co się stało, a on wykrzywia swoje kształtne wargi i stwierdza, że musiałam się nieźle przestraszyć. Kiedy zaprzeczam, uśmiecha się, odsłaniając złote zęby, i mówi, że lubi dziewczyny z *cojones*, z jajami. Mimo listopadowej pogody ma na sobie obszerną koszulkę bez rękawów, przez którą widać ciemne włosy pod pachami i mięśnie grzbietu. Przypomina alfonsów patrolujących Strip w Vegas, więc z miejsca go lubię.

Czeka ze mną do przyjścia ślusarza, pijąc czarną kawę i opowiadając o

kuzynie mieszkającym w Sacramento, a później daje mi swój numer i wymusza obietnicę, że zadzwonię, jeśli będę czegoś potrzebować.

Ślusarz zostawia mi dwa komplety kluczy. Najwyraźniej taki standard obowiązuje w każdym z tutejszych mieszkań. Konstatuję, że skoro dostałam klucze Jody i nie znalazłam innych w mieszkaniu, intruz miał klucze należące do mojego brata. I myślę, że nie ma to teraz żadnego znaczenia, skoro wymieniono zamki.

Jestem ciekawa, czy Jody usłyszała pracującego ślusarza. Jeśli tak, powinna była poprosić, żeby przy okazji naprawił jej drzwi. Może należało ją spytać. Czuję się winna i nie mam odwagi prosić jej o adres i telefon lekarza Abe'a, więc postanawiam obdzwonić okoliczne gabinety.

Abe nie jest zarejestrowany w żadnym z nich.

Podczas sprawdzania mieszkania natrafiam na karton pełen dokumentów: wyciągów bankowych, rachunków za gaz i paragonów sklepowych. W ten sposób znajduję nazwę firmy, w której pracował mój brat – Sunnydale – oraz jej numer telefonu.

Recepcjonistka śmieje się w głos, gdy pytam, czy mają program opieki medycznej. Proszę o rozmowę z szefem Abe'a i zostaję przełączona do bardzo powściągliwej niewiasty, która przekazuje mi kondolencje tak chłodnym tonem, jakby pytała o czas odjazdu następnego autobusu.

– Czy ta praca dostarczała mu satysfakcji? – pytam.

– Tak sędzę.

– Jego narzeczona twierdzi, że był przepracowany. Dlatego nabawił się depresji. Czy wspominał o swoich problemach?

Odpowiada po dłuższej chwili, nieco ostrożniejszym tonem:

– Firma Sunnydale przywiązuje najwyższą wagę do zadowolenia swoich pracowników i pacjentów. Abe nie zgłaszał żadnych skarg, ani ustnie, ani pisemnie, że odczuwa stres lub jest przepracowany. Nasz zawód jest bardzo wymagający, ale pani brat rozmawiał z nami wyłącznie o konkretnych, nieoczekiwanych problemach, na przykład gdy jego podopieczny upadł i trzeba było odwołać następną wizytę, bo musiał poczekać na przyjazd karetki.

Tego typu rzeczy.

Powstrzymuję się przed powiedzeniem, że odniosłam wrażenie, iż w brytyjskich instytucjach opiekuńczych obowiązuje zasada pozostawienia klienta tam, gdzie upadł.

– Muszę panią poinformować – mówię – że jeśli zdecydujemy się wnieść pozew, na przykład o spowodowanie śmierci przez osobę prawną...

Bierze głęboki oddech.

– ...będzie pani musiała ujawnić wszelką korespondencję z Abe'em. Dodam, że istnieją sposoby na odzyskanie usuniętych informacji.

– Ja... – mamrocze. – My... Firma Sunnydale...

– Oczywiście, jeśli może mnie pani stanowczo zapewnić, że Abe nigdy nie dał jej powodu do przypuszczeń, że jest przeciążony pracą, uwierzę pani na słowo.

Doskonale wie, że jej nie uwierzę, więc czekam, aż zrozumie, o co mi chodzi. W końcu postanawia wyznać mi prawdę, a przynajmniej to, co mówi, brzmi jak prawda. Zazwyczaj potrafię to stwierdzić.

– Zapewniam panią – podejmuje nieco bardziej ludzkim głosem – że nigdy nie skarżył się na nadmiar pracy, a jestem jego bezpośrednią przełożoną. Czasami śmialiśmy się, że to zwariowane zajęcie... kilka lat temu sama wykonywałam jego pracę... ale myślę, że je lubił. Zapewniam panią. Niektórzy klienci byli jego przyjaciółmi.

Dziękuję jej i kończę rozmowę, po czym wracam do kartonu i zaczynam przeglądać dokumenty. Nie odnoszę wrażenia, aby były ułożone w jakimś porządku. W sprawach pozazawodowych jego umysł jest równie chaotyczny jak mój.

W końcu znajduję list z Kliniki Johna Hatfielda w Camden.

*Szanowny Panie Mackenzie,*

*Pańska wizyta została umówiona w podanym niżej terminie. Proszę się zgłosić dziesięć minut wcześniej. Badanie zajmie od piętnastu do dwudziestu minut. Nie musi się Pan powstrzymywać przed jedzeniem.*

Wyznaczona data przypadała trzy tygodnie temu. Przeglądam pozostałe

kartki w poszukiwaniu wyników, ale niczego nie znajduję.

List zawiera niewiele informacji – jedynie adres, termin badania i kalkową kopię podpisu doktor Indoe.

Zatem Abe przechodził jakieś badania. Czy było to coś poważnego?

Nagle przypominam sobie cmentarz w naszym rodzinnym mieście. Cmentarz pełen nagrobków Mackenziech, którzy odeszli młodo, w wieku pięćdziesięciu i sześćdziesięciu kilku lat, niektórzy wcześniej. Typowymi szkockimi plagami były choroby serca i rak. Przynajmniej dwie z naszych ciotek zmarły na raka piersi, gdy byłam nastolatką, a wujek na raka jelita. W rezultacie nabawiłam się paranoi: wydaję kupę forsy i co roku lecę na przegląd do najlepszego onkologa z Zachodniego Wybrzeża, a później ignoruję jego rady, żeby ograniczyć ilość alkoholu i jeść więcej błonnika. Do tej pory sprzyjało mi szczęście, ale jeśli Abe go nie miał? Jeśli właśnie to kryło się u podłoża jego bożonarodzeniowej kartki? Jeśli miał raka i nie mówił o tym Jody, żeby ją chronić?

Czuję przyływ winy. Nie miał z kim pogadać. Czy samotne zmaganie się z chorobą mogło doprowadzić go na skraj załamania?

Ale to jedynie moje przypuszczenia.

Myślę o tym, żeby zadzwonić do Jody, lecz ona powiedziałaaby mi z pewnością, gdyby coś wiedziała. A jeśli nie mnie, to przynajmniej lekarzom w szpitalu.

Nie wiedząc, co robić, dzwonię pod numer zamieszczony w nagłówku listu. Mogę wybrać kilka numerów wewnętrznych, ale żaden nie umożliwia odbycia rozmowy z ludzką istotą. Nie zdołam się umówić bez wypełnienia stosów formularzy, daję więc w końcu za wygraną, wtykam list do kieszeni i ruszam na przystanek autobusowy.

Klinika znajduje się w charakterystycznym budynku z cegły oddalonym kilka minut drogi od stacji metra. Niezliczone znaki umieszczone nad schodami informują, żebym zdezynfekowała ręce, wyłączyła komórkę i zadzwoniła do organizacji Samarytan<sup>5</sup>. Robię pierwsze dwie rzeczy, a następnie otwieram podwójne drzwi i wchodzę do najbardziej zatłoczonej kliniki, jaką w życiu widziałam.

Recepcję obsługuje udęczona kobieta z Indii Zachodnich, której schludny kok zaczyna się rozwijać, a ciasno upięte ciemne loki wystają pod każdym możliwym kątem. Kiedy przychodzi moja kolej, mówię, że chciałabym się widzieć z doktor Indoe. Babka odpowiada, że pani doktor ma zajęte wszystkie dzisiejsze terminy, i radzi, abym umówiła się na wizytę przez internet. Dziękuję za informację, a gdy jest zajęta obsługiwaniem następnej osoby, znikam za rogiem i idę w kierunku krzeseł na końcu korytarza, przed gabinetami zabiegowymi.

Kiedy lekarka wyrzy z pokoju, żeby wezwać następnego pacjenta, zagadnę ją. W końcu chodzi o dwa proste pytania: jakim badaniem poddał się Abe i jaki był ich wynik.

Zadbany pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna podnosi się, żeby ustąpić mi miejsca. Dziękuję, ale on nawet na mnie nie patrzy.

Lekarze wychodzą co dwadzieścia minut, aby wezwać kogoś do środka. Nie noszą fartuchów, więc jedynie identyfikator odróżnia ich od pacjentów. Po około czterdziestu minutach z gabinetu lekarskiego wyłania się niska kobieta o okrągłych kształtach. Ma delikatny makijaż, a jej spodnie i ciemnozielona bluzka cechują się dyskretną elegancją. Kiedy odczytuję identyfikator, podnoszę się, żeby z nią porozmawiać, zanim wezwie kolejnego pacjenta.

Przez chwilę spogląda na trzymane w ręku dokumenty, a ja czekam, aż podniesie wzrok. Rusza, próbując mnie ominąć.

– Przepraszam. – Zagradzam jej drogę. – Nazywam się Mags Mackenzie. Mój brat był pani pacjentem. Abraham Mackenzie.

Marszczy brwi. Wtedy przypomniałam sobie o karcie Oyster, którą znalazłam w jego portfelu. Wyciągam i jej pokazuję. Widzę, że go rozpoznała, zanim jej twarz przybrała ponownie wyraz ostrożnej czujności.

– Niedawno brat poddał się badaniom – mówię, wsuwając kartę do kieszeni. – Chciałabym wiedzieć jakim.

– To poufne informacje. Naruszyłabym zasady etyki lekarskiej. Sugeruję porozmawianie z bratem...

– Mój brat jest w śpiączce.

Gwar w recepcji cichnie, kiedy ludzie pojmują, co się dzieje. Doktor Indoe spogląda w kierunku recepcjonistki. Kobieta z Indii Zachodnich odpowiada jej spojrzeniem.

– Próbował popełnić samobójstwo, doktor Indoe. – Przechodzę do ataku. Chcę ją zastraszyć, żeby powiedziała mi prawdę. – Czy otrzymał poradę i dostateczne wsparcie? W końcu jest pani jego lekarzem. Tam, skąd pochodzę, nazywają to zaniedbaniem medycznym.

Nie odrywa ode mnie wzroku, a jednocześnie nie podejmuje najmniejszej próby udzielenia odpowiedzi na moje pytania. Słyszę echo kroków za plecami. Cholera. Wezwała ochronę. Mój czas dobiega końca.

– Proszę – mówię nagłoco, gdy drzwi otwierają się z hukiem. – Proszę mi powiedzieć, co mu dolegało. Czy miał raka?

Lekarka unosi lekko brwi, a później podejmuje decyzję.

– Proszę się rozejrzeć, panno Mackenzie. Czy to miejsce przypomina oddział onkologiczny?

Odwracam się. Byłam tak pochłonięta wypatrywaniem doktor Indoe, że nie zwróciłam uwagi na otoczenie. Dopiero teraz dostrzegam jaskrawe ściany wyklejone plakatami. Jeden z nich zaleca *Zachowaj spokój i noś kondomy*. Na innym widnieje zbliżenie damskich majtek ze sloganem *Zaraziłam się rzeźączką*. Trzeci przedstawia dwóch całujących się dżentelmenów i napis *Czas, żebyś się zbadał*. Zadbany starszy pan spogląda na mnie gniewnie znad numeru czasopisma „Heat”.

Jestem w klinice zdrowia seksualnego.

Podchodzi do mnie dwóch krzepkich mężczyzn.

– Pora wyjść, proszę pani.

Nie ustępuję, wpatrując się w oczy doktor Indoe.

– Proszę mi powiedzieć. Jestem jego siostrą.

Ochroniarze chcą mnie odciągnąć, ale lekarka kładzie dłoń na jednym z masywnych ramion. Nachyla się tak blisko, że czuję w jej oddechu zapach odświeżacza do ust.



– Pani brat prosił o wykonanie testu na HIV – mówi cicho. – Wynik był negatywny.

Wiodą mnie w stronę schodów i wyprowadzają z budynku.

Wróciwszy do mieszkania, siadam przy stole. Piję kawę i zjadam czekoladowy batonik z supermarketu, znaleziony w szafce kuchennej.

Och, Abe, w co ty się wplątałeś? W tak trywialną i brudną sprawę jak romans? A może w coś gorszego? Korzystałeś z usług prostytutek? Brałeś narkotyki?

Cholera.

Myślałam, że nic mu nie będzie. Że wyjdzie z tego nienaruszony jak ja. Gdybym wiedziała... No właśnie, co by było, gdybym wiedziała? Zrezygnowałabym z mojego lśniącego nowego życia, aby tu przyjechać i wyciągnąć go z gównianych tarapatów, w które się wpakował? Nie. Nie zrobiłabym tego. I nie oczekiwałabym, że on zrobi to dla mnie.

Jednak coś nie daje mi wciąż spokoju.

Kiedy znalazłam się na dnie – na drugim roku uniwersytetu – mój pokój był tak zapuszczony jak narkotykowa meta. Nie miałam motywacji ani energii, żeby utrzymać go w czystości. Wszędzie piętrzyły się sterty śmieci, jedzeniegniło w lodówce. Podłogę zaściełały puste butelki po gorzale.

Ale mieszkanie Abe'a jest nieskazitelnie czyste i schludne (choć mógł to być wpływ Jody), dobrze zaopatrzone w zdrową żywność i dodatkowe luksusy. Z alkoholem, ale nie mocnymi trunkami, jakie piją cierpiący na depresję. Z przyzwoitymi winami i butelką piwa Artisan.

No i te jego ciuchy. Te w szafie i te, które zwróciła policja.

Gdy byłam na dnie, nie przywiązywałam wagi do wyglądu. Nie prałam ubrań, a już na pewno nie kupowałam nowych. Nigdy nie pomyślałabym o skropieniu się perfumami. Jednak w dniu wypadku Abe użył wody po goleniu, jego ubrania wyglądały na czyste, kolory i tekstury elementów garderoby były zaś starannie dobrane.

A dowody medyczne? Gdzie są pigułki nasenne, antydepresanty, spotkania z lekarzem?

Jestem pewna, że Jody ma dobre intencje: po prostu stara się nadać sens temu, co wydaje się bezsensowną tragedią, choć tak naprawdę nie widziała tego, co się stało.

Sama nie wiem, ale mam wrażenie, że Abe nie cierpiał na depresję. Pozostają zatem dwie możliwości: albo spadł przypadkowo, albo ktoś go zepchnął. Z drugiej strony, gdyby napastnik za nim wszedł i zaatakował go, kiedy Jody była w mieszkaniu, wówczas ktoś na pewno by coś usłyszał.

Nie pozostaje mi nic innego, jak zapoznać się z pozostałymi mieszkańcami Świętego Hieronima.

Wychodzę na klatkę schodową. Ogarnia mnie kompletna cisza. Spoglądam na zegarek. Dochodzi południe. Niektórzy muszą być w pracy, ale wielu nie jest zdolnych do wykonywania stałego zajęcia.

Schodzę na parter, krzywiąc się na głośny dźwięk własnych kroków na schodach. Biorę się w garść i pukam do mieszkania numer jeden – tego, którego lokator obserwował mnie od chwili przybycia. Stoję w półmroku, czekając i nasłuchując cichych, napływających zewsząd odgłosów: muzyki pop przeplatającej się ze szmerem odbiorników radiowych, dziwnego rytmicznego stukania, odgłosu splukiwania toalety i szumu pralek pod moimi stopami.

Po paru minutach bez odpowiedzi przechodzę do mieszkania numer dwa, które otwiera udręczona kobieta z włosami o kilkucentymetrowych siwych odrostach.

Przedstawiam się i pytam, czy widziała coś w noc upadku Abe'a. Odpowiada, że tamtego wieczoru jej nie było, bo syn uczestniczył w kursie wyjazdowym. Dociera do mnie, skąd się wzięły ciemne linie na ścianach: kaleki chłopiec uderza wózkem inwalidzkim o drzwi i ściany wąskiego korytarza, jadąc do matki.

– Zaczekaj minutkę, Dale! – burczy. – Rozmawiam z kimś!

– Nic się nie stało. Przepraszam, że przeszkadzam.

Zamykając drzwi, widzi, że podchodzę do trójki, i woła:

– Dwa miesiące temu umieścili go w szpitalu psychiatrycznym! Myślę, że

wynajmą to mieszkanie komuś innemu!

Dziękuję i ruszam schodami na pierwsze piętro.

Lokator czwórki potrzebuje dużo czasu, żeby otworzyć drzwi, a kiedy to robi, wybucha gniewem.

– Pracuję nocami! Mam dość tych wiecznych hałasów!

Zachodzę w głowę, jaką nocną pracę może wykonywać upudrowana ciota w średnim wieku, w jedwabnej piżamie. Kiedy pytam, czy coś słyszał, wrzeszczy, niemal mnie opluwając.

– Oczywiście, że nie słyszałem! Próbuję się zdrzemnąć!

– Proponuję użyć stoperów – mówię, ale on zatrzaskuje mi drzwi przed nosem.

W mieszkaniu numer pięć nikt nie odpowiada, choć sędzę, że właśnie stamtąd dochodzi stukanie. Przechodzę do szóstki, pukam i słyszę ujadanie psa. Chwilę później drzwi się otwierają i staje przede mną mężczyzna w koszuli i krawacie. Yorkshire terrier wielkości małego kota zaczyna dreptać wokół naszych nóg. Pochylam się, żeby poklepać go po podskakującym łbie.

– Witam! Kim pani jest?

Kiedy przedstawiam się jako siostra Abe'a, mężczyzna ujmuje moją rękę i ściska ją w swoich ciepłych, suchych dłoniach.

– Wydawał się uroczym młodzieńcem. Zawsze witał ludzi uśmiechem. Uprzejmy i zadbany, nie tak jak większość flejtuchów, którzy tu mieszkają.

Pytam, czy coś widział lub słyszał.

– Obawiam się, że nie. Byłem w domu opieki. Gdy wróciłem, przyjechali ratownicy medyczni, a ta nieszczęsna dziewczyna wypłakiwała oczy.

– Jody?

– Urocza, prawda? Przynosi mi pocztę i wyprowadza Tessy, kiedy jadę w odwiedziny do Brendy. Brenda to moja żona. Fizycznie jest zdrowa jak ryba, ale jej biedna głowa... – Jego głos drży.

– No cóż, mimo to dziękuję.

– Od tego obok niewiele się pani dowie. – Wskazuje głową mieszkanie numer pięć. – Całymi dniami gra na organach ze słuchawkami na uszach. Pedał spod czwórki skarżył się, bo głośno grał. Skandal. Lubiłem to. Słyszysz pani, jak stuka nogą?

Chociaż najwyraźniej chce ze mną pogadać, dziękuję mu i idę na drugie piętro.

Drzwi siódemki są uchylone. To stąd dolatuje muzyka pop.

– Halo? – wołam w głąb korytarza.

– Taak? – Dobiağa mnie piskliwy głos z wnętrza mieszkania.

– Cześć! – odkrzykuję. – Mieszkam na górze! Czy moglibyśmy zamienić słówko?

– Wejdz. – Głos jest ostry i drażniący.

Przestępuję próg i cofam się odruchowo, uderzona smrodem śmieci i zapchanej toalety.

Babka siedzi na kanapie i pali. Chuda jak szkielet, o cerze niemal tak żółtej jak jej włosy. Może mieć od dwudziestu pięciu do sześćdziesięciu lat. Nie podejmuje żadnej próby ukrycia śladów igły na ramionach.

Natychmiast staję się czujna. Czy jesteśmy same? A jeśli nie, czy ktoś może mnie zaatakować lub obrabować? Facet, który włamał się do mnie ostatniej nocy? Czy może być alfonsem tej kobiety? Kiedy pochyla się, żeby zgasić niedopałek na porysowanym blacie stolika, rozglądam się po mieszkaniu. Lokum jest bardzo brudne, ale wydaje się puste. Na ścianie wisi jedno zdjęcie: uśmiechnięty bobas w niebieskim pajacyku. W ramce wytłoczono nazwisko Tyler-James i dwie daty oddzielone boleśnie małą liczbą miesięcy. Nic dziwnego, że została ćpunką.

Przychodzi mi do głowy potworna myśl, że pod głęboko osadzonymi oczami i zapadniętymi policzkami kryje się duch atrakcyjnej młodej kobiety, którą kiedyś była.

Czy mój brat mógł ją pieprzyć?

Czy dlatego wykonał badanie na obecność HIV?

– O czym chciałaś pogadać? Chyba nie chodzi znowu o radio? Jeśli je ściszę, nie będę nic słyszeć, nie?

– Wprowadziłam się do mieszkania na górze. Znałaś mojego brata, Abe'a? Faceta, który spadł z trzeciego piętra?

Zapala kolejnego papierosa i zaciąga się tak mocno, że koniec zaczyna się żarzyć. Czubki jej palców są popękane i brunatne.

– Taak, znałam go.

Kiedy wypuszcza dym nozdrzami, staram się nadać jakiś sens jej słowom. Wiem, że nie należy jej zbyt mocno naciskać. Tacy ludzie zamykają się w sobie, chyba że uznają, iż zyskają coś na współpracy.

Milczenie się przedłuża.

– Niczego nie zauważyłaś w dzień wypadku? – mówię najswobodniej, jak potrafię.

Zrywa strup na kościstym kolanie. Na jej przetłuszczonych jasnych włosach widnieją kilkucentymetrowe czarne i szare odrosty.

– Nie było mnie. Nie mogłam się dostać do budynku. Myśleli, że chcę się do kogoś włamać. Byliby mnie zatrzymali, gdyby ta stara z dołu nie wyszła i się za mną nie wstawiła.

– Nic nie słyszałaś?

– Przecież powiedziałam. – Gwałtownie szarpie głową, a później chytrze mruży oczy. – Dają jakąś nagrodę czy co?

Pauza.

– A gdyby dawali?

Patrzy na mnie chwilę, a później rechocze.

– I tak by mnie nie było!

Podnoszę się, powstrzymując impuls otrzeptania spodni.

– Rozumiem. Cóż, mimo to dziękuję.

Drzwi lokalu numer osiem otwiera smagły mężczyzna bez ręki. Być

może Irakijczyk lub Syryjczyk. Ma błyszczące oczy i rozpaczliwie próbuje mnie zrozumieć, ale w końcu muszę pokazać na migi, o co mi chodzi.

Kręcę rękami, żeby odegrać upadek z trzeciego piętra, i klaszczę, sugerując uderzenie. Gwałtownie rozcapierzam palce z tyłu głowy, aby pokazać obrażenia tej części ciała, co powoduje, że się wzdryga.

Kładę dłoń na sercu. Mój brat.

To rozumie. W jego oczach błyszczą łzy. Przytula mnie. Jego uścisk śmierdzi stęchłym potem i nikotyną.

Równie gwałtownie odsuwa mnie od siebie.

– Przepraszam, przepraszam... – Najwyraźniej już wie, że w Zjednoczonym Królestwie okazywanie uczuć jest zakazane.

Wskazuję na niego, na moje oczy i klatkę schodową. Widziałeś?

– Krew – mówi. – Widzę krew. – Zna przynajmniej to słowo.

Dziękuję mu i idę dalej.

Kolejne mieszkanie jest puste, więc wchodzę na ostatnie piętro.

Wyglądając przez okno na ponurą okolicę, myślę o kobiecie spod siódemki. Pewnie jest kłamczuchą, jak wszystkie ćpunkki. Czy coś ją łączyło z Abe'em? Może jej stręczyciel miał z tym problem i postanowił udzielić Abe'owi ostrzeżenia? Ostrzeżenia, które wymknęło się spod kontroli.

Pocieram twarz i jęczę sfrustrowana. W ten sposób niczego nie wskóram. Ale może nie ma czego. Może wszystko było tak, jak powiedziała Jody.

W jednej sprawie na pewno się myli. Abe nie miał depresji. We właściwym znaczeniu tego słowa. Depresji, na jaką ja chorowałam podczas studiów. Mógł być zmęczony lub wkurzony, mógł nienawidzić swojej pracy, ale na tyle dobrze znam swojego brata, aby wiedzieć, że nie zrobiłby niczego głupiego lub impulsywnego tylko dlatego, że czuł się przygnębiony. Tamtej nocy wydarzyło się coś innego. Coś związanego z czymś, o czym Jody mogła nie wiedzieć. Lub z kimś.

Tak czy owak, Derbyshire powinna była na to wpaść.

## 15. Mira

Rozmawia z policją.

Muszę przytknąć ucho do ściany w łazience, żeby dobrze słyszeć.

– Nie sędzę, by Abe cierpiał na depresję – mówi. – Nie sędzę, żeby skoczył.

Kiedy słuha odpowiedzi, zapada cisza. Obie słuhamy.

– Nie miał żadnych objawów. Opieracie się wyłącznie na tym, co powiedziała Jody.

Przechodzi do pokoju, więc biegnę do salonu i przytykam ucho do ściany za telewizorem.

– Rozmawiałam z jego szefową. Powiedziała, że się nie skarżył.

Znowu słuha. Mam nadzieję, że policjantka zapewnia ją, iż był to wypadek. Nic więcej.

Później mówi:

– A jeśli ktoś był w to zamieszany?

Mój pęcherz nie wytrzymuje.

Po kolejnej pauzie pyta:

– Dlaczego pani sędzi, że powiedzieliby, gdyby coś widzieli? Nie można ufać żadnemu z nich. To wariaci. – Śmieje się sztucznie. – Wie pani co? Nie byłabym zaskoczona, gdyby się okazało, że to jeden z nich.

Mam takie słabe nogi, że muszę się oprzeć o ścianę, aby nie upaść. Dziecko zaczyna kopać. Gładzę jego stópkę, żeby się uspokoiło. Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. Nie pozwolę, żeby się dowiedziała, co zrobił tatuś.

## 16. Mags

Kiedy posterunkowa Derbyshire pyta mnie, jak się czuje Abe, odpowiadam: „Bez zmian”. Ale prawda jest taka, że nie mam pojęcia. Nie odwiedziłam go ponownie, choć ze Świętego Hieronima do szpitala są niecałe dwa kilometry. Nie pomyślałam nawet o tym, żeby zadzwonić i spytać, czy jego stan uległ zmianie, chociaż tak postąpiłaby każda normalna siostra.

Przypuszczam, że Jody przesiaduje tam całymi dniami. Nigdy nie poprosiła, żebym poszła razem z nią. Pewnie nadal uważa te wizyty za intymne spotkania z narzeczonym. A może po prostu mnie nie lubi. Nie mogę powiedzieć, żebym była zaskoczona.

Wiatr zawodzi wokół budynku, więc przed wyjściem zakładam parkę Abe’a.

W drzwiach mijam kobietę, która wchodzi do środka. Uznaję, że jest jedną z lokatorek, ale kiedy się przedstawiam, odpowiada z wyraźnym polskim akcentem, że jest opiekunką i idzie do pana Griffina na drugim piętrze.

– Och – mówię. – Chciałam z nim porozmawiać. Jestem ciekawa, czy widział coś w nocy, gdy mój brat spadł ze schodów. Słyszałaś o tym?

Kiwa głową.

– Czy pan Griffin czuje się na tyle dobrze... mam na myśli głowę... aby powiedzieć mi, czy coś widział lub słyszał?

– Jego problemem nie jest głowa – wzdycha kobieta. – Pan Griffin jest chorobliwie otyły. Nie rusza się z łóżka. Gdyby nawet coś usłyszał... co jest mało prawdopodobne, bo telewizor gra zazwyczaj na cały regulator... nie mógłby wstać, żeby to sprawdzić.

Dziękuję z lekkim grymasem, a ona przechodzi z holu do ciemnej klatki



schodowej. Para lateksowych rękawiczek podskakuje na jej torebce w rytm kroków.

Nie ma żadnej taksówki, więc czekam na przystanku autobusowym, czując, jak pasek skóry pomiędzy mankietem spodni i converse'ami robi się lodowaty, bo nie założyłam skarpetek.

Kiedy nadjeżdża autobus, do środka ładuje się cały tłum, nie mając najmniejszego zamiaru przestrzegać zasad słynnej angielskiej etykiety kolejkowej. Z trudem się wciskam. Wbijam się klinem obok rosłej Azjatki w sari. Gdy chwyta się poręczy nad głową, pulchna pacha znajduje się zaledwie kilka centymetrów od mojego policzka. Czuję woń duszonego mięsa.

W końcu zdobywam miejsce siedzące i wyglądam przez okno na brudne wystawy sklepowe i powybijane szyby.

Pod wpływem impulsu wyciągam telefon.

– Danielu – mówię, kiedy włącza się poczta głosowa – tu Mags. Nie wiem, czy nadal jesteś w Wielkiej Brytanii. Jeśli tak, może poszedłbyś ze mną na drinka? Albo na wiele drinków. Mam ochotę się urządzić, dla odmiany z kimś.

Kończę połączenie i przez resztę podróży gorzko żałuję zostawionej wiadomości. Brzmiałam żałośnie... i pijacko. Miejmy nadzieję, że okaże się mądrzejszy i nie oddzwoni.

Jody siedzi przy łóżku Abe'a, prowadząc szeptaną rozmowę z grubą pielęgniarką, która mnie nie lubi. Na mój widok natychmiast przerywają i pielęgniarka oddala się kaczym chodem.

Udaję, że niczego nie zauważyłam, i siadam obok Jody.

Opuchlizna twarzy powoli ustępuje i z obrzmiałego, posiniaczonego ciała zaczynają się wyłaniać rysy mojego brata. Przypomina naszego ojca. Mam ochotę podnieść mu powieki, żeby sprawdzić, czy jego tęczęwki są brązowe, czy lodowato zimne. Oczywiście nie mogę tego zrobić. Nie potrafię dotknąć woskowego ciała. Jody nie ma przed tym oporów. Gładzi zwiotczały policzek Abe'a i mruczy mu piosenkę do ucha.

Obserwuję ją kątem oka. Idealnie odgrywa rolę męczennicy. Czy

wiedziała, że Abe stara się o chorobę weneryczną za jej plecami? A może wstrzykiwali sobie razem? Nie, Jody nie wygląda na ćpunkę i nie ma charakterystycznych siniaków na ramionach. Bardziej prawdopodobne jest to, że miał romans. Z pewnością mógł wybrać kogoś lepszego od babki spod siódemki.

Ale jeśli nie ona, to kto?

Odzywa się mój telefon. Daniel odpowiedział. *Zarezerwowałem The IVY na 8. Mam nadzieję, że będzie okay. Tradycyjne, ciężkie brytyjskie jedło, ale podglądanie celebrytów bezcenne.*

Serce wali mi jak zakochanej czternastolatce, nie mogę się powstrzymać przed natychmiastową odpowiedzią.

*Super. Do zobaczenia,* piszę z poważną miną, jakby chodziło o korespondencję zawodową.

Siedzimy nie wiadomo jak długo w ciszy przerywanej jedynie szumem pracujących maszyn oraz naszymi oddechami i szelestem mojego ubrania, gdy zakładam nogę na nogę.

Jody wpatruje się w twarz mojego brata z takim napięciem, że zastanawiam się, czy nie próbuje nawiązać łączności telepatycznej.

Jego powieki się poruszają.

Jody wstrzymuje oddech, a ja przyznaję, że to niezwykle widok. Potrafię zrozumieć, że nietknięty niższy poziom mózgu oznacza, że w przypadku Abe'a mogą występować czynności odruchowe, ale jako osoba pozbawiona głębszej wiedzy medycznej nie umiem ustrzec się przed pytaniem, czy nawet po całkowitym wygaśnięciu świadomości nie ma sposobu, w jaki można by przesłać wiadomość.

Nagle czuję w piersi zaskakującą iskierkę nadziei. Może się pomylili, może zdarzy się cud. Abe i ja będziemy mieli szansę ponownie się poznać – zawsze tego potrzebowaliśmy.

– Abe? – Jody pochyla się nad ciałem mojego brata z wyrazem zachwytu na twarzy. – Słyszysz mnie? Daj mi znak, kochany. Uściśnij moją dłoń, jeśli możesz.

Nie odpowiada. Oczywiście, że nie. Doszło do śmierci mózgowej.

Jednak ten mały wybuch nadziei zmienił coś w moim myśleniu. Po raz pierwszy obserwowanie, jak Jody okłamuje samą siebie, nie wywołało mojej pogardy, lecz współczucie.

Dużo przeszła, zawiodło ją wielu ludzi, a teraz pewnie nawet mój świętoszkowaty brat. Nie mogę jej zdradzić swoich podejrzeń. Musi wierzyć w iluzję doskonałej miłości. Nie zastanawiając się, kładę dłoń na jej ramieniu.

Odwraca głowę i się uśmiecha.

– Widziałaś?

Udaje mi się odpowiedzieć uśmiechem.

– Tak. Widziałam. Przyniosę kawę.

Gruba pielęgniarka siedzi przy komputerze, obok drzwi. Pamiętam ich szeptaną rozmowę. Czy stało się coś, o czym mi nie powiedzieli? Kolejna iskierka nadziei.

– O czym rozmawialiście, kiedy weszłam? – pytam.

Otwiera usta, aby po chwili je zamknąć.

– Jestem jego siostrą. Mam prawo wiedzieć.

Rozmowa ze mną budzi w niej odrazę. Wydyma wargi tak mocno, że ledwie może wycisnąć przez nie słowa.

– Jody bardzo zależy na tym, aby urządzenia podtrzymujące życie Abe'a wciąż działały.

Banieczka nadziei pęka. Rozczarowanie przeradza się w gniew.

– Ale wy możecie je wyłączyć, nawet gdybym i ja tego chciała, prawda? Możecie zwrócić się do sądu o zgodę, jeśli lekarze dojdą do wniosku, że dalsze leczenie jest bezcelowe.

Patrzy na mnie, oczy ma pokryte siateczką popękanych naczynek krwionośnych.

– On jest pani bratem, panno Mackenzie.

- Co to ma znaczyć?
- Jody bardzo kocha Abe’a.
- Co?! A ja nie?!
- Pani nie okazuje miłości w typowy sposób.

Moje dłonie zaciskają się w pięść. Pielęgniarka głośno wzdycha, kiedy wychodzę bocznymi drzwiami do ogrodu i idę schodami na chodnik biegnący wzdłuż głównej ulicy. Zatrzymuję się, ciężko dysząc.

Co ci, u licha, strzeliło do głowy, Abe? Robisz mnie swoim najbliższym krewnym? Czy to, że zostawiłam cię na łasce taty, nie oznacza, że byłam bezduszną zdzirą?

Muszę wrócić do domu. Zarezerwuję bilety, gdy tylko usiądę przy komputerze. Lekarzami zajmie się Jody. Biedna, urocza, życzliwa Jody, w porównaniu ze mną prawdziwa święta, na pewno stworzy Abe’owi większą szansę powrotu do zdrowia.

Zatrzymuję taksówkę i wracam do Świętego Hieronima około południa. Wchodzę głównymi drzwiami i rzucając okiem na stertę listów. Kolejne ulotki dla Abe’a, spięte gumką. Z pliku jaskrawych żółto-czerwonych barowych egzemplarzy menu wystaje biały róg czegoś, co może być prywatnym listem. Wyciągam go spośród innych.

Czysta biała koperta. Pewnie jeszcze jedna ulotka.

Otwieram i wyjmuję kartkę papieru.

Patrząc na nią przez chwilę. Nagle gdzieś na górze otwierają się drzwi. Wsuwam kartkę do kieszeni i wchodzę wewnętrznymi drzwiami, a później schylam głowę i pędzę po schodach, zatrzymując się dopiero po wejściu do mieszkania Abe’a.

Na kartce są tylko dwa słowa.

*Ona kłamie*

## 17. Jody

Nasza nauczycielka angielskiego mawiała, że jaskiniowcy wymyślili opowieści, żeby nadać sens brutalnemu i chaotycznemu światu. Powiedziała, że z nich właśnie powstał Bóg. Nie do końca się z nią zgadzam – jestem osobą wierzącą – choć sądzę, że opowieści odgrywają ważną rolę w nadawaniu znaczenia rzeczom, których nie potrafimy pojąć. Na przykład snom.

Sny mogą się okazać prawdziwe.

Oto inna pieśń z mojego dzieciństwa. Leżę na łóżku w Abbott's Manor, marząc o przyszłości. Przeszłość nie była prawdą. Nie była nawet snem. Była niczym: przeminęła i została zapomniana. Jest realna, tylko jeśli na to pozwolę. Jak duszki z *Piotrusia Pana*, które umierają, gdy przestajesz w nie wierzyć.

Dzisiaj w szpitalu bardzo mocno wierzyłam w to, że się obudzisz, a później twoje oczy się otworzyły! Otworzyły się tylko na chwilę, ale zrozumiałam, że muszę jedynie mocniej wierzyć, aby tak się stało. Podobnie jest z nami. Uwierzyłam, że będziemy razem, i jesteśmy.

Ponownie otworzysz oczy, ale tym razem twoje piękne brązowe tęczęwki przesuną się po mojej twarzy. Upłynie chwila, zanim mnie rozpoznasz. W pierwszym momencie uznasz mnie za fragment dziwnego snu, który śniłeś od tygodni. Ale później sobie przypominisz. A może nie. Może po prostu zrozumiesz w sercu, że cię kocham, że jesteś bezpieczny. Że nigdy cię nie opuszczę.

Po powrocie do domu rysuję twój portret. Leżysz na łóżku w szpitalu, lecz twoje oczy są otwarte. Gdy docieram do ust, rysuję otwarte wargi, jakby za chwilę miały wypowiedzieć moje imię.

*Jody? To ty?*

Portret nie jest zbyt wierny, choć wzoruję się na zdjęciu. Wcale nie musi

być. Znam twoją twarz tak dobrze, że potrafię ją sobie wyobrazić. Potrafię usłyszeć twój urywany, cichy głos. I szelest twoich włosów na poduszce, kiedy odwracasz głowę, żeby na mnie spojrzeć.

W tym momencie, jakby zrobiła to celowo, żeby zniszczyć tę cudowną chwilę, odzywa się mój telefon. Chociaż usunęłam jej numer dawno temu, od razu go rozpoznaję. Pozwalam telefonowi dzwonić i dzwonić, aż nie mogę dłużej wytrzymać. Zasłaniam uszy dłońmi i wydaję bezgłośny krzyk. Nagle dzwonek milknie, pozostawiając echo przypominające rozchodzące się fale bólu, które powstają, gdy uderzysz się w palec u nogi.

Patrzę na komórkę całe wieki, ale mimo to podskakuję, kiedy ekran się zapala, sygnalizując nadejście wiadomości. Nie mogę jej usunąć, dopóki nie odsłucham kilkusekundowego nagrania.

– Cześć, Jody. Mam dla ciebie prezent urodzinowy. Nie zmieści się w skrytce na listy, więc pomyślałam, że wpadnę...

*Wiadomość usunięta.*

Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju? Dlaczego musi mi się narzucać rok w rok, rozdrapywać świeżo zagojoną ranę? Nie chcę o niej myśleć, o żadnym z nich. Próbuję odsunąć ich od siebie, myśląc o tobie, ale czuję, że zbierają się nade mną czarne chmury. Że nie potrafię ich powstrzymać, bo kłębią się tuż nad moją głową.

## 18. Mags

Co to znaczy?

Czy „ona” to Jody? Albo ta ćpunka? A może Mira?

W jakiej sprawie rzekomo kłamie? Upadku Abe’a?

Dlaczego autor przesłał mi wiadomość, zamiast pójść na policję?

Sięgam po telefon, żeby zadzwonić do posterunkowej Derbyshire, ale zmieniam zdanie.

Mieszkam w dawnym kościele pełnym poturbowanych i chorych psychicznie ludzi. Może to zwykła złośliwość, urojenie lub poczciwy, pospolity rasizm. Ktoś chowający urazę do jednej z tych kobiet. Zazdrosny kochanek? Zanim pójde na policję i narobię im kłopotów, muszę przynajmniej podjąć próbę ustalenia, kto wysłał mi ten list.

Charakter pisma jest schludny – kobiecy? – ale na końcu nie ma kropki, co może świadczyć o tym, że autor wiadomości nie jest dobrze wykształcony.

Na kopercie nie ma nazwiska, co wskazuje, że autor wsunął ją w plik korespondencji. Zatem w jakiś sposób wszedł do budynku lub już w nim był. Lokator? Cicho opuszczam mieszkanie i schodzę na parter, do drzwi. Kuląc się przed hulającym wiatrem, przyglądam się nazwiskom wypisanym na panelu domofonu. Nie pasuje żaden charakter pisma, ale niektóre karteczki wydrukowano, a inne mogły zostać skreślone przez partnerów lokatorów. Dociera do mnie, że nigdy nie widziałam męża Miry, słyszałam jedynie, jak późno w nocy cicho zamykają się drzwi. Musi być bardzo samotna.

Wystarczająco samotna, żeby szukać pocieszenia w ramionach mojego brata? Z pewnością nie na progu mieszkania Jody – dosłownie. Poza tym jest mężatką i sądząc po ubiorze, pobożną muzułmanką. Weź się w garść, Mags.

Kiedy wlokę się mozolnie na górę, dociera do mnie, że kartka mogła nie być przeznaczona dla mnie, ale dla Abe’a. Czy oprócz niej były inne?

Wróciwszy do mieszkania, przeglądam chaotyczny zbiór papierów, lecz nie znajduję niczego z wyjątkiem wyciągów bankowych, rachunków i paragonów. Później dostrzegam laptopa wsuniętego na stertę pudełek po butach. Przewód nadal tkwi w kontakcie z tyłu szafy. Zielone światelko. W pełni naładowany. Gdy otwieram pokrywę, maszyna ożywa.

Łut szczęścia i kolejny dowód na to, że nie zamierzał popełnić samobójstwa. Chyba że jest wiadomość lub mail.

Poczta Abe'a jest otwarta. Skrzynka odbiorcza zapchana śmieciami, wiadomościami z teatrów i informatorami kulturalnymi. Znajduję kilka wiadomości od firmy Sunnydale z przypomnieniem o grafikach i wycofaniu z rynku jakichś leków. Oprócz tego niewiele, a już na pewno żadnego pożegnalnego listu samobójcy. Co dziwne, nie ma niczego od Jody. Kiedy się z kimś spotykam, spędzam pół dnia na układaniu inteligentnych wiadomości i maili. Z drugiej strony nie byłabym zaskoczona, gdyby się okazało, że Jody nie ma komputera. Abe ma mocno sfatygowany, stary model Della. Może nie było go stać na nowy. Telefon powiedziałby mi więcej, ale jest zablokowany, a ja nie mogę poprosić Jody, żeby pozwoliła mi przejrzeć ich słodziutkie liściki.

Zamykam okno poczty i widzę, że tapeta na ekranie przedstawia disnejowski zamek na tle zamglonych wzgórz porośniętych liliami. Wydaje się dziwnie bezosobowy. Na mojej tapecie widać, jak piję tequilę z Jacksonem i zaprzyjaźnioną gwiazdą filmową, która jest naszą klientką.

Później przeżywam olśnienie: ten zamek to Eilean Donan. Abe i ja byliśmy tam podczas szkolnej wycieczki. Pojechały wszystkie niższe klasy, łącznie siedemdziesięcioro pięcioro dzieci. Dwa autobusy. Moja najlepsza przyjaciółka była chora, więc zgodziłam się, żeby Abe siedział obok mnie, głównie dlatego, że kumpele uważały, iż jest cudowny. Pod pozorami, że tylko mu matkują, podkochiwały się w nim, chociaż był od nas młodszy.

Pojechaliśmy na północ. Po drodze mijaliśmy ciemne jeziora usiane maleńkimi wysepkami, na których znajdowały się pojedyncze drzewo lub zrujnowana chatka. Abe wyglądał przez okno. Kiedy przejeżdżaliśmy przez aleję drzew, na szybie ukazywało się jego odbicie. Ciemne oczy brata spotykały się z moimi, a później odwracały. Odpowiadał na pytania moich



koleżanek, ale nigdy nie dzielił się własnymi myślami.

Grzebałyśmy w jego torbie z lunchem, wybierając przysmaki i podrzucając serowe trójkąty oraz kawałki owoców, które przyjmował bez narzekania.

Musiała być jesień lub wiosna, bo słońce oślepiało nas przez okna autobusu, czerwieniąc twarze, a kiedy wreszcie wysiedliśmy na parking, przestępowaliśmy z nogi na nogę i przeklinaliśmy, żałując, że byliśmy zbyt próżni, by nie zabrać kurtek. Moje przyjaciółki nie przestały narzekać, gdy opuściliśmy parking, więc udęczeni nauczyciele pozwolili im pójść do centrum dla zwiedzających.

Ale ja nie poszłam z nimi.

W życiu nie widziałam czegoś tak pięknego jak zamek lśniący na tle mgły unoszącej się nad jeziorem.

Ruszyłam za młodszymi dziećmi na wycieczkę po tym wspaniałym miejscu, mijając tartanowe sale pełne poroży i trzynastowiecznych ksiąg. Później wyszliśmy na mury.

Kiedy wszyscy się rozeszli, żeby zjeść lunch, zostałam w zamku, podziwiając niebo oblane czerwonymi promieniami słońca chowającego się za górami.

Nagle poczułam, że Abe stoi obok mnie. Byliśmy tylko my dwoje pod wielkim, obojętnym niebem.

Staliśmy w milczeniu, dopóki słońce nie zaczęło kryć się za wzgórzami i chłód nie przeniknął mnie do kości.

Gdy się odwróciłam, zauważyłam, że Abe płacze.

Łzy podświetlone promieniami zachodzącego słońca zamieniły się w małe krople krwi spływające po jego policzku. Czar tego miejsca – jego piękno, spokój i cisza – sprawił, że lekko się wzruszyłam i objęłam brata ramieniem. Nie robiłam tego nigdy wcześniej i nie zrobiłam później. Przez kilka minut, dopóki słońce nie schowało się za górami, a powietrze nie zrobiło lodowate, staliśmy razem jak brat i siostra, uświadamiając sobie, być może pierwszy raz, że świat jest piękny.

Jak mogłam zapomnieć?

Później wróciliśmy do autobusu i pojechaliśmy do domu. Kiedy o tym myślę, zastanawiam się, czy to nie od tamtej wycieczki wszystko się zmieniło: przestaliśmy ze sobą walczyć i zaczęliśmy kłamać, aby chronić to drugie, ostrzegać się, gdy nasz ojciec wstępował na ścieżkę wojenną.

Być może. Mam wrażenie, że było to bardzo dawno temu.

Kiedy próbuję powiększyć zdjęcie, obraz rozpada się na pozbawione sensu piksele i barwne plamy.

Dostrzegam katalog *Ludzie* w rogu ekranu. Klikam go.

Jest podzielony na pięć podkatalogów. Każdy plik to nazwisko: Bridger, Khan, Okeke, Perkins, Lyons. Klikam pierwszy, otwierając dokument Worda zatytułowany *Freddie Bridger*. Lat osiemdziesiąt trzy. Cukrzyk we wczesnym stadium demencji. Widzę fotografię przedstawiającą zdumionego, łysego jegomościa w bezrękawniku, obok adres oraz daty odwiedzin i podawane leki. Zamykam plik i przeglądam pozostałe. *Aroon Khan*: sześćdziesiąt pięć lat, rak prostaty i choroba Parkinsona. *Kone Okeke*: siedemdziesiąt dziewięć lat, cukrzyca i głuchota. *Molly Perkins*: sześćdziesiąt osiem lat, artretyzm i niekontrolowanie czynności fizjologicznych. *Lula Lyons*: dziewięćdziesiąt lat, reumatyzm, choroba serca i nadciśnienie. Zdjęcie Luli musiało zostać wykonane w latach pięćdziesiątych. Ma ogniste rude włosy, szkarłatne wargi i wielkie zielone oczy obramowane niemożliwie długimi rzęsami. Bóg jeden wie, jak teraz wygląda.

Później dostrzegam jej adres.

Lokal numer jeden, kościół Świętego Hieronima, N19.

To upiorna starsza pani z parteru. Z zapisków wynika, że Abe odwiedzał ją dwa razy w tygodniu. Czasami spędzali razem ponad dwie godziny. Musi go bardzo dobrze znać. Wystarczająco dobrze, aby powiedzieć mi więcej o stanie umysłu, w jakim się znajdował.

W rogu ekranu dostrzegam inny katalog. Opatrzony bardziej niezwykłą nazwą *Redhorse*. Czerwony koń. Klikam go dwukrotnie.

Tym razem nie ma dokumentów Worda. Tylko zdjęcia w formacie JPEG.

Klikam w jedno z nich.

Zdjęcie przedstawia dwóch mężczyzn. Obaj są nadzy. Ten, który stoi, jest rosły i umięśniony. Jasnoróżowa skóra lśni od potu, owłosienie łonowe ma barwę ciemnego blondu. Na biodrze dostrzegam tatuaż przedstawiający czerwonego konia.

Drugi, który przed nim klęczy, obejmuje pośladki partnera smukłymi palcami, szeroko otwierając usta, żeby objąć wargami członek. To mój brat.

## 19. Jody

Napad lęku trwa godzinę. Staram się być cicho, ale słyszę, że kościół nasłuchuje.

Później z płaczu i głodu boli mnie brzuch. Nie jadłam cały dzień. Powinna wyjść i coś zjeść. Tabby powtarza, że powinna się właściwie odżywiać, bo poziom cukru wpływa na nastrój, ale gdybym teraz wyszła, musiałabym pokonać trawnik w ciemności.

Gdybym miała twoje klucze, mogłabym zrobić sobie kanapkę z pełnoziarnistego chleba, który trzymasz w lodówce. Zniknęła połowa, więc wiem, że go dotykałeś. Wyobrażam sobie, co bym zamówiła, gdybyśmy poszli dziś wieczór do Cosmo, i co ty byś zamówił. Jakie wino byś wybrał i jak stuknęlibyśmy się kieliszkami, spoglądając na siebie znad ich brzegu. Jak wrócilibyśmy do domu, pomagając sobie na schodach, lekko zmęczeni i chichoczący od wina.

Wyglądam przez judasza i prawie nas widzę. Widzę, jak otaczasz mnie ramieniem i wprowadzasz do swojego mieszkania.

Później twoje drzwi się otwierają. Przez chwilę – ułamek sekundy, dopóki nie przypomnę sobie, co się stało – jestem jak sparaliżowana, oddech zamiera mi w piersi w oczekiwaniu, że wyjdiesz na klatkę.

A później wychodzisz.

Moje serce przestaje bić.

Oczywiście to nie ty, ale twoja siostra. W męskim czarnym garniturze, z włosami upiętymi w ciasny kok. Wygląda twardo, odstrasza dla większości mężczyzn. W półmroku jej oczy wydają się tak czarne, że przypominają bezdenne otwory. Wargi ma czerwone jak wampir.

Dokąd idzie?

Ogląda się i przyspila mnie swoimi ciemnymi oczami, ze źrenicami

chwytającymi okruchy światła dolatujące z korytarza na dole.

Dokąd idzie? Kiedy wróci?

Zadaje tyle pytań. Jej pytania przypominają palce chwytające brzegi mojego życia. Próbuje usunąć zewnętrzne warstwy, aby dostać się do wrażliwej części ukrytej pod spodem. Boję się wyjść, dopóki nie wróci, żeby na nią nie wpaść. Zaczyna schodzić, słyszę stukanie jej obcasów na schodach.

Czekam przy drzwiach i w końcu zasypiam na krześle w korytarzu. Budzą mnie śmiech i kroki na klatce. Pod drzwiami pojawia się biały pasek, gdy na podeście zapala się światło.

– Cicho – szepcze Mags, chichocząc – oni tutaj wszystko słyszą.

– Nie to, tego nie mogą usłyszeć – odpowiada męski głos.

Skradam się do judasza. Mężczyzna jest wysoki, szeroki w ramionach. Ma krótkie, jasne włosy. Uśmiecha się, chwytając ją w tali i przyciągając do siebie. Cała sztywnieję, nie wiedząc, czy zdoła mu się wyrwać. Ale ona nawet nie próbuje. Zamiast tego opuszcza rękę, która znika między ich ciałami. Mężczyzna oddycha gwałtownie, a później się śmieje, ciężko dysząc.

Przechodzi mnie dreszcz odrazy, gdy ona opiera się na nim i ich usta się dotykają.

Wilgotne sapanie i szelest niosą się echem po klatce schodowej. Która jest godzina, że są tacy śmiali? Nie boją się, że ktoś wyjdzie z mieszkania lub usłyszy hałas i wyjrzy przez judasza. Dawno temu zamknięto puby, więc mężczyzna mieszkający obok niebawem wróci.

Mężczyzna całuje ją tak brutalnie, że ona cofa się, uderzając o poręcz. Ręką chwyta balustradę. Rozlega się metaliczny brzęk, ale to ich nie powstrzymuje. Mags unosi wysoko kolano, obejmując jego udo, i wsuwa mu dłoń pod koszulę, odsłaniając fałd nad paskiem.

Przytrzymując się jedną ręką, przyciąga jego głowę w dół. Wygina grzbiet, przywierając twarzą do jego piersi jak zwierzę do koryta.

Nagle to ty pochylasz się nad poręczą, chwytając ramiona, które cię

trzymają. Otwieram usta, żeby krzyknąć do niego, aby przestał. PRZESTAŃ!

Ale to znowu ona.

Kiedy myślę, że za chwilę straci równowagę i runie w dół, wykonuje gwałtowny ruch do przodu, żeby ugryźć go w szyję. Oboje odsuwają się od poręczy. Oplata go nogami w pasie tak, że on podtrzymuje jej ciężar. Czekam, aż mężczyzna uderzy nią o ścianę i siłą wtargnie do środka, ale tego nie robi. Stoją tam, gdzie wcześniej, na środku podestu. Tylko się całują. Przysuwam się do drzwi, nasłuchując słów, które zawsze kojarzyły mi się raczej z nienawiścią niż miłością – „pragniesz tego, ty flądro, brudna dziwko, zdziro” – ale oni nie wypowiadają żadnych słów. Całują się w milczeniu.

Mój oddech zaparowuje szkiełko judasza. Odsuwam się, żeby je oczyścić. Staram się oddychać płytko i cicho. Zimne powietrze przepływa pod drzwiami. Zapach perfum miesza się z wonią, którą pachną wszyscy mężczyźni pod koniec dnia – potu, alkoholu i ostrego dezodorantu. Zapach sprawia, że mięśnie między moimi nogami się ściskają. Kiedy wracam do judasza, opiera ją o drzwi, ze spodniami zsuniętymi do połowy ud. Nagie pośladki naprężają się, gdy w nią wchodzi. Jej czarne botki do kostek, małe na jego szerokich biodrach, podskakują przy każdym pchnięciu. Zaciska palce na jego karku, jakby ją bolało.

Nagle gaśnie światło i słyszę jedynie szelest i zwierzęce sapanie, i ciche stukanie, jak gdyby ktoś próbował wejść do mieszkania.

I tak bez końca, aż nagle dolatuje mnie ostry wdech, jakby on ją zranił. Szelest narasta, stukanie staje się głośniejsze, mężczyzna dyszy niczym pies. Powinnam wyjść i jej pomóc, Abe. Tak jak powinnam była pomóc tobie, ale jestem przerażona. Nie tak jak tamtej nocy, ale na tyle, by zebranie się na odwagę i sięgnięcie do zasuw zajęło mi kilka sekund.

Kiedy moje palce zaciskają się na chłodnym mosiądzu, szelest i sapanie nagle ustają i zapada kompletna cisza.

A później odzywa się Mags.

– Jasny szlag – mówi donośnym głosem, który pobrzmiwa echem w ciemności.

*W szkolnej klasie jest ciepło. Dziewczynka stara się skupić na tym, co mówi panna Jarvis, ale co chwila przysypia. Broda zsuwa się z ręki, a ona budzi się gwałtownie, co wywołuje chichot innych uczniów.*

*– Czy ktoś może podać mi przykład użycia apostrofu?*

*Zoe Hill podnosi rękę.*

*– Kiedy skracamy wyrazy, na przykład pisząc „that’s” zamiast „that is”, wstawiamy apostrof przed literą „s”.*

*Dziewczynka marszczy brwi, próbując zrozumieć, ale szumi jej w głowie, a ból pleców rozprasza. Przesuwa się na krześle. Drewniana noga skrzypi, a oczy panny Jarvis zwracają się w kierunku źródła dźwięku. Gdy zdaje sobie sprawę, skąd pochodzi, uśmiecha się nieznacznie i odwraca głowę. Czasami, kiedy nauczyciele to robią – gdy okazują jej przyjaźń lub sympatię – czuje się jak zwierzę w zoo, jak szympanś za szklaną szybą. Goście przechodzący obok wybiegu współczują uwięzionej małpie. Spoglądają na nią ze smutną miną i kręcą głową, a później idą dalej.*

*Wierci się ponownie, ale ból pleców jest tak silny, że wzdycha.*

*Siedząca z tyłu Emily Bright ją przedrzeźnia. Były kiedyś przyjaciółkami, ale mama Emily zabroniła córce się z nią bawić. Emily powiedziała wszystkim, że dziewczynka jest zbrukana, a jej rodzice to przestępcy. Że ona i jej brat robili ze sobą różne rzeczy, gdy dzieci kładą się spać. Emily wpakowała się przez to w niezłe tarapaty, więc teraz siedzi cicho. Czasami tylko podstawi jej nogę, kiedy nauczyciele nie patrzą, trąci tacę podczas lunchu, żeby jedzenie upadło na podłogę, lub nagryzmoli coś na jej najlepszych rysunkach, które chowa do szuflady, by móc je oglądać, kiedy jest smutna. Jej ulubiony przedstawiał anioła siedzącego obok małej dziewczynki na łące pełnej różowych kwiatów. Niebo wyszło jej naprawdę dobrze, wycieniowała obszar nad kwiatami, zamiast narysować błękitną linię u góry jak niektórzy. Emily dorysowała ogromną brązową kluchę wychodzącą z ust anioła, co miało pewnie oznaczać kupę, a na całym ciele małej dziewczynki – rany i fioletowe siniaki. Gdy patrzy na rysunek, robi jej się przykro, czuje smutek i przerażenie. Wyrzuci go, kiedy nauczycielka nie będzie patrzeć.*

*Jakiś czas temu Emily przechwalała się, że jej rodzina przeprowadzi się do większego domu w ładniejszym mieście. W serce dziewczynki wstąpiła nadzieja, ale ostatnio Emily przestała o tym mówić.*

*Przecież nawet jeśli Emily wyjedzie, pozostaną Zoe i Melissa, i Stevie Daniels. Stevie Daniels ją uderzył, bo powiedział, że się śmiała, gdy opowiadał o operacji swojej mamy. Po prostu się uśmiechała, bo chciała, żeby zostali przyjaciółmi. Wpakował się przez to w kłopoty, ale niezbyt duże. Uderzenie nie bolało, ale teraz chłopak naskakuje na nią, kiedy przechodzi obok niego, tupie nogami, żeby podskoczyła, i patrzy gniewnie, jakby chciał ją zamordować.*

*Czasami pragnie, żeby to zrobił.*

*Ogarnia ją paniczny strach, bo zdaje sobie sprawę, że musi iść do ubikacji. Przez kilka dni tak ją bolało, że nie mogła sikać. I zauważyła różowe pasemka w żółtym płynie w misce klozetowej. Może jest poważnie chora i umrze.*

*– A teraz przymiotniki – mówi panna Jarvis. – Kto wie, co to takiego?*

*– To słowa, które coś opisują – odpowiada Jamie.*

*– Bardzo dobrze. Teraz przejdę się po sali, a wy będziecie mówić słowa, które was opisują. Jamie, ty pierwszy.*

*– Silny – mówi Jamie.*

*– Dobrze. Imran?*

*– Zdolny.*

*Padają kolejne słowa: wysoki, włochaty, jasnowłosy, miły, przyjacielski, niesforny, hałaśliwy, odważny.*

*Nadchodzi kolej dziewczynki.*

*– Piękna – mówi. – Grzeczna.*

*– Miało być jedno słowo, nie?! – syczy siedzący obok Stevie.*

*– Dobrze – mówi panna Jarvis. – Stevie?*

*– Głupia.*



– Brzydka – rzuca Emily, a dziewczynka czuje, jakby oczy dawnej przyjaciółki przewiercały ją na wylot.

– Śmierząca – dodaje Melissa i cała klasa wybucha śmiechem.

– Przyjechała policja! – woła nagle Jason Hicks i wszyscy pędzą do okna.

– Nie wiedziałam, że mamy dziś wizytę – mówi panna Jarvis, przyłączając się do uczniów. – Może chodzi o zajęcia z zasad bezpiecznego korzystania z internetu dla szóstej klasy.

Przyjechały dwie policjantki. Jedna młoda i ładna, druga starsza, siwowłosa. Żadna nie uśmiecha się do dziecięcych twarzy przyciśniętych do szyby. Przechodzą przez boisko z milczącą determinacją i znikają w drzwiach prowadzących do gabinetu dyrektorki.

– Czy pani Harrison popełniła przestępstwo, panno Jarvis? – pyta Zoe.

– Czy przyszli dlatego, że jej samochód jest brudny i nie można odczytać numeru rejestracyjnego?

– Czy ona morduje dzieci?

Wybuch śmiechu.

– Cisza! – warczy panna Jarvis. Jej twarz blednie. Razem z dziećmi patrzy, jak policjantki wychodzą w towarzystwie poważnej pani Harrison. Dyrektorka podnosi głowę i spogląda na salę panny Jarvis. Wymieniają krótkie spojrzenia.

– Wracajcie na miejsca – mówi cicho panna Jarvis, a dzieci posłusznie wykonują polecenie.

Dziewczyna idzie z trudem, jest przerażona.

Wiedzą, co zrobiła ostatniej nocy.

I wiele nocy wcześniej.

Wie, że to nielegalne. Rodzice jej powiedzieli. Powiedzieli, że jeśli wyjdzie na jaw, co robiła, pójdzie do więzienia. Że do końca życia będzie siedzieć w więzieniu z tymi samymi mężczyznami, z którymi robiła nielegalne rzeczy, a oni nie zdołają ich powstrzymać, gdy tamci będą chcieli naprawdę ją skrzywdzić. Będą mogli zrobić z nią wszystko, co zechcą.

Teraz w szkole jest policja. Zabiorą ją do więzienia, gdzie czekają na nią ci mężczyźni.

W korytarzu słyhać kroki. Dzieci milczą. Spoglądają po sobie. Podniecenie przeradza się w trwogę. Czy jedno z nich będzie mieć kłopoty? Czy komuś bliskiemu stało się coś złego?

Kroki są coraz bliżej.

Dziewczynka skacze na równe nogi, aż biurko skrzypi. Biegnie do drzwi.

– Dokąd idziesz?! – woła panna Jarvis, ale dziewczynka już pędzi korytarzem w drugą stronę, oddalając się od trójki dorosłych, którzy zamarli ze zdumienia.

Wybiega wyjściem awaryjnym, uruchamiając alarm. Ogłuszający dzwonek sprawia, że szcękają jej zęby. Słyszy za sobą krzyki, odgłos biegnących ludzi.

Wypada na boisko, kątem oka dostrzegając twarze przyciśnięte do okien i dłonie uderzające o szyby. Skręca na rogu i widzi główną bramę.

Jest już wystarczająco wysoka, żeby nacisnąć zielony guzik, który ją otwiera.

Ktoś woła jej imię, ale się nie odwraca. Przeciska się przez otwór, jęcząc z bólu, gdy metalowe pręty napierają na jej pęcherz, drażniąc obrzęk na plecach.

Sprzączka paska była mosięzna, taka kwadratowa. Kiedy zobaczyła, jak go zdejmuje, serce w niej zamarło, ale odetchnęła, gdy nie rozpiął spodni. Nie zrozumiała, bo nigdy wcześniej go nie spotkała. Nie wiedziała, że czerpie przyjemność z zadawania bólu. Chciał, żeby płakała i błagała, aby przestał. W końcu tatuś go powstrzymał, mówiąc, że ją poturbuje. Z kim się zabawisz następnym razem? He, he.

Mija bramę i biegnie chodnikiem w kierunku parku. Jeśli zdoła tam dotrzeć, będzie mogła ukryć się w krzakach. Chyba że spuszczą psy. Albo wezwą helikoptery z termolokacją, jak te, które widziała w telewizji.

Jeśli wskoczy do stawu, psy nie będą mogły jej zobaczyć ani wyczuć. Ale wtedy może utonąć.

*Lekko przyspiesza. Ma ciało sportowca, wuefista stale to powtarza. Nie może zrozumieć, dlaczego jest tak wolna, dlaczego tak szybko się męczy. Mówi, że nie ma formy, że źle się odżywia, zbyt późno chodzi spać.*

*Dziewczynka ryzykuje i spogląda za siebie. Popuszcza, czuje bolesne pieczenie w pęcherzu. Gonią ją policjantki. Są szybkie. Dziwna sprawa, starsza prowadzi. Ma przekrzywioną czapkę, energicznie pompuje rękami i nogami.*

*Dziewczynka jęczy, próbując przyspieszyć obok rzędu domów, ale jest bardzo zmęczona. Plecy ją bolą, pęcherz piecze. Nie ma już sił w nogach. Nie jest mocna, sprytna ani odważna. Jest po prostu zmęczona. Chce tylko, żeby to wszystko się skończyło.*

*Nadjeżdża ciężarówka. Czuje jej dudnienie pod stopami, zanim słyszy za sobą głośny warkot zagłuszający dźwięki pościgu. Nagle rozumie, co musi zrobić.*

*Ciężarówka jest tuż za nią, wielka i głośna, potrząsa drzewami i dzwoni szybami w oknach domów.*

*Wszystko wydarzy się tak szybko, że nawet jej nie zabol.*

*Zatrzymuje się i odwraca. Kierowca w szoferce patrzy na nią obojętnie, jest tylko cieniem za szybą, w której odbijają się drzewa parku. W parku by ją znaleźli. Znaleźliby ją wszędzie. Znaleźli i zabrali do tych mężczyzn. A wtedy byłoby jeszcze gorzej, choć nie potrafi sobie tego wyobrazić.*

*Ugina kolana, szykując się do skoku.*

*Ciężarówka jest tak blisko, że czuje jej brudny, świszczący oddech.*

*Teraz już tylko metr, pół metra. Wyskakuje w górę, zamykając oczy i czekając na potężne uderzenie.*

*Jej stopy odrywają się od krawędzi chodnika. Ciężarówka hamuje z piskiem, cały świat zaczyna dygotać.*

*W ostatniej chwili ktoś ciągnie dziewczynkę w tył. Czuje bolesne uderzenie, gdy ląduje plecami na chodniku. Dudniąca ciężarówka przejeżdża obok, a ona krzyczy z rozpacz.*

*Siwowłosa policjantka klęczy obok, przyciskając ją do ziemi, kiedy*

*próbuję się podnieść i rzucić pod koła następnego samochodu. I następnego.*

*W końcu się poddaje, przylega poranionymi plecami do chodnika i szlocha.*

*Kroki cichną. Druga policjantka staje obok, lecz nie próbuje jej podnieść ani skuwać. Zamiast tego delikatnie, jak rodzice zakochani w nowym bobasie, biorą ją w ramiona, nie przejmując się krwawym, kwaśnym moczem, który sączy się przez wytartą szkolną spódniczkę.*

*Kołyszają ją, dopóki się nie uspokoi i nie zrozumie słów, które bez przerwy powtarzają. Ich głosy się zlewają, jakby śpiewały kanon.*

*– Już dobrze. Wszystko w porządku. W porządku. Nic złego się nie stanie. Nigdy więcej. Obiecuję. Obiecuję.*

*Dziewczynka podnosi głowę i przesuwa wzrok z jednej twarzy na drugą. Jest zdumiona. Obie kobiety płaczą.*

**Sobota, 12 listopada**

## 20. Mags

Po nocy spędzonej z Danielem czuję się znacznie lepiej.

Kiedy mijają kolejne godziny poranka, a ja nadal odczuwam uniesienie, dochodzę do wniosku, że nie chodzi o seks (nasz był niezgrabny i niedający satysfakcji, bo oboje byliśmy pijani), ale o to, że obudziłam się, czując obok siebie przyjemne ciepło ludzkiego ciała. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo dokucza mi samotność w tym ponurym mieszkaniu, w nieprzyjaznym, zimnym mieście. Nie mogę również zaprzeczyć, że czułam się bezpieczniej u boku rosnącego, silnego mężczyzny.

Chcąc zrekompensować Danielowi ostatni wspólny ranek, kiedy dałam mu do zrozumienia, żeby spadał, zostawiam go śpiącego i idę po śniadanie do okolicznej piekarni.

Nie zajrzę dziś do szpitala, bo mogłabym wpaść na Jody. Jeszcze nie zastanowiłam się nad tym, co odkryłam wczoraj wieczorem w komputerze Abe'a. Nie były to jedynie fotografie. Otworzyłam historię przeglądania i zalogowałam się na stronę internetową, na której prowadził czaty. Odnalazłam wątek Redhorse'a. Pierwsze wpisy były przewidywalne: *Nie mogę przestać myśleć o Twoim fiucie, pragnę czuć go w sobie*. Tego typu rzeczy. Pornografia. Ale później pojawiły się bardziej intymne kawałki. Od Abe'a: *Myślałem o Tobie cały dzień*. Od Redhorse'a: *Niedługo Cię zobaczę*. Abe: *Liczę sekundy. XXX*.

Najpierw pomyślałam: Czy Jody dowiedziała się, że Abe ją zdradza? Ustawił komputer tak, aby pamiętał wszystkie hasła, więc dotarcie do jego zawartości nie było trudne. W ten sposób powracam do hipotezy, że to ona go zepchnęła, w co jednak trudno mi uwierzyć. Nawet gdyby doprowadziła do konfrontacji i doszło do szamotaniny, nie jest dostatecznie silna, żeby go pokonać. Poza tym czy urządziłaby konfrontację z wiarołomcą w drodze do domu, po zjedzeniu kolacji na mieście? Czy nie zrobiłaby tego w zaciszu swojego mieszkania?

Kiedy wracam z piekarni, niosąc torbę pełną francuskich rogalików, Jody wychodzi ze Świętego Hieronima. Widząc mnie, staje jak wryta. Mam na sobie parkę Abe'a – jest znacznie cieplejsza od mojego płaszcza przeciwdeszczowego – więc mogę wyglądać odrobinę przerażająco. Opuszczam kaptur i zmuszam się do uśmiechu.

– Dokąd idziesz?

Szybko mruga powiekami i odzyskuje głos.

– Do szpitala.

– Och. – Mój uśmiech słabnie. Z miną winowajczyni chowam torbę z rogalikami, aby nie rzucała się w oczy. Kiedy będziesz się cieszyć spokojnym, porannym seksem, ona stanie na warcie przy łóżku twojego brata. Ponownie jestem tą złą.

Mogę spławić Daniela i pójść z Jody, ale nie jestem pewna, czy zdołam usiedzieć obok niej i udawać, że nic się nie stało.

– Powiedz mu, że spróbuję wpaść później.

Kiwa głową, wstydliwie zakładając włosy za uszy. Nie sędzę, żeby zdawała sobie sprawę, jak zalotnie to wygląda. Pierścionek na palcu serdecznym przekręca się i widzę słowa wygrawerowane na stali nierdzewnej (teraz już wiem, że jest stalowy, nie srebrny).

*Prawdziwa miłość czeka.*

Robię wielkie oczy. Serio, Abe? Wiem, że nie miałeś forsy, ale czy naprawdę nie było cię stać na pierścionek zaręczynowy?

To obrączka cnoty, którą Abe i ja dostaliśmy od rodziców, gdy pojawiły się nam pierwsze włosy łonowe. Zabrałam swoją na uniwersytet, gotowa nosić ją, dopóki nie stracę dziewictwa. Kumpelki z King's College wymyśliły mi ksywę, gdy znalazły ją w moich rzeczach. Na moim akcie urodzenia widnieją imiona Mary Martha, ale one uznały je za niewłaściwe, i w ten oto sposób zostałam Mary Magdalene, kobietą cudzołożną, opętaną przez siedem demonów.

Oczywiście moje przyjaciółki nie znały Biblii. Maria Magdalena mogła nie być Maryją Dziewicą, ale stała u boku Jezusa, kiedy Go ukrzyżowali. Nie

była ladaczną, lecz świętą. Tak czy owak, zaakceptowałam pomysł i tak już zostało. Magdalene. Mags.

Pod koniec pierwszego semestru położyłam obrączkę na torach kolejowych, żeby została unicestwiona przez ekspres jadący do Londynu. Mogę zrozumieć, dlaczego Abe zatrzymał swoją – żeby się z niej śmiać lub rzucić nią po pokoju, kiedy pomyślał o rodzicach – ale dlaczego podarował obrączkę cnoty swojej kochance? Dla żartu? Nie wiem czemu, lecz Jody nie wydaje się dziewczyną, która zrozumiałaby tego typu żart.

Patrzę, jak oddala się pospiesznie, aby czuwać u jego boku. Ogarnia mnie fala współczucia połączona z gniewem. Jak mógł jej zrobić coś takiego?

Na stole w holu leży plik korespondencji. Dla każdego z lokatorów. Szczodra przyjaźń barów z jedzeniem na wynos. Nawet ćpunka spod siódemki dostała hojną garść, choć wygląda, jakby nie jadła od lat.

Plik Abe'a jest przepasany gumką. Biały róg lekko wystaje spomiędzy jadłospisów Bengal Kitchen i Pronto Pizza.

Wyciągam kopertę i otwieram ją.

*Ona tam była*

Przesuwam koniuszkami palców po wgłębieniach pozostawionych przez długopis, jakby mogły powiedzieć mi coś, czego oczy nie potrafią. Teraz mam pewność, że liścik jest przeznaczony dla mnie.

– Jest tam kto? – wołam w górę klatki schodowej. Echo mojego głosu niesie się długą chwilę.

Na górze otwierają się drzwi.

– Mags? Wszystko w porządku?

– Tak. Za minutkę będę.

Wsuwam kartkę do kieszeni i rozpoczynam wspinaczkę. Zatrzymuję się na drugim piętrze i zastanawiam, czy zapukać do ćpunka. Abe jest najwyraźniej biseksualny: może była jedną z jego kochanek? Byłaby zdolna do wszystkiego, żeby zdobyć pieniądze na następną działkę, choć nie jestem pewna, czy Abe znajdował się w aż tak rozpaczliwej sytuacji, skoro na scenie pojawił się Redhorse. Chyba że ćpunka była przed Redhorse'em i Jody. Czy



chowa urazę z powodu miłości, która łączyła ją kiedyś z moim bratem? Odczuwa wystarczająco silną niechęć, aby podjąć próbę zrobienia Jody?

Nie. Powiedziała, że tamtej nocy jej nie było, i trzymała się tej wersji, nawet gdyby mogła dostać nagrodę za informacje, że coś widziała.

Mijam drzwi zrzędlivej ćpunkki. A może jakiś inny zazdrosny kochanek?

Nagle zdaję sobie sprawę, jak rozpaczliwie próbuję udowodnić, że ktoś jest zazdrosny o Jody i stara się nas poróżnić, bo alternatywa – że autor listu mówi prawdę – jest dla mnie nie do pomyślenia.

Jody mnie okłamuje.

Była tam, kiedy Abe spadł.

Gdy wracam, Daniel stoi przy oknie i pije kawę. Mieszkanie wypełnia poranne słońce. Jasne włosy Daniela lśnią wszystkimi kolorami apostołskich szat. Ma na sobie džinsy i podkoszulek Abe'a – powiedziałam, że może je włożyć – które są odrobinę za ciasne, bo mięśnie mojego nowego kochanka zaczęły zamieniać się w tłuszcz. Odwraca się i uśmiecha. Czuję przelotny przypływ uczuć, jakby wstrzyknięto mi do krwi jakiś narkotyk. Krzątam się w kuchni, dopóki nie minie, a później podaję rogaliki i gazetę.

– O, jak miło – mówi, siadając do stołu. – Będzie z ciebie urocza żona.

– Spadaj – odpowiadam bez przekonania, sięgając po dodatek finansowy, choć moje oczy przesuwają się po kolumnach niewidzącym wzrokiem.

Wiem, że musi iść. Obiecał zabrać synów do Warner Brothers Studio, ale gdy spogląda na zegarek i wzdycha, czuję nagłe ukłucie żalu.

– Uważaj – mówi, kiedy całuję go na pożegnanie.

– Na co?

– Mało brakowało, a pozwoliłabyś sobie na okazanie uczuć.

– Taak, żebyś w końcu sobie poszedł i żebyś mogła wreszcie coś zrobić.

Uśmiecha się. Ma białe zęby, jak przystało na faceta z Vegas.

Słyszę jego kroki na schodach i skrzypienie otwieranych drzwi wejściowych. Później zapada cisza. Znowu jestem sama. Powraca opresyjna

atmosfera kościoła. Mam wrażenie, jakby ołowiany dach naciskał na mnie z góry.

## 21. Jody

Był piękny wieczór. Z powodu wulkanu. W wiadomościach powiedzieli, że miało to coś wspólnego z pyłem w atmosferze. Na niebie pojawiły się miliony odcieni czerwieni. Próbowałam je nazwać, spoglądając przez czysty skrawek szyby w moim pokoju. Karmazynowy i szkarłatny, cynobrowy, cyklamenowy, wiśniowy, burgundzki, rubinowy, różowy, jaskrawoczerwony, krwawy.

Miałam wrażenie, że ten cudny dar był przeznaczony wyłącznie dla mnie, bo ludzie przemykający Gordon Terrace byli pochyleni, a na głównej ulicy panował typowy zgiełk – wyły silniki autobusów, słychać było dźwięki klaksonów i syren oraz głosy przekrzykujących się osób. Nikt nie dostrzegał tego, co rozpościerało się w górze, tuż nad głowami.

Usłyszałam pukanie do drzwi. Pełne wahania, jakby osoba z drugiej strony przyszła prosić o przysługę. Pomyślałam o moich milczących sąsiadach. Może kobieta z mieszkania obok chciała coś pożyczyć. Postanowiłam nie odpowiadać. Gdybyśmy się zaprzyjaźniły, musiałabym mieć kontakt z jej partnerem, a facet mnie przerażał. Wprawdzie rzadko go widywałam, ale wydawał się bardziej zwierzęciem niż człowiekiem, jak większość mężczyzn, którzy wybrali taki wygląd.

Pukanie rozległo się ponownie.

Siedziałam przy oknie, nieruchoma i milcząca. Później ujrzałam Mirę idącą trawnikiem w kierunku głównej ulicy.

Jeśli nie ona puka, to kto? A jeśli to jej partner? Wiedział, że mieszkam sama. Gdyby...

– Jody?

Z westchnieniem zerwałam się na równe nogi i pobiegłam otworzyć.

W drzwiach stałeś ty, zwrócony profilem, jakbyś szykował się do

odejścia. Serce podskoczyło mi do gardła. Tak niewiele brakowało, żebym cię straciła.

– Cześć. Przepraszam, nie słyszałam, że pukasz – zatrajkotałam.

Odwróciłeś się. Byłeś ubrany do wyjścia – miałeś na sobie tę obszerną parkę z futrzanym kołnierzem. Zaczęłam gorączkowo myśleć o możliwej przyczynie odwiedzin: czy mogłabym odebrać twoją paczkę albo pomóc ci wejść do środka, bo zgubiłeś klucz...

Nagle zauważyłam, co trzymasz w rękach. Butelkę wina w jednej i dwa plastikowe kubki w drugiej ręce, do tego szary wełniany koc przerzucony przez ramię.

– Idę podziwiać zachód słońca – powiedziałaś.

– Myślałam, że tylko ja to zauważyłam.

Nasze oczy się spotkały.

– Pewnie jesteś zajęta. Wiem, że jest zimno, ale pomyślałem... gdybyś chciała...

– Tak! – wykrzyknęłam niemal, po czym ogarnęło mnie przerażenie, że zaprosiłeś kogoś innego i chciałeś tylko pożyczyć ode mnie korkociąg.

Ale ty odetchnąłeś z ulgą.

– To znakomicie.

Wysłałam na klatkę schodową i zabrałam się do zamykania drzwi.

– Hm, powinnaś ubrać coś cieplejszego!

To było w twoim stylu, Abe. Zawsze myślałeś najpierw o mnie i moich uczuciach, a dopiero później o sobie. W tej jednej sprawie twoja siostra miała rację: można kogoś kochać zbyt mocno. Powinieneś częściej myśleć o sobie, kochany. Powinieneś być mi powiedzieć, jak się czułeś. Wtedy mogłabym ci pomóc.

– Wejdz. Za minutkę będę gotowa.

Wszedłeś za mną i cicho zamknąłeś drzwi. Zaprowadziłam cię do salonu, a ty podszedłeś do okna. Obserwowałam cię przez chwilę – twój kontur

rysujący się na tle czerwonego nieba. Taki piękny.

Poszłam się przebrać. Dziwnie się czułam, gdy wpadłam do sypialni, wiedząc, że tu jesteś. W moim mieszkaniu. Było to przenikliwe doznanie podobne do wrażenia, które powstaje, kiedy zrywasz plaster i odsłonięty kawałek ciała zaczyna pulsować, otoczony powietrzem. Nie jest to ból, ale niezwykle silne odczucie.

Ściągnęłam spodnie do biegania, bluzę i podkoszulek. Powąchałam się pod pachami, a później, pod wpływem kaprysu, zmieniłam majtki z chłopięcych szortów, które zwykle noszę, na te różowe, z koronką z przodu. Dostałam je od dziewczyn w kawalerce. Przez koronkę można było zobaczyć moje włosy łonowe. Serce zaczęło mi walić. Co ja wyprawiam?

Uspokoiliłam się siłą woli, wytłumaczyłam sobie, że chcę tylko czuć się pewnie, być dla ciebie atrakcyjna.

Założyłam deszczową sukienkę, pulower z wełny arańskich owiec oraz różowe kaszmirowe skarpetki – pulower i skarpety dostałam na Boże Narodzenie od Helen. Później naciągnęłam botki ze sklepu z używaną odzieżą, poprawiłam włosy i w ostatniej chwili umalowałam usta.

Będzie musiało wystarczyć, powiedziałam sobie, wyślizgując się z sypialni. Nadal stałeś przy oknie. Podskoczyłeś na mój widok, po czym się uśmiechnąłeś.

– Moja ulubiona sukienka.

Odwróciłam się, czując, że robię się jeszcze bardziej pąsowa.

– Chodź, deszczowa dziewczyno, wino nie wypije się samo.

Kiedy wyszliśmy z mieszkania, ruszyłam na dół, bo najlepszy widok był z tyłu budynku. Moglibyśmy usiąść na murku otaczającym parking.

– Dokąd idziesz? – Uśmiechnąłeś się do mnie, oparty o poręcz. Bariereka wbiła ci się w biodra, koszula falowała, poruszana powietrzem wirującym w klatce schodowej.

Od przeprowadzki przechodziłam codziennie obok drzwi na końcu podestu, ale nigdy nie pomyślałam, do jakiego cudownego świata prowadzą. Otworzyłeś je jakimś sposobem, a gdy tylko uchyliłeś je szerzej i do środka

wpadło zimne powietrze, zrozumiałam, że wiodą na dach.

Podałś mi butelkę wina, wziąłeś za rękę i ruszyliśmy w górę betonowymi schodkami. Drzwi w dole zamknęły się z trzaskiem i na chwilę ogarnęły nas całkowite ciemności.

Chwyciłam cię mocniej.

– Wszystko w porządku – szepnąłeś. – Nie bój się. Jestem przy tobie.

Ścisnęłam twoją rękę.

– Wcale się nie boję.

Pamiętam, że pomyślałam o twoich delikatnych dłoniach. Nie były twarde i szorstkie jak u mężczyzn, ale gładkie jak moje.

Było tak ciemno, że nie widziałam, dokąd idę, a gdy dotarłeś do drzwi na szczycie, nie zatrzymałam się w porę i wpadłam na ciebie. Złapałeś mnie, żebym nie poleciała do tyłu, i objąłeś. Czułam na policzku futerko twojej parki. Miało ciepłą, miłą woń jak świeże siano.

Przytrzymałeś mnie sekundę dłużej, niż trzeba, a później pchnąłeś drzwi.

Ołowiany dach był śliski od butwiejących liści. Podeszwy moich botków nie miały przyczepności, więc nie puszczałam twojej dłoni, kiedy prowadziłeś mnie na środek dachu.

Iglicę otaczał niski murek zwieńczony krenelażem.

– Możemy usiąść tutaj – powiedziałeś. – Widok jest całkiem niezły. Możemy też wejść wyżej. – Uśmiechnąłeś się i uniosłeś brwi.

Podążyłam za twoim wzrokiem w kierunku małych drzwiczek iglicy. Przed miejscem, w którym się zwięzała, widniały dwa łukowate otwory wystawione na działanie sił przyrody.

– Widok z tamtego miejsca jest cudowny, ale będzie porządnie wiać. Dasz radę?

Wytrzymałam twoje spojrzenie.

– Jeśli mnie ogrzejesz – odparłam.

Szokująco zuchwałe słowa jak na mnie. Mógłbyś je nazwać

„prowokacyjnymi”, lecz wiedziałam, że mogę ci zaufać, Abe, i się nie myliłam.

Małe drzewczki prowadziły do spiralnej klatki schodowej. Chwilę później wyszliśmy na kamienny podest pokryty gałązkami i suchymi liśćmi przyniesionymi przez ptaki, które chciały tu uwić sobie gniazdo. Jedna para okien wychodziła na główną ulicę, druga była zwrócona na zachód, w stronę chowającego się za horyzontem słońca. Oddech zamarł mi w piersi.

– Uważaj – ostrzegłeś mnie, kiedy podeszłam do okna. – Jesteśmy wysoko.

Widok był niesamowity, obejmował cały Londyn. Mogłam zobaczyć Hampstead Heath i stadion Emirates oraz wszystkie wysokie biurowce i dźwigi w mieście.

Stałeś obok, kładąc rękę na mojej talii. Czułam napięcie twoich mięśni, jakbyś nie był pewny, że robimy to, co właściwe. Położyłam dłoń na twoim biodrze, abyś wiedział, że dobrze się z tobą czuję. Więcej niż dobrze. Byłam szczęśliwa.

– Założę się, że w tej chwili mamy najlepszy widok w całym kraju – powiedziałeś cicho.

Pozwoliłam, żeby moja głowa opadła na twoje ramię. Materiał parki wydał się zimny i śliski pod policzkiem.

– Zaczekaj.

Ku mojemu rozczarowaniu cofnąłeś rękę, ale po chwili zrozumiałam dlaczego. Zdjąłeś parkę i okryłeś moje ramiona. Otoczyło mnie słodkie ciepło twojego ciała.

Przez kilka minut po prostu patrzyliśmy w niebo. Ponownie zerwał się wiatr, a różnobarwne kosmyki zwijały się i rozwijały pod wysokimi, obramowanymi złotem chmurami.

– O czym myślisz? – spytałeś.

Spojrzałam ci w oczy i ledwie słyszalnym głosem wyszeptalam:

– O tobie.

Położyłam dłoń na twojej piersi. Tak szybko unosiła się i opadała. Zamarłeś bez ruchu, kiedy stanęłam na palcach i cię pocałowałam. Przez chwilę nie reagowałeś. Przeraziłam się, że źle odczytałam twoje intencje, co często mi się zdarza, ale gdy miałam się odsunąć, otoczyłeś mnie ramieniem i odpowiedziałeś pocałunkiem. Czułam się tak, jakby czas się zatrzymał. Nawet wiatr osłabł. Słońce musiało wyjść zza chmury, bo moje powieki zapłonęły czerwienią. Tak mocno zakręciło mi się w głowie, że wypadłabym przez okno, gdybyś mnie nie przytrzymał.

Po kilku minutach odsunąłeś się i uśmiechnąłeś do mnie, ale ja nie chciałam, żeby to się skończyło. Więcej, chciałam, żebyśmy posunęli się o krok dalej. Bardzo długo na to czekałam.

Przesunęłam dłonią po twojej piersi, a ty wstrzymałeś oddech.

Zaczęłam rozpinać ci koszulę.

– Jesteś pewna?

Skinęłam głową, a ty pocałowałeś mnie ponownie. Poczułam koniuszek twojego języka na moim. Zareagowałeś, obejmując mnie mocniej i przyciskając do siebie. Zaczęło we mnie wzbierać coś, czego nie czułam nigdy wcześniej.

Opuściłeś mnie delikatnie na parkę. Położyłam się i zamknęłam oczy, słysząc szelest suchych liści wokół nas.

Później znalazłeś się wewnątrz, poruszałeś się we mnie. Po chwili poruszaliśmy się razem. Staliśmy się jednym. Nasz oddech, bicie serca, wolne zbliżanie się i oddalanie – wszystko było idealnie zsynchronizowane, jakby nasze ciała się znały.

Nagle otworzyło się coś wewnątrz mnie niczym rozkwitający pąk. Pierwszy raz poczułam się kobietą.

Szeptaleś moje imię bez tchu, a ja mruzczałam twoje, przesuając dłońmi w górę i w dół po twoich gładkich plecach, czując emanującą od ciebie energię. Twoje wargi były na moim karku, na ramionach, na piersiach.

Przez skórę przepłynęła fala ciepła. Ożyły wszystkie zakończenia nerwowe, jakby całe ciało mi pulsowało. W głębi poczułam żar bijący jak



źródło, rozchodzący się moimi żyłami.

– Jody – powiedziałaś łamiącym się głosem. – Jody.

Później, przez kilka zastygłych w czasie sekund, gdy na mnie leżałaś – kiedy czułam twój oddech na uchu, twoje serce uderzające o moje żebra – spojrzałam w ostatnie promienie zachodzącego słońca i wiedziałam, że zostawiłam wszystko za sobą. Zostawiłam całe cierpienie i lęk, i wstyd. W dole, na popękany asfalcie, wirowały śmieci – to była moja przeszłość. Tutaj, w chłodnym, czystym oku wiatru, z krwawym niebem rozpostartym nade mną, objawiła się moja przyszłość. Z tobą.

Podniosłaś się na łokciach i uśmiechnęłaś do mnie.

– Wszystko w porządku?

Wiedziałam, że nie będę umiała wyrazić, jak bardzo, więc tylko się uśmiechnęłam i dotknęłam twojej twarzy.

– Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, bo prawie się nie znamy – powiedziałaś, obejmując dłonią mój policzek – ale myślę, że cię kocham.

Ja też cię kocham, Abe.

Kocham cię.

Kocham.

Kocham.

Kocham.

Kocham.

Kocham.

## 22. Mags

Postanawiam wydrukować wiadomości od Redhorse'a i pokazać je posterunkowej Derbyshire. Gdybym prowadziła tę sprawę, zbadałabym kilka tropów. Pierwszy: Jody odkryła, że Abe ma romans, i go zepchnęła. Drugi: Abe próbował zakończyć romans i został zepchnięty przez swojego kochanka. Trzeci: nieznana osoba zepchnęła go z nieznanых powodów, ale ktoś był tego świadkiem.

Jeśli nie zdołam skłonić Derbyshire do poważnego potraktowania jednego ze wspomnianych scenariuszy, zwrócę się o przysługę do którejś z amerykańskich firm detektywistycznych – może zdołają ustalić adres IP, z którego zamieszczono wiadomości na czacie – lub zrezygnuję i wrócę do domu. Szczerze mówiąc, ostatnia opcja wydaje się najbardziej atrakcyjna, ale czuję, że ze względu na Abe'a powinnam przynajmniej spróbować.

Zapisuję wiadomości na pendrivie i idę do kafejki internetowej przy głównej ulicy. Do drukarki jest kolejka, więc zamawiam latte i siadam przy stoliku, żeby poczekać. Dziewczyna za ladą pochodzi z Europy Wschodniej – jej cera odznacza się zielonkawą, rozmokłą bladością, która przywodzi na myśl topielca.

Na ulicy, tuż obok, ściana autobusów przesuwa się w tempie wolniejszym od chodu.

Piję latte i przeglądam poplamione kawą czasopisma. Pełno w nich radosnych doniesień o rozstaniach celebrytów. *Przyjaciele mówią, że Kelly nie mogła znieść jego wrogości w stosunku do jej najlepszych przyjaciół. Przyjaciele mówią, że on nie cierpi, gdy ona rozrzuca brudną bieliznę po całej sypialni.*

Ciskam magazyn w kałużę kawy. Cały przemysł oparty na *Schadenfreude*<sup>6</sup>, nakierowany na to, by jego niedowartościowani czytelnicy poczuli się zadowoleni ze swojej nędznej, szarej egzystencji i nudnych związków. Celebryci się rozstają, bo mają wystarczająco silne ego, żeby

odrzuć brednie innych. Reszta nie ma jaj, czuje się zbyt niepewnie, aby zdecydować się na samotność. Może trzeba być takim mięczakiem jak Jody, żeby czuć się naprawdę szczęśliwym.

Pewnie siedzi teraz u boku Abe'a, wpatrując się w jego szarą twarz, ściskając zwiotczałą dłoń i poruszając wargami w niemej modlitwie.

Jak mógł jej to zrobić?

Czy to zwyczajne tchórzostwo? Łatwiej było pozwolić, aby wierzyła w ich doskonałą miłość, niż przyznać się do tego, że jest niewierny, więcej, biseksualny? To nie pasowałoby do jej marzeń. Gdyby się dowiedziała, przeżyłaby potworny szok. Czy wystarczający, żeby pchnął ją do czegoś tak irracjonalnego i niezgodnego z jej charakterem? Do przemocy? Jody? Nie, wydawało się to kompletnie niedorzeczne.

Potrąfię sobie wyobrazić Jody z nożem, potarganymi włosami i oszalałym wzrokiem, dźgającą w bolesnym zapamiętaniu człowieka, który zabił jej marzenie, ale wypchnąć kogoś za poręcz? Wygląda to raczej na robotę mężczyzny.

Powtórzyłam Danielowi opowieść o jej pierwszym pocałunku z Abe'em, przesadnie eksponując scenę, w której obnażony do pasa Abe chłoczce płomień mokrą koszulą, a Jody omdlewa nad zlewem.

– Później posadził ją na grzbiecie swego arabskiego ogiera i zabrał na jacht na Karaibach? – zapytał.

Roześmiałam się.

– O co ci chodzi?

– Czy nie sądzisz, że to trochę w stylu książek Mills and Boon<sup>Z</sup>?

Wtedy bardziej interesowało mnie żartowanie z jego znajomości romansideł, ale dziś... sama nie wiem. Czy to wszystko nie jest zbyt doskonałe? Czy Jody nie zmyśla, aby ukazać rzeczywistość w różowych barwach? Jeśli tak, czy ukrywa coś o sobie? Czy za maską żalostnej małej ofiary nie kryje się bezwzględna psychopatka? Czyżbym była aż tak złą znawczynią ludzkich charakterów?

Chryste. Jak długo jeszcze będę musiała tkwić w tej dziurze?

Jakiś facet okupuje komputer, gładząc przez komórkę w nieznanym języku o gardłowym brzmieniu, łotewskim, ukraińskim lub jakimś innym. Mam ochotę podejść i wyrwać mu telefon z ręki. Zamykam oczy i oddycham głęboko, gdy maniakalny łotewski rechot odbija się rykoszetem od ścian kafejki. Dopada mnie typowe przygnębienie po seksie, więc myślę tylko o tym, żeby zadzwonić do Daniela i poprosić, by przyjechał na więcej. Oczywiście jest to ostatnia rzecz, jaką powinnam zrobić. Powiedziałam, że może do mnie zadzwonić, ale jeśli się odezwie, przekieruję go prosto na pocztę głosową. Na pewno nie chcę się wplątać w relację z mężczyzną, który ma dzieci i byłą żonę.

W końcu Łotysz się wylogowuje, a ja drukuję wiadomości i wychodzę.

Powrót do mieszkania upływa pod znakiem walki z niesłabnącym wiatrem. Podmuchy szarpią moim ubraniem, ryczą w uszach, wdzierają się do nosa, jakby starały się przeniknąć do mojego wnętrza. Kiedy docieram do Gordon Terrace, czuję się tak, jakbym przebiegła trasę maratonu, ale gdy skręcam do Świętego Hieronima, zaczyna wiać mi w plecy. Popychana naprzód potykam się na wybrzuszeniach ścieżki. Wypukłości wyglądają tak, jak gdyby korzenie drzew podnosiły asfalt, ale jak okiem sięgnąć nie widać żadnego drzewa.

Przy drzwiach wejściowych stoi kobieta. Kiedy podchodzę bliżej, okazuje się, że trzyma w ręku coś przypominającego duży kosz zawinięty w ozdobny papier z motywem pluszowego misia.

– Przepraszam. – Przechodzę obok niej, żeby otworzyć drzwi.

– Och, proszę wybaczyć – odpowiada. Mówi z akcentem klasy średniej niepasującym do tej okolicy. Od tyłu wydawała się młodsza, lecz zmarszczki na jej twarzy sugerują, że już dawno przekroczyła sześćdziesiątkę. – Zna pani Jody Currie? Mieszka na trzecim piętrze. Mam dla niej paczkę, ale wygląda na to, że wyszła.

– Mogę ją zabrać.

Dostrzegam karteczkę z dedykacją: *Dla Jody, z wyrazami miłości, Helen.*

Oto ciotka, która miała być aniołem stróżem Jody, lecz ją porzuciła i skazała na dorastanie w domu dziecka. Teraz próbuje przekupić własne

sumienie czymś, co pachnie jak kosz pełen kulek do kąpieli.

Nie patrząc kobiecie w oczy, wyciągam rękę, żeby odebrać przesyłkę.

– Może powinnam do niej zajrzeć? – mówi. – Mogła nie usłyszeć dzwonka.

– Widziałam, jak wychodziła – odpowiadam chłodno, stojąc w progu.

Kiedy nie podaje mi prezentu, podnoszę głowę. Oczy Helen są orzechowe, otoczone brązem. Ciężko dyszy. Srebrny medalion kołysze się na kościstej piersi, wznosząc się i opadając w świetle.

– Ona pani powiedziała, prawda? – odzywa się.

Spoglądam na nią obojętnym wzrokiem.

– Dopilnuję, żeby otrzymała koszyk.

– To wszystko nieprawda. Nic a nic. Proszę nie wierzyć w żadne jej słowo.

*Ona kłamie.*

Ponownie spoglądam na karteczkę z dedykacją. Litery są duże, pochyłe, a anonimy skreślono małymi literami z zakrętasami. Nawet gdyby próbowała ukryć charakter pisma, nie przychodzi mi do głowy powód, dla którego miałyby wysłać listy.

– Co pani ma na myśli?

– Bajki o jej przeszłości, rodzinie. O moim synu. Gwałcie.

Spoglądam na nią. Jakim gwałcie?

– Powiadają, że nie ma dymu bez ognia, prawda? – Jej oczy pokrywa gęsta siateczka cienkich żyłek. – Nie uszłoby mu to płazem. To, co według niej zrobił razem ze swoim przyjacielem. Koledzy udzielili im wsparcia, ale ludzie zawsze uważają, że prawda jest po stronie ofiary. Nie wzięli pod uwagę jej przeszłości. Była tak poturbowana...

Jej syn narkoman zgwałcił Jody, a teraz ona oskarża dziewczynę, że skłamała. Zniesmaczona przepycham się obok niej i otwieram drzwi.

– Żegnam.

– Kochaliśmy ją – mówi.

– Najwyraźniej nie dość mocno.

Jej twarz wykrzywia się w bólu.

– Musieliśmy chronić własnego syna, czyż nie? Gdyby sprawa pozostała między nami, dalibyśmy radę, ale kiedy Jody zaczęła rozpowiadać kłamstwa o naszym synu... Jej oskarżenia go zniszczyły.

– Wygląda na to, że sam się zniszczył. To nie miało z nią nic wspólnego.

Dłonie Helen w dalszym ciągu ściskają prezent, stopniowo siniejąc na chłodzie.

Nagły powiew wiatru sprawia, że karteczka przekręca się i odrywa, łopocząc na trawniku, ale Helen nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Co ona pani powiedziała?

Jody nigdy nie wspomniała o gwałcie. Dlaczego miałyby to zrobić? Mimo wszystko nie potrafię się zmusić do zamknięcia drzwi.

– Że obiecała pani się nią zaopiekować, wychować jak własne dziecko. Później pani syn uzależnił się od narkotyków, a pani nie mogła sobie poradzić, więc ją oddała. Co do oskarżeń... – akcentuję pogardliwie ostatnie słowo – gdybym miała wybrać: uwierzyć jej czy narkomanowi, wiedziałabym, komu zaufać. Miała pani obowiązek zaopiekować się dziewczyną. W końcu jest pani jej ciotką. Jej rodzice ją pani powierzyli.

Wytrzymuję spojrzenie Helen. Może nie jestem najlepszą siostrą dla Abe'a, ale tu przyjechałam. Spełniłam swój obowiązek, a ta kobieta uchyliła się od swojego.

– Nie jestem jej ciotką. – Oczy Helen są szeroko otwarte, zdumione, nabiegłe krwią. – Byłam jej przybraną matką.

Patrzę na nią przez chwilę, a później zatraskuję drzwi.

– Przez nią Felix sięgnął po narkotyki! – Szyba tłumi jej głos. – Oskarżyła naszego syna i jego przyjaciela o gwałt! Zniszczyła mu życie!

Pcham wewnętrzne drzwi, czując ucisk w klatce piersiowej.

– Ona ciągle kłamie! Ciągle! – Jej wołanie zagłusza wiatr.

Zatrzymuję się w bezpiecznym schronieniu klatki schodowej i opieram o ścianę, ciężko dysząc. W głowie mi wiruje.

Jody okłamała mnie w sprawie Helen.

Światło wpadające przez witraż jest stłumione, matowa czerwień obmywa ciemniejącą betonową posadzkę.

O czym jeszcze nakłamała?

Wybiegam na dwór. Helen kuśtyka Gordon Terrace. Kuli się przed wiatrem, koszyk kołysze się w jej dłoniach.

Ruszam za nią, omijając psie odchody i wyrzuszenia asfaltu. Muszę się dowiedzieć wszystkiego, co ma związek z rzekomym gwałtem. Czy Jody wszystko zmyśliła? A może instynkt macierzyński zaślepił Helen na trudną prawdę o jej synu, gwałcicielu i ćpunie?

Docieram do Gordon Terrace. Moje converse'y ślizgają się na wyrzuconym opakowaniu po chipsach. A może to converse'y Abe'a? Zaczęłam nosić jego ubrania bez zastanowienia, jakby były moje.

Helen dochodzi do głównej ulicy, ale musi jeszcze przejść między nastolatkami w dzinsach o niskim kroku i kapturach nasuniętych na głowy. Dzieciaki rozdzielają się na dwa szpalery, żeby przepuścić ją chodnikiem. Najwyraźniej coś mówią. Ich rechot przypomina szczekanie psów. Jeden z nich sięga po jej koszyk. Helen wyrywa się i zaczyna biec niezgrabnym truchtem, co sprawia, że śmieją się jeszcze głośniejsze.

Myślę, żeby ją zawołać, ale to zwróciłoby ich uwagę.

Zresztą po co miałabym to robić? Opieram się o latarnię. Skąd wiem, że Helen okaże się bardziej prawdomówna od Jody? Co powiedział Daniel? Nie istnieje coś takiego jak prawda, istnieje tylko to, do czego możesz przekonać ludzi. Helen będzie chciała, żebym uwierzyła w winę Jody, aby jej syn okazał się niewinny.

Kobieta jest już na głównej ulicy i skręca, przyciskając do piersi niewygodny pakunek. Nastolatki mnie zauważyły, więc zawracam i pędzę do kościoła. Jednak myśl o spędzeniu kolejnego wieczoru w ponurej, zasnutej

oparami wina samotności nie jest zbyt zachęcająca, więc wbrew sobie wyciągam telefon, żeby zadzwonić do Daniela.

Siadam na wolno obracającej się karuzeli. Rozmawiamy blisko godzinę. Spotkanie z chłopcami było udane. Tak udane, że łamiącym się głosem opisuje, jak płakali, gdy odwiózł ich do domu.

– Kochają cię, Dan – mówię cicho, osłaniając słuchawkę przed wiatrem.  
– Dlatego są tacy zmartwieni. Czy nie było warto się tego dowiedzieć?

Pocieszanie nie jest w moim stylu, ale rozpaczliwie pragnę, żeby pozostał na linii.

Pociąga nosem.

– Mądre słowa od kochanki serca.

Wyczuwam, że chce rozładować atmosferę, aby mnie nie wystraszyć.

– A twoja... żona? – Ledwie wyczuwalna pauza.

– Donna? Chce, żebym do niej wrócił. Żebyśmy spróbowali jeszcze raz.

Z zaskoczeniem stwierdzam, że serce mi się ściska, nie mogę złapać tchu.

– Mags?

– Przepraszam, wieje wiatr, więc nie słyszę każdego słowa.

– W takim razie wejdź do środka, wariatko.

– Tak. – Spoglądam na kościół, który pociemniał i przybrał jeszcze bardziej złowrogi wygląd. Jeśli teraz nie wejdę, mogę stchórzyć i ponownie wrócić do hotelu. – Za minutę będę w środku. Co jej powiedziałaś? – mówię lekkim głosem.

– Chcesz zapytać, czy powiedziałem: „Przykro mi, ale zakochałem się w innej”? – Jego ton jest szyderczy.

– Słuchaj, naprawdę muszę już iść. Powodzenia. Mam nadzieję, że wam się uda.

– Mags.

Kończę rozmowę. Nie wiem dlaczego, ale czuję się zraniona.



Karuzela wykonuje kolejny powolny obrót i oto mam przed sobą bandę nastolatków.

– Masz jointa, ślicznotko? – mówi dryblas z przodu.

– Nie. – Zatrzymuję się.

– Mogę zajrzeć? – Sięga palcami do zamka mojej torebki.

– Tylko spróbuj.

– Spokojnie, dziwko – wtrąca inny. Spoglądam na kościół, lecz wszystkie okna są ciemne. Na Gordon Terrace mruga kilka działających latarni. Ulica jest opustoszała.

– Daj torebkę – mówi swobodnym tonem dryblas.

– Nie. – Trzymam ją przy sobie. Musi się dopuścić fizycznej napaści, żeby ją wyrwać. Chyba że przetnie pasek.

Wyciąga nóż. Ma lśniącą niebieską rączkę z rysunkiem pająka. Dostrzegam otwory wzdłuż tępej krawędzi i wyszczerbioną powierzchnię ostrej. Zastanawiają mnie te otwory, a później sobie przypominam. Robią takie w nożach do serów – aby nie przywierały, kiedy znajdują się wewnątrz tego, co chcesz pokroić.

Oczy dryblasa są czarne i bezlitosne.

– Dawaj torebkę!

– Oddaj, bo obetnie ci cycki – radzi drugi.

Nie mam wyboru. Nikt nie przyjdzie mi z pomocą. Już mam przełożyć pasek nad głowę, kiedy z tyłu dochodzi charakterystyczny skrzyp otwieranych drzwi kościoła. Zapala się światło.

Chłopcy spoglądają w tamtym kierunku. To moja szansa. Odwracam się, żeby sprawdzić, czy ten, kto wyszedł, nie cofnie się na widok awantury, czy przytrzyma drzwi, abym zdołała wbiec do środka.

Ze zdumieniem stwierdzam, że to starsza pani spod jedyńki. W ostrym świetle jej włosy mają barwę fany i otaczają głowę niczym kask. Nawet z tej odległości widzę plamy różu na jej policzkach i krzywą linię pomadki nałożonej drżącą ręką. Trzyma tablet w mechatym różowym futerale z

kamerą wycelowaną w naszą grupkę.

Jej głos drży na wietrze, ale jest donośny.

– Widzisz, Martin? Nagrywasz? Jest ich pięciu. – Opisuje każdego po kolei. – Tak, wezwałam policję. Są już na głównej ulicy.

– Filmuje na FaceTimie – mówi jeden z chłopców.

– Powinniśmy dać nauczkę starej krowie – mówi drugi i robi kilka kroków w stronę kościoła, lecz starsza pani ani drgnie. Różowy meszek faluje na wietrze, ale jej włosy pozostają nieruchome.

Z oddali dolatuje wycie policyjnej syreny.

– Nadciągają federalni.

Dryblas pogardliwie wskazuje brodą w kierunku drzwi kościoła.

– Tam mieszkają same dziwki. Nie warto się nią przejmować. – Odwraca się i zaczyna odchodzić trawnikiem do niebieskiej siatki, która uniemożliwia staffordshire bull terrierom wejście na plac zabaw.

Powstrzymuję szyderczy uśmiech – lepiej nie kusić losu – i ruszam szybkim krokiem w drugą stronę.

Starsza pani przytrzymuje otwarte drzwi. Obie wycofujemy się pospiesznie do holu, sprawdzamy, czy drzwi są dobrze zamknięte, a później wchodzimy na klatkę schodową i stajemy, ciężko dysząc.

Wyciąga rękę.

– Lula Lyons. Miło mi cię poznać.

– Mags Mackenzie. – Jej dłoń jest sucha jak papier, ale uścisk ma mocny.

– Myślę, że mój brat był pani opiekunem.

Kiwa głową, a jej mętne oczy jaśnieją.

– Czy wiesz, że gdy pierwszy raz zobaczyłam, jak ciągniesz za sobą walizkę po ciałach, z włosami upiętymi z tyłu, pomyślałam, że to Abe? Porządnie mnie wystraszyłaś. – Kręci głową. – Był takim ładnym chłopcem.

– Dzięki – odpowiadam, wskazując tablet zwisający niedbale w jej dłoni.

– Dzięki za pomoc. Podziękuj osobie, z którą rozmawiałaś, że ich nagrała.

– Martinowi? – śmieje się chrapliwie. – Martin Scorsese był moim kotem. Zdechł rok temu. A ta cholerna maszyna – macha z pogardą tabletem – nie działa od tygodni. Twój brat zapoznawał mnie z nowinkami technicznymi. Nauczył mnie, jak rozmawiać z moją przyjaciółką w Catford za pomocą aplikacji FaceTime. Jednak ostatnio nie zależy nam specjalnie na tym, żeby oglądać swoje twarze. Wejdz, dam ci coś na uspokojenie.

Porusza się niepewnie, jakby ją bolało, ale nosi ciuchy babek sześćdziesiąt lat młodszych od siebie: top z lamy przetykanej złotą nitką, z rękawami wyszywanymi cekinami, obcisłą czarną spódniczkę z rozcięciem na udzie, ciemnoniebieskie kabaretki i botki do kostki, z krokodylej skóry, na niewysokich kieliszkowatych obcasach. Idę za nią z uśmiechem, po czym ponownie przybieram poważną minę, kiedy prosi, żebym usiadła.

Jej mieszkanie ma chyba podobną powierzchnię jak mieszkanie Abe'a. Urządziła je na wzór perskiego bazaru. Jedwabne kapy zwisają z sufitu, upstrzone tu i ówdzie srebrnymi lampionami, a to, co wzięłam za firanki, okazuje się kawałkami starej koronki. Podłoga jest wyłożona czymś, co przypomina odpoczywające latające dywany. Na ogromnej mahoniowej kanapie piętczą się poduszki i lekko uśmiechnięta szmaciana lalka z zielonymi kamyczkami w miejscu oczu. Siadam obok lalki, a Lula drepcze do kuchni za moimi plecami. Kuchnia ma taki sam układ jak u Abe'a, lecz zamiast szafek są rzędy otwartych półek uginających się od staroci: puszek i butelek, słoików z wielobarwnymi roślinami strączkowymi, miedzianych rondli, stert naczyń do gotowania puddingu i kwiecistych dzbanków z przyborami kuchennymi.

– Whisky? A może brandy? Myślę, że mam tu gdzieś trochę sznapsa.

– Chryste! Tak, proszę! Whisky!

Na stoliku z masy perłowej stoi lampa udrapowana szalem z frędzlami. Rzuci eteryczną poświatę na zdjęcie obok – dużą wersję fotografii z pliku Abe'a. Przypomina zdjęcie wykonane w studiu filmowym, w latach czterdziestych lub pięćdziesiątych. Oczy kobiety są szmaragdowozielone jak oczy lalki.

– Jesteś aktorką? – pytam.

– Byłam – prycha. – Ostatnio grałam zwłoki w serialu *Na sygnale*. Ale

teraz nawet na to jestem za stara. – Śmieje się ze świstem.

Wykrzywionymi palcami napełnia po brzegi dwa brudne kieliszki, przynosi do pokoju i siada w fotelu naprzeciw mnie, sapiąc z wysiłku. Zaćma sprawia, że jej zielone oczy wydają się mętne i matowe.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że widziałaś, jak pcham walizkę po ciałach?

Upija łyk whisky. Kąciki jej ust unoszą się jak u Jokera, może to pozostałość po prymitywnej próbie liftingu.

– Skoro mieszkamy w kościele – odpowiada – to gdzie jest cmentarz?

– Pewnie go przenieśli.

– Przenieśli kamienne nagrobki, ale ciała zostawili. Wraz z upływem lat stopniowo wynurzają się na powierzchnię. Czasami psy wykopią jakąś kość.

Krzywię się na myśl o tym, po czym codziennie stąpałam, a ona ponownie wybucha śmiechem. Draperie tłumiące dźwięk sprawiają, że brzmi niezwykle blisko mojego ucha.

– Może chciałabyś do kogoś zadzwonić? – pyta. – Takie przeżycie może człowiekiem wstrząsnąć.

Rzeczywiście. Tak boli mnie w piersi, że chcę pomówić z Danielem, ale właśnie dlatego nie powinnam tego robić. Jeśli zacznę na kimś polegać, jeśli stanie się dla mnie emocjonalnymi kulami, skończę jak Jody.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko, posiedzę tu chwilę. Nic mi nie będzie.

– Oczywiście, kochanie. Miło mieć gościa. Szczególnie gdy tak bardzo przypomina mojego pięknego chłopca. – Upija kolejny łyk whisky, odciskając szkarłatne półkole na kieliszku.

– Często widywałaś Abe'a?

Wzdycha.

– W każdy poniedziałek wieczorem przychodził tu i jadł ze mną kolację. Klopsiki lub wędzonego łupacza z purée ziemniaczanym. Do tego mocny trunek, pół butelki whisky, potem sherry. Wspaniale się bawiliśmy. Brakuje mi go.

Uśmiecham się na myśl o tym, jak się upijają, a później tańczą razem do jakiejś rewiowej melodii.

– On się nie obudzi, prawda?

Mój uśmiech gaśnie. Kręcę głową.

– Wiedziałam, kiedy go zobaczyłam tamtej nocy. Wszystko było we krwi. Nie chciałam na to patrzeć, ale nie mogłam się powstrzymać.

– Widziałaś, co się stało?

– Usłyszałam kroki na schodach, a potem krzyk tej biednej dziewczyny. Gdy wyszłam, klęczała u jego boku, cała we krwi, jak w filmie na podstawie książki Stephena Kinga... *Carrie*.

– Przykro mi – mówię. – Gdybym mogła coś dla ciebie zrobić... – Natychmiast gryzę się w język. Nie chcę spędzać u niej poniedziałkowych wieczorów, jedząc wędzonego łupacza i rozmawiając o dawnej chwale słynnej Luli.

– Przecież on był twoim bratem, kochanie – zwraca się do mnie delikatnie. – To mnie jest ciebie żal.

– I Jody – dodaję. – Ona naprawdę cierpi. Abe i ja prawie się nie znaliśmy.

Zapada chwila zdumionego milczenia.

– Jody?

Nie potrafię odczytać wyrazu twarzy Luli. Czuję, że serce zaczyna mi walić. Czyżby Abe wspomniał starszce o ich relacji? Zdradził jakiś sekret? Z drugiej strony nazwała Jody „tą biedną dziewczyną”, więc nie może sądzić, że miała coś wspólnego z jego upadkiem.

– Chyba nie zachowywał się wobec niej... agresywnie?

Unosi podkreślone kreską brwi.

– Twój brat nie miał w sobie krztyny agresji. Choć w tym przypadku nie miałabym do niego pretensji.

Odstawiam w połowie pusty kieliszek.

– Dlaczego?

– Och, ta dziewczyna nie dawała mu spokoju. – Przewraca oczami. Odrobina zeszcłej maskary opada na bluzkę. – Gdziekolwiek się odwrócił, ona tam była. Ciągnęła się za nim jak smród.

Jej słowa brzmią niczym skarga zazdrosnej starej kobiety. Może miała nadzieję, że upojne poniedziałkowe wieczory przerodzą się w coś więcej – w przyjacielski seks – żeby mogła sobie przypomnieć, jaką była pięknością.

Obserwuje mnie spod ciężkich powiek. W jej spojrzeniu jest coś, co sprawia, że dostaję gęsiej skórki. Nie jestem pewna, czy ją lubię, czy podoba mi się lekceważący ton, jakim wyraża się o Jody. Przyłapuję się na tym, że staję w obronie dziewczyny.

– Przecież była jego narzeczoną. To normalne, że człowiek spędza czas z osobą, którą zamierza poślubić.

Lula wybucha śmiechem, dźwięcznym i głośnym jak pianie koguta.

– Narzeczoną? Abe nie miał żadnej narzeczonej! W ogóle nie miał dziewczyny, kochanie.

Sposób, w jaki na mnie patrzy, połączony z wyrazem współczującej niewiary, powoduje, że mam ochotę dać jej w twarz.

Abe nie miał narzeczonej, więc kim była Jody? Dziewczyną, z którą przeżył przelotną przygodę, która została źle zrozumiana? A obrączka? A fotografia? Nie powiedział Luli, bo pomyślał, że będzie zazdrosna.

– Nie mów mi, że nie wiedziałaś.

Serce wali mi jak oszalałe. Z gniewu i czegoś jeszcze. Zaczynam rozumieć. O Boże...

Cekiny na jej rękawie połyskują. Kręci mi się od tego w głowie. Lula otwiera czerwone wargi, kropla śliny ciągnie się i odrywa.

– Abe był stuprocentowym gejem!

– Nie – zaprzeczam głupio. – Nie, przecież on... ona... – Mój mózg się wyteża, aby przetworzyć tę informację. Wiem, że to prawda.

Spoglądam w jego oczy na blankach zamku Eilean Donan i wiem, że jest

inny. Chociaż gruchanie dziewczyn nic dla niego nie znaczy, jego serce pragnie się przed kimś otworzyć tak jak moje. Czy wtedy próbował mi powiedzieć? Może domyśliłabym się, gdybym nie była tak pochłonięta sobą. Może powstrzymałabym go przed udawaniem kogoś, kim nie był.

Ale teraz jest w Londynie, z milionem podobnych mu mężczyzn. Nie ma powodu, żeby się wstydić lub bać. Nasi rodzice są pięćset mil dalej. Po co miałyby udawać?

– Dlaczego zatem... – zaczynam ledwie słyszalnym głosem. – Dlaczego zwodził Jody? Dlaczego po prostu jej nie powiedział?

– On jej nie zwodził. Doskonale o wszystkim wiedziała, ale udawała, że to nieprawda. Jest obłąkana, to przecież oczywiste. Chyba nie wychodzisz? Nie dopiłaś drinka.

Lecz ja jestem już na nogach. Przeskakuję poduszki i potykam się o kosze Ali Baby, pragnąc jak najszybciej dopaść drzwi.

Sadzę w górę po dwa stopnie, włączając światła po drodze. Wypadam na trzecie piętro i walę do drzwi tak mocno, że uszkodzony zamek skrzypi i lekko ustępuje.

– Jody! Jody! Otwieraj te cholerne drzwi! Ale już!

## 23. Mira

Mam to, czego chciałam. Przekonałam jego siostrę, że Jody go zabiła.

Bum, bum, bum, wali do drzwi.

Krzyczy, przeklina i grozi. Kucam w korytarzu, modląc się, żeby Jody nie otworzyła. Jego siostra jest taka wściekła, że zrobi jej krzywdę. Nie mam najmniejszych wątpliwości. To moja wina. Powinnam była to przewidzieć. Próbowałam cię chronić, Lorianie, a teraz ta biedna obłąkana dziewczyna cierpi z mojego powodu.

Rozlega się głośniejsze uderzenie. Ścianę, o którą się opieram, przechodzi wstrząs. Jego siostra wyważyła drzwi.

Słyszę jej kroki w korytarzu i kolejne głośne bum, gdy kopnięciem otwiera drzwi do pokoju.

Wiem, że nie powinnam się w to mieszać, a zajmować się dzieckiem i tobą, ale jak mogłabym spojrzeć sobie w oczy, gdyby przeze mnie Jody stała się krzywdą?

Lekko uchylam drzwi i nasłuchuję.

Żadnych odgłosów kłótni. Może Jody wyszła. Czy jego siostra sobie poszła? A może czeka na nią w środku? Czy powinnam wezwać policję? Zawiadomić, że doszło do włamania? Może syreny radiowozu ją przestraszą i będę mogła ostrzec Jody.

Kiedy wracam po telefon, słyszę coś, co sprawia, że moje serce paraliżuje lęk.

Kroki na schodach.

Proszę Boga, żeby ucichły. Żeby otworzyły się drzwi na innym piętrze, ale one dźwięczą dalej, coraz wyżej, wyżej, wyżej.

Później za słupkami poręczy ukazuje się jej twarz.



Jest blada i smutna jak zawsze. Nie ma pojęcia, co się stało. Co na nią czeka.

Wychodzi na podest, a ja ciągle za bardzo się boję, żeby otworzyć drzwi i ją zatrzymać. Mówię sobie, że to dlatego, iż myślę o dziecku i moim ciśnieniu krwi, ale to po prostu strach. Strach przed przyznaniem się do tego, co zrobiłam. Strach przed tym, co ciebie spotka, jeśli to uczynię.

Chwilę później jest już po wszystkim. Przechodzi obok moich drzwi, czuję na twarzy powiew jej sukienki. Znika w mieszkaniu.

Kiedyś – zanim cię poznałam – różnica między dobrem i złem wydawała się prosta. Wtedy byłam odważna. Byłam odważna, bo otaczali mnie kochający ludzie. Teraz oni są bardzo daleko. Zostałeś mi tylko ty, ale ty mnie nie kochasz.

Wstaję.

Może i się zmieniłam, może nie jestem już tą samą dziewczyną co kiedyś. Może stałam się wylękniona, zawstydzona, niekochana. Nie pozwolę jednak, żeby do tego doszło. Zgodzę się na każdą krzywdę, która może spotkać mnie – i dziecko – bo nie potrafię znieść kobiety, w którą się przeobraziłam. Kobiety, która pozwala, by inni cierpieli z powodu jej kłamstwa i tchórzostwa.

Teraz słyszę głosy.

Mówią tak szybko, że nie mogę nic zrozumieć. Słyszę wyraźnie gniewny głos jego siostry i drżące, piskliwe odpowiedzi Jody przypominające dźwięk małego kawała<sup>8</sup>. Jest wystraszona. Przerzuciłam na nią swój lęk, bo nie mogłam znieść jego brzemienia. Muszę mieć odwagę odebrać go z powrotem.

Zamek Jody leży na podłodze razem z kawałkiem oderwanej framugi. Ta kobieta musi być silna, choć jest szczupła jak jej brat. Może nie da się tak łatwo zranić.

Przekraczam próg, podtrzymując brzuch rękami, jakby pocieszająca dłoń mogła jakimś cudem skompensować bicie serca i przyspieszone krążenie krwi. Dziecko wyczuje mój strach i zacznie się bać. Nie jestem go godna.

Kiedy wychodzę na klatkę schodową, nadal słychać krzyki.

Sięgam ręką otwartych drzwi.

Nigdy nie byłam w tym mieszkaniu. Jest zniszczone i biedne jak nasze, ale ściany są obwieszane rysunkami. Myślę, że wszystkie przedstawiają Abe'a. Na środku pokoju jest stół. Na stole leżą nożyczki.

Jego siostra stoi przy stole z twarzą bladą jak *sultjash*<sup>9</sup>, chwytając kartki papieru i ciska je na podłogę, nie przestając krzyczeć. Jody kuli się przy ścianie i szlocha.

Nie odnoszę wrażenia, aby jego siostra chciała zrobić jej krzywdę. Mogłabym odejść. Nie widziały mnie.

Wtem krzyki ustają. Nagła cisza jest niemal szokująca. W uszach mi huczy, czuję pulsowanie krwi w głowie. Dziecko jest nadal wewnątrz mnie. Czy przeraziłam je na śmierć?

Łagodnie oczy Abe'a spoglądają na nas z rysunków wykonanych ołówkiem.

Jego siostra podnosi ostatnią kartkę lub dwie sklezione kartki. Nie widzę, co na nich jest. Myślę, że rzuci je na podłogę jak resztę, ale tego nie robi. Słowa, które wypowiada, są zimne i tak jasne, że rozumiem je bez trudu.

– Nigdy nie byłaś jego narzeczoną. Prześladowałaś go.

Wydyma wargi, chwytając rękami za górny brzeg kartki i zaczyna wykręcać kciuki. Chce ją rozedrzeć na pół.

Jody krzyczy.

– Nie, nie, nie!

I skacze po nożyczki, zanim zdążę zareagować.

*Siedzi cicho, z ołówkiem w ręku i pracą domową na kolanach. Pochyla głowę, jakby czytała. Ale nie czyta. Nie potrafi się skupić. Mózg broni się przed słabnącymi falami ciepła, które rozchodzą się we krwi, wywołując mrowienie w czubkach palców rąk i nóg.*

*Obok siedzi jej brat. Łóżko jest podwójne, więc mają dużo miejsca, ale trzymają się blisko – a właściwie to ona siedzi blisko niego, na tyle blisko, żeby czuć, jak jego pierś wznosi się i opada przy każdym westchnieniu i niecierpliwym drgnięciu ołówka, jakby były to ruchy jej własnego ciała.*

*Pod gołymi udami czuje miękką kołdrę. Miękką i czystą! Zmieniają tutaj pościel co tydzień. Wlewają do pralki gęsty niebieski płyn, który sprawia, że materiał pachnie jak kwiaty. Dywan ma beżowy kolor krówek, a większość mebli jest biała. Tata pije dużo kawy z drogiego ekspresu wykonanego ze stali nierdzewnej, więc od śniadania cały dom wypełnia aromatyczna woń. Mama piecze ciasto. Od zera. Używa ekologicznych jajek od kur z wolnego wybiegu, takich o jasnopomarańczowych żółtkach. Obiecała, że nauczy ją, jak upiec ciasto cytrynowe. Widać to nic trudnego.*

*Jej brat robi naburmuszoną minę i opiera się na wezgiłowi.*

*– Pieprzona nuda.*

*Uśmiecha się. Chciałaby mu pomóc, ale choć są w tym samym wieku, chłopak znajduje się na znacznie wyższym poziomie od niej. Ona jest dyslektyczką. Nie jest tępą i bezużyteczną i nie zajmuje niepotrzebnie miejsca, jak często jej powtarzano w przeszłości. Jej nowi rodzice podejrzewali dysleksję, więc nauczyciele poddali ją badaniom. Powiedzieli, że dlatego jest taka twórcza. Dyslektycy mają znacznie bardziej rozwiniętą wyobraźnię. Tutaj mówią o „posiadaniu wyobraźni”, zamiast kłamaniu, choć ona już nie odczuwa takiej potrzeby. Powiedzieli jej, że nie ma nic do ukrycia. Nic, czego mogłaby się wstydzić. Nic.*

*– Chcesz zagrać w Grand Theft Auto?*

*Kręci nosem. Obiecała mamie, że nie pozwoli mu się rozpraszać. Zrobiła duże postępy. Potrafi już czytać Harry’ego Pottera. Realizuje specjalny program nauczania, który w szkole nazywają Soundbites. Pomógł jej w pisaniu.*

– Chodź! Nie mam na to ochoty!

Brat ześlizguje się z łóżka i drapie po krzyżu, jego T-shirt się unosi. Skóra jego pleców jest idealnie gładka, bez żadnej skazy. Dezodorant ma przyjemną miętową woń, choć czasami po meczu zalatuje od chłopaka potem. Nie zastał, cuchnącym odorem wynikającym z braku higieny, ale świeżym, młodzieńczym zapachem, który można by butelkować i sprzedawać jako perfumy. Czuje, jak ogarnia ją miłość, jak rozgrzewa ją od środka po koniuszki palców. Ale się nie boi. Nie jest to miłość pochodząca z rozpacz, lecz taka, na której może polegać. Brat zawsze będzie jej oddany. Razem się zestarzeją. Będzie czułym wujkiem jej dzieci. Bo będzie mieć dzieci. Powiedzieli jej, że nadal może, mimo tego, co się stało.

Jej brat pociąga łyk z litrowej butelki coli, która stoi na stoliku nocnym, a mięśnie jego krtani poruszają się, gdy płyn przepływa przez gardło. Kiedy kończy, celuje pustą butelką do kosza i chybia, a później ociera usta ręką.

– Chodź, głupolu. Na co się gapisz?

– A jeśli mama przyjdzie?

Prycha.

– Nie odważy się wejść bez pytania. Przecież mogę ciągnąć druta!

Wydaje szczekliwy rechot, a ona się uśmiecha.

Grają ponad godzinę, więc cieszy się, gdy brat w końcu oznajmia, że jest głodny, i rzuca konsolę na dywan. Wstaje i rozprostowuje plecy. Jego brzuch jest umięśniony. Linia ciemnych włosów biegnie od pępka w dół, znikając pod spodniami dresu. Nagle, bez żadnego powodu, jej krtani się zaciska.

– Pójdę zrobić ci kanapkę – mówi szybko. – Na co masz ochotę?

– Na kanapkę z bekonem i mnóstwem keczupu. Najpierw podgrzej chleb w mikrofali, żeby masło się roztopiło. Do tego kubek herbaty, proszę, siostrzyczko.

– Już podaję! – Uśmiecha się i próbuje wstać z poduchy, ale ta leży zbyt nisko, więc leci do tyłu. On chichocze, chwyta ją za ramię i podrywa tak mocno, że ląduje na jego piersi. Jest twarda jak skała od tych wszystkich ćwiczeń, które wykonuje. Czuje na sobie spojrzenie jego niebieskich oczu, ale

*nie odpowiada spojrzeniem.*

*– A na co ty masz ochotę? – pyta. Jego oddech jest kwaśny od wypitej coli.*

*– Nie jestem głodna.*

*– Powinnaś więcej jeść. Spójrz na siebie. Jesteś płaska jak naleśnik.*

*– Będę.*

*– Dobra dziewczynka. – Daje jej klapsa w tyłek, kiedy wychodzi z pokoju.*

## 24. Mags

Siedzę sama w małym, zaniedbanym pokoju przesłuchań. Stół pokrywają ślady po petach, małe czarne wgłębienia, w które mogę włożyć czubki palców. Robię to od czterdziestu pięciu minut, czekając na posterunkową Derbyshire, która ma przyjść i odebrać moje zeznanie. Cały czas walczę z pokusą zadzwonienia do Daniela, który ma pewnie nocną randkę z Donną.

Próba zamordowania mnie, podjęta przez Jody, okazała się śmiechu warta. Dłoń trzymająca nożyczki tak mocno dygotała, że światło odbijało się od ostrzy niczym od dyskotekowej kuli. Skoczyłam na Jody i wyrwałam jej nożyczki. Mogłabym ich użyć przeciwko niej, gdyby nagle nie zjawiła się Mira. Rzuciła się między nas, machając rękami i wołając: „*Ndal! Ndal!*”<sup>10</sup>.

Otrzeźwił mnie melodramatyzm tej sceny, więc usiadłam przy stole, kiedy Mira dzwoniła na policję, a Jody płakała jak dziecko i próbowała pozbierać swoje papiery.

Było wśród nich kilka listów od Abe’a, w których prosił, żeby przestała, ostrzegał, że pomówi z Peterem Selbym – listów, z których powycinała poszczególne słowa, aby stworzyć nowe, zawierające to, czego pragnęła. *Moja Jody... kocham Cię... zawsze będę Twój...*

Ściany jej mieszkania były pokryte potwornymi portretami Abe’a, wykonanymi ołówkiem. Abe się uśmiecha. Abe śpi. Abe patrzy w dal z łezką pierrota na policzku. Można by je uznać za śmieszne, gdyby nie były tak żałosne.

Znalazło się tam też kilka zdjęć, które jak sądzę, ukradła z jego mieszkania po wypadku. Jedno ziarniste, powiększone na kserokopiarce i niezgrabnie skleione z jej fotografią. Z fotografią przedstawiającą całą postać. Zdołała je pomniejszyć – być może w kafejce internetowej – aby stworzyć coś przekonującego, jeśli nie przypatrzyłeś się dość uważnie. Mnie przekonało. Cały czas stało przy łóżku, a ja nie zwróciłam na to uwagi.

Okrutny odruch porwania wszystkiego na strzępy, na jej oczach, sprowokował ten żaloszny atak, ale cieszę się, że mnie powstrzymano. W końcu to dowody. Dowody, że jest psychopatką, która prześladowała mojego brata i zepchnęła go ze schodów, kiedy odrzucił jej zaloty.

Jak mogłam być taka głupia, żeby uwierzyć w te jej historie? Równie dobrze mogłaby opowiadać mi o wrózkach i jednoroźcach.

W końcu drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi posterunkowa Derbyshire.

– Panno Mackenzie. – Jej głos jest stanowczy, rzeczowy. Miejmy nadzieję, że czuje się głupio z powodu tych swoich bredni, że „nie każda tragedia jest przestępstwem”.

– Spisałam swoje zeznanie – mówię, przesuwając kartkę po stole.

Długo czyta. Potem podnosi głowę i patrzy na mnie.

– Widzę, że jest pani przekonana, że panna Currie próbowała zamordować pani brata.

– Oczywiście. Gdy odłączę urządzenia podtrzymujące życie, przestaniemy mieć do czynienia jedynie z usiłowaniem morderstwa.

Przesuwa się na krześle, co wywołuje pisk mechanizmu obrotowego, a później kładzie obie dłonie na stole. Zastanawiam się, czy w podręczniku policji zaliczają ten gest do kategorii zachowań łagodzących sytuację.

– Panna Currie zaprzecza, że miała cokolwiek wspólnego z wypadkiem pani brata.

– Zatem to już wypadek? Czy pani wie, że Jody jest notoryczną kłamczuchą? Powiedziała mi pani, że nie wie, czy Jody jest zdolna do przestępczych zachowań. To był kit, prawda? Osiem lat temu znalazła się w tarapatach za fałszywe zawiadomienie o popełnieniu gwałtu.

– Nie wniesiono zarzutów. Nie uznałam, by miało to znaczenie w tej sprawie.

– A więc nie miało znaczenia, że lubi kłamać? Uwierzyła pani w jej opowieść, nie podejmując żadnej próby przeprowadzenia śledztwa.

Derbyshire robi głęboki wdech i wydech, a następnie mówi:

– Niefortunną okolicznością jest to, że nie ma świadków upadku pani brata, a dowody mają w najlepszym razie charakter poszlakowy. Oprócz ostrzeżenia związanego z fałszywym zawiadomieniem o gwałcie panna Currie nie miała kłopotów z prawem. Nigdy nie groziła pani bratu przemocą, a on nigdy nie złożył skargi, że czuje się zagrożony. Poza tym nie sądzę, aby była wystarczająco silna fizycznie, żeby go pokonać.

Zakładam ręce.

– Czy prześladowania nie nazywa się „morderstwem w zwolnionym tempie”?

Mruga swoimi świńskimi oczkami, z rzęsami sklejonymi brązową maskarą.

– Pani brat nigdy nie złożył zawiadomienia o prześladowaniu. Odnoszę wrażenie, że panna Currie żywiła do niego bardzo silne, nieodwzajemnione uczucie. W przeszłości okazała skłonność do silnego zadurzenia.

– Jak to?

– Wszystko wskazuje, że czuła coś takiego do chłopaka, którego oskarżyła o gwałt. Do swojego przybranego brata.

– Co? – Patrzę na nią gniewnym wzrokiem. – Kiedy ją odrzucił, oskarżyła go o gwałt. Teraz odrzuca ją mój brat i kończy w stanie śmierci mózgowej. I pani nie dostrzega w tym żadnego związku? Mam pani pomóc?

Jej kwadratowe policzki czerwienieją, gdy stara się powstrzymać przed powiedzeniem czegoś, na co ma ochotę. Nie jest głupia. Wie, że jestem prawnikiem, i pewnie się domyśla, że nagrywam wszystko swoim telefonem.

– Fałszywe zawiadomienie o gwałcie i zabójstwo to zupełnie różne przestępstwa, o całkowicie innej patologii kryminalnej.

– Ten chłopak sięgnął przez nią po narkotyki. Zniszczyła ludzkie życie. – Pamiętam, jak chłodno potraktowałam jego matkę, Helen, a poczucie winy tylko wzmacnia mój gniew. – Powinna była trafić do więzienia.

Policjantka wzdycha.



– Jody Currie stwarza zagrożenie jedynie dla samej siebie, panno Mackenzie. Nie ma wystarczających dowodów, abyśmy oskarżyli ją o próbę zamordowania pani brata.

– Chcę się zobaczyć z pani przełożonym.

Derbyshire ponownie wzdycha i bierze się w garść.

– Pani brat był silnym, sprawnym młodym mężczyzną. Od pięciu lat trenował w Klubie Bokserskim Stone’a.

Otwieram usta, aby zaprotestować, że dopiero teraz o tym słyszę, ale w porę przypominam sobie, że wszystko, co Jody powiedziała mi o bracie, jest kłamstwem.

– Rozmawialiśmy z menedżerem, który powiedział, że choć szczupły, Abe był bardzo silnym zawodnikiem. Najwyraźniej padł ofiarą homofobicznych ataków jako nastolatek i nauczył się bronić.

Czuję rumieniec gniewu na policzku.

– Wiedziała pani, że mój brat był gejem, i mi o tym nie wspomniała? Pozwoliła pani, żebym cały czas wierzyła tej zwariowanej dziwce?

Patrzy na mnie uważnie.

– Ludzie mają skomplikowane życie prywatne, panno Mackenzie. Staje się ono naszą sprawą dopiero wówczas, gdy dojdzie do popełnienia przestępstwa.

– Na przykład do zepchnięcia kogoś na sam dół klatki schodowej?

– Jak powiedziałam, jest bardzo mało prawdopodobne, żeby panna Currie miała dość siły, by pokonać pani brata.

– Mogła wytrącić go z równowagi.

– Gdyby doszło do bójki lub kłótni, sąsiedzi na pewno by coś usłyszeli.

Prycham.

– Ci wariaci?!

– Rozmawialiśmy z jej opiekunką społeczną, która potwierdziła, że panna Currie nie przejawia skłonności do przemocy. Panna Currie zeznała, że

wyszła z mieszkania po usłyszeniu dziwnego hałasu... w tym domu dźwięk się mocno niesie, jestem pewna, że pani to zauważyła. Wtedy spostrzegła, że pani brat leży na betonowej posadzce, na dole klatki schodowej. Zeszła, żeby mu pomóc, po czym zadzwoniła z komórki pod dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Mogę odtworzyć pani nagranie. Panna Currie jest w stanie hysterii.

– W takim razie to dobra aktorka. Miała ze sobą komórkę, więc albo niedawno była na dworze i właśnie weszła, albo zamierzała wyjść, prawda?

– Niektórzy ludzie cały czas noszą komórkę przy sobie. Mogła również spojrzeć w dół, zobaczyć, co się stało, pobiec po komórkę i zejść do Abe'a.

Patrzę na nią gniewnym wzrokiem. Cholerna bezużyteczna brytyjska policja. Mogłabym wnieść prywatne oskarżenie, dowody poszlakowe są całkiem mocne.

– Możecie ją przynajmniej oskarżyć o marnowanie czasu policji, prawda? Te wszystkie kłamstwa o depresji?

– Została upomniana.

– Kolejne upomnienie? Po tym wszystkim, co zrobiła?

– Rozumiem pani uczucia. Wyszła pani przez nią na głupka, ale zranienie czyjejs dumy nie jest przestępstwem.

Czekam z udzieleniem odpowiedzi, aby mój głos był spokojny.

– Skoro jest pani przekonana, że ta psychopatka nie ma nic wspólnego ze sprawą, jak według pani doszło do upadku mojego brata?

Długa chwila milczenia.

Pomadka policjantki sączy się przez zmarszczki wokół ust. Dlaczego one to robią? Kobiety posiadające władzę. Dlaczego tak kurczowo trzymają się przestarzałych wyobrażeń o kobiecości? Babka wygląda jak leciwa stewardesa.

– Nadal sądzę, że mógł cierpieć na depresję – mówi, a jej głos ponownie staje się ludzki. – W pani rodzinie zdarzały się przypadki chorób psychicznych.

Sztywnieję.

– Rozmawialiśmy z jego lekarzem pierwszego kontaktu w Szkocji. Jak pani zapewne wie, Abe był leczony na depresję, gdy miał piętnaście lat. – Starannie unika mojego wzroku. – Bardzo ciężko pracował. Jego pracodawcy przyznali, że doświadczał silnej presji. Myślę, że on skoczył, Mary – mówi delikatnie.

Oddycham wolno, mając pokusę ją poprawić – dla ciebie „panno Mackenzie” – ale w jakim celu miałabym to robić?

Wstaje od stołu, bierze moje zeznanie ze wszystkimi zarzutami pod adresem Jody i mówi, że mogę zostać w pokoju tak długo, jak będę chciała.

Kiedy wychodzi, gapię się na jasnoniebieską ścianę z pojedynczym śladem wyłobionym w tynku.

To nie moja wina. Byłam dzieckiem, jak Abe. Oboje walczyliśmy, aby przeżyć. Nie jestem zaskoczona, że popadł w depresję. Brał prozac, kiedy ja pocieszałam się alkoholem i przygodnym seksem. Oczywiście pierwsza forma wołania o pomoc budzi więcej współczucia od drugiej.

W ciszy słyszę stłumione głosy i trzaskanie drzwi, czasami śmiech. Czy ona tu jest? Czy już z nią skończyli? Odesłali do domu, żeby wymyśliła kolejną historię ze złą siostrą, która zatrąła umysł Abe’a, zwracając go przeciw niej? Albo go zabiła, żeby nie mogli ze sobą być?

Mogłabym po prostu wrócić do Vegas. Do dawnego życia. Do Jacksona, do odrobiny rozrywki bez żadnych zobowiązań. Mogłabym zostawić przyszłość Abe’a w rękach lekarzy. Zostawić Daniela Donnie.

Zamykam oczy, naciskając koniuszkami palców wypalone ślady po papierosach. Pokój śmierdzi zastałym dymem. Nie zmienili dywanów od czasu wejścia zakazu palenia.

Mój telefon gniewnie wibruje w torebce. Zmuszam się, żeby na niego nie spojrzeć, ale nie mogę stłumić dziecinnej nadziei, że to Daniel.

Może Derbyshire ma rację. Może Abe skoczył. Był przepracowany i wyczerpany. Jody cały czas wisiała mu na karku, więc lękał się powrotów do domu. Może znajomość z Redhorse’em źle się skończyła i był załamany.

Jednak obraz mojego brata, który odmalowała Lula, nie był depresyjny.

Kiedyś mógł być zamkniętym w sobie nastolatkiem o skłonnościach homoseksualnych, ale teraz? Powieść na jego stoliku nocnym była w połowie przeczytana. Dotarłam do strony, którą zagiął, zaraz po gwałtownym zwrocie akcji, gdy wszystko się rozsypało. Wiem, że zabrzmi to śmiesznie, ale czy przed skokiem nie chciałoby się poznać rozwiązania zagadki? Chyba że zrobił to pod wpływem impulsu. Może wrócił po samotnie spędzonej nocy, topiąc smutki w alkoholu. Tylko że Abe niczego nie pił, a do zdarzenia doszło wczesnym wieczorem, zaledwie godzinę po powrocie z pracy.

Myślę o siniakach na obojczyku Jody i rozdartej koszuli. O tym, że jedno i drugie jest śladem walki.

Że Abe nie miał na sobie kurtki z portfelem w kieszeni, jakby ktoś zapukał do drzwi i na chwilę wywołał go na zewnątrz.

I myślę, że Jody była gotowa zniszczyć życie ostatniemu mężczyźnie, który ją odrzucił.

Jestem pewna, że to zrobiła, ale co mogę wskórać, dysponując tak słabymi dowodami?

Wstaję od stołu i czuję, że moje nogi są jak z waty. Podnoszę torebkę i wracam korytarzami posterunku do recepcji.

Jest tam kobieta, która odwiedziła Jody w dniu jej urodzin. Rozmawia cicho z oficerem dyżurnym. Na mój widok przerywa.

– Przepraszam, panno Mackenzie. Nazywam się Tabitha Obodom. Jestem pracownikiem socjalnym, zajmuję się Jody Currie. Czy mogłabym...

Mijam ją bez słowa. Nie chcę słuchać wzruszającej opowieści, którą wymyśli tylko po to, żebym zrezygnowała z oskarżenia. Mam tego wszystkiego po dziurki w nosie.

Na dworze jest ciemno. Pada wystarczająco silnie, aby było nieprzyjemnie, ale nie dość, żeby chodniki lśniły. Muszę doprowadzić do konfrontacji z Jody, lecz ostatnią rzeczą, której pragnę, jest powrót do Świętego Hieronima. Z drugiej strony nie mam siły na szukanie hotelu. Wrócę i pójdę wcześniej spać, a rano zdecyduję, czy zostać i wszystkiego dopilnować, czy zrezygnować i wrócić do domu. Zwykle nie daję za wygraną, ale dziś wieczór czuję się pokonana. Kiedy przejeżdżająca

ciężarówka opryskuje mi nogi kaskadą brudnej wody z kałuży, chce mi się płakać.

Jednak zamiast tego wyjmuję telefon, żeby wezwać taksówkę.

Nieodebrane połączenie było od Daniela. Nie zostawił żadnej wiadomości. Nie oddzwonię do niego.

## 25. Mira

Jego siostra powiedziała policji, że muszą aresztować Jody za popełnienie morderstwa. Jednak oni tego nie zrobili. Nie krzyknęli: „Masz prawo zachować milczenie!”, jak w programach telewizyjnych o brytyjskiej policji. Powiedzieli tylko, że zabiorą ją na posterunek, aby odbyć małą pogawędkę. Była bardzo zdenerwowana, więc obchodzili się z nią delikatnie. Jestem im za to wdzięczna.

Nie wiem, co powie na posterunku. Czy w dalszym ciągu będzie cię chronić?

Chociaż nadal nie wróciłeś, zaczynam szykować obiad. Zapach cebuli powoduje, że robi mi się słabo. Wiem, że wystarczy zjeść kawałek chleba z masłem, żeby poczuć się lepiej, ale tego nie robię. Mówisz, że kobiety używają ciąży jako wymówki, aby się roztyć jak świnia.

Czy dlatego poszedłeś do innej?

Sądysz, że się nie domyśliłam?

A *kondomat*<sup>11</sup> w twojej torbie z siłowni?

A przesiadywanie do późna w pubie, z kolegami z budowy?

A wkradanie się chyłkiem do mieszkania w środku nocy, jak kilka dni temu?

I nieświadome uśmiechy, kiedy myślisz o czymś – o kimś – ale to nie jestem ja.

Zupełnie jakbyś pragnął, żebym się dowiedziała, podczas gdy ja uparcie tego odmawiam, prawda?

Bo gdzie miałabym się podziać bez ciebie?

Będę musiała wrócić do domu. Wstydzić się, że nie zdołałam utrzymać mężczyzny. Hańba otoczy mnie jak zły zapach, zniechęci innych mężczyzn,

którzy kiedyś mogli mnie pragnąć. Skalana kobieta z bękartem.

Ludzie, od których dostaliśmy to mieszkanie, uznają za dziwne, że potulnie wróciłam do Albanii, gdzie prześladują nas za to, że jesteśmy Romami. Dlaczego powiedziałaś im, że jesteśmy Romami? zapytałam. Bo wtedy łatwiej dostaniemy mieszkanie, odparłeś. Dlaczego nie chcesz wrócić do domu? Moi rodzice tego nie rozumieją. Ja też nie rozumiem. Zerwałeś wszystkie więzi z ojczyzną, jakbyś uwierzył w kłamstwo, które przekazałeś brytyjskim władzom, że nasze życie jest zagrożone. Że nigdy nie będziemy mogli wrócić.

Czy zdołasz zostawić dziecko, Lorianie? Przynajmniej je wydajesz się kochać.

To cud, że w ogóle zaszłam w ciążę. Kochamy się najwyżej raz lub dwa razy w miesiącu, kiedy jesteś pijany. Chcesz mieć syna. Mówisz, że wtedy nie byłbyś smutny, wracając nocą do naszego ponurego domu. Nazwałbyś go Pjeter, skała, bo właśnie taki powinien być mężczyzna. Mężczyzna musi być silny, bo kobiety są słabe. Opiekowanie się mną jest twoim brzemiem.

Ojcu ciężar opieki nad moją matką i siostrami wydawał się lekki. Tata często się śmiał. Jednak każdy mężczyzna jest inny, podobnie jak każda kobieta.

W dniu, gdy opuszczałam dom, mama powiedziała, żebym była dla ciebie dobrą żoną. Płakała, kiedy to mówiła. Stałeś obok samochodu z twarzą twardą i zimną jak lód w kałużach zalegających w rowach. Tata upomniał ją, żeby się uciszyła, bo cię irytuje. Był wdzięczny, że mnie wybrałeś, bo pochodziłeś z rodziny lepszej niż nasza. Matka odparła, że to ty powinieneś być wdzięczny, bo jestem najpiękniejszą dziewczyną w całej Tiranie i mogłabym mieć każdego mężczyznę, jakiego zechcę.

Wybrałam ciebie. Tata nie zmusiłby mnie do małżeństwa, gdybym tego nie chciała. Zrobiłam to z miłości, ale nie do ciebie. Do nich. Nie mogłabym znieść ich rozczarowania. Sądziłam, że zdołam sprawić, żebyś mnie pokochał. Wcześniej przychodziło mi to bez trudu. Uważałam, że mężczyźni to proste istoty: wystarczy się uśmiechać i nosić ładne rzeczy, malować usta i słuchać ich narzekań, ugotować kolację i rozłożyć nogi. Myślałam, że wtedy nadejdzie miłość.

Wiedziałam, że mnie nie pragnąłeś, chociaż poprosiłeś o moją rękę. Wcześniej nigdy mi się to nie zdarzyło. Byłam podekscytowana na myśl o przekonaniu cię do zmiany. Wyobrażałam sobie chwilę, w której ulegniesz. Kiedy będziemy się kochać, miłość ogarnie cię niczym fala przewalająca się nad głową. Ale ty pieprzyłeś mnie, jakby moja *pidhi*<sup>12</sup> była dziurą w materacu.

Jaka ona jest? Ciaśniejsza? Bardziej miękka? Ładniej pachnie?

Czy to Jody? A może to ta narkomanka piętro niżej? Jeśli tak, wzdrygam się na myśl, co mogłeś przynieść do naszego łóżka.

Pokonuję mdłości i kroję cebule, a później myję i wycieram rękę. Składam ręcznik i wieszam go na rączce kuchenki tak, by tylna i przednia kraweź były równo. Lubisz, żeby w mieszkaniu panował porządek.

Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

Gdybym była w domu, nakarmiłabym świnie lub zebrała jajka, odcięła rozłogi dyni. Albo namaściłabym włosy oliwką z oliwy i położyła się przy oknie, czytając powieść Ismaila Kadarego. I czekałabym, aż oliwka wsiąknie w moje włosy i sprawi, że staną się błyszczące i gładkie, aby mężczyzna mógł przesuwając w nich palcami.

Dzisiaj cieszę się, że mogę schować włosy pod chustą. Oglądanie ich tylko by mnie zasmuciło.

Nie pozostaje nic innego, jak czekać, więc oglądam telewizję – bardzo cicho, żebym mogła usłyszeć twoje kroki odbijające się echem w klatce schodowej. Oglądam program, w którym Anglicy krzyczą na siebie za to, że źle się traktowali. Czasami mnie to bawi. Zawsze poprawia mi nastrój, bo pokazuje, że wszyscy ludzie mają problemy, a moje nie są wcale takie wielkie.



## 26. Mags

Daniel przesyła wiadomość, pyta, jak się czuje mój brat. Głupie pytanie, wynikające najpewniej z poczucia winy, że jego domowe szczęście rozpało się na nowo, więc nawet nie zadaję sobie trudu, aby odpowiedzieć.

Z posterunku jadę prosto do szpitala.

Nie zastaję Jody. Pielęgniarki sprawiają wrażenie, jakby nie wiedziały, co się stało. Powiedziałabym im, że ma zakaz odwiedzania mojego brata, ale jest to jedyne miejsce, w którym na pewno ją spotkam, więc tego nie robię.

Kiedy proszę o rozmowę z doktorem Bonville'em, mówią, że jest u innego pacjenta. Będę musiała poczekać. Zamierzam powiedzieć mu, że chcę, aby odłączyli Abe'a od aparatury podtrzymującej życie. Ale gdy siedzę przy łóżku brata, nie potrafię skupić się na powieści. Czytam jedną stronę sześć razy, nie rozumiejąc, o co chodzi. W końcu zamykam książkę z westchnieniem.

Twarz Abe'a jest niemal tak blada jak powłoczka poduszki. Siniaki mają teraz zielonkawożółtą barwę, jakby pomalował się farbą świecąca w ciemności.

Nie potrafię, jak Jody, przymilać się do czegoś, co przypomina zwłoki, ale mogę przynajmniej potrzymać go za rękę.

Szum krwi w uszach zagłusza szmer monitorów, kiedy pochylam się i ujmuję jego bezwładną dłoń.

– Cześć, Abe. To ja, Mags.

Dotknęłam go pierwszy raz od czasu, gdy staliśmy na murach zamku Eilean Donan.

Jego palce są chłodne i suche. Obawiałam się, że będą oślizgłe jak u trupa. Ostrożnie wsuwam moją rękę pod jego dłoń, a później zaciskam palce wokół jego palców.

Wszystkie dźwięki cichną, kiedy zamykam oczy, koncentrując się na łączności między nami. Na kanale elektrycznym, magnetycznym lub cholera wie jakim, który stanowi podstawę ludzkiej duszy.

Dobry Boże. Nie mogę odetchnąć, przełknąć śliny ani otworzyć oczu. Jestem sparaliżowana jak mój brat. Mój piękny, uprzejmy, oddany brat, który jadał rybne kolacje z podstarzałą gwiazdeczką i kochał faceta z czerwonym koniem wytatuowanym na biodrze.

Jego palce zaciskają się na moich. Tylko na chwilę.

Później słabną i ręka ponownie staje się bezwładna.

Otwieram oczy. Mój brat leży bez ruchu, powieki opierają się na policzkach. Respirator zasysa i pompuje tlen, kardiomonitor wydaje regularne dźwięki. Gdzieś w oddali, w zakamarkach szpitala, rozlega się alarm.

Nie pochylam się i nie błagam go, żeby dał znak, jeśli mnie słyszy. Nie ulegam żadnym iluzjom. To odruchowe czynności, nic więcej.

Ale nie puszczam jego ręki.

Doktor Bonville zjawia się na oddziale, lecz ja już zakładam płaszczyk. Zmieniłam zdanie. Czy chciałam pozwolić, żeby mój brat umarł tylko po to, by odegrać się na Jody? Co się ze mną dzieje? Czy tak długo tłumiliłam w sobie wszelkie uczucia, że stałam się nieludzka?

– Panno Mackenzie, zamierzałem do pani zadzwonić, ale byliśmy bardzo zajęci. Mógłbym zamienić z panią słówko? – Wskazuje drzwi, abym poszła za nim.

– Możemy porozmawiać tutaj – mówię. – Przecież Abe nie usłyszy.

Waha się chwilę, a później ulega. Kiedy zaczyna mówić, jego głos jest bardzo cichy.

– Pani brat nabawił się infekcji płuc. Gdy się zorientowaliśmy, infekcja zdążyła przejść w zapalenie. – Po chwili dodaje pospiesznie: – Nie było to spowodowane niczym zaniedbaniem. U najpoważniej chorych pacjentów takie rzeczy się zdarzają.

– Podaliście mu antybiotyki?

Waha się.

– Tak.

– W porządku. Nie musicie mnie pytać o takie rzeczy, prawda?

– Nie musimy. – Spogląda na drzwi, jakby szukał drogi ucieczki, a ja ponownie myślę, jaki jest młody.

Bierze oddech.

– Zapalenie płuc to bardzo poważna sprawa u pacjentów w stanie Abe'a. Szczególnie jeśli infekcja dotrze do krwiobiegu i wywoła posocznicę. Zatrucie krwi. Niestety testy na sepsę dały wynik pozytywny.

Czeka, aż to do mnie dotrze. Aż zrozumiem, że mój brat może umrzeć bez żadnej decyzji z mojej strony.

– Chciałem pani powiedzieć, choć prawo mnie do tego nie obliguje, że dołączyliśmy do jego karty zalecenie DNR<sup>13</sup>.

– Nie resuscytować?

Kiwa głową, obserwując mnie nieufnie.

Nie jestem pewna, czy powinnam czuć gniew czy ulgę. Moją skórę ogarniają na przemian fale ciepła i zimna.

– Ma to związek z kilkoma sprawami, nie tylko jakością jego życia...

– Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień – mówię. – Rozu... – Ze zdumieniem stwierdzam, że głos mi się łamie. Próbuję coś powiedzieć, ale nie potrafię wydobyć z siebie dźwięku. A później zaczynam płakać. Tam, na oddziale intensywnej terapii, otoczona szmerem, pikaniem i dyszeniem urządzeń.

Doktor Bonville kładzie miękką młodą dłoń na moim ramieniu.

– Jest mi naprawdę przykro.

Wiem, że wszyscy tak mówią. Że lekarz powtarza to codziennie jak papuga, ale chwytam jego rękę, jakbym tonęła.

– Jeśli pani sobie życzy, mogę usunąć zalecenie DNR.

Potrzebuję minuty, żeby wziąć się w garść, a kiedy odzyskuję głos, jest słaby i piskliwy jak u dziecka.

– Nie. Proszę je pozostawić. Pewnie tak będzie najlepiej. I proszę mówić mi Mags.

Podnoszę głowę i patrzę mu w oczy.

– Od początku wiedziałem, że długo nie pożyje – mówi. – Mieliśmy pacjentów w wieku Abe’a z lżejszymi obrażeniami głowy. Ich stan uległ poprawie na tyle, że mogli zostać wypisani do domu, ale gdy patrzyłem, jak siedzą bezwładnie na wózku i się ślinią, pomyślałem, że na ich miejscu wolałbym być martwy.

Pewnie uważa, że popełnił błąd, mówiąc mi o tym. Majstruje palcami przy plakietce z nazwiskiem, mrugając długimi rzęsami. Chcę mu powiedzieć, że nic się nie stało. Że opuściła mnie wola walki, że czuję, jak dusza Abe’a przenika do mojego wnętrza, czyniąc mnie miękką. Ale nie potrafię wypowiedzieć jednego słowa.

– Pewnie był dobrym człowiekiem. Żałuję, że nie miałem okazji go poznać. Obiecuję ci, Mags, że nie będzie cierpieć.

Ściska moje ramię, a ja wyciągam rękę, aby ująć jego dłoń, nie otwierając oczu, próbując zaczerpnąć w płuca dość tlenu, aby znowu nie zacząć płakać.

Kiedy mam pewność, że odzyskałam nad sobą kontrolę, otwieram oczy i uśmiecham się do niego.

– Dziękuję.

Opuszcza głowę, odwraca się i odchodzi. Chwilę później drzwi się zamykają i zostaję sama wśród umierających w milczeniu.

Przekazał mi dar. Nie będę musiała podjąć decyzji o skróceniu życia mojego brata. Myślałam, że zdołam to uczynić, ale zaczynam rozumieć, że nie mogę dłużej sobie ufać. Osoba, za którą się uważałam, którą się uczyniłam, okazała się kłamstwem. Kłamstwo pękło jak skorupka jajka, stopniowo odsłaniając coś nowego, białego i czystego.

Wracam autobusem do Świętego Hieronima, mając nadzieję, że podczas podróży dojdę do siebie. Nie mogę spotkać się z Jody w takim stanie.

Rozmowa o pracy pozwoli mi wziąć się w garść. W Vegas dochodzi pierwsza, więc Jackson wróci niebawem z sobotniego biegu. Wyciągam telefon i otwieram kontakty, ale szukając jego nazwiska, docieram do Daniela. Mój kciuk zatrzymuje się nad numerem, a potem przesuwa w górę, do Jacksona. Wędruje ponownie w dół i znowu w górę. Już mam dzwonić do Stanów, kiedy telefon zaczyna wibrować mi w dłoni. Jestem tak zszokowana, że niemal go upuszczam. Nieznany numer.

Odbieram.

– Panna Mackenzie? – Znajomy kobiecy głos, ale nie umiem skojarzyć go z konkretną osobą.

– Kto mówi?

– Tabitha Obodom, z opieki społecznej. Opiekuję się Jody. Na policji powiedzieli, że według pani to Jody zepchnęła pani brata ze schodów. I że zastanawia się pani nad wniesieniem sprawy z powództwa cywilnego.

– Chce pani ze mną porozmawiać, żeby odwieść mnie od tego zamiaru?

– Tak. Chcę.

Mówię jej, że nie interesuje mnie słuchanie biadoleń o trudnym dzieciństwie Jody. I że w Anglii jest za dużo pieprzonych pracowników socjalnych, którzy zajmują się wynajdywaniem usprawiedliwienia dla przestępców. Mam ochotę powiedzieć, że może Ameryka postąpiła słusznie, zachowując karę śmierci, ale w porę się powstrzymuję.

– Błagam – mówi. – Zajmę pani tylko kilka minut. Proszę mnie po prostu wysłuchać.

Dochodzi dziewiąta wieczorem, jest sobota. Babka chce przyjechać do Świętego Hieronima na spotkanie, które zanosi się na wrogą konfrontację, a później będzie wracać do domu w ciemności i chłodzie. Myślę o Abie. O jego uprzejmości.

Zgadzam się.

## 27. Mira

Wyglądam przez okno, kiedy w końcu wracasz do domu, Loranie. Widzę, jak parkujesz samochód, ale nie wychodzisz od razu. Siedzisz w ciemności. Ciekawe, czy patrzysz na telefon, czy piszesz do niej SMS-a. Nie, gdybyś korzystał z komórki, zobaczyłabym światło ekranu.

Wysiadasz po chwili. Obserwuję, jak obchodzisz budynek, a później, na moment przed zniknięciem w drzwiach, podnosisz głowę. Cofam się od okna, abyś nie oskarżył mnie o to, że cię szpieguję, lecz ty nie patrzysz na mnie. Spoglądasz na mieszkanie tego mężczyzny, który spadł, tam gdzie teraz mieszka jego siostra. Ale to nie ona – twój romans zaczął się przed jej przybyciem. Zanim Abe spadł.

Biedny Abe. Wydawał się takim miłym, delikatnym człowiekiem. Zapropował mi pomoc już podczas pierwszej rozmowy.

Wyrzucałam śmieci. Trzy duże czarne worki, głównie z ubraniami, których nie będę mogła założyć po porodzie – obcisłymi sukienkami i krótkimi spódnicami, strojami z mojego poprzedniego życia. Worki nie były ciężkie, ale nieporęczne. Potrzebowałabym bardzo dużo czasu, żeby znieść je na dół po schodach. Usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi na naszym piętrze.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedział.

– Dam sobie radę – odrzekłam, ale on już wziął dwa worki, ocierając się palcami o moje palce. Ruszyłam za nim, kilka kroków z tyłu, aby nie musieć z nim rozmawiać. Jedynym dźwiękiem był szelest plastiku i nasze ciche kroki na schodach.

Wyszliśmy na słońce. W Anglii takie dni rzadko się zdarzają, a gdy już nadchodzą, robię się dziwnie smutna. Myślę o długich letnich wieczorach w domu, o tym, jak leżę bosa z siostrami na pobliskim polu. Nasze stopy są kasztanowe, brudne jak u dzieci.

Promienie słońca na skórze przypominały pieszczotę kochanka, więc przystanąłam na chwilę i zamknęłam oczy, pozwalając, aby ciepło rozlało się na twarzy.

Czekał na mnie na rogu budynku. Podeszłam do niego i razem udaliśmy się do śmietnika z drugiej strony. To obrzydliwe miejsce. Latem nie mogę otworzyć okna, bo w całym mieszkaniu cuchnie gnijącym mięsem i fermentującymi warzywami. Kiedy wyrzuciliśmy worki, podskoczyłam na widok chmury much. Potknęłam się o rączkę dzieciennego wózka i byłabym upadła, gdyby w porę nie złapał mnie za ramię i nie podciągnął w górę.

Uśmiechnął się do mnie, kiedy poprawiałam chustę.

– Dlaczego ją nosisz?

– Dla przyzwoitości – odparłam.

Zaśmiał się.

– Nie powinnaś być przesadnie przyzwoita. Pozwól, żeby świat zobaczył, jaka jesteś piękna. Życie nie trwa długo.

Anglicy myślą, że naśmiewanie się z innych jest zabawne, ale tym razem nawet ja uznałam to za takie.

– Naprawdę mam siedemdziesiąt dwa lata – rzuciłam.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem – potrzebował trochę czasu, aby zrozumieć, że albańska muzulmanka żartuje. Później roześmiał się tak donośnie, że jego głos poniósł się echem wokół budynku. Podobał mi się sposób, w jaki się śmiał, całym ciałem. Był taki wysoki i chudy, że przypominał wygięty smyczek skrzypiec.

Moja twarz się rozgrzała, serce zabiło szybciej. Zdałam sobie sprawę, że czuję coś, czego nie czułam od trzech lat. Od wyjazdu z Albanii. Czułam pociąg do mężczyzny. Nie chciałam, żeby odszedł.

– Jesteś moim sąsiadem – powiedziałam.

– Tylko od dwóch lat – odparł. Jego brązowe oczy błyszczały. – Kiedy urodzi się dziecko?

Wyjaśniłam mu, co i jak.

– Mam nadzieję, że masz... – Gestykułując, pokazałam, że wkładam sobie coś do uszu.

– Nie będzie mi przeszkadzać – zapewnił. – Temu miejscu przyda się trochę życia. Może twój mąż pozwoli, żebym się nim opiekował.

– Może – odrzekłam.

Przez chwilę patrzył na mnie, a mój uśmiech zgasł, bo wiedziałam, że jego spojrzenie nie wyraża pożądania, lecz współczucie.

Później obejrzał się przez ramię. Podążyłam za jego wzrokiem i zamarłam.

Obserwowałeś nas, Lorianie. Stałeś na rogu budynku ze swoim roboczym workiem zarzuconym na ramię. Twoja twarz była blada. Nagle zrobiłeś krok w bok, chowając się za ścianą.

– Muszę iść – powiedziałam i odeszłam w pośpiechu, ale gdy dotarłam do drzwi, ciebie już nie było.

Usłyszałam kroki Abe'a za plecami. Byłam tak przerażona, że ponownie mnie zagadnie, a ty to zobaczysz, że popędziłam przez trawnik, aż dzieci na boisku zaśmiały się na widok muzulmanki biegnącej w łopoczącym czarnym stroju.

Nie dostrzegłam cię w pobliżu, a kiedy dotarłam do Gordon Terrace i obejrzałam się za siebie, zobaczyłam, że Abe wchodzi do budynku. Stałam kilka minut, czując się głupio. Później od strony głównej ulicy nadeszli chłopcy w kapturach, więc ruszyłam pędem do Świętego Hieronima.

Tamtej nocy wróciłeś z pubu bardzo późno. Leżałam przebudzona, bojąc się, że tym razem naprawdę mnie uderzysz, bo rozmawiałam z innym mężczyzną jak dziwka.

Ale tego nie zrobiłeś.

Wszedłeś do sypialni, rozebrałeś się, wzięłeś prysznic, a potem kochałeś się ze mną w milczeniu, w ciemności. Byłam rada, że wzbudziłam w tobie zazdrość.

Dźwięk klucza w zamku sprawia, że podskakuję. Nie słyszałam twoich kroków na schodach.



Wycieram twarz ścierką do naczyń i poprawiam włosy palcami. Są teraz krótkie, bo powiedziałaś, że zamężnej kobiecie tak przystoi. Wkładam pantofle, bo według ciebie chodzenie boso jest niechlujstwem, i uśmiecham się, gdy wchodzisz do pokoju.

Wiesz, że ja wiem.

– *Si je*<sup>14</sup>? – mówię.

– Mira. – Uśmiechasz się do mnie, ale uśmiech sięga jedynie twoich warg. Oczy pozostają smutne. Ciężko stawiasz torbę na podłodze, jakby w środku było ciało.

– Miałaś udany dzień? – pytam.

Wzruszasz ramionami.

– Dostarczamy cement.

– Och! – Uśmiecham się, mrugając, i myślę, jak trudna bywa rozmowa z drugim człowiekiem. Jakbyśmy należeli do różnych gatunków. Po sposobie, w jaki na mnie patrzysz, domyślam się, że czujesz to samo. Wyciągasz telefon.

– Popatrz. To silos z cementem. Przechowuje się w nim sypki cement. Musimy się wspinać aż tutaj.

Pokazujesz maleńką drabinę, wąską jak zamek błyskawiczny, sięgającą na samą górę ogromnego cylindra.

– Musisz uważać. Gdybyś spadł, skrzyłbyś sobie kark.

– Nie mów tak. To okropne.

Milkniesz i marszczysz brwi, pogrążony w myślach. Czy ponownie cię zirytowałam?

– Zrobiłam *gjelle*<sup>15</sup> – oznajmiam wesoło.

Po chwili unosisz głowę.

– Czuję. Ładnie pachnie.

– Dziecko sprawia, że brzydko pachnie! – odpowiadam, próbując się roześmiać.

Nagle dziecko zaczyna kopać, jakby słuchało.

– On kopie! Spójrz!

Wiem, że nie chcesz oglądać mojego brzucha, więc przyciskam materiał do skóry. Ukazuje się mała wypukłość. Pięta dziecka.

Obawiam się, że możesz być zniesmaczony, ale w twoich oczach pojawia się uśmiech. Podchodzisz i kładziesz dłoń, a ono jeszcze bardziej się rozpycha.

– Czuje dotyk swojego taty – mówię.

Z jakiegoś powodu moje oczy wypełniają się łzami, lecz twoje także są wilgotne.

Stoisz, trzymając rękę na stópce dziecka. Jednak oboje wiemy, że dotykasz mnie tylko po to, by je poczuć.

– Czy to cię boli? – pytasz.

– Trochę. Czasami. – Twój uśmiech gaśnie i robi mi się przykro.

Tej nocy nie idziesz do pubu, ale kładziesz się do łóżka zaraz po kolacji i płaczesz aż do zaśnięcia. Gdy myślałam, że jesteś szczęśliwy z inną kobietą, było źle, ale teraz jest jeszcze gorzej. Co my zrobimy, Lorianie?

## 28. Mags

Tabitha jest niewysoka i otyła, lecz z bliska ma twarz supermodelki: o gładkiej, lśniącej skórze i spokojnych ciemnych oczach.

Siedzimy przy stole pokrytym niebieskimi smugami światła ulicznych latarni przechodzącego przez witraż. Zaparzyłam jej herbatę, a sobie mocną kawę. Chociaż nastawiłam ogrzewanie na cały regulator, jestem zziębnięta i zeszywniała jak stara kobieta i kulę się nad parującym kubkiem, próbując wchłonąć odrobinę ciepła.

Ona sączy herbatę, a później powoli odstawia kubek.

– Czy już z nią rozmawiałaś?

– Próbowałam, ale nie odpowiada na pukanie do drzwi i telefony. – Nie dodaję, że byłabym się włamała, gdyby nie zmieniła zamków. Musiała to zrobić, kiedy byłam w szpitalu.

– Boi się.

– Ma powód.

– Ona nie zepchnęła Abe’ a, jeśli tak sądzisz – mówi. – Miała obsesję na punkcie twojego brata, ale to było infantylne zadurzenie. Zabujała się jak dwunastolatka. Byłaby przerażona, gdyby pociągała go seksualnie. Nie okazał tego, więc dostała fiksacji na jego punkcie. Myślę, że podświadomie wiedziała, że był gejem. Że nie zagraża jej żaden dorosły związek.

– Skąd masz pewność, że tego nie zrobiła? – pytam. – Odnoszę wrażenie, że pracownicy brytyjskiej opieki społecznej udzielają swoim klientom przesadnego kredytu zaufania.

Spogląda na kubek, po czym podnosi głowę i patrzy mi w oczy.

– Twój brat okazywał jej wielką wyrozumiałość. Była zadowolona z istniejącego status quo, a jego delikatne zniechęcające gesty nie czyniły jej żadnej szkody. Nie miała powodu, żeby zmienić istniejący stan rzeczy.

Nawet gdyby chciała zrobić mu krzywdę... na co nie wskazują jej listy... byłyby na to zbyt krucha fizycznie i psychicznie. Nie zdołałaby tego uczynić.

Doświadczam silnego déjà vu.

– Mogła go zaskoczyć. Znalazłam ślady walki. Kto wie, do czego jest zdolna, skoro cały czas kłamie?

Tabitha smutno wzdycha.

– Wiem, że Jody cierpi na silne urojenia. Fantazjuje, bo prawda o przeszłości jest nie do zniesienia. Ojciec Jody nie służył w wojsku, jeśli tak ci powiedziała. I nie zginął w wypadku lotniczym, a matka nie popełniła samobójstwa.

Wytrzymuję jej spojrzenie. Niczym mnie nie zaskoczy.

– Zmarła z powodu przedawkowania narkotyków rok lub dwa po umieszczeniu Jody w domu dziecka.

I co z tego? Wiele dzieci z domu dziecka prowadzi wartościowe życie. Nie stają się patologicznymi kłamcami lub prześladowcami, więc jeśli Tabitha próbuje wzbudzić we mnie współczucie, będzie rozczarowana.

– Jody nie trafiła tam z powodu narkotyków – ciągnie. – Nie dlatego umieszczono ją w domu dziecka.

Wzdycham.

– Mów dalej.

– Jej ojciec należał do siatki pedofilów. Stręczył Jody i jej przyrodniego brata obcym mężczyznom na farmie w Surrey.

Odwracam głowę zniesmaczona. Później patrzę na Tabithę i wydynam wargi.

– Jesteś pewna, że tego nie zmyśliła?

– Pięciu z nich odsiaduje dożywocie w więzieniu Woodhill. Jody doznała poważnych obrażeń wewnętrznych spowodowanych wykorzystywaniem w bardzo młodym wieku.

W ciszy słychać skrzypienie huśtawek na boisku.

Abe i ja bawiliśmy się na placu zabaw obok naszego domu. Jeśli nie wróciliśmy na herbatę, moja matka krzyczała do nas przez mały skwer: – Tata czeka z modlitwą!

Czuliśmy się upokorzeni, a inne dzieci niemiłosiernie nam dokuczały, więc zwykle zjawialiśmy się na czas. Pewnego dnia, gdy Abe mnie zawołał, zignorowałam go i w dalszym ciągu bawiłam się w piaskownicy.

Wszedł do niej i pociągnął mnie za rękaw.

– Chodź, Mary.

– Pieprzyć herbatę! – wykrzyknęłam i popchnęłam go tak mocno, że upadł, uderzając głową o drewnianą deskę.

Na placu zabaw zapadła cisza.

Później usłyszałam, jak małe łopatki i wiaderka upadają na piasek. Abe płakał, ale nikt nie podszedł, żeby go pocieszyć. Wiedziałam dlaczego. Czułam czyjąś obecność za plecami – ogromną i przerażającą, jak potwora z nocnego koszmaru.

– MARY MACKENZIE.

Głos mojego ojca przypominał grom odbijający się echem od gór za naszym domem. Inne dzieci zaczęły się wolno podnosić.

– Pewnie nie usłyszała wołania, proszę pana – powiedziało jedno z nich drżącym głosikiem. Nigdy się nie dowiedziałam, kto wystąpił w mojej obronie. Chryste, musiał być naprawdę odważny.

Ojciec to zignorował. Jego cień sprawił, że żółty piasek poszarzał.

– Wstawaj.

Kontynuowałam zabawę, z ponurą miną wysypując piasek z plastikowej konewki i formując niewielki wzgórek.

– Wstawaj. – Głos ojca był coraz cichszy.

Wysypały się ostatnie ziarenka piasku. Wiaderko z wodą było puste. Patrzyłam na zamazujące się jasne barwy. Było tak cicho, że słyszałam suszarki w okolicznym salonie fryzjerskim.

– Pieprzyć herbatę! – powtórzyłam cicho.

Szarpnął mnie w górę tak mocno, że kość ramienia pękła z chrupnięciem. Krzyknęłam i nie przestałam krzyczeć, kiedy włókł mnie za złamane ramię po zimnym betonie, przez boczną furtkę i schody prowadzące do kuchni. Wezwali karetkę dopiero wtedy, gdy zaczęłam wymiotować.

Lekarz ze szpitala w Inverness korzystał z usług firmy dekarńskiej ojca, więc nie był zainteresowany kwestionowaniem jego wersji, że moje ramię „wykręciło się pod dziwnym kątem, kiedy ją podnosiłem”. Jego słowa nie brzmiały źle i nie były kłamstwem. Inne dzieci powtórzyły rodzicom, co powiedziałam, i wszyscy uznali, że dostałam to, na co zasłużyłam. W najbliższą niedzielę ludzie klepali ojca ze zrozumieniem po plecach, podczas gdy ja – krzyż, który musiał dźwigać – siedziałam w tylnej ławce z ręką w gipsie, buntowniczo ignorując kręcenie głowami i wydymanie warg. Jakiś czas myślałam o poderżnięciu mu gardła, gdy zaśnie, ale później odkryłam chłopców i doszłam do wniosku, że istnieją lepsze sposoby zemsty.

Chociaż drań zniszczył mi dzieciństwo, w porównaniu ze starym Jody był istnym Nedem Flandersem<sup>16</sup>.

– Rozumiem twój gniew, Mags. – Cała się jezę, kiedy Tabitha mówi mi po imieniu. – Czujesz się upokorzona i zdradzona, bo jej uwierzyłaś. Nie musisz. Jody jest bardzo przekonująca. To oczywiste. Nawet ona sama wierzy we wszystko, co powtarza, przynajmniej w pewnym stopniu.

– Jak reaguje, kiedy ją na tym przyłapujesz?

– Nie rozmawiamy o takich sprawach. Pozwalamy, by opowiadała sobie historie, których potrzebuje, żeby być silna.

– Pozwalacie, aby oszukiwała samą siebie?

– To nieszkodliwe. Cały sekret metody ponownego przeżycia własnej przeszłości, aby się z nią uporać, polega na jej podważeniu. Każdy z nas inaczej radzi sobie z traumą. Niektórzy ludzie doświadczają całkowitego rozdwojenia osobowości, gdy próbują zablokować to, co ich spotkało. Uzależniają się od narkotyków lub alkoholu. Jody się okaleczała, ale teraz daje sobie radę z pomocą leków antydepresyjnych i kilku nieszkodliwych urojeń... jak to, że twój brat ją kochał.

– Przecież tacy ludzie nie są nieszkodliwi, prawda? – Wstaję i podchodzę do okna. – Co z chłopakami, których oskarżyła o gwałt? Z jej przybranym bratem i jego kolegą? Jej słowa mogły przekreślić ich przyszłość, spowodować wymierne szkody. Wielu ludzi nadal myśli, że nie ma dymu bez ognia.

Kiedy nie odpowiada, odwracam się. Tabitha na mnie patrzy.

– Nie mów, że jej wierzysz.

– Tak, wierzę.

Wybucham śmiechem.

– Zejdź na ziemię. To fantastka! Naprawdę mi jej żal, ale dziewczyna jest chora psychicznie.

Rysy Tabithy twardnieją.

– Wykorzystywanie często prowadzi do choroby psychicznej, ale czy wynika stąd, że nigdy nie powinniśmy wierzyć ofierze? Jasne, że nie. Zwyródniałcy jednak od lat używają tego argumentu. Na pewno znasz relacje prasowe ze znanych spraw, opisujące życiowe trudności i próby samobójcze podejmowane przez ofiary wykorzystywania. Robią to celowo, aby wzbudzić w nas wątpliwości: ofiary są niezrównoważone emocjonalnie, ich historia jest zmyślona. Mamy współczuć biednemu politykowi, znanemu prezenterowi telewizyjnemu lub innemu celebrycie, bo jego życie wywróciło się do góry nogami z powodu jednej z tych pokrętnych oszustek.

Przerywa, żeby wziąć oddech.

– Prawnik tych chłopców przyjął podobną linię obrony. Zdyskredytowania świadka. Powinni tego zabronić wiele lat temu.

– Przypadek dyskredytowania nie zachodzi, jeśli to prawda.

– Była cała w siniakach. Doszło do pęknięcia pochwy.

– Mogła okaleczyć się sama.

Tabitha wzrusza ramionami.

– Tak powiedział sędzia. Wszystko jedno.

Wstaje, a ciemnofioletowa spódnica zsuwa się na jej szerokie biodra niczym teatralna kurtyna. Nigdy nie sądziłam, że grube kobiety mogą być takie piękne. Nosi ślubną obrączkę i pierścionek zaręczynowy z diamentem. Założę się, że dzieci ją uwielbiają.

– Wiesz, o czym często myślałam? – mówi cicho. Jej oczy są niemal czarne, z małą iskierką światła pośrodku. – Że gdybym była gwałcicielem, wybrałabym kogoś takiego jak Jody. Dziewczynę ze skłonnością do samookaleczania. Fantastkę. Kogoś, komu nie uwierzy żaden sędzia zdrowy na umyśle. – Sięga po gobelinową torebkę i zarzuca ją na ramię. – Jody to łatwa ofiara.

Kiedy wychodzi, otwieram pierwszą butelkę wina.



**Niedziela, 13 listopada**

## 29. Mags

Budzę się w południe z bólem głowy i pieczeniem w żołądku, które ustaje, dopiero gdy wymiotuję w toalecie. Pewnie odgłosy torsji rozchodzą się echem w całym budynku, rurami sąsiadów.

Co pół godziny pukam do drzwi Jody, ale jest zbyt przerażona, by odpowiedzieć, lub wymknęła się niepostrzeżenie. Chociaż wiem, że to bezcelowe, że zaszerwuje mi kolejne kłamstwo, muszę z nią pomówić. Jestem pewna, że wie więcej o tym, co przydarzyło się Abe'owi. Nie mogę uwierzyć, że policja pozwala jej się okłamywać.

O trzeciej dostaję obłądu, więc postanawiam ruszyć do sklepu Food and Wine, aby zaopatrzyć się w alkohol.

Wychodząc na dwór, uświadamiam sobie, że Tabitha zdołała wyrwać Jody z moich szponów, i obchodzę budynek, żeby spojrzeć w jej okno. Szyby odbijają ciemniejące niebo. Nie widziałabym jej, nawet gdyby tam stała i na mnie patrzyła.

Zdaję sobie sprawę, że nie jestem sama. Ćpunka spod siódemki stoi za pojemnikami na śmieci, paląc papierosa. Ma na sobie krótką sukienkę z czarnej koronki i lakierowane skórzane buty na wysokich obcasach. Gruby makijaż maskuje najgorsze spustoszenia na jej twarzy. Podejrzewam, że ten, na kogo czeka, nie zwróci uwagi, że chude ramiona wystające z koronkowych rękawów są usiane śladami po igłach.

Gdy odwracam się, żeby odejść, wdeptuję w coś śliskiego i spoglądam w dół, mając nadzieję, że nie jest to zużyta prezerwatywa. Kwiaty nie pasują do opakowań potraw z fast foodów i pieluszek. Niektóre są jeszcze świeże i różowe, inne – brązowe i uschnięte; musiały być kiedyś – wstrzymuję oddech – białe.

To kwiaty ze szklanki stojącej na stoliku nocnym Abe'a.

Mężczyzna, który się włamał, musiał je wyrzucić, gdy wychodził z

budynku. Powód, dla którego to zrobił, jest dla mnie równie tajemniczy jak to, dlaczego w ogóle je zabrał.

Wracam tą samą drogą, którą przyszedłam, a później ruszam w kierunku Gordon Terrace.

Mijając plac zabaw, doświadczam znajomego, denerwującego wrażenia, że jestem obserwowana. Odwracam się, oczekując, że ujrzę kota lub ćpunkę zerkającą nienawistnie zza rogu. Ale na trawniku nikogo nie ma, a zasłony w oknie Luli są nieruchome.

Dostrzegam ruch kątem oka, lecz widzę jedynie migoczący cień znikający po drugiej stronie budynku. Może ktoś poszedł na parking? Jeśli tak, dlaczego nie usłyszałam, jak wychodzi?

Czy mogła to być Jody, czekająca, aż wyjdę, aby zakraść się do domu?

Wołam ją po imieniu. Mój głos brzmi słabo i samotnie w ciszy.

Mijają minuty.

Czy powinnam za nią pójść? Zakładając, że to ona. Zakładając, że w ogóle ktoś tam był.

Nie. Odwracam się i ruszam energicznie w kierunku Gordon Terrace, gdzie z ulgą spostrzegam matkę z wózkiem, drepczącą w kierunku głównej ulicy. Idę za nią.

Pół godziny później wracam ze sklepu Food and Wine z dwiema brzęczącymi niebieskimi torbami. Widzę mężczyznę czekającego przy drzwiach. Na betonie obok niego stoi duża paczka z Amazona.

Gdy podchodzę bliżej, dostrzegam nalepkę z adresem: *M. Ahmeti, lokal 11, kościół Świętego Hieronima.*

W środku musi być coś dla dziecka. Może składane łóżeczko lub wanienka. Mira sama nie zdoła tego wtaszczyć na trzecie piętro. Będę mogła jej podziękować, że powstrzymała mnie przed zamordowaniem Jody.

– Zaniosę to – mówię dostawcy, odwracając oczy od kolczyków na jego policzkach i brwiach.

– Nie trzeba – odpowiada. – Ona już schodzi.

Wchodząc do budynku, widzę przez matową szybę cień Miry pokonującej ostatni odcinek schodów. Po rzuceniu okiem na stos przesyłek – żadnych wymownych białych rogów wystających z menu barów serwujących pizzę – przytrzymuję jej drzwi.

Nie patrzy mi w oczy.

– Pomogę ci – mówię głośno i wyraźnie. – Z paczką. Wniosem ją na górę.

– Nie, nie – mamrocze. – Nie trzeba. Dam sobie radę.

Przechodzi obok mnie, owiana niemowlęcym zapachem talku, i odbiera elektroniczny długopis z rąk dostawcy. Nie planowałam tego – sama nie wiem, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam – ale coś sprawia, że zaglądam jej przez ramię, kiedy składa podpis na ekranie.

Mężczyzna wsuwa paczkę przez otwarte drzwi i odchodzi. Mira pochyla się, żeby podnieść jeden koniec, a ja sięgam po drugi.

Wchodzimy bez słowa. Mijamy parter z chłopcem na wózku i pierwsze piętro ze zgorzkniałą drag queen. Przechodzimy obok mieszkań ćpunka i grubasa, zmierzając na nasze piętro, zamieszkane przez alkoholiczkę, bajerantkę i autorkę obrzydliwych anonimów.

Mira mruczy słowa podziękowania i powtarza, że sobie poradzi. Uśmiecham się, kiedy gmera kluczami w zamku, i nic nie odpowiadam. Może domyśla się, co nastąpi.

Gdy otwiera drzwi, wsuwa paczkę nogą do środka, prześlizguje się i próbuje je zamknąć.

Ale ja jestem szybsza.

Drzwi zatrzymują się na mojej stopie. Pcham je z całej siły, odrzucając kobietę do tyłu. Stoimy w ciemnym korytarzu, ciężko dysząc.

Nic nie mówi. Wie, dlaczego tu jestem.

– Widziałaś coś, prawda? W noc śmierci mojego brata. Dlatego napisałaś te liściki.

Czekam, aby zaprzeczyła, lecz tego nie robi. Słyszę szelest, kiedy opiera się o ścianę i bierze drżący oddech.

– Jestem złym człowiekiem – szepcze. – Myślę, że Loran ma z nią romans.

Wzdycham rozczarowana. Liczyłam, że coś mi powie. Że widziała, co się stało. Chociaż Jody zdołała skutecznie zamydlć mi oczy, jednego jestem pewna: zwracała uwagę wyłącznie na mojego brata. Czy to możliwe, aby Mira, która mieszka drzwi obok, mogła o tym nie wiedzieć?

– Nie sędzę. Jody kochała się w moim bracie.

– Wiem, wiem. Po prostu jestem głupia, wyobrażam sobie różne rzeczy.

– Jakie? Co łączyło Lorana i Jody?

Nagle bez ostrzeżenia otwierają się drzwi i do mieszkania wchodzi mężczyzna. Przez chwilę jest tylko ciemną postacią, ale atmosfera natychmiast ulega zmianie.

Kiedy błyska światło, Mira podskakuje przestraszona. Jej cień skacze na ścianie.

Potężny mężczyzna z Europy Wschodniej, ubrany w gruby roboczy kombinezon, z czarnymi butami oblepionymi cementem i torbą zarzuconą na ramię. Na pierwszy rzut oka niedawno przekroczył trzydzistkę. Ma szeroką twarz i krótko obcięte włosy, które sprawiają, że wydaje się niemal łyśy.

Jak zdołał wejść na górę tak, że go nie usłyszałyśmy? A może starał się być cicho, żeby przyłapać nas na czymś niewłaściwym.

Patrzę na Mirę. Zbladła jak papier.

Odwracam się do niego i widzę, że on też jest blady jak duch. Patrzy na mnie tak intensywnie, że serce zaczyna mi walić. Jego oczy przesuwają się w dół, a później w górę, by zatrzymać się na futerku parki udrapowanym wokół szyi. Czy chce mnie uderzyć?

Blokuje mi drogę ucieczki. Nie mam dokąd pójść, muszę wrócić do mieszkania. Macam telefon w kieszeni.

– Czego chcesz? – Jego głos jest niski. Twardy akcent przybiera nagle groźne brzmienie.

Ile usłyszał?

– Pomogłam pańskiej żonie wnieść ciężką paczkę. – Mój głos jest spokojny, zmuszam się do wytrzymania jego zimnego spojrzenia. Co zaskakujące, facet nie może wytrzymać mojego wzroku, jego szare oczy mrugają nerwowo i zerkają w bok. – Wkrótce urodzi się dziecko. Musi pan być bardzo podekscytowany.

Spogląda na żonę, a ona patrzy na niego dużymi czarnymi oczami. Wyraźnie się go boi. Czy drań ją bije?

– Dziękuję ci. Dziękuję. To bardzo uprzejme z twojej strony. – Mira trąkocze, próbując zapędzić mnie do drzwi, ale on się nie rusza, żeby mnie przepuścić. Dłonie zwisające u jego boków są duże i szorstkie.

Prostuję plecy, aby dać do zrozumienia, że się go nie boję. Parka wydaje cichy szelest.

Coś w nim pęka. Zwiesza ramiona i opuszcza głowę. Bez słowa przysuwam się do ściany, a on rusza sztywnym krokiem, rozsiewając zapach kurzu i potu.

Otwiera nogą wewnętrzne drzwi, przecina pokój, rzuca worek na kanapę i zdejmuję buty, tak że kawałki cementu rozsypują się po podłodze. Później, jakby mnie nie było, zaczyna się rozbierać. Rzuca kurtkę tam, gdzie stoi, ściąga T-shirt i znika mi z oczu. Po chwili słyszę charakterystyczny szum prysznic.

– Dziękuję – mruczy Mira. – Byłby bardzo rozgniewany, gdyby usłyszał, co ci powiedziałam.

– W porządku – wyjąkuję, choć ledwie ją słyszę. Nie patrzę nawet na drzwi Jody, gdy wycofuję się podestem i wchodzę do mieszkania Abe'a. Zamykam za sobą i opieram się o drewno, ciężko dysząc w ciemności.

Nie wiem jeszcze, co to oznacza, ale wiem, co widziałam.

Kiedy Loran się rozebrał, dostrzegłam fragment tatuażu wystający spod wszywanego paska jego dresowych spodni. Czerwony tatuaż tylnych kopyt i końca grzywy.

Loran jest Redhorse'em.

*Radio gra tak głośno, że nie słyszy, o czym rozmawiają. Spogląda na szeregowce przesuujące się za oknem samochodu. Przyjaciel Felixa jedzie szybko, co jakiś czas pociągając łyk piwa z puszki. Podobnie jak Felix, który już jest pijany. Ten drugi wydaje się odporny na działanie alkoholu. Sporadycznie zerka na nią w lusterku i porusza brwiami. Może próbuje ją rozśmieszyć, ale kiedy ponownie spogląda na drogę, przesuwa się na kanapie, aby zniknąć mu z pola widzenia. Samochód jest w opłakanym stanie: na dywanikach zalegają opakowania z fast foodów, tapicerka jest poplamiona i utyłana błotem. Na siedzeniu i półce za tylną kanapą leżą rozrzucone płyty CD i czasopisma. Na okładkach widać umięśnionych mężczyzn z obnażoną piersią lub prawie nagie młode kobiety. Dolna połowa jednej z okładek odstaje, ukazując artykuł zatytułowany W dupę! Kochanie, fiut mi się zsunął. Zdjęcie obok przedstawia kobiece pośladki w G-stringach. Ogarniają ją mdłości.*

*Ten chłopak jest najstarszym przyjacielem Felixa. Chodzili razem do przedszkola i rozdzielili się, dopiero gdy Felix poszedł do szkoły średniej. Rodzice tego drugiego posłali syna do prywatnej szkoły sportowej dla chłopców, ale obaj co niedziela grają rano w rugby w miejscowym klubie. Tamten jest znacznie większy od jej brata, jakbyś umieścił kursor w rogu zdjęcia normalnego dziesięcioletnia, a później lekko je rozciągnął.*

*Jest poniedziałek, a rodzice Felixa nie wrócą z długiego weekendu w Whitstable do następnego rana. Dlatego urwali się ze szkoły, żeby trochę poszaleć. Przekonali ją, aby do nich dołączyła. Początkowo jej to schlebiało, lecz teraz żałuje, że nie jest w szkole. W domu nie podjęli żadnej próby włączenia jej do rozmowy; właściwie ją wykluczyli, szepcząc i chichocząc po kątach jak siedmiolatki.*

*Wyciąga telefon, żeby sprawdzić godzinę.*

*– Żadnych telefonów! – warczy ten duży i wpycha dłoń między fotele, żeby mu go oddać.*

*Robi to mechanicznie i natychmiast żałuje. Zawsze była zanadto uległa. Ku jej przerażeniu chłopak rzuca komórkę prosto na kolana Felixa.*

*– Masz jakieś ostre selfie?*

– Felixie, proszę.

Patrzy bezradnie, jak brat ogląda zdjęcia dachów, które zrobiła ze swojej sypialni, fotografię nieżywej rusalki admirała i nieudane ujęcia przedstawiające księżyc w pełni. Zaciska powieki i czeka. W końcu Felix wybuchą takim rechotem, że podskakuje w fotelu, aż pas napina się w poprzek jego piersi.

– Kim ty jesteś!? Pieprzoną podglądaczką?! – przekrzykuje muzykę.

– Pewnie trzyma twoje gacie pod poduszką! – ryczy ten drugi.

Rzuca się po telefon, ale brat wydziera go z jej palców. Na ekranie widać zbliżenie jego twarzy, które zrobiła, gdy spał na kanapie.

– Ojej! – pieje ten większy. – Toż to mały Felix!

– Odczep się!

Jej oddech ulega przyspieszeniu. Za chwilę się rozplącze, co ich zrazi lub zachęci.

Jednak najgorsze dopiero ją czeka. Felix przewija zdjęcia i znajduje to, o którym całkiem zapomniała.

– Cholera! – mówi, pokazując telefon przyjacielowi, który wyrywa go i gapi się w wyświetlacz, choć powinien skoncentrować się na drodze.

– Kurde. – Odrzuca komórkę Felixowi. – Masz jakąś chorobę czy co?

Próbowała zrobić zdjęcie blizn na pośladkach i udach, żeby sprawdzić, czy będą widoczne, kiedy ubierze dół od bikini zamiast bermudów, które zwykle zakładała podczas rodzinnych wypraw na basen w niedzielę rano. Były widoczne. Prześwitywały przez cienką tkaninę, nadal jaskrawoczerwone mimo zapewnień lekarzy, że wyblakną i zbieleją.

– To samookaleczenie – rzuca lekceważąco Felix.

Chce go upomnieć – bo brat wie o niektórych rzeczach, jakie ją spotkały – ale zmienia zdanie. Ten drugi nigdy tego nie zrozumie. W przeciwieństwie do innych rzeczy.

– Kurde! Jesteś naprawdę popieprzona, co? – mówi, wykręcając byczy kark, żeby zobaczyć jej oczy w lusterku.



*– Wyszadź mnie tutaj – mówi nagle.*

*Czeka z palcami zaciśniętymi na klamce, żeby samochód zwolnił, ale ten jedzie dalej.*

*– Wypuście mnie – mówi coraz głośniej. – Proszę!*

*– Dajmy spokój – wtrąca cicho Felix. – Zapomnijmy o tym, stary. Daj jej wysiąść.*

*– Nie pękaj – odpowiada ten drugi, lecz jego ton staje się delikatniejszy. – Spójrz, jesteśmy już na miejscu.*

*Teraz jest za późno. Mijają bramę klubu rugby.*

## 30. Mags

Pieprzył mojego brata, kiedy jego żona była w ciąży.

A teraz ona stara się go chronić.

Pewnie temu miały służyć jej liściki: odwróceniu uwagi od Lorana i skierowaniu jej na Jody. Potrafię wymyślić tylko jeden powód, dla którego facet potrzebuje ochrony.

To on zepchnął Abe'a.

Mira wiedziała, że jej mąż ma romans, ale sądziła, że chodzi o Jody. Może Abe zagroził Loranowi, że wyzna jego żonie prawdę. Mogłaby mu przebaczyć heteroseksualny związek, ale gejowski? Szczególnie jeśli jest religijną muzułmanką. Odeszłaby od niego. Straciłby dziecko.

Zepchnął Abe'a ze schodów, żeby go uciszyć, a Mira to widziała.

Powiedziała, że w noc upadku Abe'a jej mąż był w klubie bokserskim. Myślę gorączkowo, żeby przypomnieć sobie nazwę zasłyszaną od posterunkowej Derbyshire.

Klub Bokserski Stone'a.

Sprawdzam w telefonie i znajduję adres. Na północ stąd, na ziemi niczyjej pomiędzy Crouch Hill i Hornsey, w miejscu, o którego istnieniu wcześniej nie słyszałam. Uruchamiam aplikację i znajduję autobus, który wyrusza tam z głównej ulicy.

Zatrzymaj się. Pomyśl.

Naprawdę chcesz się w to wpakować?

Jody to jedno – psychicznie nie zrównoważona, wzbudzająca litość młoda kobieta, słaba fizycznie, którą można łatwo zastraszyć – ale Loran to zupełnie co innego. Jeśli zepchnął Abe'a, jest zdolny do wszystkiego. Wyraźnie widać, że żona się go boi. Mógłby bez trudu mnie zabić i wrócić do Albanii.

Czy jestem gotowa podjąć ryzyko tylko po to, żeby poznać prawdę?

Z drugiej strony, czy kiedykolwiek zaryzykowałam coś dla Abe'a? Czy nie powinnam mu tego wynagrodzić? Dopilnować, żeby złapano i ukarano tego, kto wyrządził mu krzywdę?

Przeglądam listę kontaktów w telefonie, szukając numeru posterunkowej Derbyshire, ale się waham. Dysponuję jedynie kilkoma pornograficznymi zdjęciami i pikantnymi SMS-ami, więc skąd mogę wiedzieć, czy policjantka cokolwiek zrobi?

Potrzebuję czegoś więcej.

Ale muszę być ostrożna.

Ponownie sprawdzam adres, a następnie cicho opuszczam mieszkanie i schodzę na dół.

Nie dostrzegam żadnego z członków gangu. Gordon Terrace roi się od ludzi wracających z pracy. W przyćmionej pomarańczowej poświacie latarni twarze przechodniów mają ziemisty, chory wygląd. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Kobieta w obszernych spodniach szefa kuchni, takich w szachownicę, wychodzi drzwiami frontowymi jakiegoś budynku. Ze środka dolatują mnie strzępy hałaśliwego życia rodzinnego. Rusza ścieżką, sprawiając wrażenie zmęczonej.

Idę za nią do głównej ulicy.

Na przystanku autobusowym jest tłok. Wciskam się na wolne miejsce obok wózka z apatyczną dwulatką gapiącą się w tablet.

Robi się chłodniej. Stopy mi drętwieją pod materiałem converse'ów. Poruszam palcami i tupię nogami, uśmiechając się do dwulatki. Patrzy na mnie pustym wzrokiem. Oczy jej matki, która kłóci się z kimś przed telefon, mówią, że „to jest, kurwa, niedopuszczalne”.

Wstrzeliłam się w godziny szczytu. Zderzak w niecierpliwy zderzak. Otwieram aplikację, żeby sprawdzić, czy autobus jest blisko celu, i widzę SMS-a od Daniela.

Powiedziałem Donnie, że nie mogę spróbować jeszcze raz, bo poznałem kogoś, na kim mi zależy. Wiem, że masz trudną sytuację z

bratem, ale jeśli będziemy postępować powoli...?

Poważnie, nie jestem w nastroju.

Powiedziałam Ci, że nie chcę się wiązać.

Przyjeżdża autobus, wsiadam. Jestem w parce, więc natychmiast robi mi się za gorąco, ale czuję się chroniona przez jej rozmiar, no i znajduję miejsce z tyłu. Czuję gorące powietrze na łydkach, kręgosłupem rozchodzi się drżenie silnika, ale przynajmniej nikt nie może za mną usiąść.

Zdaję sobie sprawę, że jestem przerażona. To nieznane mi uczucie. Nieprzyjemne.

Budynki ulegają przerzedzeniu, gdy skręcamy z głównej drogi i przyspieszamy, mijając zniszczone osiedla mieszkaniowe i magazyny z powybijanymi oknami. Nieliczne samochody zaparkowane przy krawężniku są porysowane i powgniatane. Na ich szybach widnieją prymitywne wiadomości z ofertami sprzedaży za marne kilkaset funtów. Na pustych chodnikach pozostali jedynie pijacy i staruszkowie, i kilku biegnących dokądś uczniów. Latarnie oświetlają ich twarze ziarnistą pomarańczową poświatą.

Kiedy zbliżamy się do celu, autobus i jadący za nim samochód są jedynymi pojazdami na drodze. Jeśli myślałam, że okolica Świętego Hieronima jest ponura, ta wydaje się nieskończenie gorsza.

Może niepotrzebnie biję pianę, może posterunkowa Derbyshire od początku miała słuszość. Może Abe sam się zabił. Bo ja bym się zabiła, gdybym tu mieszkała.

Słyszę huk pociągów, zanim jeszcze widzę most.

Klub Bokserski Stone'a znajduje się w jego arkadach. Otoczony betonowym parkingiem, z metalowymi drzwiami i okiennicami. Niemal komiczny efekt macho. Zakładam, że Mira nigdy tu nie była, bo nawet ona musiałaby zauważyć, że to gejowska siłownia. Ku mojej uldze nad drzwiami wejściowymi jest kamera monitoringu.

Wysiadam, a autobus rusza z rykiem. Hatchback w kolorze burgunda, który za nami jechał, skręca w boczną uliczkę i zostaje kompletnie sama.

Wyciągam telefon, żeby sfotografować okolicę, i widzę kolejnego SMS-a od Daniela.

Wiadomość przyjęta. Bez odbioru.

Patrzę chwilę na ekran, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Jest tak cicho, że nagły huk pociągu przejeżdżającego nad głową sprawia, że podskakuję ze strachu. Ponownie zapada cisza, ale z jakiegoś powodu dostaję gęsiej skórki. Odwracam się i widzę, że ulica jest opustoszała. Kawałek dalej dostrzegam mężczyznę palącego przed pubem. Pub mieści się w masywnym burym domu mogącym służyć za przykład nieestetycznego zmęczenia betonu. Osobliwa nazwa „Niebieska Syrenka” zupełnie do niego nie pasuje.

Im szybciej opuszczę to miejsce, tym lepiej.

Robię zdjęcia i wsuwam telefon do kieszeni, po czym opinam się kurtką, podchodzę do metalowych drzwi i walę w nie pięścią.

Otwiera szpetny nastolatek. Podkoszulek i bokierskie spodenki odsłaniają ciało zbyt okazałe na jego lata. Pewnie sterydy. Może ma nadzieję odwrócić uwagę od nadmiernie wysuniętej dolnej szczęki i trądzikowej cery, ale efekt jest taki, że wygląda po prostu jak ogr.

Lustruje mnie z wyrazem niesmaku na twarzy.

– Chcę porozmawiać z kierownikiem.

– Stanley! – krzyczy, wpuszcza mnie do środka i oddala się kaczym chodem, bo jego uda są zbyt potężne, żeby nogi prawidłowo się przesuwaly. Z końca korytarza dolatuje kakofonia zwierzęcych dźwięków – chrząkania, pisku i porykiwania – oraz odgłos klapsów i uderzeń.

Czy mój brat tu przychodził? Nie pomyślałabym, że prezentował się na takiej scenie, ale po chwili w drzwiach ukazuje się piękny czarnoskóry mężczyzna i idzie korytarzem do automatu z wodą. Odwracam oczy od jego pośladków odzianych w spodenki tak ciasne, że sprawiają wrażenie namalowanych na skórze. W porządku, Abe.

Z drzwi po prawej wynurza się żylasty facet, siedemdziesięcioletni. Ma na sobie dres będący połączeniem stylu ulicznego z ubiorem nauczyciela wychowania fizycznego.

– Czym mogę służyć?

– Chciałabym porozmawiać z panem o moim bracie, Abie Mackenzie.

Wchodzimy do małego biura. Faceci za szybą rozgrywają sparringi, walą w worki treningowe, wbiegają na siebie z ogromnymi plastikowymi poduszkami i tańczą w kółko jak baleriny. Są niezwykle skupieni, agresywni i poważni. Tłumię chichot.

– Proszę usiąść.

Opuszczam się na zwichrowane drewniane krzesło z popękany czerwonym siedziskiem, z którego wystaje pianka. Mężczyzna siada za metalowym biurkiem, zwrócony plecami do szyby.

– A więc czym mogę służyć? – Jego głos jest pozbawiony wyrazu. Z miejsca zostałam zaszufadkowana jako jego wróg, a nie sądzę, żebym zdołała tu coś ugrać kobiecym urokiem.

– Chciałabym przejrzeć nagrania monitoringu z nocy, gdy brat miał wypadek.

Baczenie mi się przygląda.

– Dlaczego?

– Chcę wiedzieć, czy Loran Ahmeti był wtedy w klubie, jak utrzymuje. Mam powody sądzić, że może być w to zamieszany.

– Mówisz jak policjantka, ale nią nie jesteś.

– Nie.

– Dlaczego miałbym udostępnić ci nagranie?

– Po pierwsze, bo ładnie pana proszę. Jeśli nie ma pan wyraźnego powodu, dlaczego miałby pan odmówić? Po drugie, bo jestem prawnikiem, więc jeśli zdecyduję się na wniesienie prywatnego oskarżenia przeciwko panu Ahmetiemu, zostanie pan powołany na świadka. Jeśli nie będzie pan mógł dostarczyć nagrania, sędzia zechce ustalić, dlaczego pan je usunął. Przypuszczam, że wówczas będą chcieli przyjrzeć się dokładniej pańskiej działalności.

Patrzemy sobie w oczy. Zaryzykowałam, choć jestem pewna, że to

miejsce nie jest całkowicie bez zarzutu. Zaczniemy od tego, że mają nielegalne sterydy.

– A jeśli powiem, że urządzenie nie działa?

– Wówczas będę mieć pokusę, by natychmiast zawiadomić policję.

– Oni byli ze sobą blisko – mówi. – Nie widzę powodu, dla którego Loran miałby wyrządzić Abe’owi krzywdę.

– Kochankowie miewają kłótnie. Proszę nie mówić, że nie jest do tego zdolny.

– Kontrolowana agresja – odwraca się do mnie plecami – nie jest równoznaczna z przemocą.

– Ma pan to nagranie czy nie?

Waha się, a później wstaje.

Idę za nim głównym korytarzem. Otwiera drzwi prowadzące do magazynu. Na czarno-białym monitorze widać wejście do siłowni. Obraz jest tak nieruchomy, że mógłby być fotografią.

Ekran gaśnie, kiedy wyjmuję płytę CD z urządzenia na dolnej półce.

– Masz szczęście. – Podaje mi płytę. – Są na niej pięćdziesiąt cztery dni. Nadpisujemy po dojściu do sześćdziesięciu.

– Pozwoli mi pan ją zabrać?

Wytrzymuje moje spojrzenie. Zgaduję, że jego przygasłe oczy miały kiedyś intensywną niebieską barwę.

– Abe był jednym z nas. Nie wierzę, żeby ktokolwiek z naszych wyrządził mu krzywdę, ale jeśli tak się stało, chcę, żeby został złapany. Kimkolwiek jest. Zawiadom mnie, jeśli się czegoś dowiesz.

– Zrobię to. Dziękuję. – Wsuwam płytę do kieszeni i wyciągam rękę. Jego uścisk jest miążdzący.

Gdy wychodzę na popękany beton i metalowe drzwi zamykają się za mną z hukiem, zdaję sobie sprawę, że powinnam była zostać w środku do przyjazdu autobusu. Sprawdzam aplikację, opierając się plecami o jedną z

metalowych krat. Dwanaście minut. Cholera.

Żadnych nowych wiadomości od Daniela. Zatem to koniec. Pewnie tego właśnie chciałam. Sam sobie winien, jeśli zmarnował szansę z Donna.

Spoglądam nerwowo w kierunku Niebieskiej Syrenki. Dźwięki *Babooshki* Kate Bush niosą się chodnikiem. Na zewnątrz nie ma nikogo. Dostrzegam, że choć lokal jest speluną, komuś zależy na tyle, by udekorować go wiszącymi koszami. Różowe, żółte i białe kwiaty przyciągają mój wzrok. To pierwsze kwiaty, które widzę, nie licząc szpitala.

Te białe wydają mi się dziwnie znajome – pojedyncze łodygi rozgałęziają się w wiązki kwiecica.

Przechodzę przez opustoszałą ulicę i zbliżam się do pubu. Latarnia oświetla okno, więc nie będę mogła zajrzeć do środka, ale goście dostrzegą samotną kobietę. Muszę być szybka.

Po kilku chwilach moje podejrzenia się potwierdzają.

Te same białe kwiaty znajdowały się w szklance na moim stoliku nocnym.

Obok nich rosną żółte bratki i te same różowe kwiaty, które widziałam na śmietniku.

Czy Mira miała na myśli ten pub? Czy tutaj Loran wstępował po siłowni?

Czy mógł mieć klucze mojego brata?

Czy to on przyszedł pierwszej nocy i zabrał uschłe białe kwiaty?

Czy planował zostawić świeże, różowe? Te, które wylądowały w koszu, żeby Mira ich nie znalazła?

Czy były symbolem miłości? Winy? A może po prostu były kwiatami dla zmarłego?

Ze środka dolatuje salwa śmiechu. Jeśli to pub Lorana, facet może się pojawić w każdej chwili. Odwracam się i ruszam szybkim krokiem tą samą drogą, którą przybyłam.

Zrównuję się z siłownią, ale po tej stronie ulicy nie ma przystanku autobusowego. Najbliższy jest za mną, za Niebieską Syrenką. Niestety na



zewnątrz stoi trzech mężczyzn, palą papierosy. Postanawiam iść dalej.

Przechodząc na drugą stronę, dostrzegam hatchbacka w kolorze burgunda, który jechał za autobusem. Stoi zaparkowany tuż za rogiem. Kierowca nadal siedzi w środku.

To Loran Ahmeti.

Nasze oczy się spotykają.

Jestem na środku ulicy, dlatego idę dalej – może nie rozpoznał mnie w kapturze – ale gdy znikam za rogiem, przyspieszam kroku.

Kaptur na uszach tłumi dźwięki, więc go opuszczam. Łatwiej zauważę, a przynajmniej usłyszę kroki za plecami.

Dlaczego miałyby mnie śledzić? Skąd miałyby wiedzieć, co odkryłam? Może po prostu szedł do klubu i został w samochodzie, żeby zadzwonić, owinąć dłonie taśmą lub zrobić coś innego, co robią bokserzy.

Chyba że ktoś z siłowni ostrzegł go, że tam byłam i zadawałam pytania.

Słyszę dźwięk ruszającego samochodu.

Jeszcze bardziej przyspieszam kroku. Oglądam się za siebie i widzę przód hatchbacka. Po kierunku, w którym skręca, wiem, że nie jedzie do siłowni.

Jedzie po mnie.

Ale szczęście mi sprzyja. Główną drogą nadjeżdża van, więc Loran musi zaczekać, aby go przepuścić.

Zaczynam biec.

Droga przede mną się rozwidła, lecz obie prowadzą na wprost. Zobaczy mnie niezależnie od tego, którą wybiorę. Przystanek autobusowy jest z lewej strony, kilkaset metrów dalej, ale nikt na nim nie czeka, a okoliczne domy są pogrążone w ciemności. Przy prawej odnodze dostrzegam ciemne miejsce. Kryjówkę.

Nie mam czasu na obmyślenie innego planu.

Pod osłoną vana przebiegam na drugą stronę i pędzę alejką.

Potłuczone butelki chrzęszczą pod stopami, a kiedy oczy przyzwyczajają

się do ciemności, dostrzegam wysokie ściany z pustaków pokryte gęstym graffiti. Na drugim końcu widać słabe światło. Uznaję, że to skrót łączący lewe i prawe rozwidlenie.

Już nie słyszę silnika.

Przywieram do ściany i wyglądam na ulicę. Ani śladu samochodu. Może wcale mnie nie ścigał. Może po prostu jechał do domu.

Postanawiam zaczekać jeszcze chwilę i chowam się w bezpiecznej ciemności. Nasłuchuję. Obok przejeżdża kilka samochodów. Żaden z nich nie jest hatchbackiem, ale mimo to cofam się głębiej, żeby nie znaleźć się w świetle reflektorów.

Nie mam pojęcia, gdzie jestem ani która jest godzina. Wiem tylko, że nie chcę tu być po zamknięciu pubów. Sprawdzę godzinę przyjazdu autobusu, a później wyjrzę ostatni raz. Wyciągam telefon. Gdy go włączam, oświetla chłodnym blaskiem mały odcinek alejki.

Loran Ahmeti stoi kilkadziesiąt centymetrów ode mnie.

Próbuję biec, ale chwyta kaptur parki i ciągnie mnie do tyłu, rzucając o ścianę. Trzyma mnie w żelaznym uścisku, wbijając kciuki w obojczyki. Krzyczę, lecz mój głos pochłaniają wysokie ściany. Nikt nie przyjdzie mi z pomocą.

## 31. Mira

Wracasz.

Słyszę samochód i wyglądam na zewnątrz. Kiedy idziesz do budynku, podnosisz głowę i ponownie spoglądasz w okno Abe'a.

Czy podoba ci się jego siostra? To wspaniała, piękna kobieta. O europejskim typie urody, prawie jak mężczyzna. Nie nosi kobiecych rzeczy ani mocnego makijażu. Nie układa włosów w fale jak kobiety w czasopismach, ale może właśnie to lubisz. Może Anglia cię zepsuła, sprawiła, że nie interesujesz się taką wiejską dziewczyną jak ja.

Kiedy dobiega mnie dźwięk otwieranych drzwi, w czarnej szybie piekarnika sprawdzam swój wygląd i uśmiecham się, gdy wchodzisz.

Nie patrzysz na mnie.

Kładziesz się na kanapie i otwierasz jedno ze swoich czasopism poświęconych fitnessowi. Twoja prawa dłoń krwawi. Widzę rozcięcie na czole, poniżej linii włosów. Myślałam, że boksujesz w rękawicach. Zastanawiam się, czy o to spytać. Może po prostu przynieść ci miskę z ciepłą wodą i watę? Masz zaciśnięte szczęki i zmarszczone brwi, więc zostawiam cię samego i zaczynam kroić pomidory na kolację.

W mieszkaniu jest tak cicho, że słyszę, jak oddychasz. Czekam, aż zakaszlesz. Przyniosę ci coś do picia. Ale ty nie kaszlesz. Twój oddech staje się urywany. Płaczesz.

Kartki czasopisma trzepoczą w twoich drżących dłoniach. Błyszczące brązowe ciało kulturysty na okładce ulega rozmazaniu.

Wycieram ręce, podchodzę do ciebie i klękam. Przychodzi mi to z trudem, bo brzuch jest bardzo duży.

Ujmuję twoją zranioną dłoń i cieszę się, gdy odpowiadasz uściskiem. Trzymasz mnie tak mocno, że aż boli. Patrzysz na mnie zaczerwienionymi

pustymi oczami. Jak długo płakałeś?

Zastanawiam się, czy z tobą zerwała. A może to ty zerwałeś? Dla dziecka. Dla nas. Wiem, co to za uczucie, kiedy człowiek straci ukochaną osobę, ale choć powinnam odczuwać zazdrość, po prostu mi cię żal.

– Wszystko będzie dobrze – szepczę w naszym języku. – Urodzi się dziecko i wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Będziemy je kochać. Będziemy potrzebować jedynie miłości.

Ściskasz moją dłoń tak, że aż bolą mnie kości. Patrzysz błagalnym wzrokiem, jak dziecko.

– Tak mi przykro – mówisz. – Miro, tak bardzo mi przykro.

Kiedy wypowiedasz moje imię, zacznę płakać.

## 32. Mags

Może miałabym szansę, gdybym założyła szpilki, ale converse'y są zbyt miękkie, żeby wyrzucić mu krzywdę dzikim kopaniem na oślep.

Wyświetlacz gaśnie, gdy upuszczam telefon na ziemię. W ciemności słychać moje wściekłe okrzyki i jego sapanie, kiedy stara się mnie powstrzymać. Rezygnuję z wierzenia i próbuję kopnąć go w krocze, gorączkowo myśląc o wszystkich sposobach, na jakie może pozbawić mnie życia. Może podciąć mi gardło pękniętą butelką, udusić tymi wielkimi łapskami. Albo po prostu skopać, skatować i zostawić w ciemności, żebym się wykrwawiła.

Nagle zdarza się cud. Moje kolano trafia w cel. Loran wydaje jęk i puszcza mnie.

Wyrywam się i pędzę w kierunku oświetlonej ulicy, ślizgając się na porzuconych resztkach jedzenia. Krew tak głośno szumi mi w uszach, że nawet nie słyszę, czy on za mną biegnie.

Alejka niemożliwie się dłuży, ulica tym bardziej się oddala, im szybciej biegnę. Pieką mnie uda, kłują płuca, żyły przypominają elektryczne przewody wypełnione adrenaliną.

Niemal mi się udało. Widzę przystanek autobusowy.

Ktoś tam jest! Zwalisty skinhead w skórzanej kurtce. Jeśli krzyknę, na pewno mnie usłyszy. Otwieram usta.

Ktoś kładzie mi na nich dłoń. I ciągnie mnie do tyłu w ciemność.

Kiedy na niego padam, czuję na plecach jego mięśnie. Musi ważyć dwa razy więcej ode mnie. Jest taki silny, że może mnie podnieść jednym ramieniem. Młóćę rękami w powietrzu, próbując ugryźć palce zaciśnięte na moich ustach.

Zrozpaczona, odrzucam głowę do tyłu. Czuję eksplozję bólu w rejonie

zatok. Słyszę przyprawiające o mdłości chrupnięcie i spadam wolna. Ciężko ląduję na ziemi i przekręcam się na plecy. Nie zważając na szkło i resztki jedzenia, celuję nogami we wszystko, co znajdzie się w moim zasięgu, i pełzną niczym krab w stronę ulicy.

Jednak tym razem nie próbuje mnie powstrzymać. Cofa się, podnosi ręce w górę. W świetle ulicznych latarni widzę wyraźniej jego twarz. Jego wargi się poruszają. Coś mówi, ale nie mogę go zrozumieć, bo krzyczę.

W końcu dostaję chrypki, a on nadal nie stara się mnie uciszyć ani zamordować. Poziom adrenaliny opada, pozbawiając mnie resztek sił. Wlokę się do ściany i opieram, ciężko dysząc. Przez krótką chwilę po prostu na siebie patrzymy.

Jego twarz jest blada. Ciemna linia krwi biegnie od czoła do nasady nosa, ale nie robi nic, by ją obetrzeć. Jego wielkie dłonie zwisają bezwładnie wzdłuż tułowia.

Coś mówi.

Potrzebuję chwili, żeby zrozumieć słowa wypowiedane z twardym akcentem.

– Czy z tego wyjdzie?

Podnoszę się powoli, ani na moment nie spuszczaając go z oczu i przywierając do ściany, by mieć punkt oparcia.

– Abe. Czy będzie żyć? Błagam, powiedz mi.

Opanowuję oddech na tyle, żeby wydobyć z siebie głos.

– Nie widziałeś, co się stało?

Przechyla głowę do tyłu i zamyka oczy. Na pasie nieba ponad nami widać samotną gwiazdę.

– Czekam tu na niego. U Stone'a. Nie przychodzi, więc wracam do kościoła i jedynym, co widzę, jest krew. Tylko... krew.

Głos mu się łamie.

Czekam. Opuszcza głowę i składa ręce na piersi, jakby było mu zimno.

– Wyjdzie z tego?

– Nie, Lorianie. On umrze.

Patrzy na mnie. Jego twarz przypomina woskową maskę.

– Hej! Co się tam, kurwa, dzieje? – Skinhead staje na końcu alejki.

– Wszystko w porządku – wyduszam z siebie. – Nic mi nie jest.

Chcę porozmawiać z Loranem, zapytać o jego relację z moim bratem, ale on odwraca się i znika w ciemności, utykając.

Skinhead podbiega i pomaga mi wstać. Chce dopaść Lorana, ale bełkocząc, przekonuję go, że upadłam, że doszło do nieporozumienia, że to skomplikowana sprawa. Nie wierzy mi, lecz najwyraźniej dochodzi do wniosku, że lepiej się nie mieszać w rodzinną awanturę, i zadowolona się odprowadzeniem mnie na przystanek autobusowy.

Kiedy autobus w końcu nadjeżdża, z trudem stawiam nogę na stopniu. Ramiona mnie bolą tam, gdzie Loran mnie złapał. Opadam na pierwszy wolny fotel, opierając głowę na trzęsącej się szybie, i zastanawiam się, czy będę chora.

Myślałam, że mnie zabije.

Myślałam, że próbował zabić Abe'a.

Okazało się, że go kochał.

## 33. Mira

Leżysz odwrócony plecami do mnie. Zwijam się za tobą, obejmując cię. Przestałeś płakać. Leżymy na kanapie w spokojnym milczeniu.

Myślę o pieszczocie. Może seks zdołałby ukoić ból. Ale twoje ciało nie jest moją własnością: muszę czekać, aż sam tego zapragniesz.

Nasza intymna chwila przemija. Wiem, że ty też to czujesz, bo twoje ciało stopniowo sztywnieje, oddech staje się lżejszy.

– Musisz być głodny – szepczę. – Dokończę kolację.

Siadasz, abym mogła przejść, ale czuję, że nadal jesteś przybity. Siadam obok ciebie i ujmuję twoją dłoń. Patrzysz na mnie i wiem, że chcesz porozmawiać. Jesteś gotowy, żeby mi się zwierzyć. Cieszę się. Ta straszna historia bardzo nas zbliżyła.

Ściskam twoją szorstką dłoń i szepczę w naszym języku: – Jesteś dobrym człowiekiem. Wiem, że cierpisz z powodu tego, co zrobiłeś. Wszystko w porządku. Cieszę się. To znaczy, że mnie kochasz.

Twoją twarz ogarnia cień.

– Co?

– Wiem, że go zepchnąłeś.

– Kogo?

– Naszego sąsiada. Zepchnąłeś go na dół klatki schodowej.

Patrzysz na mnie chwilę, po czym wyrywasz rękę i odwracasz się ode mnie.

– Co?!

– Zepchnąłeś go, bo myślałeś, że mnie pragnie.

Kręcisz głową, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.



– Widziałam cię. Już dobrze. Rozumiem. Tylko w ten sposób potrafiłeś wyrazić swoją miłość.

Skaczesz na równe nogi.

– Co ty pleciesz?!

– Nie martw się. Nikomu nie powiem. Nigdy. To będzie naszą tajemnicą. Zbliży nas do...

Rzucasz się na mnie, chwytasz za ramiona i potrząsasz.

– Zamknij się!

– Wszystko w porządku. W porządku.

– Nie rozumiesz?! Nigdy nie mógłbym go skrzywdzić!

Potrząsasz mną tak mocno, aż głowa mi lata.

– Przestań. Zrobisz krzywdę dziecku!

– Do diabła z dzieckiem! – krzyczysz po angielsku tak głośno, że słyszą wszyscy sąsiedzi. – To dziecko jest kłamstwem! Nie zrodziło się z miłości! Nic dla siebie nie znaczymy, Miro! Nie widzisz tego?! Poślubiłem cię, żebyś miała wyjechać na Zachód, gdzie tacy ludzie jak ja mogą żyć bez strachu. Dziecko też będzie niczym. Wydmuszką. Pustą skorupą.

– Nie mów tak!

– Dłużej nie wytrzymam! Nie mogę ci tego robić! Nie mogę robić tego sobie!

– Przestań! Dokąd idziesz?

– Żegnaj. Przykro mi.

– Nie! Nie! Wracaj!

Rusza do drzwi, a ja biegnę za nim, wołając: – Nie możesz mnie zostawić! Nie pozwolę ci odejść!

Pozbawiłeś mnie urody, pozbawiłeś ducha, a teraz chcesz porzucić. Moje dziecko będzie bękartem.

Rzucam ci się na plecy, oplatom szyję ramionami. Jeśli chcesz odejść,

najpierw musisz mnie zabić.

## 34. Mags

Po obejrzeniu nagrania zapamiętuję je w chmurze iCloud i wysuwam płytę.

Później po prostu gapię się w ciemny ekran. Nie potrafię dostrzec w tym wszystkim żadnego sensu.

Abe był szczęśliwy. Nie chciał się zabić.

Loran go kochał, nie mógł wyrządzić mu krzywdy.

A jednak Jody kłamie.

Mira też kłamie.

Dlaczego?

Dlaczego?

Ponownie wymaszerowuję z mieszkania i mijam podest, aby stanąć przed drzwiami Jody.

– Otwieraj! – Walę pięścią. – Musisz mi powiedzieć, co się stało! Wiem, że wiesz znacznie więcej, niż powiedziałaś!

W mieszkaniu panuje cisza. Otwór judasza gapi się na mnie bezczelnie. Kopnięcie w drzwi przypomina wystrzał. Odnoszę wrażenie, że słyszę cichy płacz z drugiej strony.

– Wiem, że tam jesteś – syczę do szpary między drzwiami i futryną. – Zapewniam cię, że nie chcesz spotkać się ze mną w sądzie, Jody. Nie masz żadnych pieprzonych szans.

Po kilku wykrzyczanych groźbach wracam do swojego mieszkania i nalewam drinka. Spoglądając w zadumie na plac zabaw, wychylam go z ponurą determinacją, by natychmiast nalać sobie dwa kolejne.

Drzemię na kanapie, gdy dobiega mnie dźwięk dzwonka. To Tabitha,

opiekunka społeczna Jody. Ignoruję ją, ale babka się nie poddaje. Może ona również próbuje się dostać do Jody. Może wsparcie opiekunki sprawi, że Jody otworzy i zechce ze mną porozmawiać.

Jak na kobietę tej wielkości jest niezwykle sprawna, bo chwilę później słyszę ostre kołatanie do drzwi.

– Mogę wejść? – pyta szorstko, gdy otwieram. Ma zaciśnięte wargi, jej czarne oczy miotają gromy.

Kiedy ustępuję na bok, wchodzi energicznym krokiem, kołysząc torebką, a później odwraca się w moją stronę.

– Przestań dręczyć moją podopieczną!

– Co? Kogo? – bełkoczę.

– Jody! Zostaw ją w spokoju! Przez ciebie jest chora!

– Żarty sobie robisz? Jeśli ktoś tu kogoś dręczy, to ona. Chcę tylko, żeby powiedziała mi prawdę o upadku Abe’a. Żeby pójść z tym na policję.

Przechodzę obok niej do kuchni i wyciągam piwo z lodówki, a następnie głośno je otwieram na blacie, odrywając kawałek płyty pilśniowej.

– Prawdę? – Tabitha śmieje się ponuro. – Kiedy nikt ci nie wierzy, twoje słowa przestają być prawdą, stają się pomówieniem. Ostatnim razem, gdy została zgwałcona...

– Nie została zgwałcona! – krzyczę, waląc butelką tak mocno, że piana spływa na blat. – Zmyśliła to, jak wszystko inne!

– Kiedy została zgwałcona – ciągnie z naciskiem Tabitha – zagrozili jej więzieniem. I wszystkim, co ją tam spotka. Ta dziewczyna była wykorzystywana, odkąd sięga pamięcią. Co byś zrobiła na jej miejscu, panno Mackenzie? Przyznałabyś, że skłamałaś lub się pogubiłaś, a później próbowałabyś wieść spokojne życie, żeby nikt cię nie niepokoił? A może zgodziłabyś się na koszmar procesu i ponowne grzebanie w przeszłości? Czy stawiałabyś czoło tym chłopcom w sądzie, z ich szanowanymi rodzicami i nauczycielami rozpluwającymi się w zachwytach, słuchając, jak piętnują cię jako kłamczuchę, fantastkę lub jeszcze gorzej? Prawda kosztuje, panno Mackenzie. Dla takich ludzi jak Jody ten koszt jest zbyt wysoki.

Jej pierś zaczyna gwałtownie falować.

Chcę jej powiedzieć, że mam gdzieś, co wydarzyło się wcześniej. Że tu chodzi o mojego brata, ale ona odwraca się i zaczyna szperać w torebce. Miejmy nadzieję, że wyciągnie telefon, aby wezwać taksówkę. Nie ma szans, żeby w obecnej chwili pomogła mi wywabić Jody z kryjówki.

Prostuje się i rzuca na stół niebieską teczkę.

– Co to?

– Dowód. Ludzie twojego pokroju lubią takie rzeczy, prawda? Przejrzyj to, a potem bądź łaskawa mi powiedzieć, jak zdołasz spojrzeć sobie w oczy, jeśli nadal będziesz zastraszać tę biedną dziewczynę.

– Ona jest kobietą – odpowiadam. – Nie jakąś dziewczyną. I jest odpowiedzialna za swoje czyny.

Tabitha jednak nie słucha. Zarzuca torebkę na ramię, odwraca się i wymaszerowuje z mieszkania. Chwilę później widzę jej skuloną, ciemną postać biegnącą przez trawnik.

Spoglądam na teczkę, pociągam łyk piwa i ją otwieram.

Dziesięć minut później rzygam do ubikacji. Mieszanka piwa i wina wzbogacona o raporty medyczne i zdjęcia z teczki Tabithy to stanowczo za wiele dla mojego skacowanego dzień w dzień organizmu.

Udręczone oczy siedmioletniej Jody patrzą na mnie z ostatniej kartki, którą wkładam do środka.

Jednak przerażająca i wzbudzająca litość lektura nie stanowi dowodu, o którym wspomniała Tabitha. Wierzę, że Jody tego wszystkiego doświadczyła, ale choć nad tym ubolewam, nie oznacza to, że nie jest zdolna do złożenia fałszywego zawiadomienia o gwałcie. Właściwie powiedziałabym, że jest wręcz odwrotnie. Tego rodzaju trauma może zniszczyć osobowość człowieka. Jody mogła być przekonana, że została zgwałcona, jak wierzyła w to, że Abe ją kochał. Byłam bliska zgodzenia się z posterunkową Derbyshire, że Jody nie jest dość silna, aby wypchnąć Abe'a, ale teraz nie jestem już tego pewna. Czy psychoza nie może obdarzyć człowieka nadnaturalną siłą?

Przez głowę przemyka mi obraz dziewczynki z *Egzorcysty* opętanej przez diabła i ogarnia mnie kolejna fala mdłości.

Myślę o drinku, ale zamiast tego wyjmuję z lodówki dwa kawałki pieczywa, wkładam je do tosteru i siadam przy stole, żeby schrupać je na sucho. Nie zadałam sobie trudu zapalenia światła i jestem z tego rada, bo widzę, że członkowie gangu wrócili na plac zabaw. Ich ciemniejące postacie przysiadły na ławce i karuzeli. Jeden się huśta, a koniec papierosa kreśli czerwoną linię w ciemności. Domyślam się, że jeszcze cztery lub pięć lat temu prosił mamusię, żeby go rozbijała. Co się z nim stało? Co się stało z nimi wszystkimi?

Myślę o innym ciemnym oknie. Tym nad drzwiami wejściowymi w naszym bliźniaku w Szkocji. Czekam w korytarzu. Brat stoi tuż za mną. W oknie rysuje się kontur głowy mojej matki. Patrząc na nią, zadzieram głowę, więc muszę być bardzo mała. Mam na sobie ulubione pomarańczowe palto z niebieskimi szwami. Jestem zgrzana. Chcę, żeby wypuściła nas na dwór, ale ona tego nie robi. Czekamy. Czekamy na ojca, który siedzi przed telewizorem w salonie. Blade cienie pojawiają się i znikają na progu.

Nie było ciemno, kiedy założyliśmy płaszcze, żeby pójść na spacer do parku, ale ja i mój brat bawiliśmy się w kręcenie pensa na drewnianej podłodze. Założenie butów zajęło nam tyle czasu, że ojciec oświadczył, że skoro on musiał na nas czekać, to teraz my możemy poczekać na niego.

Nie mam zegarka i nie potrafię odczytać godziny, ale wydaje mi się, że czekamy godzinami. Brat płacze: po cichutku, bo w przeciwnym razie zostałyby ukarany przez ojca. Słyszę jego ochrypły, wilgotny oddech.

Ja nie płaczę. Mój pięcioletni umysł aż kipi z pogardy.

Dobiega nas melodia końca programu. Ojciec jest gotów do wyjścia, lecz wiem, że teraz spacer zamieni się w krótką przechadzkę wokół domu, więc nie zamierzam się ruszyć. Chociaż kopię i drapię, niesie mnie na górę i rzuca na łóżko tak mocno, że pękają środkowe deski. Później idzie z bratem po rybę i frytki dla trzech osób. Tego wieczoru nie dostaję kolacji. W akcie buntu nie jem przez cały następny dzień. Wieczorem matka płacze, a ojciec oświadcza, że zacznę jeść, kiedy poczuję się głodna, i oczywiście ma rację. Gdy z wdzięcznością pałaszuję zapiekankę z makaronu i sera, przygotowaną

przez matkę, gardzę nim bardziej niż kiedykolwiek.

Było to kilka lat przed Wielkim Nawróceniem, gdy mój ojciec był przeciętnym domowym tyranem, a nie pomazańcem Bożym. Nawrócenie (lub „załamanie”, jak to ujęto w liście od lekarza, który otworzyłam nad parą) miało miejsce w połowie wspinaczki na górę, podczas szkolenia ochotników górskiego pogotowia ratunkowego.

Ojciec wrócił do domu przekonany, że Jezus przemówił do niego z nieba.

Bycie chrześcijańskim fundamentalistą wyszło już wówczas z mody. Spieranie się o elementy eucharystycznego opłatka, materialne lub duchowe, wydaje się nieco śmieszne w porównaniu ze ścinaniem głów i ofiarami składanymi w innych formach religijnego obłędu. Teraz to niemal pocieszające. Jednak dorastanie w strachu, stąpanie na paluszkach, żeby nie spowodować wybuchu gniewu ojca, było wyczerpującym i przerażającym doświadczeniem.

Zawsze był tyranem, ale teraz miał za sobą autorytet Boga. Zarządzał domem jak obozem koncentracyjnym. Gdy okazaliśmy najmniejszy sprzeciw, zamykał nas w pokoju i trzymał o głódzie, dopóki nie błagaliśmy o przebaczenie za obrazę Pana. Myślę, że czasami ojciec mylił Boga z dekarzem na samozatrudnieniu, ale mimo omamów był wystarczająco sprytny, żeby stosować zasadę „dziel i rządź” wobec swoich dzieci. Kiedy jedno z nas znajdowało się w niełasce, drugie było traktowane niczym księżę lub księżniczka, więc uważaliśmy się z bratem za wrogów.

Gdy patrzę wstecz, myślę, że byłam znacznie gorsza od Abe’a. Szczerze mówiąc, byłam potworem. Jak mój ojciec.

Oto mój dowód, Tabitho. Oto moja wymówka.

Ciszę rozdziera krzyk.

Odskakuję od stołu i biegnę do drzwi. Wypadam na klatkę schodową.

– Jody!

Ale krzyk nie dochodzi z mieszkania Jody. Drzwi Miry są otwarte. Wbiegam do środka. Drzwi na końcu korytarza zostawiono uchylone. Na podłodze oświetlonej ostrym blaskiem pojedynczej żarówki widzę smugę

krwi, jakby ktoś ciągnął ciało po pokoju.

Czy Loran postradał rozum i zabił żonę?

Dolatuje mnie kobiece szloch.

Mira.

Czy przez cały czas to była ona? Czy anonimy miały na celu odwrócenie uwagi od jej winy zamiast od winy Jody? Czy to ona zabiła Abe'a, bo miał romans z jej mężem? I czy przed chwilą pozbawiła życia Lorana?

Szloch przeradza się w bolesny jęk.

Moje myśli się gmatwiają. Tracę wątek. Może to Loran ją zaatakował, a później uciekł?

Wpadam do pokoju. Mira siedzi na kanapie. Pierwszy raz widzę ją w normalnym stroju, bez abai. Ma na sobie tanie džinsy z supermarketu i bluzkę w kwiaty, którą widziałam na wyprzedaży w sklepie przy głównej ulicy. W pierwszej chwili myślę, że džinsy są czarne, ale później dostrzegam, że mankiety mają jasnoniebieską barwę.

Nie są czarne, lecz mokre od krwi.

Patrzy na mnie. Jej twarz ma kolor marmuru.

– Dziecko... – mówi. – Pomóż mi.



*W klubie rugby pachnie stęchłym piwem, podłoga lepi się od plam. Oczy dziewczyny potrzebują chwili, żeby przywyknąć do mroku, bo chłopcy nie chcą rozsunąć zasłon, bojąc się, że ktoś mógłby ich zobaczyć. Poprzedniego dnia zostawili otwarte drzwi z wyraźnym zamiarem powrotu i zabawienia się za darmo.*

*Przyjaciół Felixa już stoi za barem.*

*– Czego się napijesz, Jody?*

*– Poproszę colę.*

*Wybuchają śmiechem.*

*– Oto wódka z colą.*

*Chłopcy grają w bilard i piją bez przerwy, Jacka Daniels'a mieszają z piwem. Za każdym razem, gdy ten większy wychyla drinka, wzdryga się gwałtownie i wydaje głośne czknięcie. Dziewczyna myśli, że chłopak jest jak zwierzę i w miarę upływu czasu zaczyna pachnieć jak ono.*

*Felix też. Na jego czole i górnej wardze widać kropelki potu, choć w budynku klubu robi się chłodniej, gdy zachodzi słońce.*

*Następną kolejkę przygotowują razem. Na chwilę odwracają się do niej plecami i coś szepczą.*

*Felix przynosi jej drinka, kolejną wódkę z colą. Coś sprawia, że zagląda do środka. W szklance znajduje się jedynie brązowy płyn z plasterkiem cytryny ze słoją za barem. Robi z nim to samo co z czterema poprzednimi drinkami – wylewa ukradkiem do doniczki z przywiedłą juką, kiedy tamci są zajęci grą w bilard.*

*– Przyjrzyjmy się twoim bliznom – mówi kumpel Felixa, gdy kończą.*

*Patrzy na niego ze zdumieniem.*

*– Ja...*

*– Daj spokój. Pokażę ci swoje.*

*Sięga rękami do paska i zanim ona zdąży zaprotestować, opuszcza spodnie. Nosi obcisłe białe slipy opinające zarys dużego, przekręconego na*

*bok penisa. Waha się chwilę, nie odrywając od niej wzroku, po czym wykrzywia w uśmiechu kącik ust.*

*– Nie, nie tam, kochana – mówi. – Na kolanie. Zerwałem więzadło krzyżowe.*

*Długa blizna biegnie od dolnej części lewego uda przez rzepekę aż po goleń.*

*– Och – dziewczyna wzdycha odruchowo. – Musiało boleć.*

*– Felix ma podobną.*

*– Wiem.*

*– Oooooooooooch! – woła szyderczym falsetem, a Felix udaje, że się uśmiecha.*

*W trakcie następnej partii co chwila na nią spoglądają, a później przyjaciel Felixa pyta:*

*– Jak się czujesz? – Jego głos jest ochrypły od alkoholu.*

*– W porządku. Dziękuję.*

*– Co jest, do cholery? – bełkocze. – Jesteś bioniczną dziewczyną czy co?*

*Nie wie, o czym on mówi.*

*Felix odkłada bilę i prostuje grzbiet.*

*– Robi się późno. Powinniśmy wracać.*

*Ten duży na niego napiera.*

*– Nie zostawiaj mnie teraz, cykorze.*

*– Ja też jestem gotowa wracać, Felixie – mówi dziewczyna.*

*Idzie do drzwi i staje przed nimi.*

*Ten duży z hukiem kładzie bilę na stole. Dziewczyna i Felix podskakują.*

*– Kochasz go, co? – uśmiecha się chłopak.*

*Ona się waha.*

*– To mój brat.*

– Chodzi o coś więcej, prawda?

Spogląda na niego pytająco. Nie rozumie, czego od niej oczekuje. Co ma powiedzieć, żeby pozwolił jej odejść?

– Wiemy, co cię spotkało. Gówniana sprawa. Serio.

Dziewczyna mruga do Felixa. Czy mu powiedział?

– Normalnie tak nie jest. Powinnaś spróbować jeszcze raz. Zobacysz, że ci się spodoba. Idę o zakład, że nauczyłaś się tego i owego. Założę się, że faceci ci za to płacili.

Rusza ku niej.

– Felixie.

Felix przysuwa się bliżej.

– No dalej, stary. Pokaż jej. Pokaż dziewczynie, jakie to może być przyjemne. Dla obojga. Dla nas wszystkich.

Grdyka Felixa porusza się nerwowo. Jego skóra ma kolor wosku.

– To nic złego – zwraca się do dziewczyny. – Kochasz mnie, prawda?

Mruga oczami i kiwa głową. Kocha go, a on kocha ją. Nigdy nie wyrządziłby jej krzywdy.

– Dalej, stary – mruczy wielkolud. – Kutas mnie boli.

Felix ściąga T-shirt i staje przed nią z obnażoną klatką, jak mężczyźni z tych czasopism. Później podnosi jej dłoń i kładzie sobie na piersi. Jego skóra jest śliska od potu. Czuje, że serce mu wali.

– Widzisz – mówi ten większy – Felix nigdy wcześniej tego nie robił. Tak jak należy. Potrzebuje dziewczyny z odrobiną doświadczenia, żeby mu pokazała.

Felix ma zamknięte oczy. Siłą woli zmusza go, by je otworzył i spojrział na nią. Oboje mogą odejść. Wrócić do domu. Zjeść kanapki z bekonem przed telewizorem.

– Chryste, stary! Zejdź mi z drogi! – Felix przesuwa się i staje nad nią ten drugi. Czuje na twarzy jego oddech gorący od alkoholu.

*Nic nie mówi, kiedy on ściska jej pierś, chichocząc, jakby było w tym coś zabawnego, gag z komediowego skeczu. Nie prosi go, żeby przestał. Wie, że to bezcelowe. Nie przestanie, choćby powiedziała nie wiem co. Widziała to spojrzenie w oczach mężczyzn. Chłodne, szkliste spojrzenie rekina. Jest pijany i podniecony, a Felix wszystko mu o niej powiedział. Wie, że przeleciała ją setka mężczyzn. Pewnie myśli sobie: jeden więcej, co za różnica?*

*– Daj spokój, Jody – mówi Felix. – Nie płacz.*

*– Zamknij się i napij, pedale. Może to doda ci jaj.*

*Pociągając jacka daniels'a z butelki, Felix patrzy zza bilardowego stołu, jak jego przyjaciel wpycha do ust dziewczyny swój oślizgły język, głęboko, jakby chciał wpełznąć do gardła. Jej gardło automatycznie wiotczeje. Dawno temu nauczyła się panować nad odruchem wymiotnym.*

*Jej usta są tak rozciągnięte, że mało nie pękną w kącikach. Później czuje znajome pieczenie sutka, kiedy tamten chwyta go palcem wskazującym i kciukiem, a następnie wykręca.*

*– Dość – mówi Felix. Rzuca butelkę na stół i wlecz się do nich, odpychając przyjaciela na bok.*

*W jej serce wstępuje otucha. Pojadą do domu. Felix nie spotka się więcej z tym potworem.*

*Ale on nie bierze jej za rękę. W jego oczach pojawia się twardy błysk. Opiera się na niej tak, że czuje wypukłość na jego spodniach.*

*– Znakomicie, Felixie! – pieje ten drugi.*

*Kocha, więc go całuje, chociaż łzy płyną jej po policzkach. Słodka cola zamienia się w gorycz na jego języku. Obejmuje Felixa ramionami, kładzie dłonie na jego ciepłych plecach, przyciskając do siebie, jakby chciała go ochronić przed tym, co nastąpi.*

*Odsuwa się od niej. Może przestanie. Może zdoła uciec z klubu. Pobiegnie osiedlowymi uliczkami, aż znajdzie przystanek autobusowy.*

*Ale on robi sobie miejsce, żeby włożyć dłonie pod miseczki stanika. Jego palce są zimne i wilgotne od trzymania szklanki z lodem.*

*Próbuje go odepchnąć, lecz Felix trzyma ją mocno. Jego palce wbijają się w jej obojczyki. Na twarzy pojawia się ponura mina. Przyjaciel obserwuje ich chciwie.*

*Zamyka oczy. Ręce wiją się pod stanikiem. Później czuje na plecach inne palce, odpinające haczyki jednym wprawnym ruchem.*

*Stanik opada, a te ręce, większe i twardsze od rąk Felixa, przesuwiają się w kierunku guzika jej dzinsów. Jeden chłopak jest za nią, a drugi przed nią.*

*Palce wsuwają się pod majtki, a później wpychają do środka.*

*– Cholera, człowieku! Ona jest luźna jak stara baba!*

*Nagle Felix przestaje. Dłonie pieszczące piersi nieruchomieją, język zamiera jej w ustach.*

*– Teraz moja kolej! – mówi ten drugi, odpychając Felixa.*

*Felix odchodzi chwiejnym krokiem z ustami lśniącymi od śliny. Patrzy otepiały, jak jego kumpel pcha dziewczynę naprzód, aż do bilardowego stołu. Uderzenie sprawia, że zgina się w talii. Kładzie jej rękę na plecach i przyciska twarz do stołu.*

*Zrywa dzinsy.*

*– Nie! – krzyczy dziewczyna. To boli. Tępy ból szyjki macicy, pęknięcie wywołane tarciem suchej skóry o suchą skórę. Powinien użyć środka nawilżającego. Gdyby wiedziała, co się stanie, wzięłaby trochę mydła w płynie z toalety.*

*Szorstkie sukno drapie ją w policzek.*

*Niech to się skończy. Po prostu pozwól, żeby się skończyło.*

*Ale on jest pijany. Będzie to robić całe wieki.*

*Podnosi oczy ponad krawędź stołu w kierunku miękkiego złocistego światła przenikającego cienkie zasłony. Przez szparę widzi trawę i myśli o koniach pędzących z rozwianymi grzywami, rzucających ogonami.*

*Ku jej zaskoczeniu chłopak mruczy i się cofa. Zdejmuje rękę z jej pleców, ale gdy próbuje się wyprostować, napiera ponownie z głośnym plaśnięciem. Znowu w niej jest, teraz tylko w połowie twardy. Jeszcze gorzej. W ten sposób*

*nigdy nie dojdzie. Będzie ją obwiniać.*

*Członek się wysuwa. Miękkie i zwiotczały.*

*– Z drogi, geju. Pozwól, żeby skończył prawdziwy mężczyzna.*

*Felix?*

*Spogląda zdumiona, ale jej pole widzenia zasnuwa się zielenią.*

*Czy to Felix?*

*Pchnięcie jest tak mocne, że jej biodra uderzają o drewnianą krawędź stołu. Krzyczy z bólu.*

*– Masz, dziwko – dyszy jego kumpel przez zaciśnięte zęby. – Tego chciałaś, prawda?*

*Wielkie łapska wślizgują się pod jej klatkę piersiową i zaczynają wykręcać sutki. Czy należy do tych, których podnieca zadawanie bólu? Czy będzie je wykręcać, dopóki nie zaczną krwawić? Warczy jak pies.*

*Pospiesz się i dojdź.*

*Pospiesz się i dojdź.*

*Pospiesz się i dojdź.*

*Ktoś ma mdłości. Czuje na stopie ciepłe wymiociny. Podnosi głowę na tyle, by ją odwrócić, drapiąc brodą o sukno. Felix kuca przy stole z poblaskiem twarzy, jego głęboko osadzone oczy patrzą na nią niewidząco.*

*Czuje tak mocne pchnięcie, że krzyczy: z bólu w biodrach i gdzieś głęboko. Jakby otwarto coś siłą.*

*Powiedzieli, że może mieć dzieci.*

*Felix znowu zwraca.*

*Później osuwa się na nią ciężkie ciało, wyciskając powietrze z płuc. Nie może oddychać. Udusi się. Kiedy zaczyna się szamotać, chłopak odrywa się od niej. Jego twardy fiut wysuwa się z wilgotnym plaśnięciem.*

*Gdy odzyskuje siły, prostuje się i niepewnie okrąża stół, czyniąc z niego barierę między nimi. Naciąga dzinsy, zakłada stanik i sięga po bluzkę. Dyszy*

*jak pies. Musi kontrolować oddech, bo dojdzie do hiperwentylacji. Musi nad sobą panować. Musi wyjść, zanim postanowią zrobić to ponownie lub uczynić coś gorszego.*

*Przyjaciel Felixa stoi przy barze, popijając jacka daniels'a i colę.*

*Felix nadal siedzi w kucki na podłodze, jak schwyte zwierzę. Jego oczy są wytrzeszczone z czystego, nieprzytomnego przerażenia.*

*Dziewczyna biegnie do wyjścia przeciwpożarowego. Nie próbują jej zatrzymać.*

**Poniedziałek, 14 listopada**



## 35. Mags

Jakimś cudem uratowali dziecko.

Małą dziewczynkę. Bez imienia, bo Mira była święcie przekonana, że urodzi chłopca.

Mira straciła dużo krwi. Przez jakiś czas wyglądało na to, że nie przeżyje, ale dała radę. Siedzę cicho przy łóżku, kiedy śpi w spokojnej głębi anestetyków. Na innym oddziale śpi także mój brat. Pójdę go odwiedzić, gdy będę miała siłę wstać. W tej chwili mogę jedynie pić ciepłą, słodką herbatę i obserwować migoczące światła samochodów, przesuwane na prześcieradle łóżka.

W pierwszym momencie myślałam, że to Loran – że ją kopnął lub pchnął, a Mira zapewnia o jego niewinności tylko po to, by go chronić. Znowu. Ale pielęgniarki powiedziały, że przyczyną krwawienia było odklejenie łożyska wywołane wysokim ciśnieniem.

Drzwi cicho się otwierają i do pokoju wchodzi pielęgniarka z niemowlęciem owiniętym w biały kocyk.

– Chciałabyś ją potrzymać? – szepcze. – Jestem pewna, że potrzebny jej ludzki dotyk, zanim mama nie poczuje się lepiej.

Po chwili, bez uprzedzenia, w moich rękach ląduje mała istota z krwi i kości.

Dziewczynka jest lekka jak papierowy latawiec.

– Jesteś pewna? – jąkam się. – A jeśli...

– Jeśli zrobisz jej krzywdę? – Pielęgniarka chichocze. – Nie zrobisz. Ta mała jest wojowniczką. Później możesz położyć ją do łóżeczka. – Pokazuje pudełko z perspeksu stojące przy łóżku Miry.

– A jeśli zacznie płakać?

– Przez jakiś czas nie będzie głodna. Na razie jesteś bezpieczna.

Kiedy odchodzi, mam wrażenie, jakby na całym świecie została tylko ta maleńka dziewczynka. Ona i ja.

Otulam kocykiem policzek pokryty delikatnym meszkiem. Jej oczy są lekko otwarte, więc podnoszę rękę, żeby osłonić je przed światłem z nad łóżka. Stopniowo powieki otwierają się szerzej i w końcu mam przed sobą parę ogromnych oczu, czarnych i błyszczących jak sadzawki smoły.

– Witaj – mruczę. – Myślę, że obie widzimy się pierwszy raz.

Mała wierci się i wierzga jak kucyk. Obawiam się, że zacznie płakać, więc lekko rozwijam koc, żeby miała większą swobodę ruchu. Natychmiast wysuwają się drobne rączki, różowe i chude, z rozcapierzonymi palcami. Unoszę palec wskazujący i dotykam maleńkiej dłoni. Paluszki zaciskają się wokół niego.

Trzyma się bardzo mocno. Za nic nie pozwoli mi odejść.

Kiedy zasypia w moich ramionach, czuję, jakby było to – staram się znaleźć inne słowo, ale nie przychodzi mi do głowy żadne lepsze od tego, którego używał ojciec – błogosławieństwo.

Podnoszę ją tak, by oparła się na mojej piersi. Żeby mogła słyszeć jej oddech. Czoło dziewczynki oblepiają kosmyki czarnych włosów, jakby przyjscie na świat ją zmęczyło.

Gdy dociera do mnie, że zapadam w drzemkę, układam niemowlę w łóžeczku i przykrywam kocem.

Budzi mnie powrót pielęgniarki.

Mira też się obudziła. Leży i patrzy w sufit, kiedy pielęgniarka mierzy jej ciśnienie krwi.

– Zjesz coś na śniadanie? – pyta pielęgniarka.

Przez żaluzje prześwitują promienie poranka. Spoglądam na zegarek: dziesiąta piętnaście.

– Poproszę kubek herbaty – mówi potulnie.

Pielęgniarka odwraca się do mnie.

– Dla ciebie też?

Dziękuję jej. Od wczorajszego picia mam sucho w ustach.

Niemowlę zaczyna się drzeć. Zdumiewająco donośny dźwięk jak na tak drobną istotkę. Pielęgniarka wyjmuję dziewczynkę z łóżeczka i umieszcza w ramionach Miry. Kiedy ta spogląda na córkę, po jej policzku spływają łzy.

Pielęgniarka odchyła jej koszulę i przykłada niemowlę do piersi. Ukazuje się maleńka dłoń. Przez chwilę wymachuje w powietrzu, a później się uspokaja, opierając wygodnie na szyi. Oddech staje się stłumiony. Czuję ukłucie zazdrości.

Pielęgniarka jest rozpromieniona.

– No właśnie. Natura w czystej postaci.

– Czy on przyszedł? – pyta mnie Mira, gdy pielęgniarka wychodzi z pokoju.

Kręcę głową i czekam, aż się załamie, ale tego nie robi.

– Chciał chłopca. Ona mu się nie spodoba.

– Będzie frajerem. Ta mała jest doskonała. Co zrobisz?

– Zabiorę ją do Tirany. Zostaniemy feministkami. Będą się nas bać wszyscy mężczyźni.

Mój śmiech dociera do połowy korytarza. Mira też się śmieje. Ma potargane włosy, zaczerwienione policzki i błyszczące oczy. Już nie jest przygaszoną, stłamszoną muzułmańską żoną, ale silną i piękną młodą kobietą.

Jej twarz poważnieje.

– Okłamałam cię.

– Wiem.

– W takim razie musisz wiedzieć dlaczego. Ze słabości i tchórzostwa. Mam nadzieję, że zdołasz mi przebaczyć.

Myślę o Danielu.

– Wszyscy czasami tchórzymy.

– Pozwól, że powiem ci prawdę. Przysięgam na życie Flori. – Spogląda w dół, na dziecko. – Tak ma na imię moja matka. – Podnosi wzrok i patrzy na mnie. – Zanim usłyszałam krzyk, zanim rozległ się ten potworny dźwięk, gdy twój brat upadł na beton, i zanim Jody zaczęła wołać, słyszałam głosy.

Oddycham powoli – wdech i wydech – próbując zachować spokój.

– Jeden z nich należy do Jody. Jest przestraszona. Drugi to głos mężczyzny. Nie Abe’a. Nie mogę zrozumieć słów z powodu muzyki dobiegającej z mieszkania twojego brata. Dolatują mnie stukania i szmery. Zaczynam podejrzewać, że Jody się z kimś szamocze. Podchodzę do drzwi i biorę kij baseballowy, który Loran trzyma tam na wypadek kłopotów.

Próbuję ją sobie wyobrazić. W ósmym miesiącu ciąży, uzbrojoną i gotową odpędzić napastnika nękającego Jody. Na pewno jest dzielna.

– Rozlega się głośny hałas. Jody woła twojego brata. Abe wychodzi. Muzyka staje się głośniejsza. Nie mogę zrozumieć, o czym rozmawiają. Z mieszkania twojego brata dolatuje słabe światło, więc wyglądam przez judasza.

Wstrzymuję oddech, kiedy spogląda w dół, na główkę Flori. To ta chwila. Chwila, w której dowiem się prawdy. Samochody przejeżdżające ulicą sprawiają, że rama okna klekocze jak dzwoniące zęby.

– Co zobaczyłaś, Miro?

Podnosi głowę i patrzy na mnie.

– Lorana.

Mrugam oczami, starając się zrozumieć jej słowa.

– W czasie, gdy doszło do wypadku? O ósmej wieczorem?

Żałośnie kiwa głową.

– Szamoczą się. W ciemności widzę jedynie ciemne kształty. Twój brat pochyla się do tyłu na balustradzie – rozpoznaję go po sylwetce – a Loran głośno stęka i go wypycha. Dobiega mnie głuchy odgłos upadku. Jody krzyczy.

Mira zaciska powieki.

– Loran zepchnął Abe'a. A później uciekł.

Odwraca głowę. Niemowlę przestaje jeść i odsuwa główkę od piersi. Spogląda na matkę nieprzeniknionymi czarnymi oczami.

Wyciągam telefon z torebki.

– Nie mógł tego zrobić. Popatrz.

Loguję się na moje konto iCloud, a następnie odtwarzam niewyraźny czarno-biały zapis wideo z monitoringu. W kadrze ukazują się arkady wiaduktu kolejowego. Przewijam do przodu. Metalowe drzwi otwierają się i zamykają, mężczyźni wchodzą i wychodzą z dużą szybkością. Obraz ciemnieje w miarę upływu czasu mierzonego zegarem w rogu ekranu. Później ponownie jaśnieje, gdy zapalają się latarnie. Kiedy jakiś łyśy facet przyjeżdża na rowerze, przerywam przewijanie. Mężczyzna odstawia rower. Drzwi się otwierają i na betonowy próg wychodzi Loran. Obaj zatrzymują się na słówko.

– Spójrz na zegar.

Robię zbliżenie. Mira odczytuje datę i czas, a później patrzy na mnie, marszcząc brwi.

– Musieli to zmienić.

– Facet dał mi nagranie, kiedy go o to poprosiłam. Nie miał czasu na przerobienie filmu.

Wracam do pełnego ekranu. Rowerzysta wchodzi na siłownię, a Loran się oddala, znika z pola widzenia, kierując się w stronę pubu. Przewijam do ósmej trzydzieści, dziewiątej i dziesiątej, gdy Loran w końcu wynurza się z lokalu. Zatrzymuję wideo.

Mira podnosi rękę do twarzy. Przyczepiona do niej rurka kroplówki zaczyna drżeć.

– Widziałaś jego twarz, Miro? Może to był ktoś inny?

– Stał odwrócony plecami, ale rozpoznałam go po budowie ciała.

– Wielu mężczyzn ma taką budowę. Dlaczego pomyślałaś, że to Loran?

– Bo w przeciwnym razie Jody musiałaby wpuścić tego mężczyznę. Dlaczego miałyby to zrobić, skoro go nie znała? Poza tym nie słyszałam dzwonka, a jest bardzo głośny.

Nie znam odpowiedzi na te pytania.

– Co miał na sobie? – ryzykuję.

Odwraca oczy.

– Faktycznie, nie rozpoznaję napisu na plecach jego bluzy. To coś... coś w rodzaju RFC. Myślałam, że ją od kogoś pożyczył.

Siedzimy w ciszy przerywanej jedynie klekotaniem okna i szelestami dobiegającymi od niemowlęcia. Nie wiem, jak jej to powiedzieć.

– Miro, dlaczego Loran miałyby zrobić krzywdę Abe'owi?

Kręci głową.

– Nie mam pojęcia. Zastanawiam się, czy nie był zazdrosny o to, że twój brat mnie lubił.

Kiedy wypowiada te słowa, wiem, że sama nie daje im wiary. Że nie oczekuje, iż ja w to uwierzę. Nie sądzę, aby była zaszokowana tym, co jej powiem.

– Miro, Loran i mój brat byli zakochani. Loran jest gejem.

Patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Rozumiesz? Gejem. Homoseksualistą. On kocha innego mężczyznę.

Pieluszka szeleści, kiedy pierś Miry wznosi się i opada. Niemowlę obserwuje jej twarz.

Mira kiwa głową.

Spogląda na dziecko, a później gapi się w sufit i zaczyna płakać. Ciche pochlipywanie przechodzi w głośny szloch.

Wyciągam rękę i ujmuję jej kruchą dłoń.

– Przykro mi.

Jednak kiedy podnosi oczy i na mnie patrzy, widzę, że uśmiecha się przez

łzy.

– Nie, nie, nie. Jestem szczęśliwa. Ma powód, żeby mnie nie kochać.

– Będziesz musiała powiedzieć policji, co widziałaś.

Ponownie kiwa głową, ocierając oczy.

– I Jody – mówi. – Musisz ją skłonić, żeby z nimi pomówiła. Ona zna tego mężczyznę. Człowieka, który zabił Abe’a.

Odruchowo krzywię usta.

– Kto uwierzy słowom Jody?

Mira nie może odpowiedzieć, bo nadchodzi pielęgniarka. Odwracam się i witam ją uśmiechem. Tylko ona i ja wiemy, że oprócz położników byłam pierwszą osobą na świecie, która miała na rękach Flori. Ze zdumieniem odkrywam, że ma to dla mnie znaczenie.

Lecz ona nie odwzajemnia mojego uśmiechu.

– Panna Mackenzie?

– Tak.

– Wzywają panią na oddział intensywnej terapii. Proszę iść jak najszybciej, jeśli chce pani...

Ale ja jestem już na korytarzu.

Jody siedzi zgarbiona na krześle, z podkulonymi nogami. Szloch wstrząsa jej ciałem, jakby raz po raz uderzał ją niewidzialny olbrzym.

Nie czuję do niej gniewu. Nie czuję niczego. Jakbym obserwowała akcję rozgrywającą się na ekranie – akcję, którą przestałam uważnie śledzić, zanim zdążyłam się przejąć losem bohaterów.

Pielęgniarki krążą wokół łóżka. Przez szelest ubrań i pościeli słyszę oddech Abe’a. Odłączyli urządzenie wspomagające oddychanie. Mój brat wydaje takie dźwięki, jakby się krztusił.

– Czy nie powinniście czegoś zrobić?

– Obawiam się, że jest już za późno. – Doktor Bonville stoi przy łóżku

obok mnie. – Abe umiera. Usiądź, Mags. To może chwilę potrwać.

– Zróbcie coś! Czy to moja wina? Bo zgodziłam się na niepodejmowanie reanimacji? Cofam zgodę! Chcę, żebyś go ocalił!

– Organizm Abe’a umiera. Nie możemy nic zrobić. To nie ma żadnego związku z zaniechaniem reanimacji. Nie obwiniaj siebie.

Siadam. Poduszka z gąbki wydaje ciężkie westchnienie.

– Organizm Abe’a został nieodwracalnie uszkodzony wskutek wypadku. Wiedzieliśmy, że to nie potrwa długo. Myślę, że tak jest lepiej. Nie sądzisz?

Wszystkie monitory zostały wyłączone. Pielęgniarki odchodzą. Jedna po drugiej znikają za niebieską zasłoną, ale Bonville zostaje.

Mijają minuty. Charczące oddechy Abe’a stają się coraz rzadsze. Jody cicho płacze.

Później jego oddech ustaje.

Nie odrywam oczu od twarzy brata, wypatrując chwili śmierci, aby zobaczyć, czy coś uchwytnego opuści ciało. W kokonie niebieskich zasłon uświadamiam sobie, że niezależnie od tego, jak szybko i daleko uciekłam od wiary naszego ojca, tak naprawdę nigdy się z niej nie wyzwoliłam.

Wypatruję duszy Abe’a.

Nagły zdławiony bulgot sprawia, że zaczynam płakać. Doktor Bonville kładzie rękę na moim ramieniu.

– Jeszcze nie.

Nie wiem, jak długo to potrwa, ale słuchanie ostatnich bolesnych oddechów jest męczące. Światło się nasila, na łóżku kładą się cienie. Rozpoczyna się przedpołudniowa godzina szczytu. Silniki gniewnie ryczą, słychać dźwięk klaksonów.

Wracam myślami do zamku Eilean Donan. Ciekawe, czy myśleliśmy o tym samym, gdy staliśmy razem na murach. Czy warto walczyć?

Było warto, Abe. Przynajmniej w twoim przypadku. Z nas dwojga to ty dokonałeś czegoś wartościowego. Byłeś kochany i ofiarowałeś miłość. Niezależnie od tego, co kiedyś myślałam, teraz jestem pewna, że tylko to się



liczy.

Zdaję sobie sprawę, że od ostatniego oddechu Abe'a minęło kilka minut. Podnoszę głowę i spoglądam na doktora Bonville'a, który cały czas pełni przy mnie wartę.

Podchodzi do łóżka i ujmuje nadgarstek Abe'a. Mija minuta. Podnosi głowę i mówi:

– Odszedł.

Kiedy miałam dziewięć lat, w szkolnej bibliotece wypożyczyłam powieść *Przygody Piotrusia Pana*. Czytałam ją, ukrytą w okładce, nerwowo nasłuchując kroków ojca na schodach. Pamiętam bardzo wiele z tej zakazanej książki, z całą jej bluźnierczą magią.

Gdy patrzę na ciało spoczywające na łóżku, myślę o Piotrusiu, który odleciał w noc i pozostawił jedynie swój cień skrępowany kabelkami i rurkami. Wstaję i zaczynam je wyciągać, jedną po drugiej, zdejmuję bandażę, odklejam taśmę, a Bonville nie próbuje mnie powstrzymać.

W końcu widzę wyraźnie mojego brata. Przypomina śpiącego chłopca.

„Nauczyłem cię walczyć i latać”, powiedział Piotruś do Wendy. „Co jeszcze mógłbym zrobić?”

Beze mnie nauczyłeś się znacznie więcej, Abe. Nauczyłeś się troszczyć o ludzi. Ja nigdy tego nie umiałam. A teraz cię nie ma, żebyś mógł mi pokazać.

Nie chcę patrzeć, jak śmierć przejmuje nad nim władzę. Jak jego wargi stają się zwiotczałe, jak szarzeje skóra, jak powieki odpadają, odsłaniając oczy mętne niczym woda w stawie. Mimo to nie potrafię oderwać wzroku od twarzy brata.

Nagle powraca wspomnienie... Abe drzemie na kanapie, chociaż powinien czytać Biblię. Pochyliam się nad nim, czując w piersi rozkoszne oczekiwanie, bo wiem, że będę mogła na niego naskarżyć. Dostanę nagrodę. Tatuś będzie ze mnie rad. Będzie taki szczęśliwy, że pozwoli, abym sama wymierzyła Abe'owi karę. Polubiłam łzy i błagania brata, żeby przestała, bo oznaczały, że moja gwiazda wschodzi. Palce mnie świerzbią, żeby poczuć śliską skórę paska, chłód sprzączki, która pozostawi na ciele precyzyjne

siniaki w kształcie półksiężyca.

Pochyłam się i całuję wargi Abe'a. Są ciepłe i miękkie, ale mojego policzka nie łaskocze jego oddech.

Za długo mieszkałam w Ameryce, aby przywiązywać wagę do deklaracji w rodzaju „kocham cię”, lecz żałuję, że nie miałam czasu powiedzieć „przepraszam”. Za wszystko, co mu zrobiłam. Za to, że zostawiłam go samego. Żałuję, że mu nie powiedziałam, że uciekłam ze strachu nie przed naszym ojcem, ale przed samą sobą. Przed tym, kim się stałam.

Myślę o ostatnich skąpych słowach, które wymieniliśmy. Słowach wypisanych na lichych kartkach bożonarodzeniowych, skreślonych pospiesznie, skazanych na spóźnione przybycie i nieoczekiwanych przez nikogo.

*Od Abe'a. Od Mags.*

Mimo to mogły wyrażać wszystko, czego potrzebowaliśmy.

*Wiem. Rozumiem. Przebaczam.*

Ach... Muszę iść.

Kiedy odchodzę, Jody rzuca się na jego ciało i wyje. Obserwuję ją sparaliżowana. Ta kłamczucha. Ta fantastka. Boże, jak ona go kochała.

Ogłuszona wracam do Świętego Hieronima, ale gdy wchodzę do mieszkania, prawie nie pamiętam, jak tam dotarłam.

W głębi nieświadomości zawsze musiałam wierzyć w to, że pewnego dnia się pojednamy. Teraz ogarnia mnie dzika panika. Abe odszedł, a ja muszę wyryc sobie w pamięci wszystko, co po nim pozostało, zanim na zawsze ogarną go ciemności.

Otwieram szuflady, szukam zdjęć, pamiątek, czegokolwiek, co pozwoli mi ujrzeć go takim, jaki był, choćby na chwilę.

W sypialni zamieniam się w Jody. Szperam w jego garderobie, próbując wyczuć jego ulotny zapach.

Wysypuję zawartość pudła w poszukiwaniu listów lub wydruków maili, czegoś, co pozwoli mi usłyszeć ponownie jego głos.

Wypadają kartki z bożonarodzeniowymi życzeniami.

Na jednej z nich widać wieżę Eiffla nakrytą czapką Świętego Mikołaja. Potrzebuję chwili, aby zdać sobie sprawę, że nie jest to prawdziwa wieża, ale jej miniaturowa kopia ze Stripu w Las Vegas. Mija kolejna, zanim uświadomię sobie, że to ja wysłałam tę kartkę.

Siadam na łóżku i ją otwieram.

*Bożonarodzeniowe życzenia z Miasta Grzechu!*

Niejasno pamiętam, jak skreśliłam u dołu swoje imię, choć jest oczywiste, że zrobiłam to bez głębszej troski, z poczucia obowiązku, o rok za późno, bo jego kartka dotarła na moje biurko dopiero w lutym.

*Od Mags.*

Zamykam ją i przesuвам palcami po wypukłym obrazku. Przypominam sobie kartkę od Abe'a. Ośnieżony zamek nad skutym lodem jeziorem, z ciągnącymi się po horyzont śladami kaczek.

Ty i ja staliśmy na murze tego zamku, myśląc o tym, czy się utopić. Czy życie kiedykolwiek stanie się znośne?

Nie musieliśmy jednak iść pod wodę. Mogliśmy przez nią przejść do wolności. Sądzę, że nigdy nie widziałeś w tym metafory, raczej przypomnienie tamtego czasu, tamtej chwili, gdy byliśmy naprawdę bratem i siostrą. I nadzieję, że możemy stać się nimi ponownie.

Kartki, które do siebie pisaliśmy, były czymś więcej od lichego papieru, na którym je wydrukowano, i wyświechtanych frazesów.

Oznaczały przymierze. Obietnicę, którą sobie złożyliśmy, że zapomnimy o przeszłości i będziemy traktować się właściwie.

Wiem, co muszę zrobić. Zaczynam pakować walizkę.

Wyraz twarzy kobiety jest tak wrogi, że dziewczyna żałuje, iż musi siedzieć obok niej. Jej oczy odbijają blask świetlówek wiszących nad stołem, jakby były pochodniami płonącymi za jej czarnymi tęczówkami.

– Miejmy to już za sobą, dobrze? – Głos kobiety brzmi groźnie.

Policjant zbiera papiery leżące na stole, jakby nie był zainteresowany. Nosi koszulę z krótkim rękawem, a jego ramiona są grube i pozbawione kształtu niczym kiełbasa. Rude włosy wyrastają z piegów. Podnosi głowę i patrzy na dziewczynę, ignorując kobietę. Jego pomarańczowo-brunatne oczy pasują do włosów.

– Zanim rozpoczniemy, chcę się upewnić, że zrozumiałaś znaczenie oficjalnego upomnienia i świadomie potwierdziłaś, że je otrzymałaś.

– Goddardowie zrobili to w jej imieniu – wtrąca kobieta – choć trudno ich uznać za bezstronnych. Powinniście byli mnie wezwać dużo wcześniej.

Policjant odwraca się w jej stronę.

– Po pierwsze, byli jej prawnymi opiekunami aż do dziś.

Byli? Dziewczyna patrzy na niego ze zdumieniem.

– Po drugie... – Na chwilę zamienia się ponownie w syczącego i plującego jadem tyrana, który ją zastraszył i zmusił do powiedzenia, że kłamała. Że wszystko zmyśliła. – Ma szczęście, że w ogóle zaoferowaliśmy jej pomoc prawną. Mogła trafić do więzienia, wie pani o tym?

– Zamknij się, Kellan. Wiesz równie dobrze jak ja, że przysięgli nigdy by jej nie skazali. Sprawa została oddalona, a ty musiałbyś cały rok wycierać jajko z twarzy. Wymieniłam cię z nazwiska w skardze do IPCC<sup>17</sup>.

Policjant uśmiecha się oschle.

– Pani skarga zostanie rzetelnie rozpatrzona. Moglibyśmy przejść do rzeczy? – Ponownie przesuwając na dziewczynę swoje bursztynowe oczy. – Czy rozumiesz procedurę? Do tego momentu?

Powinna potwierdzić, więc kiwa głową.

– Dobrze. Zostałaś upomniana za marnowanie czasu policji i fałszywe oskarżenia. To bardzo poważne przestępstwa. Czy to rozumiesz?

*Kiwa głową.*

*– Upomnienie znajdzie się w każdym zaświadczeniu o niekaralności, o które wystąpisz w ciągu następnych dwóch lat. Pozostanie w twojej kartotece i będzie mogło zostać wykorzystane jako dowód w sądzie, jeśli dopuścisz się innego przestępstwa.*

*– Innego przestępstwa?! – Kobieta wybuchła. Dziewczyna wolałaby, żeby babka siedziała cicho. Chce po prostu mieć to za sobą i wrócić do domu.*

*– Jeśli będzie pani przeszkadzać, będę musiał panią wyprosić.*

*– Nie, nie zrobi pan tego – odpowiada tamta. – Jestem jej prawnym opiekunem. – Mimo to się uspokaja, choć niemal wychodzi z siebie.*

*Dziewczyna spogląda na drzwi. Dlaczego mama nie weszła razem z nią?*

*– Warunkiem udzielenia upomnienia jest pisemne przeproszenie obu chłopców.*

*– Odpieprz się!*

*– Niech pani uważa, co mówi, pani Obodom.*

*– Ona nie przeprosi!*

*Policjant odwraca się do dziewczyny. Uśmiecha się.*

*– Czy byłaś kiedyś w więzieniu, młoda damo?*

*Kręci głową.*

*– Niektóre kobiety, które tam trafiają... – Taksuje ją wzrokiem i również kręci głową.*

*– Chyba nie mówisz tego poważnie? Znasz jej historię?*

*Policjantowi wymyka się uśmiech.*

*– Zapoznałem się z jej teczką.*

*– Więc przestań jej grozić, bo nie skończy się na IPCC. Pójdę z tym do prasy. Oni jej nie zapomną.*

*Policjant wypycha dolną wargę językiem. W końcu mówi:*

*– Z powodu tego, co przeszłaś, zrezygnujemy z przeprosin, ale jeśli zdarzy*

się to ponownie...

– Chodź, kochanie. – Kobieta wstaje. – Skończyliśmy.

Mama i tata czekają na zewnątrz. Mama płacze. Twarz taty ma szary kolor, jak jego garnitur. Robi krok naprzód, kiedy wychodzą z pokoju.

– Panie Goddard. – Kobieta podaje mu dłoń. – Pani Goddard. – Mama nie ujmuje wyciągniętej ręki. Przyciska chusteczkę do oczu, jakby nie mogła patrzeć na dziewczynę.

– To jej rzeczy – mówi tata.

Dziewczyna spogląda w stronę, którą tata wskazuje. Rozpoznaje czerwoną walizkę. Zabrali ją na wielkanocne wakacje na Majorce.

– Jeśli o czymś zapomnieliśmy, podeślemy. Proszę napisać maila. Żadnych telefonów. Nie chcę, aby żona się denerwowała.

– Dobrze się państwo spisali.

Do rączki walizki są przyłączone wielobarwne wstążki. Ona i mama przywiązały je, żeby łatwiej było wypatrzyć bagaż na taśmie na lotnisku.

– Nie przeciągajmy tego dłużej, niż trzeba – mówi tata. – Czy otrzymała pani papiery, które wysłałem w ubiegłym tygodniu? – zwraca się do kobiety, ale ona patrzy na dziewczynę.

– Powiedzieliście jej, prawda?

Przez ostatni tydzień Felix mieszkał u cioci Carol, a ona była z rodzicami. Głównie na górze, w swoim pokoju, nasłuchując skrzypienia i tykania cichego domu, próbując oddychać powietrzem, które wydawało się zawierać mniej tlenu, jakby cały zużyła, krzycząc i płacząc.

– Przepraszam... – Tata z trudem wypowiedział to słowo, jakby język nagle mu zeszywniał. – Do widzenia, pani Obodom. Życzymy jej wszystkiego najlepszego.

Dziewczyna zastanawia się, kogo tata ma na myśli, bo nie patrzy na nią.

Później odwraca się i chwyta ramię żony, ale ona strząsa jego rękę.

– Proszę, pozwól mi z nią pomówić, Davidzie.

*Tata wydaje gniewny pomruk, gdy mama przechodzi obok niego. Jego twarz wygląda dziwnie, cała czerwona i spuchnięta. Oczy mamy są zaropiałe i półprzymknięte. Drżącą dłońią bierze rękę dziewczyny i kładzie ją sobie na ramieniu.*

*– Musieliśmy dokonać wyboru.*

*– Pani Goddard, proszę pamiętać...*

*– Musieliśmy wybrać... on jest naszym synem.*

*– Ja jestem waszą córką – mówi dziewczyna ochrypłym głosem. – Czyż nie? Sama to mówiłaś.*

*– Helen, nie...*

*– PUŚĆ MNIE, DAVIDZIE!*

*Pierwszy raz słyszy, żeby mama podniosła głos. W korytarzu posterunku zapada cisza. Nawet pijak na ławce przestaje nucić pod nosem.*

*Twarz taty wykrzywia się i napina.*

*– Powiedz jej, co musisz. Będę czekać w samochodzie – rzuca i wychodzi na dwór, nie oglądając się za siebie.*

*Kobieta czeka, aż mama skończy mówić, po czym bierze dziewczynę za rękę i pomaga jej dojść do ławki. Dziewczyna obserwuje zamazaną postać mamy otoczoną słoneczną aureolą, gdy otwiera drzwi i wychodzi za mężem na ciepłe popołudnie. Po chwili słychać odgłos uruchamianego samochodu. Pamięta, że w aucie pachniało landrynkami i adidasami Felixa.*

*Kobieta podaje jej chusteczkę, ale dziewczyna jest tak odrętwiała, że ledwie może ją utrzymać.*

**Czwartek, 17 listopada – sobota, 19  
listopada**



## 36. Jody

Mija trzeci dzień od twojego odejścia. Nie potrafię inaczej tego nazwać. Muszę wierzyć, że gdzieś jesteś. Że pewnego dnia zdołam cię odnaleźć.

Każda minuta staje się wiecznością. Obserwuję cienie przesuwające się na podłodze, a później podnoszę głowę i spoglądam na ściany, gdzie rozchodzą się jak atrament w wodzie. Siedzę w ciemności. Aż do świtu.

Od powrotu ze szpitala nie umyłam ani nie uczesałam włosów, nie wspominając o zębach. Pewnie cuchnę.

Jest cicho.

Nikt już nie wali do drzwi. Nikt nie każe mi otworzyć i się wytłumaczyć. Nawet dziecko przestało płakać. Mira z córeczką wyjechała, wróciła do Albanii. Mąż więcej się nie pojawił.

Twoja siostra wsunęła kartkę pod moje drzwi.

*Wracam do Stanów. Miej na tyle przyzwoitości, żeby pójść na policję i powiedzieć im, co wiesz. Zrób to dla Abe'a. Mags Mackenzie.*

Patrzyłam przez judasza, jak ostatni raz wyszła z twojego mieszkania, w męskim stroju, z ciasno związanym kucykiem. Jej wysokie obcasy zastukały na schodach, a potem drzwi frontowe zamknęły się z hukiem. Doleciał mnie dźwięk uruchamianego samochodu. Jej taksówki? A może mężczyzny, z którym widziałam ją tamtej nocy?

Teraz jestem sama, wysoko na szczycie kościoła. Ukryta w przestrzeni pod dachem. Gdyby budynek Świętego Hieronima nadal był kościołem, wierni siedzieliby w ławkach, daleko w dole, nie mając pojęcia o moim istnieniu. Niebawem ponownie rozpląnę się w tle. Szara dziewczyna w szarej sukience, wiodąca szary żywot w szarym mieście, dopóki nie nadejdzie jej czas. Czy wtedy cię zobaczę?

Tak.

Kochałeś mnie.

Oddałeś za mnie życie, Abe. Jeśli to nie miłość, nie wiem, co nią jest.

Nie potrzebowałam pigułek, gdy podtrzymywała mnie twoja miłość. Teraz nie mogę się bez nich obyć. Wzięłam te, które mi zostały, ale się skończyły i następnego ranka czułam się tak podle, że miałam ochotę wejść na dach i skoczyć. Wyobraziłam sobie, jak leżę rozpostarta na asfaltowym parkingu, nieruchoma i spokojna. Ten obraz dostarczył mi ogromnej ulgi. A gdyby się nie udało? Skończyłabym jak ty lub jeszcze gorzej. I nie miałabym nikogo, kto trzymałby mnie za rękę.

Boże, nie mogę o tym dłużej myśleć.

Zrozpaczona dzwonię do Tabby. Załatwia, żeby recepta czekała na mnie w aptece przy głównej ulicy.

Zrobiło się bardzo zimno. Niebo zasnuwa gęsta biel, nie widać ani śladu słońca. Nadchodzi grudzień. Zbliżają się święta. Już sama myśl o Bożym Narodzeniu wystarczy, abym wskoczyła pod autobus na rogu Gordon Terrace. Helen jak zwykle przyśle mi kartkę, może nawet kapcie lub zestaw olejków do kąpieli, który podaruję sklepowi z używanymi rzeczami. Tabby kupi mi czekoladki, a jej córka upiecze kolejne ciasto, które sprawi, że poczuję się jeszcze bardziej samotna.

Przecinam ulicę i wchodzę do apteki.

Gdy zbliżam się do lady, farmaceutka zaczyna się uśmiechać, ale mierzy mnie wzrokiem, od stóp do głów, i jej uśmiech gaśnie. Pyta, jak się nazywam, i pędzi za przepierzenie, gdzie trzymają tabletki.

Czekam przy oknie, spoglądając na główną ulicę.

W Cosmo roi się od pracowników biurowych, którzy przyszli na lunch. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że tam jesteśmy. Siedzimy przy naszym ulubionym stoliku z tyłu, gdzie można trzymać się za ręce i całować, tak by nikt tego nie zauważył. Wyobrażam sobie, jak trącamy się szklankami, rozmawiając o ślubie. Ty chcesz hucznej fety – jesteś ze mnie dumny, chcesz się mną pochwalić – ja czegoś małego. Cichej uroczystości dla jednej lub dwóch wyjątkowych osób, bo nie przychodzi mi do głowy, kogo mogłabym zaprosić oprócz Tabby i jej córki, i może tej pani ze sklepu z używanymi

rzeczami.

Uśmiecham się i otwieram oczy.

Nagle uśmiech zamiera.

Ty tam jesteś.

W Cosmo.

Stoisz w cieniu, z tyłu. Klienci i personel kręcą się wokół, nie zwracając na ciebie uwagi. Gdybym nie rozpoznała cię po sylwetce, po ubraniu i włosach, domyśliłabym się po intensywności twojego spojrzenia. Zastygam w bezruchu.

– Panno Currie? – mówi farmaceutka. – Nic pani nie jest?

Odrywam od ciebie wzrok. Farmaceutka podaje mi papierową torbę. Podbiegam do lady, wyrywam ją i wybiegam.

Na ulicy panuje codzienny ruch. Czekaam na chodniku, przestępując z nogi na nogę i wypatrując przerwy w strumieniu pojazdów.

W końcu nurkuję pomiędzy autobusem i taksówką, lekceważąc gniewny klakson.

W oknie restauracji Cosmo odbija się płaski obraz ulicznego spektaklu, który się przed nią rozgrywa. Żeby coś zobaczyć, muszę podejść do szyby. Zaglądam do środka, ignorując dziwne spojrzenia gości po drugiej stronie.

Odszedłeś.

Gdybym omyłkowo wzięła za ciebie kogoś innego i gdyby ten ktoś wyszedł z restauracji, na pewno zobaczyłabym go na ulicy. Ale nikt nie wyszedł. Jestem tego pewna. W całym lokalu tylko nasz stolik jest wolny.

Wiem, co powiedziałyby Tabby: wyobraziłam sobie, że cię widzę, bo tyle o tobie myślę.

Może ma rację.

Staram się wyrzucić to z głowy, kiedy wracam do domu.

Budzę się w środku nocy.

Coś jest nie tak. Pigułki powinny pomagać na bezsenność. Po chwili uświadamiam sobie, że coś mnie obudziło. Słyszę kobiece zawodzenie przypominające jęk bólu.

Dochodzi z niedaleka. Z mieszkania na moim piętrze.

Siadam na łóżku i patrzę w mrok.

Czy to Mira? Czy wróciła z Albanii? Czy mąż ją odnalazł?

Ale nie jest to krzyk cierpienia. Ta kobieta śpiewa bluesa. Teraz nawet słyszę słowa.

Wstaję i idę do salonu. Światło latarni wpada przez okno, tworząc pomarańczowe kałuże na moich bosych stopach. Oddycham płytko, nasłuchując słów, które tak dobrze znam.

To jedna z twoich ulubionych piosenek. Słuchałeś jej późną nocą, gdy wracałeś do domu pijany. Obserwowałam przez judasza, jak chwiejesz się niepewnie przy drzwiach, próbując wsunąć klucz do zamka. Później wchodziłeś do środka i po chwili rozlegała się muzyka, kołysząc mnie do snu, choć pigułki nie potrafiły tego dokonać.

Teraz ponownie ją słyszę. Jak to możliwe?

Skradam się korytarzem, cicho jak myszka. Odsuwam zasuwę i wychodzę na klatkę schodową. Kobięcy głos dobiega z twojego mieszkania, niosąc się echem na schodach.

Chwytam za poręcz i patrzę w dół. Jeśli na dole nie ma nikogo, jestem sama w ciemności. Czy nikt oprócz mnie tego nie słyszy? Czy to wszystko dzieje się w mojej głowie?

Linoleum pod stopami jest chłodne. Mój oddech przyspiesza, staje się płytki ze strachu i czegoś jeszcze. Z podniecenia? Później coś chwyta mnie za gardło.

Czuję zapach twojej wody po goleniu.

Czarny otwór judasza w twoich drzwiach błyszczy, gdy stąпам podestem.

Przykładam ucho do drewna i nasłuchuję.

Muzyka jest zbyt głośna, by usłyszeć, czy w środku coś się porusza.

Dopiero później dociera do mnie, że wszystkie mieszkania są wyposażone w dwa komplety kluczy, a ja znalazłam tylko jeden twój – ten, który dałam Mags i który musiała zwrócić spółdzielni.

Kto ma drugi?

Czy teraz tam jest? Czy słucha twojej muzyki? Czy używa twojej wody po goleniu?

– Halo? – mówię głośno i wyraźnie.

Muzyka się urywa. Ciemność pulsuje nagłą ciszą.

Przez chwilę paraliżuje mnie lęk. Może to wszystko jest jakąś sztuczką? Może jakiś nieznajomy otworzy drzwi i wciągnie mnie do środka?

Czy to on?

Jakoś udaje mi się poruszyć nogami. Biegnę do mieszkania, zatraskuję za sobą drzwi i zwijam się w kłębek na podłodze. Pozostaję w tej pozycji do wschodu słońca, choć teraz w twoim mieszkaniu panuje kompletna cisza. W końcu wlokę się ponownie do łóżka.

Już nic nie działa.

Wszystko jest zamazane.

Ciągle się potykam i upuszczam różne przedmioty. Oparzyłam się kubkiem herbaty. Na prawym udzie mam duży pęcherz, czerwony i drażliwy. Boję się założyć dzinsy, żeby nie pękł.

W żołądku tak mi się kłębi, że muszę pędzić do toalety trzy lub cztery razy dziennie.

Wchodzę do pokoju i zapominam, po co przyszłam.

Włosy mi wypadają.

Wstąpiłam do sklepu z używanymi rzeczami, żeby kupić parę książek i się rozerwać, ale gdy kobieta za ladą próbowała ze mną pogadać, poczułam pierwsze oznaki paniki i musiałam wybiec na dwór.

Wiem, że niektóre z tych objawów są skutkiem ubocznym pigułek, ale

boję się, że z moim mózgiem dzieje się coś złego.

Widzę różne rzeczy.

Duchy.

Twojego ducha.

Próbuję sobie wytłumaczyć, że to wszystko dzieje się w mojej głowie, patrzeć w dół, nie opuszczać mieszkania, z nikim nie rozmawiać, nie wyglądać przez okna. Jednak czasami muszę wyjść po zakupy i wtedy przychodzisz ty.

Czytam ulotkę dołączoną do opakowania pigułek. W części *Skutki uboczne* napisano: „bardzo rzadko, w jednym na dziesięć tysięcy przypadków” i kawałek dalej „halucynacje”.

Ale widzą cię także inni ludzie (jeśli i tego sobie nie uroiłam). Obserwuję, jak schodzą na bok, żeby cię przepuścić. Widzę, jak stoją w zatłoczonym autobusie, podczas gdy ty siedzisz na jednym z miejsc. Patrzą, jak obsługują cię w kawiarni, lecz kiedy wchodzę, znikasz.

Zawsze odsuwasz się ode mnie. Wsiadasz do autobusu lub szybko odchodzisz, zbyt szybko, abym mogła cię dogonić.

Dzwoni Tabby. Mówi, że farmaceutka rozmawiała z moim lekarzem. Że są zatroskani o stan mojego umysłu. Czy wszystko ze mną dobrze?

– Nic mi nie jest.

Pauza.

– Musisz bardzo za nim tęsknić.

Mój oddech staje się ciężki, nic na to nie poradzę.

– Pamiętaj, że choć straciliśmy ich z oczu, zmarli zawsze nam towarzyszą, Jody – mówi delikatnie. – Są w naszych sercach, we wspomnieniach.

Czy to kiedykolwiek wystarczy?

– Powinnaś przychodzić na spotkania grupy wsparcia i brać pigułki. Pamiętaj, że trzeba kilku tygodni, by zaczęły działać po przerwie. Pomogą na

złe myśli i... omamy.

Chcę jej powiedzieć, że nie jesteś omamem. Czy gdyby to wszystko działo się w mojej głowie, ludzie przepuszczaliby cię na chodniku i ustępowaliby ci miejsca w autobusie? Przez całe życie powtarzano mi, że to, co czuję i myślę, nie jest rzeczywiste, że nie mogę ufać samej sobie. Tabby była jedyną osobą, która mi uwierzyła, ale teraz i ona we mnie wątpi.

Kończę rozmowę telefoniczną, mówiąc, że mam rozstrój żołądka. To nie kłamstwo. Chociaż nie chcę widzieć kobiety, która doniosła na mnie mojej opiekunce, muszę wrócić do farmaceutki po lekarstwo. Idę szybko. Pochyliłam głowę tak nisko, że widzę jedynie ludzkie stopy. Ale nawet wtedy serce mi staje, gdy w polu widzenia pojawiają się converse'y lub męskie półbuty z ozdobnymi dziurkami.

Tym razem farmaceutka nie próbuje mnie zagadnąć ani wsunąć ulotki do torby, kiedy podaje mi lekarstwo. Tak bardzo staram się nie zerkać na Cosmo, że otwieram drzwi bez patrzenia i wpadam na młodą kobietę. Słyszając jej zdumiony okrzyk, odwracam się i przepraszam, a wtedy widzę ciebie. Stoisz na rodu Gordon Terrace. Z takiej odległości trudno dokładnie zobaczyć, ale mam wrażenie, że na mnie patrzysz. Czekasz.

Tak długo próbowałam przekonać samą siebie, że te widzenia są złe, że powinnam się ich wstydzić i lękać, iż przez chwilę się nie poruszam.

Ogarnia mnie potężna fala miłości i szczęścia. Boję się, że upadnę. Kiedy kobieta, która przechodzi obok ciebie, mierzy cię wzrokiem, mam pewność. Nie wyobrażam sobie ciebie, Abe. Jesteś tam. Wróciłeś, aby pokazać mi, że niezależnie od tego, co mówią inni ludzie, nasza miłość jest prawdziwa.

Biegnę.

Docieram na drugą stronę, lecz nigdzie cię nie ma. Stoję na rogu, ciężko dysząc, i czekam, aż ustaną zawroty głowy. Oczy mnie szczypią od łez.

Kiedy wlokę się mozolnie do Świętego Hieronima, z cienia wyłaniają się nastolatki, ale wiesz co? Już się ich nie boję. Już spotkało mnie to, co najgorsze – straciłam ciebie – więc nie dbam o nic.

Pytają mnie o godzinę, ale idę dalej. Jeden z nich zastępuje mi drogę i mówi, że jego przyjaciel zadał mi pytanie, więc powinnam okazać szacunek i

odpowiedzieć.

Patrzę na niego tępym wzrokiem. Rób, co chcesz.

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów i marszczy nos z niesmakiem. Wyciąga rękę po moją torebkę. Nie ma w niej niczego cennego – kilka funtów reszty z zakupów, klucze, parę tamponów – ale trzymam ją kurczowo, jakby była wypchana pięćdziesięciofuntowymi banknotami. Zamykam oczy. Wiem, dlaczego wróciłeś, Abe: aby powiedzieć, że na mnie czekasz. No cóż, jestem gotowa.

– Dawaj torebkę!

Ściskam ją z całej siły.

– Dawaj. Torebkę. Dziwko.

Słyszę zgrzyt otwieranego noża, widzę błysk światła zasnutego czerwienią moich powiek.

Nadszedł czas. Jestem gotowa.

– Hej!

Otwieram oczy. Na rogu głównej ulicy stoi facet w średnim wieku, ze staffordshire bull terrierem. W rozkroku, jak jego pies. Kiedyś mógł być umięśniony, ale teraz wszystkie mięśnie zamieniły się w tłuszcz. Pod futbolową koszulką rysuje się pokaźny, niemal kwadratowy brzuch przypominający skorupę żółwia.

Nastolatki patrzą na niego z pogardą, ale gdy rusza ku nim szybkim krokiem, z psem skaczącym u boku, rozbiegają się, gwiżdżąc i gestykulując. Mężczyzna zatrzymuje się na skraju trawnika, ciężko dysząc z powodu adrenaliny uwolnionej do krwi w stresującej sytuacji lub po prostu dlatego, że jest gruby.

Ruszam w kierunku kościoła.

– Cholera, tylko nie dziękuj! – woła za mną.

Odwracam się wściekła. Za co miałabym ci dziękować? Byłam gotowa! Ale on już człapie w kierunku głównej ulicy.

Z okna mieszkania patrzę, jak zapada zmrok i zapalają się latarnie na



Gordon Terrace. Podgrzałam lasagne w mikrofalach, ale straciłam apetyt. Zamiast typowego zapachu gotowanego mięsa i sera, potrawa ma kwaśną woń jak nieświeży oddech. Zgaduję, że to kolejny efekt uboczny pigułek.

Później zjawia się administrator domu, José, z nowym materacem i znika w drzwiach frontowych, więc zgaduję, że do pustego lokalu wprowadzi się nowy lokator.

Czeka mnie samotna noc. Przynajmniej się wyśpię jak należy. Nie zmrużyłam oka przez trzy ostatnie noce, czekając na twoją muzykę, ale było cicho.

Wyrzucam lasagne, myję widelec pod kranem, kładę się do łóżka i nastawiam radio. Okno mojej sypialni ma różową barwę. Jakiś pan w radiu mówi, że nad Saharą przeszła burza piaskowa, więc przez kilka dni będziemy mieć piękne zachody słońca.

Odwracam twarz do ściany i próbuję zasnąć.

W sobotę rano wychodzę cię szukać. Zaglądam do Cosmo i do piekarni, nawet do sklepu Food and Wine, gdzie czasami kupowałeś gazetę, ale jest tak, jakbym cały czas sobie ciebie wyobrażała.

Włóczę się główną ulicą, dopóki ręce nie zdrętwieją mi z zimna i nie przestanę czuć własnych stóp.

Farmaceutka wychodzi z apteki i pyta, czy nic mi nie jest, więc muszę się trzymać drugiej strony.

Słońce zaczyna zachodzić. Jestem przerażona, bo jest sobota. Dzień rozgrywek ligowych. W oknach autobusów sunących ulicą odbija się niebo. Wracam biegiem do Gordon Terrace i przecinam trawnik, na chwilę stając na placu zabaw, by spojrzeć na rysującą się na tle nieba iglicę kościoła.

W radiu mieli rację, zapowiada się piękny zachód słońca. Niebo jest usiane milionem różnych odcieni czerwieni. Obłoki wiją się niczym płatki kwiatów. Wiatr osłabł. Z dachu można zobaczyć całe miasto, różowe i błyszczące, jakby przed chwilą wynurzyło się z gorącej kąpieli.

Uświadamiam sobie, że właśnie taką noc opisałam Mags. Noc, którą spędziliśmy razem na dachu. Przez chwilę mam wrażenie, że widzę postać

stojącą w jednym z okien iglicy.

Kiedy postać zamienia się w cień, wzdycham i ruszam do drzwi.

Jak zwykle nie ma dla mnie żadnych listów. Czuję ulgę, bo niemal oczekiwałam listu z amerykańskim znaczkiem, grożącego pozwem sądowym. Gdy mijam wewnętrzne drzwi, bogate barwy wieczoru stają się przytłumione. Słońce schowało się za budynkiem, więc witraże są szare i nijakie.

Przystaję i patrzę na spokojne betonowe jezioro, które nie zdradza niczym tego, co ci zrobiło. Pamiętam, jakie było lodowate i twarde, kiedy klęczałam obok ciebie, szepcząc, że wszystko będzie w porządku, a twoja krew nasączała moje džinsy.

Spoglądałeś w dal, tam gdzie nie mogłam sięgnąć wzrokiem, ale potem musiałeś poczuć moją obecność, bo twoje oczy się poruszyły i zatrzymały na moich. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie – minutę? godzinę? – a później twoje powieki się zamknęły i nie otworzyły nigdy więcej.

Musiał zejść za mną, minąć mnie, gdy klęczałam obok ciebie, ale nie słyszałam jego ciężkich kroków ani trzasku zamykanych drzwi. Może był po prostu złym snem.

Włączam światło i zaczynam wchodzić po schodach. Na pierwszym piętrze mijam mieszkanie tego gbura i mieszkanie męża Brendy, i mieszkanie chłopaka, który gra na milczących organach. Kiedy docieram na drugie, przyspieszam kroku. Tu mieszkają ćpunka, która mnie przeraża – bo mogę stać się taka jak ona – i facet, który obzera się na śmierć, ponieważ umarła mu matka. Wspinam się dalej. Gaśnie światło i ogarniają mnie ciemności.

Nie są jednak zupełne.

U dołu schodów widać czerwone światło awaryjne.

Nasłuchuję. Dolatuje mnie cichy jęk. Podobny do dźwięku, który wydawałeś, leżąc na betonowej posadzce. Tym razem to tylko wiatr. Czuję go na twarzy, unosi moje włosy, wpycha spódnicę między uda.

Chwytam poręcz i kontynuuję wspinaczkę.

Kiedy wchodzę na trzecie piętro, moje serce zamiera.

Drzwi na dach są uchylone.

Krwawoczerwone promienie zachodzącego słońca kładą się na podeście. Stoję na krawędzi kałuży światła, bojąc się tego, co nastąpi, gdy wejdę do środka. Czyżbym w końcu oszalała?

Powietrze pachnie twoją wodą po goleniu.

Moje oczy rejestrują jakiś ruch przy drzwiach. Wełniana nitka zaczepiła o zasuwkę i łopocze na wietrze.

Zmuszam się, żeby przejść podest i ją zdjąć. Przesuwam po niej palcem. Kaszmir. Żaden z lokatorów nie nosi rzeczy z kaszmiru. Tylko ty. Nitka pochodzi z twojego rozpinanego swetra z dużym kołnierzem, tego w romby.

Na zakurzonym dolnym stopniu schodów widnieje odcisk buta. Iksy i romby z podeszwy converse'ów.

Szare betonowe stopnie zaczynają mienić się złotem, wznosząc się przede mną jak schody do nieba.

Mylili się. Wszyscy się mylili. Kochałeś mnie i teraz po mnie przyszedłeś. Czekasz na mnie w promieniach zachodzącego słońca.

Stawiam stopę na pierwszym stopniu.

## 37. Mags

Przyznaję, że sprawiało mi to frajdę.

Ze stolika na tyłach Cosmo mogłam obserwować ulicę. Jody wiele razy przeszła obok, nie widząc mnie, spiesząc gdzieś ze spuszczoną głową. Ja potrzebowałam tylko jednej chwili. To był pracowity dzień. Spostrzegłam ją, kiedy siedziałam przy ostatnim wolnym stoliku i przeglądałam menu, które znałam już niemal na pamięć. Zauważyłam szarą postać wtopioną w szarą ulicę, dopiero gdy przeszła obok krzykliwej wystawy księgarni po drugiej stronie.

Kiedy weszła do apteki, wstałam. Chciałam, żeby mnie zobaczyła. Zauważyła. Wytrzymałam jej spojrzenie, zastanawiając się, czy moje przebranie jest dobre, czy z tak małej odległości Jody dostrzeże, że moje włosy są bardziej proste, a ramiona węższe. Z wyrazu jej twarzy odgadłam, że dała się nabrać. Pobladła, a ja zadrżałam z podniecenia.

Gdy odwróciła się do kobiety za ladą, wycofałam się do toalety w tylnej części lokalu, żeby poczekać, aż odejdzie. Wiedziałam, że nie odważy się wejść do środka.

Powiedziałam Peterowi Selby'emu, że muszę zostać jeszcze tydzień lub dwa, by dopilnować kremacji. Kiedy wyjaśniłam, że przebywanie wśród rzeczy brata okazało się zbyt bolesne, sentymentalny starszy pan natychmiast wyraził zgodę, żebym wprowadziła się do jednego z wolnych mieszkań.

José spotkał się ze mną w pubie Księżyc i Miedziak na końcu głównej ulicy, żeby dać mi klucze. Prawie się upiliśmy. Nowe lokum cuchnęło zwietrzałym alkoholem i uryną. Materac poprzedniego lokatora był tak zniszczony, że José od razu poszedł po nowy, mając pewnie nadzieję, że uda mu się przespać na nim jako pierwszemu. Gdy wrócił, udałam, że jestem zajęta klikaniem na komputerze. Ostentacyjnie zignorowałam zdjęcie koszuli i otarcie potu z czoła, kiedy układał materac na miejscu.

Zawołałam go, gdy był na progu. Wrócił z uśmiechem.

– Mogę pożyczyć klucz na dach?

Twarz mu posmutniała.

– Na dachu nie jest bezpiecznie. Po co ci klucz?

– Nad Saharą przeszła potężna burza piaskowa. W najbliższych dniach zapowiadają się piękne zachody słońca. Pomyślałam, że z dachu będzie ładny widok.

– Brzmi nieźle – odparł, opierając się o futrynę. Zapach jego wody kolońskiej był tak silny, że zakręciło mi się w głowie, jak od alkoholu. – Masz ochotę na towarzystwo?

Uśmiechnęłam się.

– Zadzwoń, jeśli mnie najdzie.

Wsunął dłoń do kieszeni dzinsów i wyciągnął kółko z kluczami.

– Nie zgub go, bo sprawię ci lanie.

– Odpieprz się, José – powiedziałam dobrodusznie, a on wymaszerował z mieszkania i zniknął w półmroku klatki schodowej.

Później musiałam się tylko przyznać i czekać na odpowiedni moment.

Tego ranka przeżyłam pierwszy atak wyrzutów sumienia, gdy patrzyłam, jak Jody krąży po Gordon Terrace, szukając swojego upiornego kochanka. Tak czy siak, postanowiłam, że zrobię to dziś wieczorem.

Kiedy nadeszło popołudnie, założyłam spodnie Abe'a, jego koszulę i sweter, a następnie, przed zapleśniałym lustrem w łazience, z pomocą pomady ułożyłam włosy w fale.

Teraz stoję przy parapecie upstrzonym martwymi muchami, dla uspokojenia nerwów pociągając z ćwierćlitrowej flaszki whisky, i czekam, aż Jody wróci.

Gdy fryzjer z salonu na głównej ulicy przycinał mi włosy, robiąc nową fryzurę, zastanawiałam się, czy spodobałabym się Danielowi z krótkimi włosami. To czysto teoretyczne rozważania, bo więcej go nie zobaczę.

Pewnie on i Donna zaplanowali miłutki wieczór z filmami z Netflixa, butelką dobrego chardonnay i potrawą curry, i dziećmi śpiącymi na górze w błogiej świadomości, że mamusia i tatuś są znowu razem.

Krzywię się, dopijając whisky. Czy moja pogarda wypływa z zazdrości? Chryste, kto wie? Myślałam, że zazdrościłam Abe'owi i Jody.

Butelka zatrzymuje się w połowie drogi do parapetu.

Nadchodzi Jody.

Wlecze się Gordon Terrace, ciągnąc za sobą ponury cień. Dostrzegłabym ją szybciej, ale jej kolor zlewa się z szarością chodnika.

Dociera do końca ulicy i wchodzi na trawnik. W każdej chwili może podnieść głowę i mnie zobaczyć. Jakaś częśćka mnie pragnie, żeby to zrobiła, żeby odgadła, co się dzieje, abym nie musiała przez to przechodzić. Ona jednak niczego się nie domyśla.

Biegnę do poplamionego stolika z formiki, chwytam klucz i wodę po goleniu Abe'a. Wychodzę z mieszkania. Wspinam się po dwa stopnie. Kiedy docieram na drugie piętro, słyszę zgrzyt otwieranych drzwi. Klnę pod nosem – powinnam była wyjść wcześniej – kucam i w przysiadzie pokonuję ostatni rząd schodów. Mam szczęście, bo z jakiegoś powodu Jody marudzi na dole.

Skradam się obok drzwi Abe'a, a potem Miry i Jody, zmierzając na koniec podestu. Czuję lekki powiew brudnego powietrza pod progiem, formującego półkole z kurzu i ziemi.

Z pochyloną głową unoszę kolano i odciskam ślad buta Abe'a w kurzu, a później wsuwam klucz do zamka Yale i ostrożnie przekręcam. Dolatuje mnie cichy zgrzyt metalu i drzwi otwierają się na zewnątrz, prosto na mnie. Chwytam je i wolno uchylam, krzywiąc się, gdy wydają cichy skrzyp. Słyszę, jak Jody idzie po schodach. Musi być na pierwszym piętrze.

Ostrożnie wychodzę na klatkę schodową, żeby nie zatrzeć śladu, kilka razy kropiąc wodą po goleniu, po czym biegnę lekko po betonowych stopniach do drzwi prowadzących na dach.

Kiedy je otwieram, czuję uderzenie wiatru. Na szczęście José pomyślał o zostawieniu cegły. Blokuję nią drzwi i prostuję się w poszukiwaniu miejsca,

w którym mogłabym się ukryć.

Na chwilę zapominam, po co przyszłam, i zwyczajnie podziwiam widok.

Niebo płonie.

Wstęgi złocistego i szkarłatnego światła rozpościerają się ze wschodu na zachód, usiane tu i tam ognistymi kłębami wirujących obłoków. Domy przypominają zwęglone czarne kikuty, gdzieniegdzie samotne okno ogarniają olśniewające płomienie.

Moje dłonie są czerwone, podobnie jak converse'y Abe'a, jakbym brodziła we krwi.

Słyszę za sobą niepewne kroki chrzęszczące na brudnych betonowych schodach.

Dała się nabrać.

Gdzie mogę się ukryć?

Iglica kościoła przesywa skłębione niebo. Z obu stron są żaluzjowe okna – jedno wychodzi na główną ulicę, drugie na osiedla domów komunalnych, które ciągną się aż po horyzont. Małe drzwi w ścianie muszą prowadzić na schody. Czy to miejsce z jej wyobraźni? Miejsce, gdzie spędzili pierwszą namiętą noc, od której zadrzała ziemia?

To śmieszne i żałosne, jednak nie mam już ochoty na śmiech. Przecinam ołowiany dach i chowam się za iglicą.

Zeschłe liście szeleszczą mi pod stopami, gdy wyglądam zza krawędzi muru.

Mrużę oczy, nie mogąc odróżnić postaci Jody od różowych cieni na ścianie klatki schodowej, dopóki nie wyjdzie na dach.

Z bliska jest taka krucha, że boję się, iż zdmuchnie ją wiatr. W szkarłatnym blasku zachodzącego słońca jej twarz jest wycieńczona, oczodoły obwiedzione czernią.

Myślę, że mruga, bo słońce świeci jej w oczy, ale po chwili dostrzegam łzy. Ostatnie promienie zamieniają je w sine zadrapania na policzkach. Wygląda jak święty męczennik.

Nie. Nie mogę jej traktować jak ofiary. Muszę przez to przejść, bo inaczej nigdy nie dowiem się prawdy.

Robi krok naprzód, a po nim kolejny. Zawadza butem o krawędź ołowianej blachy. Potyka się i prostuje.

– Abe? – Jej głos drży.

Cofam się, gdy lustruje dach.

– Abe, jestem tutaj.

Idzie z wahaniem do drzwi iglicy. Pewnie chce się wspiąć do jednego z okien. Słyszę stukanie. Drzwi są zamknięte. Biedaczka. Żaden upiorny kochanek nie czeka, żeby wziąć ją w swoje chłodne objęcia.

Obchodzę iglicę, by podejść do Jody od tyłu.

Patrzy w drugą stronę, więc potrzebuje chwili, aby zauważyć moją obecność.

Odwraca się gwałtownie i krzyczy, podnosząc ręce do twarzy. Z niedowierzaniem konstatuje, że nawet teraz uważa mnie za Abe'a. Łzy zaciemniły jej widzenie albo pigułki – umysł.

Tak czy owak, zamiera pod wpływem szoku, więc mam czas, aby stanąć pomiędzy nią i schodami prowadzącymi na nasze piętro.

– Cześć, Jody.

Opuszcza ręce i marszczy brwi. Pochyla się do przodu, jej twarz krzywi się z rozczarowania. Nie, czegoś więcej. Z bólu. Jęczy, lekko zginając się w talii, jakbym kopnęła ją w brzuch.

– Unikałaś mnie. Co miałam zrobić?

Nawijam jak czarny charakter z filmów o Bondzie. Gdybym oglądała tę scenę w kinie, chciałabym, żeby Jody podniosła cegłę blokującą drzwi i cisnęła mi ją w twarz, a następnie uciekła. Zaciskam zęby. Nie miałam wyboru.

– Muszę wiedzieć, co się stało. I ty mi to powiesz.

Jej wzrok staje się tępy, opuszcza głowę, jakby utraciła małą cząstkę



duszy. Nawet nieufność wyraźnie zmaląła, bo nie cofa się, gdy robię krok w jej stronę.

– Nie zejdziesz z tego dachu, dopóki tego nie zrobisz.

Odwraca wzrok. To jedyny znak, że żyje lub jest świadoma.

Jestem gotowa ją zranić. To naturalna konsekwencja moich zachowań w ciągu ostatniego tygodnia – zaczęłam od obserwowania, później było śledzenie, w końcu rozmyślne wyprowadzanie jej z równowagi. Prześladowałam ją. Dokonałam zabójstwa w zwolnionym tempie.

– Powiesz mi, co się stało tamtej nocy? Kto zepchnął mojego brata?

Milczy.

Podchodzę i uderzam ją w twarz tak mocno, że aż boli mnie ręka.

Jej głowa pozostaje odchylona, odwrócona ode mnie, wielkie oczy wpatrują się w ołowiany dach.

– Powiedz coś, Jody. Ostrzegam cię...

Zaczynam tracić nadzieję.

Dziewczyna przypomina zepsutą lalkę stojącą niezgrabnie na patykowatych nogach, niestabilną, gotową runąć niczym stos bierek. Chwytam jej kościste ramiona, moje kciuki wbijają się w jej obojczyki. Potrząsam nią z całych sił, jakbym próbowała odblokować coś, co się zaklinowało. Jej głowa kołysze się bezwładnie na boki, włosy opadają na twarz, zasłaniając oczy. Odsuwam kosmyki, licząc na to, że ujrzę lęk, ale jej spojrzenie jest szkliste i puste.

– Jesteś mi to winna, Jody. Jesteś to winna Abe'owi – cedzę przez zęby słowa emocjonalnego szantażu. Za minutę zaślepi mnie furia i stracę nad sobą kontrolę. Robi się ciemno. Nasze postacie przestaną być konturem na tle zdradziecko jasnego nieba. Będę mogła zrobić z nią, co zechcę, i nikt się nie dowie.

Nikogo nie wzruszy jej los.

Nikt jej nie uwierzy.

– Odpowiedz mi!

Odliczam sekundy: trzy, dwa, jeden.

Czas dobiegł końca.

Jakaś cząstka mnie nie chce wysłuchać jej historii, chce po prostu ją skrzywdzić, ukarać za wszystko, co się stało. Za Abe'a. Za nasze gówniane dzieciństwo. Za to, że jestem emocjonalnym wrakiem. Za słabość, z powodu której była krzywdzona i wykorzystywana przez całe swoje żalosne życie. Za to, że była jak szmaciana lalka, na której ludzie mogli się odegrać za własną niedolę i ból. Teraz moja kolej.

Ciągnę ją na skraj dachu, tam gdzie blacha nagle się urywa, i podcinam nogi. Łąduje na plecach, wydając głośny jęk. Zanim spróbuje się podnieść, pochylam się i zaczynam ją dusić. Zaciskam palce na jej szyi, wypychając głowę poza krawędź. Jej włosy rozwiewają się na wietrze.

– Właśnie tak czuł się Abe! – cedzę. – Wisząc na poręczy i zastanawiając się, czy osoba, która go trzyma, pozwoli, by spadł. Czy to byłaś ty, Jody?

Napieram biodrami, popychając ją ku krawędzi. Teraz w powietrzu wiszą także ramiona Jody. Z trudem zapobiegam ześlizgnięciu się reszty ciała, chwytając głowę gargulca. Jego spiczasty język sięga w dół, między łapami. Chcę cofnąć rękę, ale jeśli to zrobię, dziewczyna spadnie. Czuję się niepewnie, nawet gdy go trzymam. Może obie spadniemy.

Gdzieś wyje syrena policyjna. Podmuch wiatru owiewa moją brodę. Zapach wody po goleniu dawno wyparował, zastąpiony brudną, stęchlą wonią miasta.

Syrena słabnie i ogarnia nas upiorna cisza.

Jody nie krzyczy, nie płacze, nie błaga mnie, żebym nie robiła jej krzywdy. Nie wydaje żadnego dźwięku. Po prostu wpatruje się w niebo niczym udręczony święty czekający boskiego wybawienia. Jej pierś muska moje uda, gdy delikatnie unosi się i opada. Jest całkowicie spokojna.

Ponownie zadaję sobie pytanie: Kogo ona chroni?

Kimkolwiek ten człowiek jest, woli raczej umrzeć, niż go zdradzić.

Do czego będę musiała się posunąć, żeby mi powiedziała?

Obok nas pikuje mewa z czerwonym grzbietem. Pewnie jesteśmy nad

śmietnikiem. Odkąd Jody tu zamieszkała, miała widok na to miejsce, gdzie ludzie wyrzucali odpadki, którymi karmiły się mewy, szczury i lisy, gdzie czasem sprzedawały się dziwki. Mewa wlatuje, trzymając w dziobie kość kurczaka.

Nagle doznaję olśnienia.

Jaka byłam głupia!

Co powiedział Daniel? Coś takiego, że prawda nie istnieje. Istnieje jedynie opowieść, którą przekazujemy sobie i innym. Jody będzie do końca trzymać się swojej wersji. Trzymać się iluzji, która sprawia, że jej życie jest znośne, dzięki której czuje się potrzebna i kochana, nawet gdyby miało ją to zabić. Bo jaką wartość ma dla niej prawda? Żadnej. Poza cierpieniem i rozpaczą. Za to w świecie fantazji podąży za ukochanym do wieczności.

Kogo chroni Jody? Oczywiście siebie.

Spoglądam na własne dłonie zbielełe od jej trzymania. Sądziłam, że zostawiłam za sobą tę dziewczynę – dziewczynę, która czerpała przyjemność z zadawania bólu – ale ona cały czas była obok mnie, ukrywała się w mojej skórze, czekając na następną ofiarę. Na kolejną łatwą zdobycz.

Zwalniam uścisk. Nagle czuję, że Jody zaczyna się zsuwać. Muszę ją chwycić za ramię, szarpnąć w górę. Przez kilka dramatycznych sekund boję się, że obie spadniemy, ale w końcu Jody budzi się z odrętwienia i z moją pomocą wciąga bezpiecznie na ołowiany dach.

Odsuwamy się od krawędzi na czworakach i zatrzymujemy pod iglicą. Czuję się wyczerpana. Opieram się o zimny kamień, zwieszając głowę na kolana.

Ponownie stałam się tchórzem i tyranem, jak mój ojciec. Czy prawda była tego warta?

Słyszę szelest i podnoszę głowę.

Jody przyczołgała się i oparła o ścianę obok mnie.

Podmuch wiatru szarpie wypomadowaną falę włosów Abe'a, jakby chciał ją oderwać od mojej czaszki. Ostatnie pasmo zachodzącego słońca krwawi na horyzoncie.

– Wybacz – mówię. – To nie ma znaczenia. On nie żyje. Nie obchodzi mnie, kto...

– Zaczekaj. – Głos Jody jest silny i spokojny.

Mrugam oczami.

– Posłuchaj.

*Robi się ciemno. Zwykle wraca do domu przed zmrokiem. Nie lubi chodzić Gordon Terrace po osiemnastej, gdy mieszkańcy są już w domu, wróciwszy z pracy w firmach sprzątających i cateringowych, bezpiecznie ukryci w swoich betonowych pudłach, z zaciągniętymi zasłonami przypominającymi zakłęcie chroniące przed bandami zdziczałej młodzieży wałęsającymi się w okolicy.*

*Wszystko przez ocenę psychologiczną. Spóźnili się. „W soboty jest największy ruch – oznajmiła oskarżycielsko recepcjonistka. – Trzeba było się zapisać na inny dzień”.*

*„Przepraszam”, odparła. Nawet nie wiedziała, że to możliwe. Po prostu przyszła, kiedy jej kazali. Miała wizytę o szesnastej, ale wezwali ją dopiero o siedemnastej trzydzieści, a teraz dochodzi dziewiętnasta.*

*Autobus tak długo stoi w korku, że jakiś nerwowy pasażer wciska guzik wyjścia awaryjnego. Wyślizguje się za mężczyzną i przechodzi na drugą stronę. Od Gordon Terrace dzieli ją około półtora kilometra, ale nie ma potrzeby się spieszyć – i tak jest już ciemno. Kiedy dotrze do rogu, będzie musiała zaczekać na odpowiednią chwilę – kogoś wracającego późno z pracy lub zatrzymujący się samochód – i popędzić do Świętego Hieronima.*

*W barach sprzedających jedzenie na wynos palą się światła. Ktoś kłóci się w punkcie serwującym kebab. Menedżer greckiej piekarni opuszcza żaluzje usmarowane graffiti z imionami Toxo, Barb i Stika przypominającymi raczej nazwy obcych planet niż ludzkich istot. Jakiś facet w sklepie Food and Wine krzyczy do telefonu w obcym języku.*

*Po drugiej stronie ulicy panuje ruch. Kiedy przechodzi obok stojącego autobusu, wyczuwa, że jakaś twarz odwraca się w jej stronę. Pochyla głowę i przyspiesza, mijając restaurację Cosmo, gdy zza pleców słyszy głos.*

*– Hej!*

*Odwraca się.*

*Nogi jej drętwieją, niemal osuwa się na kolana.*

*– Hej! – mówi tamten, podnosząc ręce i pokazując dłonie. – Nie bój się. Chciałem się tylko przywitać.*

*Pragnie puścić się biegiem, widząc, jak nadchodzi, ale nie jest w stanie. Wypadłaby na ulicę, pod autobus, który właśnie rusza, byleby uciec od tego mężczyzny.*

*Lecz nogi jej skamieniały, a on jest tak blisko, że czuje zapach piwa w jego oddechu i znajomy dezodorant z nutką zastałego potu.*

*– Cześć, Jody – mówi łagodnym głosem. – Co u ciebie słychać?*

*Nie zmienił się, może tylko jest bardziej krępy i ma mniej włosów. Jego powieki są ciężkie. Jest pijany.*

*– Mowę ci odebrało?*

*– Przepraszam – mówi. – W porządku, dziękuję. A u ciebie?*

*– Ujdzie, właściwie całkiem nieźle. Graliśmy mecz z Hackney<sup>18</sup>. Załatwiliśmy drani. Wracam do siebie, żeby wyszykować się do klubu... Nie mogłem uwierzyć, kiedy cię zobaczyłem. Co porabiasz?*

*– Idę do domu.*

*Jego głowa się kołysze. Nie wie, co jej powiedzieć. Może jeśli będzie milczeć, on się znudzi i da jej spokój.*

*– Słyszałaś o Felixie?*

*Zaciska usta i kręci głową.*

*– Podobno bierze heroinę. Kompletnie mu odbiło.*

*Uliczny hałas zagłusza wysoki dźwięk wydobywający się z tylnej części jej krtani. Piękny Felix. W jej pamięci pozostał piękny, niezależnie od tego, co jej zrobił.*

*– Stracił połowę zębów.*

*– Przestań – mówi. – Proszę.*

*– No tak, zapomniałem, że coś do niego czułaś. Nie licz na to, że zrobi ci dobrze, kochaniutka. Facet cuchnie.*

*Patrzy na nią, czekając odpowiedzi. Jody napina się, próbując wymyślić coś, co go nie wzburzy.*

– Przykro słyszeć.

Nagle jego życzliwość pryska.

– Powinno być ci przykro, nie sądzisz? Po tym całym gównie z policją. To go przybiło.

Czuje się tak, jakby walnął ją w brzuch. Mówi, że jest winna tego, co spotkało Felixa. Nie może złapać oddechu, czując na sobie jego zimne oczy.

– Słuchaj, nie chowam urazy. Mogłaś przekreślić moją przyszłość tym, co nagadałaś policji, ale było, minęło. Okay? Złapałem fajną robotę w księgowości. Płacą niezłe pieniądze. Nie mam do ciebie żalu. Właściwie... – Uśmiecha się. – Żeby tego dowieść, odprowadzę cię do domu. Co ty na to? Dopilnuję, żebyś wróciła bezpiecznie.

– Dziękuję, ale mieszkam niedaleko. – Wykrzywia twarz w makabrycznym uśmiechu.

– Nic nie szkodzi. – Mężczyzna zaciska ogromne łapsko na jej ramieniu. – Prowadź!

Idzie bardzo szybko, więc dziewczyna czasami się potyka. Jody przypomina sobie, że jego oddech był jak dyszenie. Psie dyszenie. Jej ramię znalazło się w uścisku jego szczęk.

Docierają do rogu Gordon Terrace. Chłopcy tam są, siedzą na murze jednego z ogródków, palą papierosy.

Słyszac kroki, odwracają głowy jak na komendę.

Znają ją. Wiedzą, że w jej torebce znajdują najwyżej kilka drobnych i książki ze sklepu z używanymi rzeczami, ale ten biały z klasy średniej, z wypchaną torbą i drogim zegarkiem, wydaje się atrakcyjnym łupem. Gdyby go zaczepili, musiałyby ją puścić, aby zająć się nimi.

Zrównują się z nastolatkami, lecz nie wyczuwa niepewności w jego krokach.

– Cześć, chłopaki – mówi. Jeden nawet coś odburkuje.

Po chwili mają ich już za plecami. Odwraca głowę. Nastolatki patrzą na nią pustymi, martwymi oczami. Gdzie są rekiny, kiedy ich potrzebujesz?

Budynek Świętego Hieronima przypomina czarny szpic rysujący się na tle mrocznego nieba. Może po prostu zostawi ją przy drzwiach. Jest przecież dorosłym mężczyzną, nie lekkomyślnym nastolatkiem. Wtedy to Tabby upierała się, że miał miejsce gwałt, ale sędzia uznał, że do głosu doszły rozbuchane hormony. Że się zgodziła i otrzeźwienie przyniosło dopiero jasne światło dnia. Otrzeźwienie i wstyd z powodu własnej rozwiązłości. Że wniosła oskarżenie, aby zmniejszyć poczucie winy. Czy dała im jakiś znak, że tego chce? Patrząc wstecz, uznała, że musiała to zrobić. Że chłopcy by przestali, gdyby zachowała się bardziej stanowczo. Że nie doszło do gwałtu, ale niepowodzenia we wzajemnej komunikacji. Z jej winy.

*Docierają do drzwi frontowych.*

*– Dziękuję – mówi.*

*– Cała przyjemność po mojej stronie.*

*Nie odchodzi. Ogarnięta rozpaczą sięga do torebki, wyciąga klucz i wsuwa go w zamek. Drzwi na korytarz się otwierają.*

*– Dzięki – mówi ponownie. – Żegnaj.*

*Wchodzi do środka. On wchodzi za nią. Drzwi się zamykają.*

*Stoją w mrocznym korytarzu.*

*– Dalej sobie poradzę.*

*– Dżentelmen zawsze odprowadza damę do drzwi jej mieszkania.*

*Otwiera wewnętrzne drzwi i wpuszcza ją do środka. Okruch światła z mieszkania pani Lyons kreśli półkole na betonie. Czy powinna zawołać, żeby pani Lyons przyszła jej z pomocą? Zadzwoiła na policję?*

*Ciekawe, co by powiedzieli, gdyby się okazało, że zostali wezwani, bo ktoś miał czelność odprowadzić ją do domu? Została już upomniana za marnowanie czasu policji.*

*– Na którym piętrze mieszkasz? – Jego głos jest donośny i natarczywy. U Świętego Hieronima nikt nie mówi głośno. Z góry dolatuje ją melodyjny szmer muzyki Abe'a.*

*– Na trzecim.*



*Jego ciężkie kroki pobrzmiwają echem na schodach, kiedy prowadzi ją na górę.*

*– Schody utrzymują cię w formie, co? – mówi. – Nic dziwnego, że jesteś taka chuda. Zawsze to w tobie lubiłem. Gdybyś miała trochę większe cycki...*

*– Dziękuję – mruczy.*

*– Chcesz wiedzieć, co jeszcze w tobie lubiłem?*

*Są na drugim piętrze.*

*Uśmiecha się blado.*

*– Co?*

*Daje znak, żeby szła dalej. Rozpoczyna się ostatni odcinek schodów. Wchodzą na trzecie.*

*– Że byłaś kompletnie popieprzona.*

*Waha się. Może źle go zrozumiała? Nie dosłyszała z powodu muzyki?*

*– Poważnie. Jesteś z tego zajebicie sławna. Możesz mi powtórzyć, kim byli twoi rodzice? Pedofilami, którzy stręczyli cię brudnym, starym farmerom? Oczywiście, że nie – rechocze.*

*Patrzy na niego z niepokojem.*

*– Przypomnij mi, jak umarli. Czy twój tata nie został wykastrowany przez kumpla z celi? Nie, pomyliłem się. Zginął w Iraku, prawda? Bohater wojenny. Musisz być z niego dumna.*

*Jej pierś ogarnia chłód.*

*– Twoja mama odnalazła Boga, prawda? Powiedziała, że to sprawka diabła. Że to przez niego pozwalała mężczyznom wsadzać narzędzia rolnicze swojej sześciolatniej córce. Istne piekło, Jody. Co za życie, nie?*

*Ręka tak jej drży, że reklamówka na zakupy zaczyna szeleścić.*

*– Słuchaj. – Mężczyzna wchodzi na podest trzeciego piętra. – Jesteś mi coś winna. Za to, co wtedy zrobiłaś. Za to, co zrobiłaś biednemu, poczciwemu Felixowi.*

– Przepraszam cię. Naprawdę przepraszam. Ja...

– Nadszedł czas zapłaty. Po dobrym meczu zawsze mam chętkę na seks. Jeden raz więcej nie robi różnicy dla takiej zdziry jak ty. Bądź grzeczną dziewczynką i nie strój fochów. Chyba wiesz, co się stanie, jeśli będziesz próbować mnie powstrzymać? I tak cię zerznę, a wtedy będzie moje słowo przeciwko twojemu. Jak myślisz, ile jest warte twoje słowo, Jody? – Wydyma dolną wargę i wzrusza ramionami. – No powiedz mi, kochanie. Tym razem mogę cię pozwać za zniesławienie. Mogłem to zrobić wtedy, ale odpuściłem, bo cię lubię.

Dziewczyna wycofuje się do drzwi, szukając kluczy.

– Naprawdę założyli ci ten szew, o którym mówił Felix? Pytam poważnie, bo czułem się tak, jakbym jechał taksówką przez Wielki Kanion.

Jego rechot przypomina wystrzał rozchodzący się echem po klatce schodowej. Jody zaciska palce na kluczach. Nie będzie mieć czasu, żeby otworzyć drzwi, wejść do środka i je zamknąć, ale jeśli zaatakuje ją tutaj, ktoś na pewno wyjrzy z mieszkania.

Pod wpływem impulsu wyrzuca klucze za poręcz.

On się uśmiecha.

– Niezłe przyłożenie.

Rzuca się na nią i uderza o drzwi tak mocno, że lecą drzazgi. Wbija kciuki w jej ramiona.

Powinna była krzyknąć, kiedy tylko go ujrzała. Krzyknąć i uciekać, nie zatrzymywać się, dopóki nie dobiegnie do kościoła. Pozostało jej tylko jedno. Ostatnia szansa na ocalenie. Na ratunek.

– ABE!

Uderza ją. Do ust spływa ciepła krew z pękniętej wargi.

– NIE SŁYSZAŁAŚ, CO POWIEDZIAŁEM?

Zamek się obluzował. Jeszcze jedno pchnięcie i wpadną do środka, a tam będzie mógł zrobić z nią wszystko, co zechce. Przyciąga ją do siebie i ponownie uderza drzwi, próbując je wyważyć. Jej głowa odskakuje od desek,

*lecz zamek nadal trzyma.*

*– Hola!*

*Oboje odwracają głowy w kierunku mieszkania numer dziesięć.*

*Postać Abe'a oblewa miękkie światło. Muzyka staje się głośniejsza, na klatce schodowej czuć zapach cytrynowego płynu do naczyń.*

*– Odpieprz się, koleś – mówi szyderczo tamten.*

*– Co ty wyprawiasz, do licha?*

*– Nie twój interes! Odpieprz się! Wracaj do środka!*

*– Jody? – Abe robi krok w ich stronę. – Nic ci nie jest?*

*– Nie żartuję! Spadaj!*

*Dziewczyna patrzy na Abe'a, wstrzymując oddech. Jeśli wymyśliła sobie, że ją kocha, on posłucha i wróci do mieszkania.*

*Kolejny krok.*

*– Jody? Odpowiedz mi. Nic ci nie jest?*

*Ich oczy się spotykają. Jest sparaliżowana ze strachu, ale nie musi niczego mówić. Są ze sobą tak mocno związani, że Abe potrafi wyczytać prawdę z jej spojrzenia.*

*W jego brązowych oczach pojawia się stanowczość.*

*– Puść ją! Natychmiast!*

*Puszcza. Stał się cud. Puszcza ją, a później jednym płynnym skokiem pokonuje podest i zadaje cios, który odrzuca Abe'a na framugę. Kiedy cofa pięść, Abe zgina się w pasie i naciera, waląc mężczyznę w brzuch i spychając, dopóki nie rozlegnie się pusty metaliczny dźwięk, gdy umięśniony grzbiet tamtego uderzy o poręcz schodów.*

*Musi chwycić się balustrady obiema dłońmi, żeby nie spaść. Nie może się bronić. Abe przyciąga łokieć i uderza przeciwnika raz i drugi. Nos tamtego tryska krwią. Mężczyzna wydaje okrzyk zdumienia, przykładając dłonie do twarzy i przeklinając.*

*Abe odwraca się do Jody. Ma wypieki na policzkach. Wilgotne włosy opadają mu na czoło. Dziewczyna słyszy szept koszuli ocierającej o skórę, gdy jego pierś unosi się i opada.*

*– Nic ci nie jest? – Wyciąga do niej długie, eleganckie palce.*

*Jest tak wzruszona, że nie może wydobyć z siebie głosu. On ją kocha. Kocha ją.*

*Wyciąga do niego ręce. Ich palce niemal się dotykają.*

*Jednak w tej samej chwili potwór unosi głowę. Ponad ramieniem Abe'a Jody widzi gniewne czarne oczy łypiące z twarzy umazanej krwią.*

*– Nie!*

*Abe odwraca się za późno. Potwór zaciska mu grube ramię na szyi i wlecze go do balustrady. Słyszczyć przyprawiające o mdłości chrupnięcie, kiedy plecami uderza o metalową poręcz.*

*Wszystko dzieje się bardzo szybko.*

*Stopy Abe'a kopią linoleum, a później szuranie ustaje. Abe wierzga w powietrzu.*

*– Nie!*

*Wyrzuca nogi jak skoczek wzwyż.*

*Balansuje na krzyżu niczym ludzka huśtawka. A później huśtawka się przechyla.*

*Jody podbiega do balustrady. Poręcz wyciska powietrze z płuc, gdy pochyla się naprzód, sięgając po młóćące w powietrzu ramię. Chwyta rękaw jego koszuli, ale ścięgi puszczają i Abe wyslizguje się z jej palców.*

*Na ułamek sekundy zatrzymuje się w czasie, z ramionami rozpostartymi niczym skrzydła, jak anioł wylatujący z ciemności. A potem znika.*

## 38. Mags

Siedzimy obok siebie, oparte o ścianę kościelnej wieży. Przez koszulę Abe'a czuję twardy kamień trący o skórę. Jest zimny jak ołowiana blacha pod moimi stopami. Tak zimny jak dłoń Jody spoczywająca na mojej.

Skończyła mówić.

Włosy rozwiane przez wiatr tworzą srebrzystą zasłonę jej twarzy. Zakładam je za uszy, abym mogła spojrzeć jej w oczy. Są wodnistoszare, z czerwonymi obwódkami spowodowanymi utratą mojego brata i, być może, wszystkiego, co miało dla Jody wartość.

– Abe nie kochał mnie tak, jak pragnęłam – mówi cicho – ale czy oddałby za mnie życie, gdybym była mu zupełnie obojętna? – Jej oczy wpatrują się we mnie badawczo. – To prawda. Proszę, uwierz...

Uśmiecham się do niej.

– Wierzę ci.

Później opowiadam jej własną historię.

Ojciec znalazł mój zapas pigułek, które wyblagałam u lekarza bez jego wiedzy. Kiedy wróciłam ze szkoły, zaciągnął mnie do łazienki i za karę urządził gorącą kąpiel, chociaż krzyczałam i byłam w ubraniu. Walczyłam, więc wszedł ze mną do wanny, cierpiąc od gorącej wody tak samo jak ja.

Musiało do tego dojść krótko po szkolnej wycieczce do zamku Eilean Donan. Coś się zmieniło w relacji łączącej mnie i Abe'a. Jeśli nie pojawiło się między nami prawdziwe uczucie, to przynajmniej coś na kształt wzajemnego szacunku. W końcu byliśmy towarzyszami niedoli.

Mój cichy, opanowany brat bez słowa ostrzeżenia wpadł do łazienki i zaczął odciągać ode mnie ojca. Kiedy go pchnęłam, a Abe pociągnął, stary drań poślizgnął się i rozbił głowę o płytki. Nie stało się nic poważnego, ale Abe wiedział, że nie ujdzie mu to płazem.

Lanie, które dostał za to, że mnie bronił, było bezpośrednim impulsem, który skłonił mnie do opuszczenia domu. Bo mógł ponownie stanąć w mojej obronie. Gdy tak stał w łazience – wyprostowany, z kamienną twarzą – a ojciec gramolił się z wanny, z krwią spływającą po głowie, wiedziałam, że to zrobi. Mógł być chudy i młody, ale był dzielny.

Nie miałam dużego zaufania do Jody, lecz ufałam Abe'owi. Myślę, że wyszedłby z mieszkania, żeby jej pomóc, gdyby zawołała jego imię. Zastąpiłby drogę napastnikowi, który był dużo większy, silniejszy i bardziej okrutny. Z powodu miłości. Nie miłości, o której mówiła Jody, ale dlatego, że zależało mu na ludziach. Zabawna sprawa. Jody wierzyła w opiekuńcze anioły i w końcu jeden przyszedł jej z pomocą.

Kiedy skończyłam, uśmiechnęła się. Później jej uśmiech zgasł i zaczęła płakać.

– Tak mi przykro. Zrobił to dla mnie. Ocalił mnie, a ja byłam zbyt przerażona, żeby mu pomóc. Powinnam była powiedzieć policji, ale wiedziałam, że nigdy mi nie uwierzą.

Wiatr szarpnął gwałtownie jej wątłym tułowiem, chwytając za włosy i szary dres z tanimi plastikowymi koralikami. To, co wywoływało mój szyderczy uśmieszek, gdy ją poznałam – kruchość, pragnienie zadowolenia innych i bycia kochaną – teraz ścisnęło mnie za serce.

Nie jestem dobrym człowiekiem. Wiem o tym. Bywam niecierpliwa, egoistyczna, gardzę ludźmi słabszymi od siebie. Potrafię być okrutna. Ale nie rozumiem, jak ktoś mógł czerpać przyjemność ze znęcania się nad taką osobą jak Jody. To tak, jakby dziecko znęcało się nad małym kotkiem.

Kto byłby do tego zdolny? Człowiek, który musi dominować nad słabszymi, żeby czuć się lepszym? Wyrachowany psychopata? A może po prostu despota zaspokajający swoje najbardziej prymitywne instynkty?

Sądził, że sprawa jest prosta. Łatwa zdobycz. Wiedział, że ujdzie mu to płazem jak poprzednio, bo kto uwierzy takiej dziewczynie jak Jody? Nie uwierzyli ostatnim razem, gdy ją zgwałcił. Myśleli, że są pobłażliwi, bo udzielili jej upomnienia i wypuścili, pozwolili wrócić do jej zniszczonego życia. Jednak gdyby ośmieliła się ponownie zawiadomić o gwałcie, zdeptać ich łaskawość, dostałaby surową nauczkę. Nic dziwnego, że się bała.

Chwyciłam ją za ramiona i spojrzałam w oczy.

– Tobie mogą nie uwierzyć, Jody. Ale uwierzą mnie.

A później się uśmiechnęłam.

On się nie dowie, co go trafiło.

**Sylwester**



## 39. Mags

Jody i ja spędzamy razem Boże Narodzenie. Początkowo chcę przeżyć święta spokojnie, dedykować je pamięci mojego brata, ale później myślę: chrzanić to, i rezerwuję stolik w restauracji hotelu Claridges wraz z noclegiem. Kosztuje drożej niż bilety lotnicze, lecz zgadzamy się, że Abe'owi by się spodobało. Doceniłby przybory toaletowe z marką znanego spa, pościel z bawełny egipskiej i puszyste szlafroki, w których Jody paraduje po pokoju. Mówię jej, że wszystkie przybory wraz z zawartością minibaru są wliczone w cenę noclegu, więc może z nich korzystać do woli.

Przy śniadaniu w drugi dzień świąt wykładam jej swój plan na sylwestra. Blednie, ale zapewniam ją, że wszystko będzie dobrze, a ufna duszyczka mi wierzy. Później wraca do Świętego Hieronima autobusem, z naszymi walizkami, ja zaś wyruszam na świąteczny mecz rugby.

Moj ojciec kochał rugby, podobnie jak Abe. Wizyta na stadionie sprawiła, że powróciły wspomnienia z dzieciństwa. Lekka, sentymentalna nostalgia kojąca tęsknotę za domem, która wzmaga się zawsze w Boże Narodzenie, tym bardziej że niedawno straciłam brata. Nie mogłam się oprzeć pokusie powrotu do przeszłości podczas jednego z długich spacerów, które odbyłam, żeby obmyślić plan, oczyścić umysł i przetrwać smutne wydarzenia ostatniego miesiąca.

Powtarzam to starym matołom rozpartym w barze podczas przerwy. Clive i jego wesoła gromadka prześcigają się, żeby zrobić na mnie wrażenie, sypią statystykami i żartami. Kiedy stawiają mi drinki, tłumaczę, że od wypadku brata („myślimy, że alkohol mógł pogłębić jego depresję”) nie piję, ale nie przeszkadza mi to w dobrej zabawie. Sylwester to moja ulubiona noc w roku, chociaż tym razem spędzę ją pewnie samotnie...

Jak na komendę zaczynają opowiadać o przyjęciu, o którym wiedziałam od momentu, gdy zaczęłam zbierać informacje na temat zespołu.

Czy chciałabym przyjść jako ich gość honorowy? Dla uczczenia pamięci

brata?

– Nie będę nikogo znać.

– Będziesz znać nas! – Łączą siły, zapominając o niedawnej rywalizacji o moją uwagę.

– To miło z waszej strony. Bardzo możliwe, że skorzystam.

Zadanie wykonane, więc mogę się skupić na drugiej połowie. Rozpoznaję go od razu, z opisu i nazwiska na plecach. Z ulgą odkrywam, że łatwo go nie lubić: paraduje po boisku, jakby było jego własnością, bez wahania fauluje graczy, którzy zastąpią mu drogę, wydaje niesportowe okrzyki po każdym zdobytym punkcie i gniewnie protestuje, kiedy gra nie idzie po jego myśli.

Mam go na odległość wyciągniętego ramienia, gdy wraca do szatni, zaczerwieniony od krwi pompowanej do mięśni, z rozszerzonymi nozdrzami, pachnący potem i zwycięstwem. Jaki wielki, jaki potężny. Musi sądzić, że jest niezwyciężony.

Uśmiecham się i macham ręką starym matołom powracającym do baru, a później idę na przystanek autobusowy.

Daniel jest wyraźnie zaskoczony telefonem. Wyczuwam ostrożność w jego neutralnym głosie. Tak, nadal jest w Londynie. Zgadza się spotkać w kawiarni na mieście, niedaleko banku, w którym pracuje. Mówi, że znaleźli się w samym środku korupcyjnego skandalu (dlatego jeszcze nie wrócił do Stanów), więc nie będzie mógł zabawić dłużej. Taki paragraf umożliwiający wykręcenie się od odpowiedzialności, gdyby okazało się to potrzebne.

Zjawiam się wcześniej i myślę o tym, jak sformułować prośbę, którą zamierzam mu przedstawić. Dokonuję przeglądu argumentów przetargowych: darmowa pomoc prawna w przypadku rozwodu, seks i pieniądze. Znam gangsterów. Potrafię wyczuć lepką aurę, która sygnalizuje, że można kogoś kupić, zwykle potrafię także odgadnąć cenę. Jednak Daniel nigdy jej nie posiadał.

Pojawia się, choć nie zdążyłam jeszcze niczego wymyślić.

Wygląda lepiej niż ostatnim razem. Jego skóra jest gładka, włosy odrosły i zaczęły się kręcić. Ma na sobie szary garnitur i rozpiętą koszulę, z różowym

krawatem, który wystaje z kieszeni jak psi ozór.

Najwyraźniej życie małżeńskie dobrze mu służy. Opieram się pokusie, by to powiedzieć, gdy podnoszę się z niskiego fotela. Nie chcę się wydać zazdrosna.

Przygarnia mnie do siebie bez słowa. Pozwalam sobie na chwilkę zapomnienia, wtulając się w jego ramiona. Jego kark pachnie mydłem. Szczęściara z tej Donny.

Później biorę głęboki oddech i się odsuwam. Nie jest mój, żebym mogła się nim cieszyć.

– Jeszcze jedną kawę? – pyta.

– Poproszę. Latte, bez cukru.

Przynosi napoje na tacy z dwoma brownie.

Wargi mi drgają.

– Kawa bez cukru i pożywne brownie?

– Mogłabyś przytyć kilka kilogramów. Nie wyglądasz najlepiej.

– O rany! W przeciwieństwie do ciebie.

Cholera, jasna cholera. Nie patrzymy na siebie.

– Pomyślałam: No proszę. Dobrze wyglądasz. Musisz być szczęśliwy. Cieszę się, że ci się udało. Z Donną.

Rozcina ciastko na pół i zbiera okruchy oblizanym palcem.

– Czym mogę ci służyć? Radą inwestycyjną?

Odwracam głowę. Zasłużyłam na obrazę.

– Przepraszam – mówi cicho.

– Nie musisz. Sama się prosiłam.

Od momentu, gdy przyszedł, jego twarz jest pozbawiona wyrazu. Nagle się uśmiecha, rozdzierając mi serce.

– Fakt.

Wzdycham. Już na to za późno.

– Chciałam cię o coś poprosić. Żebyś coś dla mnie zrobił. Chodzi o drobiazg.

Obserwuje mnie uporczywie, popijając kawę. Wie, że nie chodzi o drobiazg. Na linii moich włosów zbierają się kropelki potu.

Czuję, że się czerwienię. Dziwne doznanie. Nie rumieniłam się od czasu, gdy byłam dzieckiem. Nie mam pojęcia, jak to rozegrać. Mogłabym udąć, że wszystko było prawdą. „Prawda jest tym, w co inni uwierzą pod twoim wpływem”. Mogłabym spowodować, aby uwierzył w kłamstwo.

Albo mogłabym mu powiedzieć najprawdziwszą prawdę.

Zamykam oczy i wstępuję w otchłań.

– Ktoś może cię spytać... o noc, które ze sobą spędziliśmy.

Jego kubek zatrzymuje się w połowie drogi do ust.

Biorę głęboki oddech.

– Mam sprawę w sądzie. Oskarżyłam kogoś o popełnienie gwałtu. Druga strona będzie chciała udowodnić, że lubię przygodny seks.

Blednie.

– Drań.

Unoszę dłoń.

– To nie jest takie proste, Danielu.

Pochyla się ku mnie, opuszczając głowę. Czeka na dalszy ciąg.

Upijam łyk kawy i odstawiam kubek na stół. Jest letnia i ma za dużo mleka. Ręka mi drży, krople płynu kapią na nietknięte brzośnie.

– Chcę, żebyś powiedział, że ze sobą nie spaliśmy.

Marszczy brwi.

– Poprosiłem recepcjonistę o prezerwatywy.

– Powiedz, że zmieniliśmy zdanie. Że postanowiliśmy poczekać. Jesteś jedynym słabym punktem w tej sprawie.

Przełyka ślinę.

– Co on ci zrobił? Ten gwałciciel.

Hałas dolatujący z wnętrza kawiarni cichnie, jakbyśmy byli w szklanej bańce, otoczeni drgającym murem napięcia.

– Zabił mojego brata.

Opowiedziałam mu wszystko. Kiedy skończyłam, zapadła przeraźliwie długa cisza, w której miałam ochotę zadźgać samą siebie nożem do ciasta. Palnęłam głupstwo. Umówiłam się z nim, żeby zabezpieczyć najsłabszy punkt sprawy, a zrobiłam w niej tak dużą dziurę, że teraz sprawa może w ogóle nie trafić do sądu. Czy Daniel pomaszeruje na policję i wszystko im powtórzy? Uznają, że uwierzyłam w kłamstwa Jody. Mogą potraktować mnie łagodnie, zważywszy na okres żałoby, lub oskarżyć o marnowanie czasu policji. Albo o uniemożliwienie prawidłowego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Jeśli Jody zostanie wezwana na świadka, tym razem może trafić do więzienia – obie możemy się tam znaleźć.

Wstaję gwałtownie, przewracając kartonowy kubek i rozlewając beżowe mleko na stół.

– Nie powinnam była tu przychodzić. Proszę, zapomnij o wszystkim, co ci powiedziałam. Błagam, nie idź na policję.

– Mags...

– To zły człowiek, Dan. Nie musisz go chronić. Wtedy faktycznie ją zgwałcił, za pierwszym razem. Jej opiekunka społeczna miała całkowitą rację. Były obrażenia i...

– Mags! Uspokój się.

Serce mi wali. Ledwie mogę złapać oddech. Ponownie opadam na krzesło. Daniel wyciąga do mnie rękę, maczając rękaw w kałuży kawy.

Chwytam jego dłoń jak przerażone dziecko, ale po chwili puszcza. Jego palce wysuwają się z moich. Podnosi się.

– Daj mi pomyśleć, dobrze?

A później znika. Ciemny kształt przesuwa się w ogromnym ściennym

lustrze naprzeciw mnie, gdy przecina ulicę i wtapia się w tłum.

Co ja najlepszego zrobiłam?

**Marzec**

## 40. Mags

Młodszym prawnikiem zespołu Koronnej Służby Prokuratorskiej jest Rauf Chaudhry, dwudziestokilkuletni Pakistańczyk, który zrobił dyplom w jakimś gównianym college'u w Anglii Środkowej. Mimo to podejrzewam, że pewnego dnia będzie naprawdę dobry. Jest niezwykle ambitny, a gdy dowiaduje się, że jestem prawniczką, zasypuje mnie pytaniami o amerykański system prawny.

Jego oficjalna rola polega na informowaniu mnie o przebiegu procesu, ale mówię mu, że po złożeniu zeznań mam zamiar uczestniczyć we wszystkich posiedzeniach. Próbuje mnie przekonać, abym przedstawiła dowody za pomocą łącza wideo, bo wszystkie ofiary gwałtu mają do tego prawo, lecz oznajmiam mu, że chcę spojrzeć w twarz gwałcielowi. Ze znaczącym uśmiechem dodaję, że chcę również dopilnować, aby Koronna Służba Prokuratorska nie spieprzyła sprawy.

Do sądu ubieram granatową garsonkę, rezygnuję z makijażu, upinam włosy z tyłu i zakładam okulary do czytania. Gwałciiciel będzie mieć problem nawet z tym, by mnie rozpoznać. I nikt w sądzie nie będzie mnie pamiętać, gdy proces dobiegnie końca.

Jestem pierwszym świadkiem. Na sali sądowej zapada cisza. Obcasy moich niskich czółenek stukają, gdy zmierzam do miejsca dla świadków.

W ławie przysięgłych zasiadają po równo mężczyźni i kobiety, wielu poniżej czterdziestki, co jest dobrym znakiem. Pokutujące w starszym pokoleniu przesady na temat kobiet, które same proszą się o gwałt – ubiorem lub spożywaniem alkoholu – są odporne na zmiany.

Dlatego w noc gwałtu konsekwentnie trzymałam się coli. „Powiedział, że zezna, iż byłam pijana – oświadczyłam policji – dlatego nie uwierzycie w ani jedno moje słowo”. Badania krwi i moczu dowiodły, że byłam zupełnie trzeźwa, co dodało wiarygodności moim zapewnieniom, że wyszłam na zewnątrz po to, aby się wysikać, bo przed damską toaletą zrobiła się kolejka.



W ubikacji nie wolno montować kamer wideo, więc nie mieli dowodu, że zapchałam muszlę ręcznikami do rąk, aż woda podeszła do krawędzi. Nie przyszło im nawet do głowy, by mnie o to podejrzewać.

Spojrzałam na Wysoki Sąd z poważną miną, a gdy sędzia poprosił, żebym przedstawiła swoją wersję wydarzeń z sylwestra, uczyniłam to ze spokojną determinacją, umyślnie unikając kontaktu wzrokowego z oskarżonym. Żadnych łez. Pozwolę, aby zdjęcia i badania DNA wykonały za mnie całą robotę.

Jego dziewczyna siedzi z kamienną twarzą, uważnie słuchając moich słów. Ma na imię Sophie. Typowa blondynka z pomarańczowym makijażem i rzęsami umalowanymi grubą kredką. Po kilku minutach wstaje i wychodzi z sali, nie oglądając się za siebie. Nie było trudno ją przekonać, że jej chłopak jest gwałcicielem. To mi poprawia samopoczucie.

Mówię przez pół godziny. Pod koniec przysięgli popijają wodę i wachlują twarze.

Myślę, że wszystko poszło bardzo dobrze. Trudno mi powstrzymać uśmiech, gdy sędzia ogłasza przerwę w obradach przed przepytaniem mnie przez prawnika przeciwnej strony.

Rauf czeka na zewnątrz i odprowadza mnie do pokoju dla świadka, z ekspresem do kawy i zapadniętą kanapą upstrzoną petami.

– Dobrze mi poszło, nie sądzisz? – mówię, klapiąc na kanapę i zrzucając czólenka. Moje samozadowolenie słabnie, gdy młody prawnik odwraca się od ekspresu i podaje mi kawę.

– Co się stało?

Wzrusza ramionami.

– Twoje wystąpienie przypominało czytanie scenariusza. Nie wzbudziłaś sympatii przysięgłych.

– Szczerze mówiąc, mam gdzieś, czy mi współczują. Sprawa jest oczywista. Wystarczy, że zobaczą zdjęcia.

Spogląda na mnie badawczo, więc zastanawiam się, czy odgadł, że coś ukrywam. Nie mogę powiedzieć mu prawdy, bo zrezygnowałby ze sprawy,

ale chcę, żeby zrozumiał.

– To brutalny gwałciciel, Rauf. Zasługuje na więzienie i do niego trafi.

Prawnik poprawia włosy palcami barwy toffi i opiera się o drzwi.

– Za długo mieszkałaś w Stanach. Biały Brytyjczyk płci męskiej to gatunek zagrożony. Spójrz na niego. Biedaczyna stoi w obcisłym garniturze, z wielkimi dłońmi zwisającymi wzdłuż tułowia, bo nie wie, co z nimi zrobić. Wzbudza współczucie. Starsze kobiety będą chciały mu matkować, biali mężczyźni dostrzegą w nim samych siebie. Potrzeba tylko jednego lub dwóch przysięgłych gotowych obdarzyć go przywilejem wątpliwości... że jest zbyt gruboskórny lub tępy, aby zrozumieć, kiedy kobieta mówi „nie”.

Zanim zdążę odpowiedzieć, słyszymy przez głośnik, że za chwilę sąd wznowi obrady. Rauf otwiera drzwi.

– Ja też chcę, żebyśmy wygrali – mruczy, gdy przechodzę. – Spróbuj zachowywać się trochę bardziej jak... ofiara, okay?

Uśmiecham się z pobłażaniem, ale kiedy idę korytarzem, jestem zła. Za chwilę przepyta mnie prawniczka broniąca oskarżonego. Wiem, jakie to bywa brutalne. Przecież sama z tego żyję.

Tym razem uważniej przyglądam się przysięgłym. Młoda kobieta z nadwagą, wciśnięta w kopertową sukienkę, zerka ukradkiem w stronę stołu obrony, gdzie oskarżony szepcze ze swoją prawniczką. Czy jest z gatunku tych niepewnych, zdesperowanych istot, które piszą do seryjnych zabójców odsiadujących wyrok i czasami biorą z nimi ślub? Może wzbudzę jej niechęć, bo jestem szczupła i odniosłam sukces? Obok niej siedzi starszy mężczyzna, Azjata. Wprawdzie nie ma brody i nosi się po europejsku, ale nadal może marszczyć brwi na widok kobiet, które chodzą na przyjęcia bez przyzwoitki.

Dalej przycupnął typowy biały facet w średnim wieku: łysy, z nadwagą i tatuażami wystającymi spod mankietów koszuli. Wygląda jak starsza i uboższa wersja oskarżonego. Cholera. Może Rauf ma rację. Muszę sprawić, aby znaleźli się po mojej stronie. Pokazać odrobinę bezbronności.

Niestety, jest to jedna z rzeczy, w których nie jestem dobra. Potrafię się zamknąć, ale nie umiem się otworzyć.

Powinnam zaczerpnąć kilka wskazówek od Jody, która tak dygotała, gdy żegnałam się z nią dziś rano, że przypominała nieostrą fotografię. Powiedziałam, że jeśli nie chce, nie musi uczestniczyć w rozprawie, ale kiedy ponownie zajmuję miejsce dla świadka, widzę ją skuloną za filarem obok tylnej ławki. Ma spuszczoną głowę i majstruje przy guzikach swojego rozpinanego swetra, gdy sędzia zabiera głos. W przeciwieństwie do niej Mira siedzi wyprostowana, z ożywieniem śledząc przebieg rozprawy. Rzekomo wróciła z Albanii, aby udzielić Jody i mnie moralnego wsparcia. Ale myślę, że chodzi o coś więcej. Myślę, że wie, co się święci, choć żadna z nas jej nie powiedziała. Myślę, że wróciła dla Lorana. Żeby obserwować, jak wymierzą sprawiedliwość zabójcy mężczyzny, którego kochał.

Albo i nie wymierzą.

Jeśli nie zagram dobrze swojej roli.

Dalej, Mags, mówię sobie, gdy przedstawicielka obrony wstaje. Odegraj to. Urządź przedstawienie. Pomyśl, że starasz się pokazać tacie, jak bardzo żałujesz, że paliłaś na przystanku autobusowym, aby drań przestał niszczyć twoje sukienki.

Babka jest wysoka i smukła, ma rzadkie czarne włosy, które wyglądają tak, jakby zostały namalowane na głowie, oraz haczykowaty nos drapieźnego ptaka. Kiedy nasze oczy się spotykają, odnoszę wrażenie, że mnie rozpoznaje, jak prawnik prawnika. Obie jesteśmy zdecydowane rozegrać ten proces niczym partię szachów. Szybko odwracam głowę i spuszczam wzrok, żeby udąć lekki niepokój.

Ale tamta nie jest głupia.

– Trzeba dużej odwagi, żeby stanąć w sądzie twarzą w twarz z rzekomym gwałtcielem, panno Mackenzie. Szczególnie że mogła pani złożyć zeznania za pomocą łącza wideo.

Prostuję się i ciężko przełykam ślinę. No to ruszamy.

– Jedynie bardzo pewna siebie młoda kobieta poszłaby sama na przyjęcie pełne nieznanym osobom. Równie dużej pewności siebie trzeba, by zrobić siusiu na zewnątrz, gdy inne kobiety cierpliwie czekają na odblokowanie toalety. Mimo to – spogląda na przysięgłych – mamy uwierzyć, że jest pani

skromnisią, która nie była w stanie bronić się przed moim klientem. Tak przerażoną, że nie mogła wydobyć z siebie głosu, by zwrócić uwagę pozostałych gości na swoje dramatyczne położenie.

– Rozpoczęli odliczanie do północy – odpowiadam. – Panował duży hałas.

Ignoruje moje słowa.

– Jest pani prawniczką, panno Mackenzie. W ubiegłym roku broniła pani mężczyzny oskarżonego o niezapłacenie podatku od czterdziestu milionów dolarów. Mężczyzny, który w wieku dwudziestu kilku lat został skazany za zabójstwo trzech rywali w interesach.

Patrzę na prawnika z Koronnej Służby Prokuratorskiej i marszczę brwi. No dalej, zgłoś sprzeciw.

– Wierzę, że jest pani silną, inteligentną i wyrachowaną młodą kobietą, która ze znanych sobie powodów próbuje manipulować sądem, panno Mackenzie.

– Z jakiego powodu miałabym przez to przechodzić? – Natychmiast się orientuję, że popełniłam błąd. Wyczuła gniew w moim głosie, nawet jeśli umknął uwadze przysięgłych. Wie, że warto podążyć tą drogą.

– Opuściła pani dom w wieku szesnastu lat, czy tak?

– Tak.

– Dlaczego?

– Z powodu zerwania relacji z rodzicami.

– Rodzicami? A może tylko z ojcem?

– Z rodzicami.

– Czy to prawda, że zawiadomiła pani policję, że ojciec bezprawnie pozbawił panią wolności?

Waham się.

– Tak.

– I utrzymywała, że panią pobił, ale nie wniesiono żadnego oskarżenia,

bo ojciec zeznał, iż to pani go zaatakowała i upadła, gdy ją odepchnął?

Kiwam głową. Rozmawiała z moimi nauczycielami.

– Zatem w przeszłości składała pani fałszywe zarzuty?

– Nie były fałszywe.

– Pani ojciec odszedł z górskiego pogotowia ratunkowego z przyczyn zdrowotnych. O jakie problemy chodziło?

– Przeżył załamanie nerwowe.

– Czy pani brat popełnił niedawno samobójstwo?

– Tak.

– Czy sądzi pani, że w jej rodzinie występują choroby psychiczne?

Wydymam wargi.

– Nie.

Prawniczka uśmiecha się nieznacznie, sugerując przysięgłym, że odmawiam współpracy. Spoglądają na mnie badawczym, wrogim wzrokiem. Rauf miał rację. Nie lubią mnie.

– Panno Mackenzie, uważam, że jako młoda kobieta, która miała ojca tyrana, rozwinęła pani w sobie nienawiść do mężczyzn. Nienawiść, która utrzymuje się do dziś, czyniąc panią niezdolną lub niechętną do zawierania głębszych związków. Ten fakt oraz pani religijne wychowanie doprowadziły do powstania wewnętrznie sprzecznej tożsamości seksualnej. Po zbliżeniu była pani tak zdeglustowana sobą, że musiała obwinić kogoś innego, w tym przypadku mojego klienta. Sugeruję, że problemy psychiczne dręczące pani ojca i brata wywarły wpływ także na panią. Że doprowadziły do wysunięcia fałszywych oskarżeń w przeszłości. Fałszywe oskarżenie mojego klienta o gwałt jest tego kolejnym przykładem.

Uśmiecha się smutno. Mam ochotę wydrapać jej oczy.

– Jest pani młodą kobietą, która przeżyła traumę i zasługuje na nasze współczucie, ale niezależnie od pani problemów nie wolno pozwolić, by zniszczyły życie niewinnemu człowiekowi.

Twarze przysięgłych zwracają się w stronę oskarżonego, zwieszono go na krześle, z kępką włosów między dwoma błyszczącymi zakolami, poruszającą się w powiewie klimatyzacji. Mężczyzna podnosi głowę i patrzy na nich dużymi, zdumionymi oczami, jakby chciał zapytać: Co ja takiego zrobiłem?

– Nie mam więcej pytań.

Rauf jest na tyle honorowy, by nie powiedzieć: A nie mówiłem?

– Chyba przysięgli nie są tak naiwni – peroruję – żeby dać wiarę tym pokrętnym bredniom?

Niestety, moje pytanie jest retoryczne. Oczywiście, że uwierzą. Uwierzą w każdą brednię – weźmy sprawę O.J. Simpsona – przecież dzięki temu zarabiam na życie.

Powinnam była zapomnieć o dumie i uronić kilka łez. Dopilnuję, żeby lepiej wypaść, kiedy zasiądę w galerii dla publiczności, gdyby przysięgli na mnie patrzyli, by zobaczyć, jak zareaguję na inne dowody i świadków. Rauf nie musi mi mówić, że zmarnowałam szansę.

Ale nie koniec na tym. Przed pożegnaniem pytam, dlaczego prawniczka nie maglowała mnie o moje życie seksualne. Rauf odpowiada, że droga, którą wybrali, jest dla nas znacznie trudniejsza. Powinnam była się domyślić. Powinnam była to sprawdzić, zanim wygadałam się przed Danielem. Nie mogliby powołać go na świadka mojego swobodnego stylu życia, więc nie było potrzeby mówienia mu czegokolwiek.

A tym bardziej wszystkiego.

Wieczorem, po powrocie do mieszkania Abe'a, doświadczam pierwszej nieprzyjemnej fali zwątpienia. Spłukuję je butelką wina.

Następnego ranka mówię Jody i Mirze, że umówiłam się na śniadanie z Raufem, aby nie jechać z nimi do sądu i nie musieć przybierać maski niewzruszonej pewności. Tracę rachubę czasu, ale darmowa gazetka, którą znajduję w autobusie, informuje mnie, że jest czwartek. Mój ulubiony dzień w Vegas. W czwartek na horyzoncie pojawia się weekend, powietrze pulsuje od oczekiwania. Jackson dał mi półroczny urlop naukowy. Koledzy wzięli moje sprawy. Według niego idzie im „nadmierzajnie”. To mnie odoczy przesadnego mniemania o sobie. Odrobina pokory mogła mi oszczędzić

wczorajszej wpadki w sądzie.

Siedząc nad filiżanką kawy w garkuchni na tyłach gmachu sądu, postanawiam spróbować: nieco odpuszczę i pozwolę, żeby prawnicy z Koronnej Służby Prokuratorskiej wykonali swoją robotę. Zrobiłam, co mogłam, lepiej lub gorzej, więc teraz wszystko zależy od nich. Kiedy wchodzę na salę i widzę Raufa, nie proszę go nawet o plan dzisiejszego posiedzenia.

Dolatują mnie odgłosy siadania, stukanie kolan o tył ławki, kaszel i szelest, chlupot wody w butelkach przysięgłych. Mira i Jody już są, siedzą dwie ławki za mną. Posyłam im szybki uśmiech, a później siadam, zwrócona plecami do nich.

Oskarżenie powołuje następnego świadka – policjantkę, która znalazła mnie szlochającą w toalecie klubu rugby, pocieszaną przez kilka starszych żon.

Po niej na miejscu dla świadków siada Elaine, jedna z wyżej wspomnianych. Nie kryje swojej odrazy do Roba. Po Elaine przychodzi pora na lekarza i jego zdjęcia.

Mam nadzieję, że Jody ich nie zobaczy, kiedy zaczną krążyć wśród przysięgłych.

Pojawiają się kolejne fotografie z miejsca przestępstwa oraz zdjęcia mojego ubrania i ubrania Roba – podartego, z plamami i oderwanymi guzikami.

To mocny argument, więc gdy ogłaszają przerwę na lunch, moja pewność siebie jest wystarczająco podbudowana, abym mogła spojrzeć Jody i Mirze w oczy. Jemy kanapki w małym różanym ogrodzie nieopodal sądu. Udaję, że zapadam w drzemkę w promieniach słońca, by nie musieć odpowiadać na pytania Miry.

Po powrocie na salę zeznania składa oskarżony. Kiedy stąpa ciężko w stronę miejsca dla świadków, materiał jego garnituru marszczy się na plecach. Przypominam sobie lepkość jego skóry i jej słony smak, gdy go ugryzłam.

Przedstawia własną wersję wydarzeń z sylwestra. Jest zupełnie

niewiarygodna. Oczywiście najbardziej niewiarygodne jest to, że to prawda.

Przepytuje go jego prawniczka. Po niej przychodzi kolej Koronnej Służby Prokuratorskiej.

Czy sąd ma uwierzyć, że podeszłam do niego niespodziewanie i poprosiłam, żeby się ze mną kochał? Że nalegałam, abyśmy zrobili to na zewnątrz, chociaż były dwa stopnie poniżej zera?

Czy to prawda, że na przyjęciu była jego dziewczyna?

Jak wyjaśni, że byłam pokryta błotem? Że znaleziono całe kępy moich włosów?

Jego odpowiedź, że upadłam, przechodząc przez boisko, a włosy zostały wyrwane, bo poprosiłam go o ostry seks, wywołują okrzyki oburzenia w galerii dla publiczności.

– Co? Taki ostry? – pyta prokurator, podnosząc zdjęcie, na widok którego krzywi się większość przysięgłych.

Podczas przepytывania oskarżonego przysięgli są coraz bardziej niespokojni. Pod koniec niektóre z kobiet rzucają mu gniewne spojrzenia, ledwie kryjąc pogardę.

Ale nie wszystko jest dla niego stracone.

Przed sądem stają kolejni świadkowie i jak jeden mąż potwierdzają, jaki z niego porządny gość. Sól ziemi. Człowiek o złotym sercu. Nie skrzywdziłby nawet muchy i tak dalej. Słyszymy o jego wędrowce przez Andy dla Sport Relief<sup>19</sup>. O jego poświęceniu zespołowi rugby i o tym, jak często odwiedza babcię przebywającą w domu starców.

Jesteśmy załatwieni. Niezależnie od liczby punktów zdobytych przez każdą ze stron. Dowody oskarżenia są mocne, ale nie można zaprzeczyć, że opuszczamy salę z wrażeniem, iż oto mamy do czynienia z pijanym głupcem, który popełnił straszny błąd.

Kiedy wychodzimy z gmachu sądu, przybieram dzielną minę dla Jody i Miry, lecz wszystkie wątpliwości powracają ukradkiem.

Rauf czeka na zewnątrz. Mówię Mirze i Jody, że zobaczymy się w domu. Wyraz twarzy młodego prawnika sprawia, że serce mi zamiera. W milczeniu



proceedzi mnie do pokoju dla świadków i zamyka drzwi. Padam na kanapę, czując okrutną potrzebę kofeiny, która mogła jeszcze pozostać w ekspresie z tymi mdłymi szczynami.

Nagle jego twarz rozpromienia się w uśmiechu.

Patrzę na niego ze zdumieniem.

– Co? Jakim cudem możemy to obrócić na naszą korzyść?

Kiedy wybucha śmiechem, mam ochotę mu przyłożyć.

– Mówię poważnie, Rauf. Co w tym, cholera, takiego śmiesznego?

– Nie udawaj. Przecież jesteś prawniczką!

Składam ręce i rzucam mu gniewne spojrzenie.

– Ukazali twój charakter w złym świetle. Próbowali udowodnić, że lubisz ostry seks. A twojego oprawcę wręcz wyidealizowali. Wszystkie te brednie o babci Elsie. Wobec tego...

– Wobec tego co? – Nadal mam ochotę go walnąć.

Uśmiecha się.

– Wobec tego przedstawimy dowody, które temu zaprzeczają.

W moje serce wstępuje otucha, ale tylko na chwilę, dopóki nie przypomnę sobie, że nie zmieniam co weekend babcinych pieluch, a moi przyjaciele nie wskoczą do samolotu, żeby zeznać przed sądem, jaka ze mnie święta prawniczka korporacyjna.

– A mamy jakiś?

Jego wkurzający uśmiech staje się przebiegły.

– Zostaw to mnie.

Tak też robię. Zostawiam mu wszystko na głowie i wychodzę, żeby cieszyć się weekendem, bo tyle czasu wkurzony sędzia podarował nam na załatwienie dziur w naszej sprawie. Nie uprzedziliśmy go, że zamierzamy to zrobić, więc miał prawo nam odmówić. Ale Rauf i inny prawnik z Koronnej Służby Prokuratorskiej roztoczyli nad nim swój czar ku niezadowoleniu obrony. Prawniczka wręcz pluje jadem, gdy wychodzimy z sądu.

Jody, Mira i ja udajemy się prosto na dworzec kolejowy i o siedemnastej leżymy nad basenem w spa w hrabstwie Kent. Mira, która musi czuć, że proces daje się nam we znaki, zakazuje wszelkich rozmów mających związek ze sprawą, więc po prostu czytamy, jemy dobre żarcie, pijemy przyzwoite wino i oglądamy filmy ze śmiejącą się Flori, umazaną przecierem owocowym.

Kiedy wracamy do Świętego Hieronima w niedzielę wieczorem, mój nastrój poprawia się na tyle, że przesypiam całą noc, ale gdy w poniedziałek rano dzwoni budzik, ponownie ogarnia mnie przerażenie. Oprócz dowodów, które wyszpera Rauf, pozostało podsumowanie i moje oświadczenie jako poszkodowanej. Muszę jakimś sposobem wydusić z siebie łzy. Po prostu muszę. W przeciwnym razie drań wyjdzie wolny.

W drodze na stację kupuję paczkę chusteczek. Będę mogła przyłożyć je do twarzy, żeby ukryć brak łez.

Tego ranka na sali sądowej panuje większy spokój. Poszukujący sensacji zapoznali się z wszystkimi drastycznymi szczegółami i przenieśli do sąsiedniej sali, gdzie toczy się proces dzieciobójcy.

Pierwsze minuty posiedzenia zajmują wazeliniarskie przeprosiny prawnika Koronnej Służby Prokuratorskiej. Wysoki Sąd przyjmuje je jak kapryśny, spasiony kot. Prawniczka oskarżonego krzywi się z niesmakiem, stukając długopisem w biurko. Rob wzdycha i kręci się na krześle.

W końcu prokurator przechodzi do rzeczy.

Odchrząkuje, czekając, aż publiczność obdarzy go pełną uwagą. Pamiętam poczucie władzy, które wywołuje we mnie ta część procesu. Nie mogę się doczekać powrotu do pracy. Mam nadzieję, że Jackson przygotuje mi jakąś dobrą sprawę.

– Chciałbym powołać na świadka Daniela Stillmansa.

Nagle ogarnia mnie cisza, a po chwili moją głowę wypełnia szum tak głośny, że nie słyszę stukania butów Daniela, gdy podchodzi do miejsca dla świadków. Krzesło skrzypi. Kiedy siada, w jego jasnych włosach odbija się światło wpadające przez wysokie okna.

Nie. Tylko nie to. Powie wszystko, co wyznałam mu w kawiarni. Cekał

na odpowiedni moment, na idealną chwilę, żeby storpedować naszą sprawę.

– Czy byłby pan łaskaw opowiedzieć przysięgłym, jak poznał pannę Mackenzie?

Czekam. Uspokajam się. Powołało go oskarżenie, nie obrona. Nie mogliby się o nim dowiedzieć, gdyby sam nie nawiązał kontaktu. To znaczy, że jest po mojej stronie. Prawda?

– W samolocie z McCarran, z Vegas – odpowiada krótko, rzeczowo.

Na sali zapada kompletna cisza. Skupiam uwagę na jego twarzy, siłą woli zmuszając go, by się odwrócił i dostrzegł rozpacz w moich oczach. Żeby po prostu wstał i wyszedł. Błagam, nie rób mi tego.

– Doskonale się rozumieliśmy. W następnych tygodniach zbliżyliśmy się do siebie.

Mrugam oczami. Mówi to tak, jakby coś nas łączyło. Jego przystojna twarz jest ściągnięta. Gruba dziewczyna w kopertowej sukience nie może oderwać od niego wzroku.

– Co się stało po sylwestrowym przyjęciu?

Nareszcie. Krzywię się. Błagam, szepczę bezgłośnie. Błagam, nie mów im.

Wzdycha i przesuwa ręką po włosach.

– Chciałem z nią pójść, ale Mags nalegała, żebym spędził tę noc z dziećmi.

Patrzę na niego ze zdumieniem.

– Dzieciaki uwielbiają sylwestra, a poza tym nie widziałem ich od dłuższego czasu, ba, od rozvodu.

Rauf patrzy na mnie, niemal czuję, jak kipi z entuzjazmu. „Zostaw to mnie”.

Jeden z przysięgłych kręci się na miejscu. Może koniec końców nie jestem taką zimną suką.

– Gdybym z nią poszedł, nie doszłoby do tego. Nie zostałyby...

zgwalczona.

Spogląda na mnie pierwszy raz. Jego oczy błyszczą. Chryste, jest naprawdę dobry. Choć wiem, że to wszystko nieprawda, serce rośnie mi w piersi.

Opuszcza głowę w wyrazie zawstydzenia godnym Oscara, a gdy odzywa się ponownie, jego głos jest cichy.

– Później wszystko się zmieniło. Nie chciała mnie znać. To wydarzenie sprawiło, że boi się bliskości. Nikomu nie ufa. Myślę, że zbudowała mur, aby się chronić.

Czuję, że wszyscy na mnie patrzą. Pierwszy raz, odkąd postawiłam stopę w tym zalatującym stęchlizną gmachu, emocje, które zamazują mi obraz przed oczami, są szczerze. Pozwalam, żeby łzy wezbrały i spłynęły po policzkach, a później ocieram je rękawem.

Prawniczka Roba wzdycha na widok tak tandetnej próby emocjonalnej manipulacji, za jednym zamachem zrażając do siebie całą salę.

– Zatem zauważył pan wyraźną zmianę w charakterze Mary – podejmuje prawnik Koronnej Służby Prokuratorskiej – przed napaścią i po niej?

Kiwa głową. Palce stenotypistki się poruszają.

– Czy dostrzegł pan wcześniej jakieś oznaki problemów psychicznych lub nienawiści do mężczyzn, którą sugerowała obrona?

– Nie. Oczywiście, że nie. To nonsens.

– Obrona próbowała nas przekonać, że panna Mackenzie lubi ostry seks. – Dwa ostatnie słowa wypowiedzi z wyraźnym niesmakiem. – Proszę wybaczyć, że muszę panu zadać tak intymne pytanie, ale czy panna Mackenzie kiedykolwiek prosiła pana, by zrobił jej krzywdę podczas stosunku? Bił ją? Drapał? Gryzł? Zrobił coś, co mogłoby spowodować obrażenia, które widzieliśmy?

Podchodzi i podaje Danielowi plik fotografii. Przez chwilę cieszę się, że Rauf mnie nie uprzedził, bo nigdy nie wyraziłabym zgody, aby Daniel zobaczył mnie w takim stanie.

Robi krótki, ostry wdech.

Czy teraz, gdy wie, jak daleko posunęłam się w podstępnie, do jakiej otchłani wstąpiłam, będzie zniesmaczony? Czy poczuje się w obowiązku zabrać głos?

Nie patrzy na mnie.

Ciszy nie zakłóca żaden oddech, najmniejszy szelest dokumentów. Słyszymy jedynie odgłos zdjęć rzuconych na podłogę. Układają się wachlarzem, odwrotną stroną, jakby chowały twarz ze wstydu.

– To nie jest uprawianie miłości – mówi cicho. – To tortury.

Prawnik podchodzi, podnosi zdjęcia i wkłada do teczki. Później odwraca się do Daniela.

– Abyśmy mogli odrzucić te wszystkie przykre oszczerstwa, muszę spytać, czy panna Mackenzie kiedykolwiek prosiła pana o to... żeby ją skrzywdził w sposób uwidoczniony na tych fotografiach.

Daniel wydyma wargi.

– Nie. Nigdy.

– Dziękuję. Jeszcze raz przepraszam, ale w tego typu sprawach, nawet w dwudziestym pierwszym wieku, ofiary gwałtu piętnuje się często jako oszustki, osoby obłąkane lub „fantazujące o gwałcie”. – Pokazane gestem znaki cudzysłowu idealnie komunikują, że uważa takie postępowanie za godne pogardy. – Proszę przyjąć wyrazy współczucia, że wydarzenia tamtej nocy zniszczyły waszą kiełkującą relację, normalną, zdrową znajomość opartą na uczuciach i wzajemnym szacunku, a nie sadystycznych fantazjach i torturach.

– Dziękuję. Nadal mam nadzieję, że... – Daniel przełyka ślinę. – Że pewnego dnia, kiedy to wszystko się skończy, będziemy mogli zacząć od nowa.

Słyszę, że gruba dziewczyna pociąga nosem. Prawniczka Roba mruczy coś do swojego klienta. Jody przyciska swoje kolano do mojego. Promienie słońca wpadające przez małe okna przypominają świetliste ostrze dzielące salę pomiędzy nas.

Po moich policzkach płyną łzy. Grzebię w torebce, szukając chusteczek,

ale ta wyslizguje mi się z rąk i spada na podłogę z głośnym hukiem. Czuję się tak, jakbym została obnażona przed tymi wszystkimi ludźmi. W końcu Jody podaje mi chusteczkę, a ja przyciskam ją do twarzy, pozwalając, by opadła na nią kurtyna włosów.

– Dziękuję, panie Stillmans – mówi prokurator, po czym zwraca się do prawniczki Roba: – Świadek jest pani.

– Nie mam pytań, Wysoki Sądzie.

Pod koniec dnia dochodzi do opóźnienia, bo prawnicy obu stron rozmawiają o czymś z sędzią. Umawiam się Raufem w kawiarni na rogu, a on, co trzeba zapisać na plus, nie przystaje na widok mojej gniewnej miny. Zatrzymuje się przy barze, niespiesznie słodząc swoją latte i pozwalając, abym ochłonęła.

– Dlaczego, u licha, mnie nie uprzedziłeś? – syczę, kiedy wślizguje się do boksu.

Wzrusza ramionami.

– Prawda, że poskutkowało? Choć raz miałaś stuprocentowo ludzki wygląd.

– Zdecydowałeś się na ryzykowne posunięcie, nie sądzisz? On mógł powiedzieć... cokolwiek. Jak zdołałeś przewidzieć moją reakcję?

Wypija łyk kawy, po czym oblizuje pianę ze swojej kształtnej górnej wargi.

– Pan Stillmans i ja odbyliśmy długą rozmowę, z której wynikało, że warto wykorzystać uczucia, jakimi go darzysz.

– Jesteś gnojkiem, Chaudhry. Nie waż się więcej tego robić.

Przechyla głowę, uśmiechając się ironicznie.

– Cieszę się, że moja niezręczna sytuacja cię ubawiła – mówię.

Jego uśmiech staje się szeroki.

– Mogę ci to wynagrodzić.

Stawiam kubek na lepkiem stole i składam ręce.

– Spróbuj.

Kiedy mówi swoim cichym, łagodnym głosem, zdaję sobie sprawę, że myliłam się co do niego. Nie będzie dobry. Już jest.

Zanim znajdę odpowiedź, która nie spotęguje jego nieznośnego samozadowolenia, dzwoni moja komórka. Leży ekranem do góry, więc oboje możemy odczytać imię.

Rauf porusza swoimi śmiesznymi krzaczastymi brwiami.

– Cała przyjemność po mojej stronie – mówi, a później wstaje i wychodzi z kawiarni.

Waham się krótką chwilę, po czym przesuвам palcem po ekranie, żeby odebrać telefon od Daniela.

## 41. Rob

Kathy mówi, że wkrótce nastąpi podsumowanie, a po nim przysięgli opuszczą salę w celu uzgodnienia werdyktu. Twierdzi, że szanse są pół na pół. Dziwce jest wszystko jedno, bo już zaczyna wydzwaniać w innych sprawach, jakbym nie był wart złamanego grosza.

Robiłem oczy do tej grubej dziewczyny. Szło mi całkiem nieźle, dopóki ten tani dupek z idealnymi zębami nie otworzył ust. Kathy powiedziała, że to był zły moment, bo łzy tej kłamliwej zdziry wyglądały na tyle autentycznie, by przekonać przysięgłych. Mówię jej, że zdzira mogła symulować płacz, bo w przeciwnym razie facet pomyślałby, że pieprzy się ze wszystkimi. Ale nie muszę zwracać jej uwagi na takie rzeczy. To jej robota. Rodzice słono jej za to płacą.

Kiedy mruczy niezobowiązujące „hm”, nie patrząc w moją stronę, wiem, że nie jest przekonana co do mojej wersji wydarzeń z sylwestra. Pewnie dlatego nie angażuje się w stu procentach. Gdy to wszystko się skończy, złożę na nią skargę w radzie adwokackiej, wszystko jedno gdzie. Może ją pozwę.

Do przodu wychodzi przedstawiciel drugiej strony, facet z łąsą pałą lśniąca w świetle żarówek, stukając obcasami o drewnianą podłogę. Eleganckie buty. Drogie. Przepracuję w firmie jeszcze kilka lat i też będę mógł sobie takie sprawić. Oczywiście jeśli nie przegramy. Spoglądam na Kathy, ale ona gapi się na własne kolana. Chyba dziwka nie pisze do kogoś SMS-a?

Dziś rano, przed wyjściem do sądu, powiedziała, żebym przygotował się na „najgorszy scenariusz z karą pozbawienia wolności”. To oznacza, że mogę trafić do więzienia. Najwyraźniej tamci mają nowego świadka. Kathy próbowała protestować, ale sędzia ostatecznie wyraził zgodę.

Po drugiej stronie przejścia, na galerii dla publiczności, siedzi ta fałszywa suka. Kiedy poprawia sukienkę pod tyłkiem, nasze oczy spotykają się na



chwilę. Posyła mi przelotny uśmiech. Spoglądam na przysięgłych, aby sprawdzić, czy to zauważyli, lecz oni przeglądają swoje papiery.

To właśnie ten uśmiech, który zagościł na jej twarzy, gdy ktoś podał jej szklankę wody pierwszego dnia, sprawił, że w końcu rozpoznałem w niej dziewczynę, którą widziałem na stadionie przed imprezą sylwestrową. To była straszna chwila. Nie wstydzę się przyznać, że ścierpły mi jaja. Wtedy tego nie rozumiałem i teraz nie rozumiem, ale nie mam zamiaru się nad nią użalać. To pieprzona wariatka, więc tekst Kathy, że odziedziczyła chorobę po swojej pokręconej rodzinie, powinien odnieść skutek, jeśli przysięgli mają choć krztynę rozumu.

– Chciałbym powołać następnego świadka – mówi łysy.

Drzwi się otwierają. W przejściu słychać kroki. Spodziewam się jakiegoś starca, jakiejś wrednej krowy, której zarysowałem samochód lub zafajdałem skrzynkę pocztową, ale widzę szczupłego gościa około pięćdziesiątki lub sześćdziesiątki. Mija cała wieczność, zanim wgramoli się na miejsce dla świadków. Kiedy się odwraca, ludzie się krzywią. Wygląda, jakby miał nowotwór złośliwy.

Nie mam pojęcia, kim jest, lecz smród, który wypełnia salę, powoduje, że robi mi się słabo. Obracam się na krześle i patrzę na Kathy. Poważnie? Ale ona nie odrywa wzroku od gościa z rakiem.

– Panie Goddard, w dzieciństwie przyjaźnił się pan z oskarżonym – zaczyna prokurator.

Za plecami słyszę wysokie westchnienie, jakby ktoś rozpoznał nazwisko. Przez chwilę nic mi to nie mówi, a później uderza niczym pędzący pociąg.

Felix Goddard?

FELIX?

Świadkiem oskarżenia?

– Tak – odpowiada chrapliwie, jakby mówienie sprawiało mu ból. Pewnie koka zniszczyła mu struny głosowe. – Byliśmy kolegami od czwartego lub piątego roku życia aż do... chyba nie wolno mi tego powiedzieć, prawda?

– Tak. Proszę poprzestać na udzielaniu odpowiedzi na moje pytania.

Kathy przesuwa się na krześle. Zaciska zęby. Wygląda tak, jakby chciała skoczyć na równe nogi i krzyknąć „sprzeciw”, lecz nie rusza się z miejsca.

– Ile miał pan lat, kiedy wasza przyjaźń się skończyła?

– Siedemnaście.

– Jest pan bardzo konkretny. Widać dobrze zapamiętał pan wydarzenia związane z zerwaniem.

– Sprzeciw! Prokurator stara się skłonić przysięgłych do wyciągnięcia negatywnych wniosków na temat mojego klienta.

– Podtrzymuję. Proszę inaczej sformułować pytanie.

– Nie martw się – mówi szeptem Kathy, gdy siada. – Nie mogą nawiązać do tamtego procesu o gwałt, bo zostaliście uniewinnieni.

– Proszę mi opowiedzieć o waszej przyjaźni aż do tamtej chwili, panie Goddard.

Odchylam się na krześle i patrzę na gościa, który opisuje wszystkie nasze szczeniackie wybryki. W jego ustach nie brzmi to najlepiej. Sugeruje, że atak serca tamtego faceta był spowodowany wyłącznie tym, że puszczaaliśmy głośną muzykę przed jego domem i wyrzucaliśmy mu śmieci na trawnik. Wspomina o ostrzeżeniu, które dostaliśmy za obściskiwanie za cycki *au pair* na przystanku autobusowym. Pytam szeptem Kathy, czy wolno mu o tym mówić. Nerwowo kiwa głową. Gruba dziewczyna z ławy przysięgłych przestaje na mnie zerkać, a zwalisty wytatuowany gość gapi się w sufit, jakby w telewizji pokazywali coś brzydkiego i nie chciał na to patrzeć.

– Z tego, co pan powiedział, wynika, że nie mieliście szacunku dla kobiet. Traktowaliście je wyłącznie jako obiekt seksualny.

Felix kiwa głową.

– Czy mam to rozumieć jako potwierdzenie?

– Tak.

– Czy kiedykolwiek odczuwał pan żal z tego powodu, panie Goddard?

Felix spuszcza głowę.

– Tak. Później. Kiedy zrobiliśmy... coś gorszego.

Kathy prycha i rzuca długopis na stół.

– Czułem się naprawdę podle. Chciałem to wymazać z pamięci. Początkowo pomagał mi alkohol, później narkotyki... Spójrzcie, jak dziś wyglądam... – Głos mu się łamie. Rozpościera ręce jak Jezus na krzyżu.

– Świadek jest pani – mówi prokurator.

Kathy wstaje.

– Proponuję, abyśmy zaprzestali uzalania się nad sobą, panie Goddard, i trzymali się faktów.

Przez następne pół godziny próbuje wykazać, że Felix sam wszystkiemu zawinił, sprowadził mnie na manowce, skoro został narkomanem, a ja wyszedłem na ludzi. Jednak nawet ja widzę, że to nie wystarczy.

Nadchodzi pora lunchu, kiedy Kathy kończy.

– Dziękuję, panie Goddard. Nie mam więcej pytań.

On jednak się nie rusza. Świdruję go wzrokiem, żeby poczuł nienawiść, którą mam do niego. Cholerny Judasz. Jego głęboko osadzone oczy przesuwają się po sali. Nagle przechodzi go dreszcz.

– Jody – mówi łamiącym się głosem.

Odwracam się i podążam za jego wzrokiem. Kulka, która przed chwilą przeszła Felixa, teraz trafia we mnie, sprawia, że serce mi zamiera.

Jody Currie siedzi w jednej z tylnych ławek.

– Tak mi przykro, Jody. Tak bardzo mi przykro.

– Proszę to usunąć ze stenogramu – burczy sędzia. – Proszę opuścić miejsce dla świadka, panie Goddard.

Przechodzi obok, ale obraz przed moimi oczami jest tak zamazany, jakby ktoś zbyt mocno mnie zablokował.

W końcu zrozumiałem.

Ta kłamliwa zdzira z martwym bratem. Bratem, który się nie zabił, jak napisali w gazetach. Który mieszkał obok Jody. Ona i Jody... jakimś sposobem... żeby się na mnie odegrać.

Muszę powiedzieć to Kathy.

Ale jak? „Nie jestem gwałcicielem, tylko mordercą”?

Zdziry złapały mnie w pułapkę.

## 42. Mags

Jody, Mira i ja czekałyśmy na werdykt w ogrodzie różanym. Rośliny były nadal uschlými łodygami, ale na końcu każdej gałązki pojawił się mały zamknięty pączek twardy jak drewno, lecz pokryty cieniutkimi liniami pęknięć, przez które eksploduje kwiat. W czerwcu będzie tu pięknie.

Mira poszła zadzwonić do domu, kiedy Jody i ja jadłyśmy chipsy z jednej paczki, zbyt zdenerwowane, aby zająć się czymś poważniejszym, choć wciąż powtarzałam, że wszystko będzie dobrze.

Gwizdek sprawił, że skoczyłyśmy na równe nogi.

Rauf stał na schodach sądu, a jego biały uśmiech lśnił w promieniach słońca. Pokazał nam uniesione kciuki. Przysięgli wrócili, a to mogło oznaczać tylko jedno.

Idąc do furtki, spostrzegłam mosiężną tabliczkę na murze. Ogród urządzono na pamiątkę dwudziestu dziewięciu ludzi zabitych przez niemiecką rakietę V-2 w 1944 roku. Obok listy z nazwiskami widnieje postać pogrążonego w smutku anioła ze spuszczoną głową. Myślę o innym aniele spadającym w roziskrzonym świetle, który nigdy nie ląduje.

Dziewięć lat.

Nie ma wystarczającej kary za zabójstwo lub gwałt, ale odsiadka zniszczy mu życie. Kiedy go wyprowadzali, wstałyśmy wszystkie trzy – za trzy życia, które zniszczył: Jody, Abe’a i Lorana.

Skremowałyśmy Abe’a w wiosenny poranek, zanim Mira wróciła do domu.

Wkrótce i ja będę musiała wyjechać. Daniel już tam jest. Nie czeka na mnie – po prostu czeka, żeby zobaczyć, jak wszystko się ułoży.

Przed wyjazdem muszę załatwić jeszcze jedną sprawę.

Chodzi o coś, co powinnam była zrobić wiele lat temu, gdy odkryłam,

jakie życie chcę prowadzić. Powinnam była uwolnić się od goryczy związanej z przeszłością, nie pozwolić, aby stała się bagażem, który zawsze krytykowałam u kobiet pozujących na męczennice.

Niezależnie od tego, jak bardzo się mylili i jak nieżyciowe mogą mi się wydawać ich poglądy, rodzice uważali, że robią dla nas to, co najlepsze, i zawsze byli głęboko przekonani, że wiara jest prawdą, którą należy się kierować na każdym kroku.

Zatem do załatwienia pozostała mi jeszcze tylko jedna sprawa.

Muszę pojechać do domu i zawiadomić rodziców o śmierci ich syna.

Ojciec Archibald zmarł dawno temu, ale sekretarka parafialna zapewnia, że ojciec Chinelo do mnie oddzwoni. Kiedy się odzywa, grzęjącym nigeryjskim głosem oznajmia, że moi rodzice żyją, cieszą się dobrym zdrowiem i nadal uczęszczają do tego samego kościoła.

– Nie wiedziałem, że mają córkę – mówi, ale ja tylko mu dziękuję i się żegnam. Jestem ciekawa, co mój ojciec sądzi o afrykańskim księdzu prowadzącym nabożeństwo.

Mam czas, żeby się zastanowić podczas długiej podróży pociągiem ze stacji King's Cross. Myślę, że po pierwszym szoku i smutku ucieszy ich sposób, w jaki odszedł. Zginął śmiercią bohatera. Broniąc słabych.

Powiem im, że człowiek, który go zabił, siedzi w więzieniu i spędzi w nim wiele lat.

I powiem, że Abe był kochany. A jeśli spytają o jego partnerkę, wspomnę o Jody.

Nie powiem im, że był gejem, bo są zbyt starzy, aby teraz przewycięzać przesady. Pozwolę, żeby sobie wyobrazili, jakie mogliby mieć wnuki (może pewnego dnia się ich doczekają).

Powiem, że zatrzymał obrączkę, i pozwolę im wierzyć, że w końcu Abe odnalazł własną drogę do Jezusa. Że gdyby miał więcej czasu, mógłby odnaleźć także drogę do domu. Podobnie jak ja.

W końcu uznają, że dobrze się stało.

W Edynburgu przesiadam się do lokalnego pociągu i jadę przez

niekończące się purpurowe doliny pokryte siatką srebrzystych strumieni i wodospadów, obok niezwykłego jeziora, gdzie – jak w lustrze, przez które przeszedł Abe – odbija się otaczający krajobraz.

Nazwy stacji brzmią znajomo: Crianlarich, Tyndrum, Loch Awe, Bridge of Orchy.

Żeby dotrzeć do Eilean Donan, muszę się udać jeszcze dalej na północ. Zastanawiam się, ilu odejdzie przede mną, gdy stoję na murach i wysypuję prochy Abe'a do Loch Alsh. Ciekawe, po jakim czasie dotrą do morza.

Pociąg zwalnia, mijając moją dawną szkołę i most, z którego Maisie Ross skoczyła dla zabawy w rwący nurt i więcej jej nie ujrzeliśmy. Widzę drogę, która prowadzi do domu starców, w którym umarła moja babcia, i pub, gdzie odbyło się czuwanie przy zwłokach i gdzie urządzano wieczory *ceilidh*<sup>20</sup>, na które ojciec zabraniał nam chodzić.

Kiedy pociąg wjeżdża na stację, robi mi się niedobrze. Ręce tak mi słabną, że jakiś mężczyzna musi mi pomóc wynieść z przedziału walizkę. Ściskając ją przed sobą niczym tarczę, wysiadam z pociągu. Wyjechałam stąd czternaście lat temu, ślubując sobie, że nigdy tu nie wrócę.

W hali dworca panuje potworne zimno. Za każdym razem, gdy otwierają się drzwi, do środka wpada podmuch lodowatego powietrza. Nie przynosi jednak żadnych śmieci, a jedynie kilka uschłych liści.

Opuszczam dworzec i wychodzę na rondo. Nawet tutaj, na ruchliwej głównej ulicy prowadzącej do Inverness, powietrze jest inne. Czyste, o smaku minerałów, jak świeża woda. Po prawej stronie widać roziskrzone jezioro. Niezależnie od pogody jego toń pozostaje czarna. Strzeże swoich tajemnic od dziesięciu tysięcy lat.

To ojczyzna mojego ojca – matka należała do drugiego pokolenia irlandzkich emigrantów – ta ziemia go ukształtowała. Może ukształtowała także mnie. Byliśmy jak dwa kamienie, które uderzają o siebie. Nic dziwnego, że sypały się iskry.

Czy żałują, że tak nas traktowali? A może w dalszym ciągu okłamują samych siebie, że postępowali słusznie, a to my zachowywaliśmy się niewłaściwie? Chociaż kłamstwo byłoby łatwiejsze do zniesienia, mój ojciec,

nawet jeśli nie miał innych przymiotów, był odważnym człowiekiem. Sprowadził z góry siedmiu na pół martwych wspinaczy w warunkach, którym nie dałby rady najtwardszy szarpa. Na pewno miałyby dość odwagi, żeby przyznać się do własnych błędów.

Do licha! Wciskam przycisk sygnalizacji świetlnej na przejściu dla pieszych. Jakie to ma teraz znaczenie? Ich dziecko nie żyje. To wystarczająca kara.

Przechodzę ulicę i wkraczam do mojego rodzinnego miasta.

Sklepy się zmieniły: miejsce lokalnych składów zajęły sieciówki, które można spotkać w każdym brytyjskim mieście. Garkuchnia, w której plotkowałam z dziewczynami Proddych, kiedy ojciec myślał, że gram w [netball](#)<sup>21</sup>, zamieniła się w Starbucksa.

Przechodzę obok pomnika ofiar wojny. Krzywię się z powodu głośnego stukotu kółek mojej walizki. Na bocznych uliczkach nie ma samochodów. Kilku przechodniów spieszy w swoich sprawach, pochylając głowy przed wiatrem.

U Świętego Hieronima zawsze było tak wietrznie. Czyżby Abe próbował mi coś powiedzieć? *Pojedź do domu, Mags.*

Dobrze, że mam na sobie parkę brata. W futerku nadal czuć jego przyjemny zapach. Zapach, który pamiętam z długich wieczorów czytania Biblii na kanapie w domu. Wkładałam do mojej inną książkę, ale Abe tego nie robił. Pokpiwałam sobie z tej rzekomej pobożności, lecz jego oczy, choć posłusznie utkwione w tekście, były zawsze dalekie, jakby wpatrywały się w inną rzeczywistość. Ciekawe, o czym sobie wtedy myślałeś, Abe. Albo o kim. O Dougu Kennedym, nieokrzesanym piłkarskim czempionie, w którym podkochiwała się większość dziewcząt? A może wolałeś chłopców, którzy byli w moim typie – na przykład Pete’a Goldringa, bystrego, smagłego młodzieńca, który nigdy nie wahał się przed wygłoszeniem ironicznej uwagi na temat klasowych kretynów i kilka razy za to oberwał?

Czy to nie dziwne, że widzę ich tak wyraźnie?

Niegdyś ogromny Royal Highland stał się tanim hotelem sieciowym. Najlepszym, jaki mogłam znaleźć. Przynajmniej ma własny bar. W środku



panuje cisza typowa dla prowincjonalnych hoteli o podłogach pokrytych grubymi dywanami, gdzie w powietrzu czuć zapach rozgotowanych warzyw. Postanawiam, że zjem obiad w KFC.

W recepcji jest chłopak, z którym chodziłam do szkoły. Nie poznaje mnie, a ja podaję inne nazwisko, żeby nie wdawać się w rozmowę. Currie. Pierwsze, które przychodzi mi do głowy.

Wręcza mi breloczek z kluczem do pokoju. Idę na górę. Pokój jest ogromny i pusty, z łóżkiem zasłanym białym prześcieradłem i tanim fotelem. Włączam telewizor dla towarzystwa i idę się umyć.

Po kąpieli czuję się odmieniona. Ochrzczona w ojczystych wodach, czuję, jakbym coś z siebie zmyła. Pewność siebie? Przeświadczenie o własnej wartości? Poczucie bezpieczeństwa?

Nie, po prostu się boję.

Aby uspokoić nerwy, zamawiam dzin z tonikiem i piję przy oknie. Gdybym jako dziecko uniosła głowę, dostrzegłabym, że piękno tego miejsca zapiera dech w piersi. Okolica wygląda tak, jakby została ukształtowana ręką Boga.

Mam ochotę na drugiego drinka, ale nie chcę zjawić się w domu o zmierzchu, więc wsuwam do kieszeni srebrny talizman Jody i wychodzę.

Wiatr osłabł. Toń jeziora jest gładka jak szyba.

Mogłabym z zamkniętymi oczami pokonać krótką drogę na wzgórze. Ulica biegnie obok zakładu pogrzebowego, salonu fryzjerskiego i sklepu z porcelanowymi lalkami na wystawie. Nic się nie zmieniło.

Biorę głęboki oddech i skręcam na rogu.

Widzę plac zabaw, na którym tata złamał mi rękę. W miejscu piaskownicy znajduje się drewniany zamek otoczony fosą z niebieskiej gumy.

Jest mój dom. Białe ściany, zielone drzwi, pochyły dach i róże na ścianie obok wjazdu do garażu. Kwiaty wyblakły, stały się niemal przezroczyste.

Ojciec okopuje rabatkę róż. Zaciskam palce na aniele stróżu w kieszeni.

Kiedyś był potężnym mężczyzną. Choć mięśnie zmalły, gdy porzucił pracę w górskim pogotowiu ratunkowym, coś z nich jeszcze pozostało. Wydaje się szczuplejszy, a szorstkie siwe włosy są rzadkie i cienkie. Nigdy nie widziałam ojca w dżinsach. Teraz ma je na sobie, a oprócz nich bluzę i ubłocone szare mokasyny. Wąsy zniknęły, odsłaniając pełne wargi, jak u Abe'a.

Och, tato.

Gdy mnie zauważy, prostuje się i na chwilę mruży oczy, jakby próbował sobie przypomnieć. Później rydel w jego dłoni opada bezwładnie, a grudki ziemi spadają niczym konfetti na wielobarwne płatki róż.

*Na głównej ulicy panuje ruch.*

*Jest pogodny wieczór, babie lato trwa bez końca. Wracający z pracy ludzie przystają, żeby kupić warzywa wystawione przed libańskim supermarketem lub wziąć maleńki kartonowy kubek od stojącego w drzwiach nowej kawiarni młodzieńca w fartuchu. W jego srebrnej tacy odbija się różowo-żółte niebo.*

*Kelnerzy z Cosmo nakrywają stoliki przed wieczornym szczytem. Słyszała, że o restauracji wspomniano w jakimś przewodniku po londyńskich knajpkach, więc teraz miejscowi za żadne skarby nie mogą zdobyć stolika.*

*Macha kobiecie w aptece, która podnosi kubek do ust. Wpadniesz na kawę? Przykłada dłoń do ucha, wysuwając palec wskazujący i kciuk. Zadzwoń. Zaprzyjaźniły się po trudnych początkach. Matka farmaceutki ma demencję, więc ta czasami potrzebuje ramienia, na którym mogłaby się wypłakać.*

*Przechodzi na światłach i skręca w Gordon Terrace.*

*W połowie uliczki żywe barwy wyróżniają dom nowej rodziny z Syrii. Właśnie wydają przyjęcie, aby uczcić swoje przybycie. Od przyjazdu dekorują mały ogródek kwiatami, które nie wyrosłyby w ostrym słońcu ich ojczyzny. Są tam róże i hortensje, prusznik amerykański, wiszące kosze z fuksjami, skrzynki z lawendą i jakieś spiczaste kwiaty, czerwone i żółte, które przypominają płomienie.*

*Przez chwilę myśli o nim. O mężczyźnie, którego rzekomo kochała. Który ocalił jej życie. Sądziła, że w tym trudnym czasie, zagubiona i uwikłana w kłamstwa, zatraciła się pomiędzy rzeczywistością i fikcją. Z drugiej strony wspomnienie jest tak wyraźne i silne, że coś musiało wydarzyć się naprawdę. Tłuszcz w jej piekarniku się zapalił, a Abe przybiegł i ugasił pożar mokrym ręcznikiem. To wszystko.*

*Teraz rozumie, dlaczego wywarło to na nią tak silny wpływ. Poczuła, że ktoś się o nią troszczy. Było to przyjemne uczucie, więc zapragnęła go więcej, ale pukała do niewłaściwych drzwi. Potrzebowała dużo czasu, żeby to zrozumieć. Teraz jest jej przykro, lecz Mags, z którą się przyjaźni, mówi, żeby niczego nie żałowała, bo on ocalił jej życie. Że był to czyn miłości, nawet jeśli*

w jego sercu jej nie było.

Mags stale jej powtarza, że jest kochana. Raz, gdy była w barze z Danielem, powiedziała jej: „Kocham cię”. Jody uśmiecha się na to wspomnienie.

Daniel wziął od Mags słuchawkę i powiedział, że też ją kocha, a później spytał, kiedy ich odwiedzi w Vegas. Obiecała, że przyjedzie latem, jeśli starczy jej pieniędzy.

Stwierdzili, że nie musi zaprzętać sobie głowy pieniędzmi. Zapłacą za jej podróż. Ale to ważne, by płaciła za siebie. To wzmacnia poczucie własnej wartości. Marion mówi, że za rok będzie gotowa do objęcia posady kierownika. Że trzy kilometry dalej jest sklep z używaną odzieżą i wkrótce pojawi się wakat, ponieważ tamtejszy kierownik odchodzi na emeryturę. Nie obawia się dojazdów. Gang młodocianych, który kręcił się w pobliżu Gordon Terrace, przeniósł się w inne miejsce, bo teraz policja patroluje ulicę, a twarz, której Jody z takim lękiem wypatrywała w każdym przejeżdżającym autobusie, będzie bardzo zmieniona, gdy Rob wyjdzie z więzienia po odsiedzeniu kary.

Na końcu Gordon Terrace skręca w ścieżkę prowadzącą do Świętego Hieronima. Nowa dziewczyna spod trójki i jej dwuletnie dziecko pracują we wspólnym ogródku warzywnym razem z Dale'em i Sarą. Wokół ugania się terierka Tessy, próbując złapać białe motyle spłoszone obecnością ogrodników. Nadszedł czas zbierania fasoli. Jody obiecała pomóc, więc mówi, że przebierze się w robocze ubranie i za chwilę do nich dołączy.

Mijając okno na parterze, mruczy „cześć” do pani Lyons. Kobieta jest u siebie, ale nie rozpoznaje Jody, choć ta czasami ją odwiedza i siada na kanapie, oglądając z Lulą filmy z cyklu Cała naprzód<sup>22</sup>, które nadal rozśmieszają starszą panią do łez.

Wózek inwalidzki Dale'a pozostawił ślady błota w korytarzu. José będzie wściekły.

Na stole leży kartka od Miry, która odwiedziła razem z Flori krewnych mieszkających w Budapeszcie. Jody uśmiecha się smutno. Miała nadzieję patrzeć, jak Flori dorasta, ale dobrze się stało, że Mira wróciła do domu i mieszka z rodziną. Gdyby Jody miała rodzinę, zrobiłaby to samo. Będzie

musiała zaoszczędzić także na bilet do Albanii, bo zaproszenie Miry jest otwarte.

Uchyła wewnętrzne drzwi i wślizguje się na klatkę schodową rozświetloną kolorami witraża. Na schodach siedzi młody mężczyzna. Rysuje pastelami. Jest taki chudy, że musi być wracającym do zdrowia anorektykiem, który wprowadził się pod dziesiątkę. Pochłonięty tym, co robi, podnosi głowę dopiero wtedy, gdy cień Jody pada na kartkę. Przerywa wystraszony i upuszcza kredkę.

– Przepraszam – mówi Jody, podnosząc ją z podłogi.

– Cześć – odpowiada chłopak. – Jestem Benno.

Wymieniają uścisk dłoni. Jego palce pozostawiają kolorowe ślady na jej skórze.

– Jody. Spod dwunastki. Mieszkamy niemal obok siebie.

Rozmawiają o życiu w Świętym Hieronimie: o nieregularnych dostawach ciepłej wody, podejrzanej suszarce bębnowej w piwnicy, w której skarpetki się kurczą, i karetce pogotowia, która przyjechała w środku nocy, żeby zabrać do szpitala kobietę spod siódemki. Benno mówi, że miał szczęście, bo dostał mieszkanie w takim pięknym miejscu. Czy Jody wie, że twórcą witraży jest Thomas Willement? Przez chwilę patrzą na postać Jezusa. Odpowiada im spojrzeniem łagodnych brązowych oczu. Ten Willement był dobry, myśli Jody, nie mogąc oderwać wzroku od witraża.

– Miło było cię poznać – mówi w końcu. – Jeśli znudzisz się rysowaniem, jesteśmy na dworze. Będziemy zbierać fasolę przez co najmniej trzy godziny.

Benno się śmieje.

– Zrywać fasolę palcami artysty? Muszę to przemyśleć.

Jody idzie na górę, wchodzi do mieszkania, odstawia torbę i zrzuca buty. Ma czas na filiżankę herbaty.

Nasłuchuje dźwięków kościoła: dalekiego gulgotu rur, wystukiwania rytmu przez chłopaka grającego na organach i zawodzenia wiatru owiewającego iglicę. Później włącza radio.

Woda w czajniku się gotuje. Niesie kubek z herbatą do stołu przy oknie.

*Kiedyś myślała, że ma okropny widok na kontenery ze śmieciami, ale nie trzeba patrzeć w dół. Można przecież patrzeć w górę.*

*Niebo nad nędznymi domami komunalnymi rozświetlają promienie słońca. Wysoko nad dachami szybują mewy. Ich grzbiety płoną złotem i czerwienią. Obserwuje, jak ptaki krążą w błękicie, nie lądując nawet na chwilę, a później idzie się przebrać.*

# Abe

Jest zimno. Nie wejść do środka, chociaż wiatr szarpie kurtkę jak oszalały. Lubię czuć na twarzy słońcą mgiełkę, słuchać łoskotu fal uderzających o dziób promu. Stoję na samym przodzie, przy łańcuchu kotwicy, tak daleko, jak tylko można. Nie mogę się powstrzymać przed wrażeniem, że gdybym się odwrócił, ujrzałbym tatę nadchodzącego, by zaciągnąć mnie z powrotem do domu.

Mama przyłapała mnie na pakowaniu. Myślałem, że będzie próbowała mnie powstrzymać lub pobiegnie sprowadzić tatę ze spotkania modlitewnego, lecz tego nie zrobiła. Po prostu stała w drzwiach i patrzyła, jak wrzucam do walizki kilka par spodni i skarpetek, przybory toaletowe. Musiała widzieć komórkę, którą dostałem od Pete'a, gdy rodzice kupili mi iPhone'a, bo leżała na wierzchu, ale nic nie powiedziała. Nie zabrałem wielu rzeczy. Kiedy będzie mnie stać, kupię sobie nowe. Obcisłe, przylegające do ciała – jak u małej dziwki. Nie tylko dziewczyny mogą być dziwkami, tato.

Dzięki internetowi poznałem faceta, który mieszka w Dublinie. Jest starszy ode mnie. Nie darzę go szczególnym uczuciem, ale mówi, że pozwoli mi u siebie zamieszkać, pomoże znaleźć pracę i stanąć na nogi. Jak prawdziwy ojciec. Zrobię to, co będzie trzeba, żeby mu odpłacić. Myślę, że wiem co, bo jeden z chłopaków pokazał mi film wideo w necie.

– Do widzenia, mamó.

– Do widzenia, Abrahamie. – Gdy to mówi, jej wargi prawie się nie poruszają.

Do odjazdu autobusu zostało parę minut, ale były to najdłuższe minuty w moim życiu: kiedy czekałem na wietrze na tatę schodzącego ze wzgórza.

Nie mogłem uwierzyć, że się nie pojawił, nawet gdy wsiadłem do autobusu. Nawet gdy pędził już autostradą. Nawet gdy z klekotem wjechał na prom, opadły metalowe wrota i ryknęły silniki.

Nadal wypatrywałem ojca, nie wierząc w to, że mi się udało.

Nie ma wielu rzeczy, za które mógłbym być ci wdzięczny, Mary. Podobnie jak ty mnie. Postępowaliśmy wobec siebie jak dranie, prawda? Ale za jedną rzecz będę ci wdzięczny do końca życia.

Pokazałaś mi, że można odejść.

Wytyczyłaś ścieżkę, oznaczając ją białymi kamykami. Teraz nią podążam. Tata zawsze powtarzał, że jestem słaby, lecz ty nauczyłaś mnie być dzielnym, walczyć o własne marzenia.

Wiem, że twoje się spełnią. Zawsze byłaś bystra i silna. Nie wierzyłaś w brednie taty, nawet gdy byłaś mała. Podziwiałem cię. Nawet kiedy na mnie donosiłaś lub spuszczałaś mi lanie paskiem. Nienawidziłem cię i podziwiałem. Byłem przekonany, że staniesz się kimś wyjątkowym. I miałem pewność, że gdy nie będziesz już musiała walczyć o życie, staniesz się przyzwoitym człowiekiem.

Chciałbym cię wtedy poznać.

Mewy podążają za nami całą drogę z Liverpoolu. Czasami szybują wysoko na niebie, niczym białe konfetti, kiedy indziej lecą nisko nad wodą, tak że można dostrzec ich zmarszczone odbicie. Gdybym w przyszłym życiu miał zostać zwierzęciem, chciałbym być ptakiem. Ale ta cała gadanina o reinkarnacji to herezja, prawda, tato? Kiedy umrę, trafię na łono Jezusa, nie? Mam nadzieję, że jest tak przystojny jak w *Opowieściach dla młodych wierzących*. Ma potężne, mocne ramiona od dźwigania tego wielkiego krzyża, ładną opaleniznę i ciemne, falujące włosy jak Pete Goldring.

Na horyzoncie ukazuje się przystań promowa. Odwracam się, żeby sprawdzić, czy tata zdążył już przepłynąć przez Morze Irlandzkie.

Obserwuje mnie facet stojący z drugiej strony promu. Jest jakieś dziesięć lat starszy ode mnie, niski i zwalisty, z szerokim nosem i wydatnymi ustami. Uśmiecham się, gdy nasze oczy się spotykają.

A później wybucham śmiechem.

Jestem wolny.

Wolny.



Kiedy prom zaczyna zwalniać, białe skrzydło mewy zaczepia o powierzchnię wody, rozpryskując fontannę kropeł, którą podświetlają promienie słońca. Przez chwilę widzimy tęczę.

# Podziękowania

Jak zawsze składam wyrazy wdzięczności mojej agentce Eve White, która nieustrudzenie wspierała mnie radą i przykładem. Bez jej pomocy ta powieść nigdy by nie powstała. Dziękuję również jej zaufanej asystentce Kitty Walker, która szybko i elegancko odpowiadała na moje szczegółowe pytania.

Współpraca z zespołem wydawnictwa Trapeze była dla mnie czystą przyjemnością. Moja redaktorka Sam Eades oprócz niezwykłych zdolności narracyjnych odznacza się wręcz dziecięcą energią. Jestem też pewna, że z pomocą tak wspaniałego specjalisty od reklamy jak Ben Willis świat o mnie usłyszy.

Dziękuję wszystkim pracownikom Trapeze, którzy ciężko pracowali za kulisami dla dobra tej książki, między innymi: Laurze Swainbank z marketingu, Susan Howe i zespołowi praw autorskich, Rachael Hum (gdy spotkałam ją poprzednio, ssła kciuk, a teraz jest świetną specjalistką od sprzedaży eksportowej), Ruth Sharvell z produkcji, Loulou Clark z działu graficznego oraz Sarze Griffin i Katy Nicholl.

A teraz bardziej osobiście, dziękuję prawniczce Jane MacDougall, która pomogła mi zachować odpowiednie proporcje pomiędzy wiernością realiom a dramatyзмом w scenach książki rozgrywających się na sali sądowej.

Składam serdeczne podziękowania wszystkim czytelnikom, blogerom i autorom, którzy polubili moją powieść na tyle, by zrobiło się o niej głośno w mediach społecznościowych. Na koniec dziękuję mojej oddanej pierwszej czytelniczce i największej fance – mojej mamie, Jill Smith.

---

<sup>1</sup> Szkocka pieśń ludowa, która jest śpiewana w krajach anglosaskich podczas sylwestra (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

<sup>2</sup> sambuca – włoski likier anyżkowo-owocowo-ziołowy

<sup>3</sup> abaja – szerokie, luźne okrycie podobne do długiej sukmany bez rękawów noszone w krajach muzułmańskich <sup>4</sup> SSRI, *selective serotonin reuptake inhibitor* (ang.) – psychoanaleptyczny lek antydepresyjny <sup>5</sup> Samaritans – w Wielkiej Brytanii i Irlandii organizacja charytatywna, która zapewnia emocjonalne wsparcie osobom doświadczającym cierpienia lub mającym skłonności samobójcze.

<sup>6</sup> *Schadenfreude* (niem.) – radość z cudzego nieszczęścia <sup>7</sup> Mills & Boon – brytyjski wydawca książek Harlequin Enterprises, który specjalizuje się w publikacji serii romansów dla kobiet.

<sup>8</sup> *kaval* (alb.) – instrument dęty drewniany używany w muzyce ludowej Albanii <sup>9</sup> *sultjash* (alb.) – ryżowy pudding

<sup>10</sup> *ndal* (alb.) – zatrzymać się

<sup>11</sup> *kondomat* (alb.) – prezerwatywa

<sup>12</sup> *pidhi* (alb.) – cipa

<sup>13</sup> DNR, *do not resuscitate* (ang.) – nie podejmować reanimacji w przypadku zatrzymania akcji serca.

<sup>14</sup> *si je* (alb.) – jak się masz

<sup>15</sup> *gjelle* (alb.) – potrawka mięsna

<sup>16</sup> Ned Flanders – jeden z bohaterów serialu *Simpsonowie*, przykładowy ojciec, parafianin i sąsiad <sup>17</sup> IPCC, Independent Police Complaints Commission – Niezależna Komisja ds. Skarg na Policję.

<sup>18</sup> Hackney Rugby Football Club – klub rugby mający siedzibę w londyńskiej dzielnicy Hackney.

<sup>19</sup> Sport Relief – brytyjska organizacja charytatywna, która organizuje imprezy sportowe w celu zbierania pieniędzy i finansowania pomocy potrzebującym w Wielkiej Brytanii i Afryce.

<sup>20</sup> *ceilidh* (ang.) – w Szkocji wieczór tradycyjnej muzyki i tańca <sup>21</sup> *netball* (ang.) – gra podobna do koszykówki

<sup>22</sup> *Cała naprzód* (ang. *Carry On*) – cykl 30 angielskich komedii filmowych wyprodukowanych w okresie od 1958 do 1992 roku.